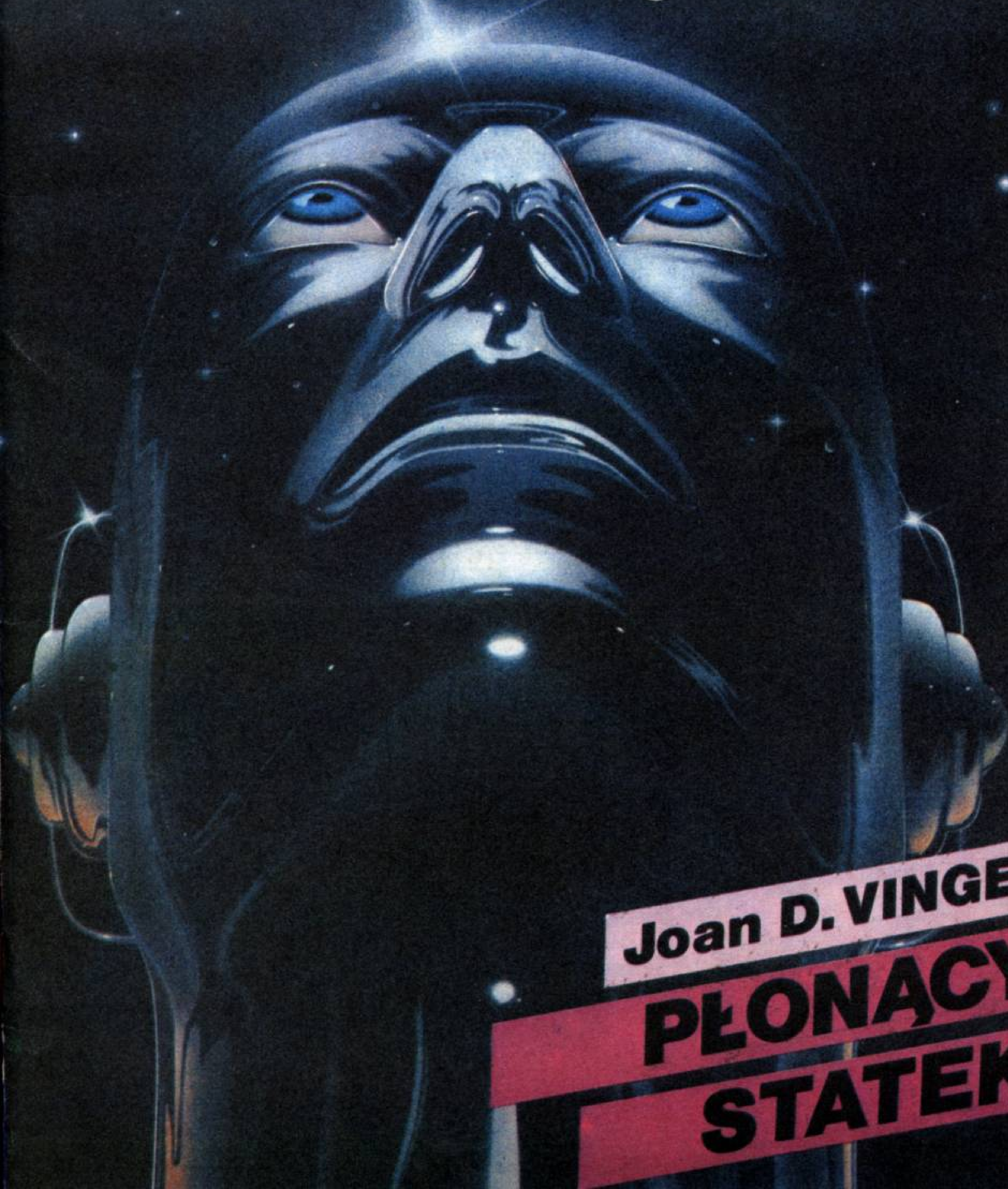
MIESIĘCZNIK
9 (13) Wrzesień 1983 cena 50 zł

Fantastyka



SZÓSTE SPOTKANIE WORLD SF

20 czerwca br. podczas uroczystego bankietu kończącego VI WORLD SF General Meeting w hotelu Esplanade w Zagrzebiu rozdzielono światowe nagrody w dziedzinie twórczości i upowszechniania SF. Z rąk przewodniczącego organizacji, brytyjskiego pisarza SF Briana W. Aldissa, otrzymali je:

BRUCE GILLESPIE (Australia) za prace z dziedziny krytyki SF,
JOSEF NESVADBA (Czechosłowacja) za całokształt twórczości literackiej,
SAM J.LUNDWALL (Szwecja) za prace wydawnicze,
BETTY HULL (USA) za prace edytorskie w dziedzinie czasopiśmiennictwa SF,
MICHAEL BISHOP (Wielka Brytania) za pracę dla WORLD SF,
WANG FENGZHEN (Chińska Republika Ludowa) za najdłuższą drogę do WORLD SF,
KRSTO MAZURANIC i BRUNO OGORELEC (Jugosławia) – nagroda zwyczajowa dla organizatorów kongresu.

Ponadto gospodarze zjazdu – jugosławiański klub SFera z Zagrzebia przyznali trzy nagrody honorowe w dziedzinie SF „za ogólne zasługi dla rozwoju i upowszechniania gatunku". Otrzymali je:
BRIAN W. ALDISS (Wielka Brytania),
FREDERIC POHL (USA),
DONALD A.WOLLHEIM (USA).

* * *

W związku z nieobecnością znacznej liczby członków, właściwe wybory do władz organizacji postanowiono przenieść na przyszły rok. Dokonano jedynie niezbędnych zmian i uzupełnień w szerokim gronie członków zarządu. Obecnie w skład władz WORLD SF wchodzą: BRIAN W.ALDISS (Wielka Brytania) – przewodniczący, GERALD BISHOP (Wielka Brytania) – sekretarz, Vittorio Curtoni (Włochy), Danny DeLet (Belgia), Ljuben Diłow (Bułgaria), Patrice Duvic (Francja), Charlotte Franke (RFN), Sebastiano Fusco (Włochy), Sergio Giuffrido (Włochy), HARRY HARRISON (Irlandia) – skarbnik, **Adam Hollanek (Polska),** Betty Hull (USA), Gerald Izagzirre (Brazylia), Peter Kuczka (Węgry), SAM J.LUNDWALL (Szwecja) – sekretarz, Krsto Mazuranic (Jugosławia), Josef Nesvadba (Czechosłowacja), Piergiorgio Nicolazzini (Włochy), Bruno Ogorelec (Jugosławia), Maria Osincewa (ZSRR), Ellen Pedersen (Dania), Jeremij Parnow (ZSRR), Frederic Pohl (USA), Heiner Rank (NRD), **Jacek Rodek (Polska),** Dusan Slobodnik (Czechosłowacja), Franco Storchi (Włochy), Annemarie Van Ewyck (Holandia), Ernesto Vegetti (Włochy), Gianfrance Viviani (Włochy), Alesandro Voglino (Włochy), Tetsu Yano (Japonia), Ye Yongile (ChRL), **Andrzej Wójcik (Polska).**



Ryszard Wichtowski



3

Opowiadanie, które zaczyna się od... pointy. A mimo to przez cały czas potrafi utrzymać zainteresowanie czytelnika. Utwór stanowi dość dobrą ilustrację pisarskiej maestrii nieżyjącego już amerykańskiego autora SF, zaliczanego do czołówki twórców tego gatunku na anglosaskim rynku wydawniczym.

Henry Kuttner: „Szczęśliwe zakończenie"

...3...2...1...



Większość ludzi włada najlepiej swoim rodzimym językiem. I za jego pośrednictwem buduje sobie obraz świata. Tego, co nas bezpośrednio otacza, a także i wyobrażenie wszystkiego co działo się i dzieje na Ziemi. To banalne, każdemu dobrze wiadome. Mało jest osób posługujących się z identyczną sprawnością drugim językiem – obok rodzimego. Jednocześnie w tych prostych, każdemu dobrze znanych prawdach mieści się pojęcie bariery językowej.

Wiele spraw dzieli ludzi na naszej planecie – istnieją różnice ideologiczne, polityczne, wyznaniowe, materialne. Mnóstwo ich i nie chodzi mi tu wcale o wyliczanie kolejnych. W różnicach tkwi zawsze potencjalne zarzewie nieporozumień, a nawet konfliktów. Dla ich uniknięcia, dla dobrego wzajemnego zrozumienia konieczne jest przezwyciężanie przede wszystkim barier językowych. Znowu przedstawiam tu tezę oczywistą. W dyplomacji przecież często używa się określenia „poszukiwanie wspólnego języka". Każdy o tym wie, każdy się orientuje.

A tymczasem moje kolejne spotkania międzynarodowe, kolejne meetingi z twórcami science fiction (dziedziny szczególnie predysponowanej do tworzenia „wspólnego języka" w pojmowaniu zjawisk i wydarzeń tego świata, gdyż usiłuje się w niej patrzeć na to, co się dzieje na naszej planecie z pewnego dystansu, z perspektyw przyszłościowych) przekonują mnie o trudnym nawiązywaniu kontaktów. Właśnie z powodu barier językowych.

W świetnej atmosferze zagrzebskiego meetingu World SF (w czerwcu br.), która w dużej mierze została stworzona przez jugosłowiańskich gospodarzy, okazało się, jak to naprawdę jest z tymi barierami i to w sprawach tak ważnych, jak czytanie książek. World Science Fiction to organizacja o zasięgu światowym. Skupia zawodowców: pisarzy, plastyków, filmowców, wydawców i dziennikarzy związanych zarobkową pracą z fantastyką. Za jeden z głównych celów tej organizacji należy uznać bez wątpienia przełamywanie barier językowych. Chodzi po prostu o ułatwienie wędrówki utworom, powstającym w jednych krajach do innych krajów.

Narzędziem tak pojętej popularyzacji SF ma być almanach międzynarodowy. Będzie gromadził na razie krótkie utwory autorów różnych narodowości. Duże znaczenie ma i będzie mieć wymiana najlepszych książek do tłumaczenia w wielu krajach. I tą dziedziną propagacji fantastyki pragnie się także zajmować World Science Fiction. Warto w tym miejscu wyjaśnić, że są trzy organizacje naprawdę liczące się zarówno wśród twórców, jak i zwolenników gatunku SF. Zawodowców skupia World Science Fiction, twórców i fanów wiąże Konwencja Europejska (Eurocon), trzecią jest Amerykańska Organizacja SF, przyjmująca również twórców z innych stron świata. Zawiązuje się coraz ściślejsze współdziałanie między tymi najważniejszymi ogniskami kultury science fiction. Przykład: w przyszłym roku, w czasie Wielkanocy, odbędzie się w Brighton, w pobliżu Londynu, meeting World SF oraz Konwencji Europejskiej, po którym wiele można się spodziewać. Właśnie, właśnie także w sprawie łamania barier językowych. Na razie są one mało elastyczne i przeszkadzają.

Oto na przykład w krajach, takich jak nasz, posługujących się językami, których znajomość za granicą nie należy do dużych, tłumaczenia ostro konkurują z rodzimą twórczością. Wprawdzie obserwujemy w Polsce bez wątpienia prawdziwy boom fantastyki – w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy wyszło ponad siedemdziesiąt nowych tytułów, w tym sporo debiutów, niemniej widoczna jest olbrzymia przewaga książek z zewnątrz, dzieł autorów zagranicznych. Jesteśmy widać otwarci na to, co dzieje się w fantastyce za wszelkimi kordonami. Trudno o tym powiedzieć w odniesieniu do niektórych największych światowych potęg wydawniczych. W USA dla przykładu na tysiące nowych książek SF jest zaledwie kilka tłumaczeń, podobnie w Anglii, nie mówiąc już o innych państwach. Wprawdzie wśród nielicznych autorów polskich w Ameryce znalazł się Stanisław Lem (obok przedwojennych klasyków literatury), to jednak ciągle jeszcze tłumaczenia polskiej SF za granicą należą do rzeczy rzadkich. Zresztą dotyczy to nie tylko samych polskich autorów. Potęgi wydawnicze SF zadowalają się w przytłaczającej większości drukowaniem twórców tej samej grupy językowej czy narodowościowej. Panuje więc swoisty, bez przesady można to stwierdzić, egoizm wydawniczy.

Oczywiście przenika on także do mniejszych krajów. Zmusza pisarzy do uczenia się obcych języków i posługiwania się nimi przy pisaniu własnych książek. Tak bywa w krajach skandynawskich. Toteż szczególną radość budzi, gdy komuś z rodzimych autorów udaje się przeniknąć do egzotycznych dla nas sfer czytelniczych. Oto Konrad Fiałkowski drukuje swego „Strażnika", znane u nas opowiadanie, w trzecim numerze z br. japońskiego magazynu fantastycznego. Już nie tylko sam Lem jest rarytasem eksportowym polskiej science fiction. Czy to się u nas docenia? Wśród krytyków zawodowych, ale także i wśród fanów pieczątka zagraniczna ma ogromne znaczenie. O fascynacji samym tylko zagranicznym pochodzeniem lub sukcesem, nie zaś autentyczną wartością, świadczą listy Czytelników, a czasem i listy bestsellerów na naszych łamach. Często drażnią mnie one i żenują. Prawie zawsze (oprócz jednego Lema) wymienia się na czołowych miejscach najpierw książki autorów zagranicznych, potem dopiero naszych. A na spotkaniach z fanami największe cmokanie rozlega się przy wymienianiu nazwisk twórców zagranicznych. Nauczyły i nadal uczą tego przede wszystkim wydawnictwa. Procent rodzimej literatury SF jest wśród nowo wydawanych książek w dużych i słynnych, a także mniej słynnych, oficynach – bardzo niski. Oczywiście, są od tej reguły chlubne wyjątki, ale one ją tylko potwierdzają.

W tej sytuacji nasze zadanie jest szczególnie trudne, zwłaszcza w dziedzinie propagacji rodzimych autorów. Rynek twórczy jest ciągle niewielki, spełnia się chętnie wymagania wydawnictw, które wolą od rodzimych autorów brać powieści niż opowiadania. A my mamy miejsce właśnie na nowele – autorzy zaś piszą powieści, których druk we fragmentach nie wypada zwykle najkorzystniej. Wydaje mi się, że Dni Fantastyki, organizowane z końcem października br. w Dzierżoniowie, w których weźmiemy udział, będą jedną z nowych prób propagowania wartościowej polskiej literatury SF. Jeśli powiem, że aż trzydziestu pisarzy będzie na spotkaniach czytać swoje utwory i dyskutować z publicznością, to już przecież coś znaczy. A spotkania nie będą bynajmniej jedyną imprezą Dni Fantastyki w Dzierżoniowie.

Adam Hollanek

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

MIESIĘCZNIK **Fantastyka**

02-784 Warszawa-Ursynów,
ul. Służby Polsce 2,
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redakcja:
Adam Hollanek (red. nacz.)
Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Darosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.

Warunki prenumeraty:

● **dla zakładów pracy**
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.

● **dla prenumeratorów indywidualnych**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy,
– osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch"

● **prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę** przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty:
– do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny,
– do dnia I każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.
Druk i oprawa P.Z.Graf. RSW Łódź. Zam 2314/83 r. N. 150 000 egz. M-6

Szczęśliwe ZAKOŃCZENIE

Henry Kuttner

(Happy Ending)

Oto jak skończyła się ta historia:
James Kevin skupił swoje myśli na chemiku o rudych wąsach, który obiecał mu milion dolarów. Polegało to po prostu na dostrojeniu się do fal mózgowych tego człowieka, złapaniu kontaktu. Robił to już przedtem. Teraz było to ważniejsze niż kiedykolwiek, miał to być już ostatni raz. Wcisnął guzik przyrządu, który dał mu robot i skoncentrował się.
Daleko, w nieskończenie wielkiej odległości, znalazł to połączenie.
Dostroił się całkowicie do strumienia myśli.
Zaczął posuwać się wzdłuż niego...
Człowiek o czerwonych wąsach podniósł głowę, otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się z zadowoleniem.
- Wreszcie jesteś! - powiedział. - Nie słyszałem jak wszedłeś. Do licha, od dwóch tygodni usiłuję cię znaleźć.
- Powiedz mi prędko jak się nazywasz - poprosił Kevin.
- George Bailey. A propos, jak ty się nazywasz?
Ale Kevin nie odpowiedział. Przypomniał sobie nagle co jeszcze powiedział mu robot o przyrządzie, który łączył myśli za naciśnięciem guzika. Wcisnął go teraz i nic się nie stało. Przyrząd przestał działać. Jego zadanie było spełnione, co musiało oczywiście znaczyć, że Kevin w końcu zdobył sławę, zdrowie i majątek. Robot ostrzegł go, naturalnie. Przedmiot był przeznaczony do wykonania jednego, określonego zadania.
Tak więc Kevin dostał milion dolarów.
I od tej pory żył sobie szczęśliwie...

Oto środek całej historii:
Kiedy odsunął kotarę coś - jakaś źle zaczepiona linia - spadła mu na twarz, strącając okulary w rogowej oprawce. Równocześnie jasne niebieskawe światło oślepiło jego nie osłonięte oczy. Nagle ogarnęło go dziwne wrażenie zdezorientowania, mgnienie czegoś co prawie natychmiast minęło.
Świat przestał tańczyć mu przed oczyma. Kotara opadła i znów stał się widoczny namalowany na niej napis:
HOROSKOPY - POZNAJ SWOJĄ PRZYSZŁOŚĆ - a on stał patrząc na znakomitego wróżbitę.
To było - ech, niesamowite!
Głos robota zabrzmiał monotonnie i stanowczo:
- Jesteś James Kevin. Jesteś reporterem. Masz trzydzieści lat, nie jesteś żonaty i przyjechałeś dzisiaj z Chicago do Los Angeles, tak jak poradził ci twój lekarz. Zgadza się?
Kevin aż się przeżegnał z wrażenia. Potem włożył okulary i starał się przypomnieć sobie przeczytany niegdyś artykuł o metodach używanych przez szarlatanów. Mieli jakieś proste sposoby, niezależnie od tego jak niezwykłe mogło się to wydawać.
Robot niewzruszenie patrzył na niego szklanym okiem.
- Na podstawie wiadomości zawartych w twoim mózgu - kontynuował swoim pedantycznym tonem - stwierdzam, że jest to rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty. Będę musiał skorygować moje plany. Miałem zamiar pojawić się w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. Poproszę cię o pomoc.
Kevin wsadził ręce do kieszeni i uśmiechnął się.
- Finansową, oczywiście - powiedział. - Przed chwilą gotów byłem ci uwierzyć. A swoją drogą, jak ty to robisz. Co to za cyrkowa sztuczka?
- Nie jestem ani maszyną, w której siedzi karzełek, ani złudzeniem optycznym - zapewnił go robot. - Jestem sztucznie skonstruowanym żywym organizmem, pochodzącym z dalekiej przyszłości.
- A ja nie jestem naiwniakiem za jakiego mnie uważasz - uprzejmie zwrócił mu uwagę Kevin. - Przyszedłem tu, żeby...
- Zgubiłeś kwit na bagaż - przerwał mu robot. - Zastanawiając się co zrobić, wypiłeś kilka kieliszków, a potem wsiadłeś do autobusu Wilshire o dokładnie - dokładnie dwadzieścia pięć po dwunastej.
- Skończ już z tym czytaniem myśli - powiedział Kevin. - I nie staraj się wmówić mi, że prowadzisz ten interes od dawna. Gliny już zdążyłyby się tobą zaopiekować. Jeśli jesteś prawdziwym robotem, ha, ha.
- Zacząłem dopiero pięć minut temu - poinformował go robot. - Mój poprzednik leży nieprzytomny za tą szafką w rogu. Twoje przybycie tutaj akurat teraz to czysty przypadek. - Przerwał i Kevin miał dziwne wrażenie, że robot obserwuje jak zostało przyjęte jego opowiadanie.
To uczucie było dziwne, dlatego że Kevin wcale nie miał wrażenia, iż w tej stojącej przed nim wielkiej i kanciastej rzeczy siedzi człowiek. Gdyby istnienie takiego robota było możliwe, uwierzyłby, że ma do czynienia z niezwykłym okazem. Ale ponieważ było to niemożliwe, po prostu czekał aż wyjaśni się jaka to sztuczka.
- Moje pojawienie się tutaj też było kwestią przypadku - opowiadał dalej robot. - I dlatego będę musiał zmienić troszeczkę swoje wyposażenie. Potrzebne mi będą mechanizmy zastępcze. W tym celu, jak wynika z analizy twojego umysłu, muszę przystosować się do szczególnych zasad wymiany stosowanych w waszym systemie ekonomicznym. Jednym słowem, potrzebne będą monety lub złoto albo srebro. A więc - na pewien czas - zająłem się przepowiadaniem przyszłości.
- No jasne - powiedział Kevin. - Tylko czemu się nie weźmiesz za zwykłą kradzież? Jeśli jesteś robotem to dla ciebie byłaby to prosta sprawa.
- To by zwróciło uwagę. A tego najmniej bym sobie życzył. Prawdę mówiąc, jestem - przerwał, by poszukać w umyśle Kevina właściwego zwrotu - jestem tu nielegalnie. W czasach, z których pochodzę, podróże w czasie są zabronione, nawet przypadkowe, chyba że odbywają się na zlecenie rządu.
„Coś tu się nie zgadza" - myślał Kevin, ale nie wiedział co. Spojrzał badawczo na robota. Nie wyglądał przekonywająco.
- Jakiego chcesz dowodu? - zapytała maszyna. - Odczytałem wszystkie myśli zawarte w twoim umyśle w chwili, w której tutaj wszedłeś, nieprawdaż? Czułeś pustkę, kiedy wyciągnąłem tę wiedzę i czułeś kiedy z powrotem ją tam ulokowałem.
- Więc to było to - powiedział Kevin. Ostrożnie cofnął się o krok. - Cóż, chyba już pójdę.
- Czekaj - zatrzymał go robot. - Widzę, że mi nie ufasz. I wyraźnie żałujesz, że podsunąłeś mi pomysł rabunku. Boisz się, że mogę wykorzystać ten pomysł. Pozwól, że coś ci wytłumaczę. To prawda, że mógłbym zabrać ci pieniądze i zamordować cię, tak żeby to się nie wydało. Ale nie wolno mi zabijać ludzi. O wiele lepszym wyjściem z sytuacji jest wymiana usług. Mogę zaproponować ci coś cennego w zamian za niewielką ilość złota. Muszę się zastanowić. - Szklane oko omiotło spojrzeniem pokój i na chwilę utkwiło przenikliwy wzrok w Kevinie. - Horoskop - powiedział robot. - Ma pomóc ci w zdobyciu zdrowia, sławy i fortuny. Ale astrologia nie jest moją specjalnością. Mogę zaoferować ci jedynie logiczną naukową metodę osiągnięcia tego samego.
- Oho, ho - rzucił sceptycznie Kevin. - Ile? I dlaczego sam nie posłużyłeś się tą metodą?
- Ja mam inne plany - odparł tajemniczo robot. - Weź to. - Coś brzęknęło. Pulpit metalowej skrzynki rozsunął się. Robot wyciągnął małe, płaskie pudełko i wręczył je Kevinowi, który automatycznie zacisnął palce na chłodnym metalu.
- Ostrożnie. Nie wciskaj tego guzika, dopóki...
Ale Kevin już go wcisnął...
Jechał pojazdem, którego nie potrafił opanować. Ktoś był w jego głowie. Gnała schizofreniczna, dwutorowa kolej, a jego ręka na przepustnicy nie była w stanie jej zatrzymać. Pękło koło kierujące jego umysłem.
Ktoś inny myślał za niego!
Nie człowiek. Niezupełnie normalny, jak się wydawało Kevinowi. Ale zupełnie normalny ze swojego punktu widzenia. Normalny na tyle, żeby opanować najbardziej zawiłe zasady nieeuklidesowej geometrii już w przedszkolu.
Wszystkie odczucia zmysłowe połączyły się w mózgu w jeden wspólny język. Niektóre rzeczy słyszał, niektóre widział. Odczuwał także zapachy, smaki, wrażenie dotyku - niektóre znane, niektóre obce. I wszystko to było chaotyczne.

– W tym sezonie wielkie jaszczurki bardzo się rozmnożyły – oswojone trevary mają takie same oczy, ale nie na Calisto – wkrótce wakacje – najlepiej w galaktyce – układ słoneczny powoduje klaustrofobię – jutro koniec, jeśli rutnica i ślizg...

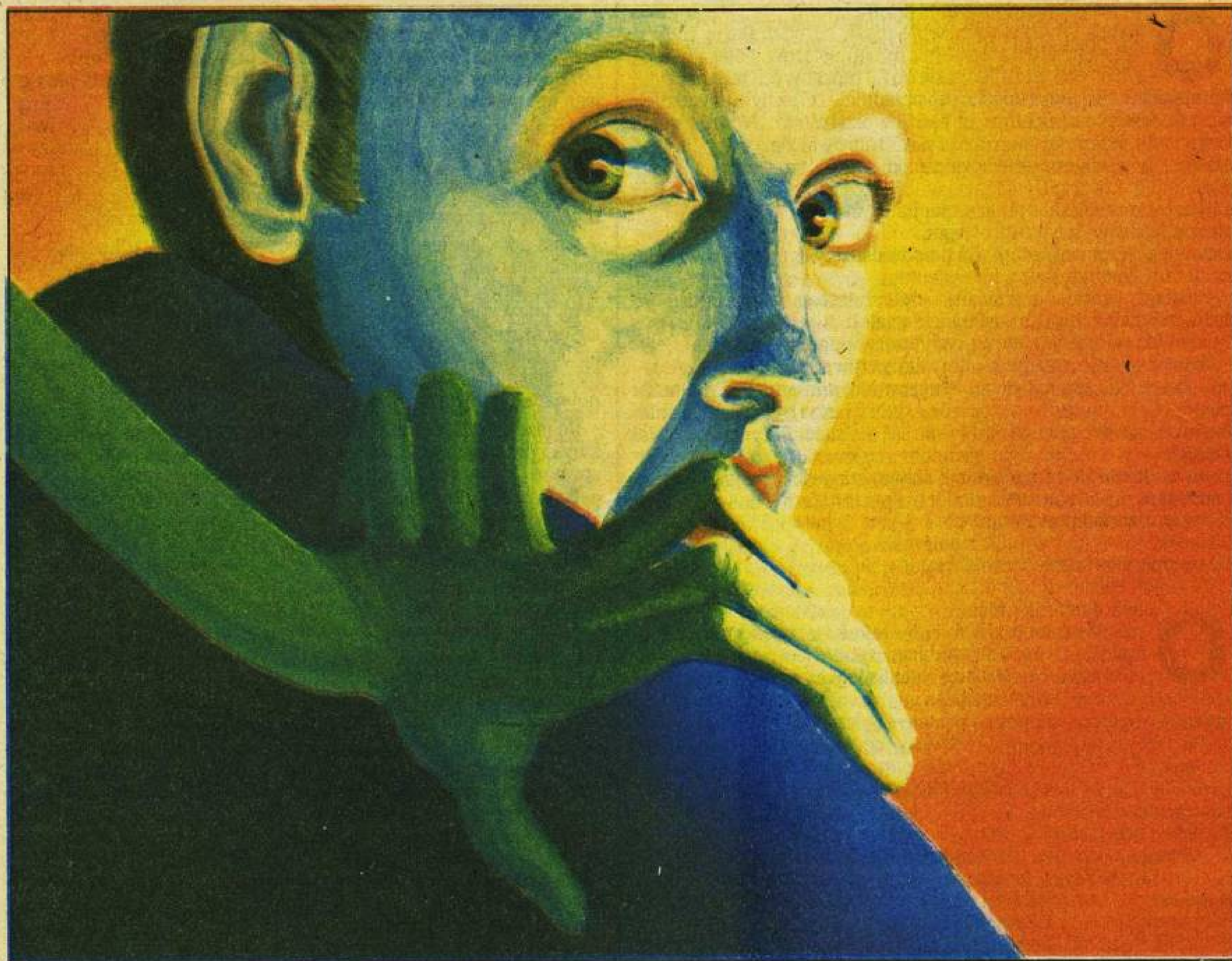
To tylko symbole słowne. Było to jeszcze bardziej skomplikowane i przerażające. Na szczęście Kevin odruchowo zdjął palec z guzika i stał teraz bez ruchu, lekko drżąc.
Bał się.

Odezwał się robot: – Nie powienieneś był nawiązywać kontaktu zanim nie wysłuchałeś moich instrukcji. Będziesz w niebezpieczeństwie. Zaczekaj. – Jego oko zmieniło kolor. – Tak... Jest... Tharn.

Uważaj na Tharna.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – wtrącił szybko Kevin. – Masz, zabierz to.

– Czy nigdy nie przychodziły ci do głowy nagle i zupełnie nielogiczne pomysły? Jakby coś zmuszało cię do myślenia o pewnych sprawach, liczenia, rozwiązywania jakiegoś problemu? Więc, ten człowiek z przyszłości, na którego nastawiony jest mój aparat, nie wie, że ty się z nim kontaktujesz. Ale ulega przymusowi. Jedyne co masz zrobić to skoncentrować się na jakimś problemie i wcisnąć guzik. Twój odbiorca będzie zmuszony – chociaż wyda mu się to dziwne i bezsensowne – do rozwiązania tego problemu. A ty będziesz czytał jego myśli. Przekonasz się jak to działa. Istnieją pewne ograniczenia, o tym także się przekonasz. I przyrząd ten zapewni ci zdrowie, sławę i fortunę.
– Gdyby naprawdę działało w ten sposób, mogłoby mi dać wszystko. Wszystko mógłbym zrobić. Dlatego odrzucam twoją propozycję!
– Powiedziałem, że są pewne organiczenia. Z chwilą, kiedy już osiągniesz zdrowie, sławę i pieniądze, przyrząd stanie się bezużyteczny. Postaram się o to. Ale do tego czasu możesz go zastosować w celu rozwiązania wszystkich swoich problemów wykorzystując mózg rozumniejszej istoty w przyszłości. Najważniejsze jest skoncentrowanie się na problemie przed wciśnięciem guzika. Inaczej możesz napatoczyć się na coś jeszcze gorszego niż Tharn.



Iwona Pilch

– Jeśli to wezmę, nic nie uchroni cię przed Tharnem. Zatrzymaj to urządzenie. Jak obiecałem, pozwoli ci ono zdobyć zdrowie, sławę i fortunę, o wiele skuteczniej niż horoskop.

– O nie, dzięki. Nie wiem jak udała ci się ta sztuczka – może jakaś metoda poddźwiękowa, ale ja nie...

– Czekaj – powiedział robot. – Kiedy wcisnąłeś guzik, ktoś z dalekiej przyszłości myślał właśnie o tobie. To spowodowało chwilowy kontakt. Możesz wywołać takie połączenie za każdym razem, kiedy wciśniesz guzik.

– Niech ręka boska broni – powiedział Kevin, nadal oblewając się zimnym potem.

– Pomyśl jakie to daje możliwości. Przypuśćmy, że jakiś troglodyta z dalekiej przeszłości miałby dostęp do twojego mózgu. Mógłby osiągnąć wszystko, czego by zechciał.

Musiał znaleźć jakąś logiczną odpowiedź na argumenty robota. „Jak święty Antoni, a może Luter spierający się z szatanem" – myślał oszołomiony Kevin. Głowa rozbolała go jeszcze bardziej i sądził, że wypił więcej niż powinien. Ale powiedział tylko: – Jak mógłby troglodyta zrozumieć to co mam w mózgu? Nie mógłby zastosować tej wiedzy nie mając mojego przygotowania.

– Tharn? Co...

– Android – powiedział robot, nie patrząc na niego. – Sztuczny człowiek... Ale, przejdźmy do mojego problemu. Potrzebuję niewielkiej ilości złota.

– A więc o to chodzi – powiedział Kevin z dziwnym uczuciem ulgi. – Nie mam złota.
– Twój zegarek.
Kevin odsunął rękaw i spojrzał na zegarek. – O nie. Taki zegarek dużo kosztuje.

– Potrzebna mi jest tylko pokrywająca go warstewka złota – powiedział robot, a jego oko wystrzeliło czerwoną wiązkę promieni. – Dziękuję. – Zegarek był teraz z matowego szarego metalu.
– Hej! – krzyknął Kevin.

– Za pomocą mojego przyrządu zdobędziesz zdrowie, sławę i pieniądze – szybko powiedział robot. – Będziesz najszczęśliwszym człowiekiem tej epoki. Rozwiążesz wszystkie swoje problemy – te z

Tharnem też. Zaczekaj chwilę. – Istota cofnęła się o krok i zniknęła za wiszącym perskim dywanem.
Cisza.
Kevin spojrzał na swój odmieniony zegarek, a potem na płaski, tajemniczy przedmiot, który trzymał w ręku. Był to kwadrat o boku 5 centymetrów i nie był grubszy niż damska puderniczka. Z jednej strony miał wgłębienie z guzikiem.
Wsadził go do kieszeni i podszedł do pseudoperskiego dywanu. Zajrzał za niego i nie zobaczył nic prócz podłużnej dziury wyciętej w ścianie kabiny. Wyglądało na to, że robot się ulotnił. Kevin wyjrzał przez dziurę. Tylko światła i odgłosy terenów rekreacyjnych Ocean Park. I srebrzysta, falująca czerń Pacyfiku ciągnąca się aż do świateł Malibu, daleko za ledwie widocznym zakrętem nadbrzeżnych skał.
Cofnął się więc z powrotem do pokoju i się rozejrzał. Tłusty mężczyzna w kostiumie wróżbity leżał nieprzytomny za rzeźbioną szafką, tak jak mówił robot. Z jego oddechu wynikało, że gość musiał sporo wypić.
Nie wiedząc co ze sobą zrobić, Kevin znów się przeżegnał wzywając na pomoc Boga. Nagle zdał sobie sprawę, że myśli o kimś lub o czymś co nazywało się Tharn i co było androidem.

Przepowiadanie przyszłości... czas... kontakt z osobą z przyszłości... nie! Instynkt samoobrony obudził w nim nieufność i niedowierzanie. Nie można było zrobić takiego robota. Wiedział o tym. Słyszałby o tym – był przecież dziennikarzem.
Spragniony towarzystwa i gwaru poszedł do strzelnicy i strącił kilka kaczorków. Płaskie pudełeczko paliło mu kieszeń. Matowy metal zegarka cały czas tkwił w jego pamięci. Wspomnienie pustki w głowie i powrotu świadomości paliło jego umysł. A wypita whisky paliła mu wnętrzności.
Wyjechał z Chicago z powodu powtarzającego się, nieznośnego zapalenia zatok. Zwykłego zapalenia zatok. Nie schizofrenii, halucynacji czy głosów dźwięczących w jego głowie. Nie dlatego, że widział wszędzie nietoperze czy roboty. Ta rzecz nie była naprawdę robotem. Można to było zupełnie zwyczajnie wyjaśnić. Na pewno.
Zdrowie, sława i pieniądze. I jeśli...
THARN!
Ta myśl przeszyła mu głowę jak piorun.
I następna myśl: wariuję!
Cichy głos zaczął powtarzać uporczywie: – Tharn – Tharn – Tharn – Tharn...
I inny głos, głos bezpieczny i normalny, odpowiedział i zagłuszył to mruczenie. Półgłosem, Kevin mówił do siebie: – Jestem James Noel Kevin. Jestem dziennikarzem – wiadomości specjalne, reportaże, redagowanie. Mam trzydzieści lat, jestem kawalerem, przyjechałem dzisiaj do Los Angeles i zgubiłem kwity na bagaż – i wypiję jeszcze szklaneczkę i poszukam hotelu. W każdym razie tutejszy klimat dobrze robi na moje zatoki.
– Tharn – głos jakby stłumionego wróbla odezwał się prawie przekraczając próg świadomości. – Tharn, Tharn.
– Tharn.
Zamówił jeszcze jedną kolejkę i sięgnął do kieszeni po pieniądze. Jego dłoń dotknęła metalowego pudełka. I równocześnie poczuł, że coś lekko dotyka jego ramienia.
Instynktownie spojrzał za siebie. Zaciśnięte siedem palców pająkowatej dłoni – bez włosów, bez paznokci – białych i gładkich jak kość słoniowa.

Ogarnęło Kevina jedno, nieodparte pragnienie, by jak największa odległość oddzieliła go od właściciela tej budzącej odrazę ręki. Było to gorące i szczere życzenie, ale trudne do spełnienia, problem, przy którym wszystkie inne przestały być ważne. Niejasno zdał sobie sprawę, że ściska to płaskie pudełeczko w kieszeni, tak jakby mogło go ocalić, ale jedyna myśl na jaką było go stać to: – Muszę stąd uciec.

Potwornie obce myśli kogoś z przyszłości zawirowały w jego głowie. To musiało trwać zaledwie chwilę, kiedy wprawny, wyszkolony umysł, wyposażony w wiedzę z przyszłości, rozwiązał problem, który nie wiadomo dlaczego przyszedł mu do głowy i który koniecznie musiał być rozwiązany.

Trzy sposoby przeniesienia się w inne miejsce stały się równocześnie jasne dla Kevina. Dwa odrzucił: motokręgi były wynalazkami, które jeszcze nie istniały, a zastosowanie wirlerów – biorąc pod uwagę, że potrzebny byłby sensorowy hełm zwojnikowy – nie leżało w granicach jego możliwości. Ale trzeci sposób...

Już zaczął zapominać jak to było. A ta ręka nadal trzymała jego ramię. Chwycił ulotną myśl i rozpaczliwie pchnął swój umysł i mięśnie w nieprawdopodobnym kierunku, który objawił mu człowiek przyszłości.

I już był gdzieś na powietrzu, smagany zimnym wieczornym wiatrem, nadal w pozycji siedzącej, choć zamiast krzesła miał tylko powietrze.
Usiadł gwałtownie.

Przechodnie na rogu Hollywood Boulevard i Cahuenga nie byli zbytnio zdziwieni na widok ciemnego, chudego mężczyzny siedzącego na chodniku. Tylko jedna kobieta zauważyła nagłe pojawienie się Kevina, ale udała, że tego nie widzi i szybko odeszła.

Kevin wybuchł histerycznym śmiechem. – Telekomunikacja – powiedział do siebie. – Jak to było? Już nie pamiętam... Trudno sobie potem przypomnieć, no nie? Muszę znowu zacząć nosić ze sobą notatnik.
I potem: – Ale co z Tharnem?
Rozejrzał się przerażony. Poczuł się pewniej dopiero kiedy minęło pół godziny bez dalszych cudów. Szedł ulicą bacznie wszystko obserwując. Ale nigdzie nie było Tharna.
Od czasu do czasu wkładał rękę do kieszeni i dotykał chłodnego metalowego pudełka. Zdrowie, sława i pieniądze. No cóż, mógł...
Ale nie wcisnął guzika. Zbyt dobrze pamiętał szokujące, obce uczucie dezorientacji. Umysł, doświadczenia, sposób zachowania w dalekiej przyszłości były nieprzyjemnie silne.
Użyje jeszcze tego przyrządu – o, na pewno. Ale nie ma po co się spieszyć. Najpierw musiał pewne rzeczy przemyśleć.
Jego nieufność już zniknęła.
Tharn pojawił się następnego wieczoru, znowu rozpraszając optymizm Kevina. Zanim to się stało, dziennikarz bezskutecznie próbował odnaleźć kwity na bagaż i musiał się pocieszyć jedynie dwustoma dolarami, które miał w portfelu. Wziął pokój – zapłaciwszy z góry – w średniej klasy hotelu i zaczął zastanawiać się co ze sobą zrobić. Całkiem rozsądnie postanowił żyć jak do tej pory, dopóki coś się nie wyjaśni. W każdym razie musiał nawiązać pewne kontakty. Spróbował w redakcji „Times", „Examiner", „News" i paru innych. Ale to nie idzie tak łatwo jak w filmie. Wieczorem, kiedy był w hotelu, pojawił się niemiły gość.
Był to oczywiście Tharn.
Miał ogromny, biały turban, prawie dwa razy większy od jego głowy. Końce wytwornych, czarnych wąsów opadały jak wąsy mandaryna albo suma. Z lustra w łazience patrzył natarczywie na Kevina.
Kevin właśnie zastanawiał się, czy powinien się ogolić przed pójściem na kolację. Pocierał w zamyśleniu brodę, kiedy ukazał się Tharn. W pierwszej chwili wydało się Kevinowi, że to jemu w jakiś niezwykły sposób wyrosły długie wąsy. Dotknął górnej wargi. Była gładka. Ale w lustrze czarne wąsy poruszały się, kiedy Tharn poruszył głową.
Było to tak zaskakujące, że Kevin nie był w stanie myśleć. Cofnął się szybko o krok. Potknął się o krawędź wanny, co na szczęście dla jego zdrowia psychicznego na chwilę odwróciło jego uwagę. Kiedy znów podniósł głowę, tylko jego przerażona twarz odbijała się w tafli nad umywalką. Ale po jednej czy dwóch sekundach nad twarzą zaczęła wyrastać biała chmura turbanu i znów pojawiły się mandaryńskie wąsy.
Kevin zasłonił dłonią oczy i odwrócił się. Po kilku sekundach rozchylił palce, by zerknąć w lustro. Jedną dłonią cały czas przyciskał górną wargę w szalonej nadziei, że zapobiegnie to wyrośnięciu wąsów. Z lustra zerkało na niego coś co wyglądało jak on sam. A przynajmniej nie miało turbanu tylko okulary w rogowych oprawkach.
Nadal zakrywając twarz, niepewnym krokiem powlókł się do sypialni i wyciągnął płaskie pudełko z kieszeni palta. Ale nie wcisnął guzika, który połączyłby umysły z dwóch odrębnych epok. Zdał sobie sprawę, że nie chce tego znowu robić. Straszniejsza od tego co się działo, była myśl o ponownym wejściu do obcego umysłu.
Stał koło biurka i z lustra jedno oko spojrzało na niego poprzez rozchylone palce. Błyszczało dziko zza szkła jego okularów, ale chyba było to jego oko. Odjął rękę od twarzy, żeby zobaczyć co się stanie...
Lustro znowu ukazało Tharna. Kevin dałby wiele, żeby tak nie było. Tharn miał na nogach długie buty z jakiegoś błyszczącego plastyku. Oprócz turbanu i tych butów miał na sobie tylko przepaskę na biodrach, również zrobioną z błyszczącego plastyku. Był

Henry KUTTNER

urodził się w 1914 roku w Los Angeles. Podczas wielkiego kryzysu lat dwudziestych przerwał naukę i rozpoczął pracę w agencji literackiej. Dopiero po zakończeniu drugiej wojny światowej zajął się uzupełnieniem swojego wykształcenia kończąc w 1954 roku wydział sztuki na Uniwersytecie Kalifornijskim. Jako autor opowieści SF zadebiutował opowiadaniem **„The Graveyard Roads"** na łamach „Werid Tales" w marcowym numerze z 1936 roku. W 1937 roku poznaje Catherine L. Moore – również początkującą pisarkę. Tworzą spółkę autorską, a w 1940 roku zawierają związek małżeński. Kuttner jest autorem ponad 170 opowiadań SF i kilku powieści wydanych pod różnymi pseudonimami, napisanych wspólnie z C. L. Moore. Zmarł w 1958 roku nie doczekawszy się większej sławy, choć niewątpliwie zaliczyć go można do grona najbardziej poczytnych autorów amerykańskiej SF przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

bardzo chudy, ale wyglądał na żywotną osobę. Żywotną na tyle, że mógł wskoczyć do pokoju. Jego skóra była jeszcze bielsza niż turban, a dłonie miały po siedem palców.
Kevin odwrócił się raptownie, ale Tharn był zaradny. Ciemna szyba okna wspaniale odbijała szczupłą postać w przepasce na biodrach. Na wypolerowanej mosiężnej lampie pojawił się mały zniekształcony obraz twarzy, która bynajmniej nie należała do Kevina.
Zasłaniając twarz dłońmi, Kevin wcisnął się do kąta, w którym nie było rzeczy, które mogłyby odbijać ten obraz. Ciągle ściskał płaskie pudełko.
„No, pięknie" – pomyślał z goryczą. „Każdy kij ma dwa końce. Na co mi się przyda ta zabawka, jeśli Tharn będzie mnie odwiedzał codziennie? Może tylko jestem stuknięty? Mam nadzieję, że tak".
Coś trzeba było zrobić, jeśli nie miał zamiaru przejść przez życie z twarzą ukrytą w dłoniach. Najgorsze było to, że Tharn wydawał mu się dziwnie znajomy. Kevin odrzucił kilka możliwości: reinkarnacji, złudzenia, że już coś kiedyś widział, ale...
Zerknął przez palce, w samą porę, by zobaczyć jak Tharn podnosi jakiś cylindryczny przedmiot i mierzy w niego jak z pistoletu. Ten gest zmusił Kevina do podjęcia natychmiastowej decyzji. Skoncentrował się na problemie. – Chcę się stąd wydostać! – wcisnął guzik płaskiego pudełeczka.
I natychmiast sposób telekomunikacji, którego przedtem nie mógł sobie przypomnieć, stał się dla niego jasny. Wszystko poza tym było dziwne. Zapachy – ktoś myślał – ktoś liczył do... nie można tego wyrazić słowami, to tylko słuchowo-wizualne wrażenie, które powodowało zawrót głowy. Ktoś o nazwisku Trzy Miliony Dziewięćdziesiąt napisał nowy bohomaz. Miał też fizyczne wrażenie lizania znaczka za dwadzieścia cztery dolary i przyklejania go na pocztówkę.
Ale przede wszystkim, ten człowiek z przyszłości nie mógł przestać myśleć o metodzie telekomunikacji i kiedy ta myśl dotarła do czoła i miejsca, w którym był Kevin, natychmiast ją zastosował...
Spadał.
Lodowata woda uderzyła w niego. Cudem nie wypuścił z ręki płaskiego pudełka. Przed oczyma wirowały mu gwiazdy na granatowym niebie i fosforyzujący połysk srebrzystej poświaty na ciemnym morzu. A potem słona woda zaczęła szczypać jego nozdrza. Kevin nie umiał pływać.
Opadając w dół po raz ostatni ze stłumionym przez wodę okrzykiem, złapał dosłownie ostatnią deskę ratunku. Znów wciągnął palcem guzik. Nawet nie musiał się specjalnie koncentrować na problemie, nie był w stanie myśleć o niczym innym.
Chaos myśli, fantastyczne wizje – i wreszcie odpowiedź.
Musiał się skoncentrować, a nie miał wiele czasu. Bąbelki powietrza łaskotały go w twarz unosząc się do góry. Ze wszystkich stron chciwie ogarniał go przeraźliwy chłód słonej wody...
Ale teraz już znał sposób i wiedział jak go zastosować. Myśli jego podążyły w kierunku wskazanym przez umysł przyszłości. Coś się stało. Promienie – to najbardziej zbliżone znane mu określenie – wysłane przez jego mózg zrobiły coś dziwnego z jego płucami. Komórki krwi przystosowały się...
Oddychał wodą i już się nie dusił.
Ale wiedział również, że ta nagła adaptacja nie potrwa długo. Jedynym rozwiązaniem była telekomunikacja. I tym razem pamiętał co ma zrobić. Zaledwie kilka minut temu zrobił to przecież, żeby uciec przed Tharnem.
A jednak nie mógł sobie przypomnieć. Wszystko dokładnie wyleciało mu z pamięci. No i znów jedyne co mógł zrobić to wcisnąć guzik.
Ociekając wodą stał na nieznanej ulicy. Był na tej ulicy po raz pierwszy, ale z pewnością była to jego epoka i jego planeta. Na szczęście telekomunikacja działała w ograniczony sposób. Wiał zimny wiatr. Kevin stał w kałuży, która szybko powiększała się. Rozejrzał się dokoła.
Zauważył szyld proponujący Łaźnię Turecką i skierował się w tę stronę. Myśli miał niemalże bluźniercze...
Trudno uwierzyć, był w Nowym Orleanie. Teraz był pijany w Nowym Orleanie. Myśli wirowały mu w głowie, ale szkocka to świetny środek na kłopoty, idealny hamulec dla nerwów. Musiał znowu wziąć się w garść. Miał niemalże cudowną moc i chciał wykorzystać ją we właściwy sposób zanim jeszcze raz zdarzy się coś nieoczekiwanego. Tharn...
Siedział w hotelowym pokoju sącząc whisky. Trzeba logicznie pomyśleć!
Kichnął.
Trudność polegała na tym, że było tak niewiele punktów zbieżnych między jego umysłem i umysłem tego człowieka z przyszłości. Ponadto, kontaktował się z nim tylko w momentach krytycznych. To tak jakby miał dostęp do Biblioteki Aleksandryjskiej przez pięć sekund dziennie. W ciągu pięciu sekund nie można nawet zacząć tłumaczyć...
Zdrowie, sława i pieniądze. Znowu kichnął. Robot skłamał. Zdrowie zdawało się opuszczać go w szybkim tempie. A jak to było z robotem? Skąd się w ogóle wziął? Powiedział, że spadł do tej epoki z przyszłości, ale roboty to notoryczni kłamcy. Trzeba myśleć logicznie.
Najwidoczniej przyszłość zaludniona była stworzeniami nie różniącymi się wiele od Frankensteina. Androidy, roboty, ludzie o tak szokująco innej mentalności... Kichnięcie. Jeszcze jedną szklaneczkę.
Robot powiedział, że przyrząd przestanie działać kiedy Kevin będzie już miał zdrowie, sławę i pieniądze. Ta myśl trochę go niepokoiła. Przypuśćmy, że osiągnie te godne pozazdroszczenia rzeczy, przekona się, że guzik stracił swe właściwości i wtedy pojawi się Tharn? O, nie. Musiał wychylić jeszcze jedną szklaneczkę.
Na trzeźwo nie należało się zajmować problemem, który był tak dziki jak delirium tremens, chociaż Kevin wiedział, że osiągnięcia nauki, na które się natknął były teoretycznie możliwe. Ale nie teraz i nie w tym wieku. Kichnięcie.
Cała sztuka polegała na postawieniu odpowiedniego pytania i użyciu przyrządu w chwili, kiedy nie będzie tonął i nie będzie mu groził wąsiasty android o siedmiopalczastej dłoni i ze złowieszczą bronią przypominającą pałkę. Znaleźć właściwy problem.
Ale ten umysł przyszłości był ohydny.
I nagle, jasno jak to bywa po wypiciu większej ilości alkoholu, Kevin zdał sobie sprawę, że coś ciągnęło go do tego niewyraźnego, mglistego świata przyszłości.
Nie widział go dokładnie, ale w jakiś sposób czuł. Wiedział, że był to dobry, o wiele lepszy niż jego własny świat i czas. Gdyby on mógł być tym nieznajomym człowiekiem, wszystko byłoby dobrze.
Człowiek musi dążyć do doskonałości. No dobra. Potrząsnął butelką. Ile już wypił? Czuł się świetnie.
Trzeba pomyśleć logicznie.
Za oknem migotały światła ulicy. Neony przemawiały w ciemności fantastycznym językiem. To było obce i dziwne, ale tak samo obce i dziwne wydawało się Kevinowi jego własne ciało. Zaczął się śmiać, ale kichnięcie zdusiło ten śmiech.
„Wszystko czego chcę – myślał – to zdrowie, sława i pieniądze. Potem się ustatkuję i będę żył szczęśliwie, bez zmartwień i problemów. Nie będzie mi potrzebne to czarodziejskie pudełko. Szczęśliwe zakończenie".
Odruchowo wyciągnął pudełko i przyjrzał mu się uważnie. Spróbował je otworzyć, ale mu się to nie udało. Trzymał palec nad guzikiem.
„W jaki sposób..." – pomyślał i palec przesunął się o pół centymetra...
Teraz kiedy był pijany nie wydawało mu się to takie obce. Człowiek z przyszłości nazywał się Quarra Vee. Dziwne, że dowiedział się o tym dopiero teraz, ale w końcu czy człowiek myśli o tym jak się nazywa? Quarra Vee grał w jakąś grę trochę przypominającą szachy, ale jego przeciwnik był na odległej planecie Syriusz, wszystkie figury były nieznane Kevinowi. Skomplikowane, niepojęte gambity przelatywały w umyśle Quarra Vee. Potem problem Kevina przebił się przez nie i Quarra Vee musiał...
To wszystko było takie poplątane. Właściwie to nie jeden, a dwa problemy. Jak leczyć przeziębienie i katar. I jak zdobyć zdrowie, sławę i pieniądze w niemalże prehistorycznej – dla Quarra Vee – erze.
Ale dla Quarra Vee nie był to trudny problem. Rozwiązał go i wrócił do swojej gry.
Kevin natomiast wrócił do pokoju w Nowym Orleanie.
Musiał być porządnie pijany, żeby podjąć to ryzyko. Metoda polegała na dostrojeniu swojego mózgu do innego mózgu z tego samego dwudziestego wieku. Ten mózg musiał mieć dokładnie taką długość fali, jaka mu była potrzebna. Rozmaite czynniki decydowały o długości tej fali – doświadczenie, możliwości, pozycja, wiedza, wyobraźnia, uczciwość – ale wreszcie odnalazł to czego chciał, wybrawszy z trzech prawie idealnych propozycji. Ciągle pijany, Kevin dostroił się do strumienia myśli i za pomocą telekomunikacji ruszył wzdłuż niego przez Amerykę do wspaniale wyposażonego laboratorium, w którym siedział czytając jakiś mężczyzna.
Mężczyzna ten był łysy i miał sterczące rude wąsy. Nagle podniósł głowę.
– Hej! – powiedział. – Skąd się tu wziąłeś?
– Zapytaj Quarra Vee – odparł Kevin.
– Kogo? Co takiego? – mężczyzna odłożył książkę.
Kevin znów musiał odwołać się do swojej pamięci, która trochę szwankowała. Połączył się jeszcze na chwilę. Tym razem nie było to przykre. Zaczynał już trochę rozumieć świat Quarra Vee. Spodobało mu się to. Chociaż przypuszczał, że o tym również zapomni.
– Ulepszenie syntetycznego białka Woodwarda – powiedział mężczyźnie o rudych wąsach. – Prosty proces syntezy to załatwi.
– Kim, u diabła, jesteś?
– Mów do mnie Jim – powiedział po prostu Kevin. – Siedź cicho i słuchaj. – Zaczął wyjaśniać mu jak małemu, niemądremu dziecku. (Rozmawiał z jednym z najwybitniejszych chemików Ameryki). – Proteiny zbudowane są z aminokwasów. Istnieje około trzydziestu trzech aminokwasów.

– Nie ma tyle.
– Jest. Cicho bądź. Ich cząsteczki mogą być ułożone w różny sposób. Otrzymujemy więc nieskończoną różnorodność protein. A wszystkie żywe istoty są zbudowane z białka. Najważniejszym problemem jest otrzymanie właściwej cząsteczki białka.
Mężczyzna o rudych wąsach wyglądał na zainteresowanego.
– Fischerowi udało się zbudować łańcuch z osiemnastu aminokwasów – powiedział. – Abderhalden doszedł do dziewiętnastu, a Woodward zbudował łańcuchy o długości dziesięciu tysięcy jednostek. Ale jeśli chodzi o zbadanie...
– Kompletna molekuła białka składa się z całych zestawów sekwencji. Ale jeśli zbada się tylko jeden czy dwa odcinki syntetyku, nie można mieć pewności co do pozostałych. Zaczekaj chwilę. – Kevin znowu posłużył się przyrządem. – Już wiem. No cóż, z syntetycznego białka można zrobić prawie wszystko. Ale najważniejsze jest – powiedział kichając – lekarstwo na katar.
– Posłuchaj – przerwał mu rudowąsy mężczyzna.
– Niektóre wirusy są łańcuchami aminokwasów, nieprawdaż? Możesz zmodyfikować ich strukturę. Unieszkodliwić je. To samo z bakteriami. I zrób syntezę odpowiednich antybiotyków.
– Chciałbym móc to zrobić, panie...
– Mów mi Jim.
– Dobrze. Ale to nie jest nic nowego.
– Weź ołówek – powiedział Kevin. – Teraz będzie najważniejsza część. Sposób przeprowadzenia syntezy i próby jest następujący...
Wyjaśnił wszystko szczegółowo i dokładnie. Tylko dwa razy musiał użyć przyrządu kontaktowego. A kiedy skończył, mężczyzna z rudymi wąsami odłożył ołówek i wlepił wzrok w zapisaną kartkę.
– To niewiarygodne – powiedział. – Jeśli się uda...
– Chcę mieć zdrowie, sławę i pieniądze – uparcie powtarzał Kevin.
– Uda się.
– Tak, ale... przyjacielu...
Kevin nalegał. Na szczęście dla niego, przeprowadzona wcześniej analiza umysłu rudowąsego dotyczyła również jego uczciwości i możliwości, więc wszystko skończyło się wyrażeniem przez chemika zgody na podpisanie umowy z Kevinem. Wynikające z tego możliwości finansowe były nieograniczone. Niejedna znana firma chętnie kupiłaby pomysł.
– Chcę mieć z tego mnóstwo pieniędzy. Całą fortunę.
– Zarobisz milion dolarów – powiedział spokojnie mężczyzna o rudych wąsach.
– W takim razie chcę dostać pokwitowanie. Czarno na białym. Chyba, że wolisz dać mi ten milion teraz.
Marszcząc brwi chemik pokręcił głową. – Nie mogę tego zrobić. Muszę przeprowadzić próby, porozmawiać z odpowiednimi osobami – ale nie przejmuj się tym. Twoje odkrycie z pewnością warte jest milion dolarów. I sławę także zdobędziesz.
– A zdrowie?
– Po pewnym czasie będzie można uleczyć każdą chorobę – powiedział cicho chemik. – To prawdziwy cud.
– Napisz to – zażądał Kevin.
– W porządku. Jutro możemy podpisać oficjalną umowę. Na razie to wystarczy. Zrozum, to właściwie tylko twoja zasługa.
– Trzeba to zapisać długopisem. Ołówek nie wystarczy.
– W takim razie zaczekaj – powiedział mężczyzna o rudych wąsach i poszedł po długopis. Kevin rozejrzał się po laboratorium, promieniejąc ze szczęścia.
Tharn zmaterializował się trzy metry od niego. Trzymał w ręku swoją pałkowatą broń. Podniósł ją.
Kevin natychmiast posłużył się przyrządem kontaktowym. Pokazał Tharnowi figę i przeniósł się daleko.
Znalazł się na polu żyta, ale żyto nie w płynie nie interesowało go. Spróbował jeszcze raz. Tym razem dotarł do Seattle.
Taki oto był początek pamiętnych dwóch tygodni picia i uciekania.
Nie był w najlepszym nastroju.
Miał potwornego kaca, dziesięć centów w kieszeni i nie zapłacony rachunek hotelowy. Czternaście dni telekomunikacyjnego uskakiwania przed Tharnem zszargało jego nerwy tak, że tylko alkohol pozwalał mu to wytrzymać. Ale teraz zawiódł nawet ten bodziec. Alkohol przestał działać i Kevin czuł się jak zdechły pies.
Jęczał i mrugał oczami. Zdjął okulary i przetarł je, ale to nie pomogło.
Co za idiota. Nie znał nawet nazwiska tego chemika!
Zdrowie, sława i pieniądze czekały na niego tuż za rogiem, ale za którym rogiem? Któregoś dnia prawdopodobnie dowie się, kiedy wieść o nowej metodzie syntezy białka zostanie opublikowana. Ale kiedy to będzie? I co zrobi w międzyczasie z Tharnem?

A ponadto, chemik również nie będzie mógł go odnaleźć. Wie o Kevinie tylko tyle, że ma na imię Jim. Wtedy wydawało się to zupełnie właściwe, ale teraz już nie.

Wyciągnął aparat i popatrzył na niego zaczerwienionymi oczami. Quarra Vee? Polubił Quarra Vee. Cały problem polegał na tym, że pół godziny po kontakcie nie pamiętał już żadnych szczegółów.

Tym razem wcisnął guzik niemalże w tej samej chwili, w której Tharn wyskoczył z powietrza zaledwie kilka metrów dalej.

Znowu kaprysy telekomunikacji. Kevin siedział pośrodku pustyni. Wokół tylko kaktusy i juka. W oddali purpurowy łańcuch gór.
Ale Tharna nie było.
Kevinowi chciało się pić. A jeśli ten aparat przestanie teraz działać? O, tak już dłużej nie może być. Decyzja od tygodnia wisząca w powietrzu nagle stała się dla niego oczywista. Całkiem oczywista! Dlaczego od razu o tym nie pomyślał?

Skoncentrował swoje myśli na problemie: Jak pozbyć się Tharna? Wcisnął guzik...
W chwilę później już znał odpowiedź. To naprawdę było proste. Niepokój i zdenerwowanie minęło. Wszystko stało się jasne.
Czekał na Tharna.
Nie musiał czekać długo. Zadrżało gorące powietrze i pojawiła się blada postać w turbanie.
Broń była wymierzona w Kevina.
Nie zwlekając ani chwili, Kevin znów skoncentrował się na problemie, wcisnął guzik i upewnił się co ma zrobić. Po prostu musiał skupić się na jednej szczególnej myśli w sposób wskazany przez Quarra Vee.
Tharna rzuciło kilka metrów do tyłu.
– Nie rób tego! – krzyknął android. – Próbowałem...

Kevin skoncentrował się jeszcze bardziej. Czuł jak energia jego umysłu płynie w stronę androida.
Tharn wyszeptał zachrypłym głosem: – Próbowałem – nie dałeś mi szansy...
I potem leżał już bez ruchu na gorącym piasku, twarzą do nieba. Siedmiopalczaste ręce zadrżały raz jeszcze i znieruchomiały. Sztuczne życie uleciało z niego.
Kevin odwrócił się i odetchnął głęboko. Był bezpieczny. Jak odnaleźć mężczyznę o rudych wąsach?
Wcisnął guzik.

O to jak zaczęła się ta historia.
Quarra Vee siedział w maszynie czasu ze swoim androidem Tharnem. Sprawdził czy wszystko było w porządku.
– Jak ja wyglądam? – zapytał.
– Dobrze – odpowiedział Tharn. – Nie wzbudzi pan podejrzeń w erze, do której się pan udaje. Zsyntetyzowanie sprzętu nie zajęło wiele czasu.
– Niewiele. Materiał wygląda jak prawdziwa wełna i płótno, tak mi się wydaje. Zegarek, pieniądze – wszystko takie jak trzeba. Zegarek – to dziwne, prawda? Trudno sobie wyobrazić ludzi, którzy potrzebują przyrządu, żeby wiedzieć, która godzina!
– Nie zapomnij o okularach – powiedział Tharn.
Quarra Vee włożył je. – Uff. Ale sądzę...
– Tak będzie bezpieczniej. Optyczne własności tych szkieł zabezpieczają przed działaniem psychopromieniowania. Może to ci być potrzebne. Nie zdejmuj ich, bo ten robot zdolny jest do robienia różnych sztuczek.
– Lepiej niech nie próbuje tego robić – odparł Quarra Vee. – Cholerny robot! Ciekawe co planuje? Zawsze był malkontentem, ale przynajmniej znał swoje miejsce. Szkoda, że w ogóle kazałem go zrobić. Może porządnie narozrabiać w tym na wpółbarbarzyńskim świecie, jeśli go nie złapiemy i nie sprowadzimy do domu.
– Jest w namiocie wróżbity – powiedział Tharn, spoglądając w ekran czasu. – Dopiero co tam dotarł. Musisz go wziąć przez zaskoczenie. Masz niełatwe zadanie przed sobą. Spróbuj nie odgrażać się w tych dziwnych myślach, które cię ostatnio nawiedzają. Mogą być niebezpieczne. Robot wykorzysta swoje sztuczki, kiedy tylko będzie miał szansę. Nie wiem czego zdołał się nauczyć, ale wiem na pewno, że jest ekspertem w hipnozie i zacieraniu pamięci. Jeśli nie będziesz ostrożny, anuluje twoją pamięć i podstawi fałszywy zapis. Nie zdejmuj okularów. Jak będą jakieś kłopoty, zaaplikuję ci promienie rehabilitacyjne. – Podniósł mały projektor przypominający pałkę.
Quarra Vee kiwnął głową. – Nie martw się. Zaraz wrócę. Umówiłem się z tym z Syriusza. Mamy dziś wieczorem skończyć naszą grę.
Było to spotkanie, na które nigdy nie przybył.
Quarra Vee wyszedł z maszyny czasu i skierował się ku kabinie wróżbity. Ubranie, które miał na sobie, było ciasne, szorstkie i niewygodne. Stanął przed napisem namalowanym na wejściu do kabiny.
Odsunął kotarę i coś – jakaś źle zaczepiona linia – spadła mu na twarz, strącając okulary w rogowej oprawce. Równocześnie jasne niebieskie światło oślepiło jego nie osłonięte oczy. Nagle ogarnęło go dziwne wrażenie zdezorientowania, mgnienie czegoś co natychmiast minęło.
Robot powiedział: – Jesteś James Kevin.

Przełożyła Anna Miklińska

zapiski posiadacza ZĘBÓW

(Zapiski zubowładielca)

Wadim Szefner



1. Przebudzenie w nocy

Szanowni Państwo!
Jeśli problem zębów potraktujemy w skali światowej, otrzymamy nadzwyczaj pocieszające dane. Według statystyk ludność naszej planety przekroczyła trzy miliardy. Im więcej ludzi - tym więcej zębów. Pomińmy tu starców, którzy zębów już nie mają, i niemowlęta, które ich jeszcze nie mają; nie bierzmy też pod uwagę antropoidalnych przedstawicieli innych planet, cichcem przerzuconych na Ziemię, gdyż ich liczba, jak wiadomo, jest raczej nieznana. Dla prostszego rachunku przyjmijmy, że liczba prawowitych właścicieli zębów wynosi równo trzy miliardy i że każdy z nich dysponuje danymi mu przez naturę trzydziestoma dwoma zębami. Następnie przeprowadźmy nieskomplikowane mnożenie:
3 000 000 000 x 32 = 96 000 000 000.
Oto ile zębów posiada ludzkość! Jest się czym szczycić! Te wspaniałe, porywające cyfry nie pozwalają na żaden pesymizm!
W moim życiu zęby odegrały rolę decydującą.
Zdarzyło się to w Leningradzie - dawno, przed wojną, gdy mostu Aleksandra Newskiego nie było nawet w planach, zaś most Wołodarski dopiero projektowano, w czasach, gdy niemal wszystkie domy ogrzewano drewnem, a w kuchniach szumiały prymusy. Byłem wówczas młody, nieżonaty, i chociaż uczęszczałem do drugiej klasy Technikum Obróbki Drewna nie podejrzewałem nawet, że moją przyszłością jest poezja. Jedyną zapowiedzią tej przyszłości były dwa wiersze, zamieszczone w gazetce ściennej. Pierwszy nosił tytuł „Róbmy wszystko, moi złoci, żeby zmniejszyć ilość trocin!". Walczyłem w nim o zmniejszenie ilości odpadów drewna w trakcie obróbki. Drugi wiersz miał zdecydowanie liryczny charakter i nazywał się „Noc na Madagaskarze"
W ów sobotni wieczór w pokoju internatu było bardzo cicho.Trzej mieszkający ze mną koledzy udali się do miasta w bliżej nieokreślonych celach. Korzystając z ciszy pogrążyłem się w twórczości. Miałem zamiar napisać balladę historyczną, demaskującą hrabiego Anjou. Utwór zaczynał się tak:„Żył na świecie graf Anżujski, co charakter miał burżujski", jednakże z braku innych szczegółów postanowiłem odłożyć pracę do rana. Wyciągnąwszy się na łóżku sięgnąłem do szafki po broszurę „Jak się wyleczyć z nieśmiałości". Studiowałem ją codziennie, gdyż cierpiałem z powodu kompleksu niższości. Nie poczułem nawet, kiedy książka wysunęła mi się z rąk. Zasnąłem.
Obudził mnie ostry ból zęba.
Zacząłem biegać po pokoju, przyciskając dłoń do lewego policzka. Zegar wskazywał piętnaście po pierwszej. Przypomniałem sobie, że zeszłej zimy rozbolał mnie w nocy ząb. Poszedłem wtedy do prowadzącej nocny dyżur Polikliniki Stomatologicznej na Newskim. Znowu tam?
Kiedy zszedłem po schodach do dyżurki, portierka bez słowa otworzyła mi drzwi. Po mojej wykrzywionej bólem twarzy widać było wyraźnie, że nie wychodzę na ulicę w celach zdrożnych i dwuznacznych.
Internat znajdował się na Wyspie Wasiljewskiej, zaś Newski Prospekt - na drugim brzegu rzeki. Ponieważ o tej porze nie można było liczyć na żadną komunikację, postanowiłem powtórzyć pieszo swoją ubiegłoroczną marszrutę: Szósta Linia - Most Lejtnanta Szmidta - Plac Pracy - Bulwar Związków Zawodowych - ulica Hercena - Newski.

Był koniec maja, okres, gdy zaczynają się białe noce. Szedłem po chodniku równym, dziarskim krokiem, lewą ręką trzymając się za policzek, zaś prawą wymachując do taktu. Z rzadka tylko mijałem nielicznych przechodniów. W pobliżu kina „Forum" zatrzymała mnie dozorczyni i wydawszy kilka okrzyków współczucia udzieliła takiej oto rady: jeżeli nagle rozboli ząb, należy iść wiosną w pole, znaleźć korzeń fiołka, ususzyć go, rozetrzeć w moździerzu, zmieszać z trutką na karaluchy i zażyć, odmawiając pacierze.
Na Wielkim Prospekcie spotkałem parkę zakochanych. Przerwawszy na chwilę pocałunek uszczęśliwili mnie kolejnymi poradami stomatologicznymi. Wiem, wiem, wielu z was nie lubi życzliwych ludzi, udzielających takich rad. W średniowieczu groziło im nawet ścięcie. W starożytnym Egipcie za niewykwalifikowaną pomoc dentystyczną wrzucano do Nilu. Podpływał dyżurny krokodyl i za karę pożerał doradcę (z tego też powodu krokodyle uznawano tam za stworzenia święte). W naszych czasach człowiek osiągnął szczyt cywilizacji, wynalazł doskonałe lekarstwa i bormaszyny, a mimo to plemię doradców wciąż jeszcze istnieje.

Osobiście nie mam im nic do zarzucenia. Więcej, jestem nawet wdzięczny. Posłuchajcie, co było dalej.

Doszedłszy do Newy zobaczyłem, że przy moście Lejtnanta Szmidta stoi grupa ludzi. Most dopiero co podniesiono. Pięć minut wcześniej spokojnie przeszedłbym na drugi brzeg. Wysłuchiwanie porad dentystycznych zabrało mi akurat pięć minut. Nie przewidując szczęśliwych następstw tego spóźnienia puściłem wiązankę i zmieniłem trasę. Była ona teraz taka: Nadbrzeże Uniwersyteckie - Most Pałacowy - Newski. Ruszyłem w stronę Sfinksów. W tym momencie od grupy stojącej przy moście oderwał się starszawy mężczyzna i poszedł za mną. Trzymał dłoń na prawym policzku. Wszystko było jasne: przylgnął do mnie nieznany brat w cierpieniu. Współmęczennik poinformował zwięźle, że jest z Portu, wobec czego w myślach nazwałem go Portowcem.

Gdy byliśmy już blisko Mostu Pałacowego zobaczyliśmy, że jego przęsła powoli unoszą się w górę. Znów za późno! Zakląłem ordynarnie, Portowiec wydał bolesny jęk.

Po długim namyśle zaproponowałem nową trasę: Most Giełdowy, Prospekt M.Gorkiego - Most Kirowa - Pole Marsowe - ulica

Sadowa - Newski. Portowiec mruknięciem wyraził swoją aprobatę i ruszyliśmy wzdłuż kolumn Rostralnych w kierunku Małej Newy. Tam dołączyła do nas Staruszka w czarnym palcie. Trzymała się za lewy policzek. Nasza nowoobjawiona siostra w cierpieniu poruszała się całkiem żwawo, gdy jednak zwartą grupą dotarliśmy do Mostu Giełdowego okazało się, że przejścia już nie ma. Milicjant gwizdkami odganiał przechodniów. Na środku Mostu zaczęło wyrastać coś w rodzaju garbu: obie jego połowy płynnie unosiły się w górę.

Staruszka, nie zwracając uwagi na milicyjne gwizdki rzuciła się do bariery, przelazła przez nią i pomknęła po drewnianym pomoście. Zrobiliśmy to samo. We trójkę gnaliśmy po chropawych deskach bezludnego mostu. Staruszka prowadziła. Rozwiane poły jej długiego palta przypominały skrzydła startującego samolotu. Nagle ujrzałem przed sobą przepaść, na jej dnie błyszczała woda. Wytężyłem wszystkie siły i oderwawszy się od skraju przepaści przeskoczyłem na drugą stronę mostu.

Szanowny Czytelniku, gdyby nie bolący ząb nigdy w życiu nie zdecydowałbym się na podobny skok. Czy nigdy ci nie przyszło do głowy - że ból zęba jest stymulatorem fizycznych i intelektualnych możliwości człowieka?

Zębom poświęcono wspaniałe opowieści, anegdoty, obrazy i filmy. Czy nie nadeszła jednak pora, by problem zębów podnieść do rangi pryncypium i ukazać wszechstronnie ich fundamentalną rolę w rozwoju cywilizacji?

Zacznijmy od czasów zamierzchłych. W Biblii napisano: „Kain zabił Abla". Nie istnieje żadne logiczne wyjaśnienie motywów działania Kaina. Zabił, powiadają, i koniec. Zainteresowawszy się tym dziwnym faktem wykryłem, że owego fatalnego dnia Abla od rana bolały zęby. Jego jęki i skargi słyszał Kain. Głęboko współczuł swemu cierpiącemu bratu, ale w niczym nie mógł mu pomóc, gdyż nie było wówczas ani lekarstw, ani narzędzi dentystycznych. Błagania Abla spowodowały, że jego brat postanowił zastosować znieczulenie ogólne. Była to pierwsza pomoc medyczna w historii ludzkości. Kain nie przewidział co prawda pewnych działań ubocznych, tym niemniej cel został osiągnięty: Abel pozbył się bólu zębów raz na zawsze. Jak widać, należy gruntownie zmienić nasz stosunek do Kaina.

Dzięki zębom powstała zresztą nie tylko medycyna. Zanurzmy się ponownie w głęboką przeszłość i prześledźmy powstawanie pieśni. Pewnego pramężczyznę rozbolał kiedyś ząb. Mężczyzna jęczał i wył z bólu. Po pewnym czasie zauważył dziwną prawidłowość: jeżeli jęczy się rytmicznie, to ból nieco słabnie, a wreszcie ustaje w ogóle. Po kilku dniach łowca wrócił z nieudanego polowania. Było mu w związku z tym bardzo smutno. Przypomniawszy sobie, że rytmiczne wycie już raz poprawiło mu nastrój, spróbował po raz drugi. Ulżyło. W miarę upływu czasu wył więc coraz częściej przy różnych okazjach. Następnie przekazał swoje doświadczenia dzieciom i wnukom. Tak zrodziła się pieśń.

2. Powiększenie szeregów

Kiedy przeszliśmy już na stronę Piotrogrodzką, z sieni wybiegł mężczyzna w garniturze z bostonu. Był bez krawata, za to w butonierce miał kwiat. W jego spojrzeniu czaił się obłęd. Trzymał się za szczękę. Z bolesnych jęków wynikało, że jest Panem Młodym. Jeszcze godzinę temu bawił się na własnym weselu, a później został sam na sam z małżonką. Nagły ostry ból zęba wygnał go z małżeńskiego łoża na ulicę. A więc było nas czworo.

Ledwie minęliśmy zakręt ulicy Spacerowej, gdy nasza grupka powiększyła się o dwóch nowych męczenników. Byli to Bracia-Bliźniacy. Obaj skończyli w tym dniu szesnaście lat. Rodzice uczcili to wydarzenie, zapraszając ich szkolnych kolegów. Zjedzono masę słodyczy i nocą Bliźniaków rozbolały zęby. Obaj trzymali się za lewe policzki i byli ogromnie do siebie podobni. Podobieństwo podkreślały identyczne welwetowe kurteczki. Jeden miał w klapie znaczek w kształcie statku, drugi wpiął sobie żeton przedstawiający disneyowską świnkę. Brat-Statek i Brat-Świnka przyłączyli się do nas i dalej maszerowaliśmy już w sześcioro.

Na ulicy Wwiedienskiej do naszego obolałego kolektywu przyłączył się jeszcze jeden cierpiętnik. W prawej ręce trzymał bębenek, lewą tulił do policzka. Był to młody Bębnista - amator. Ból dopadł go w trakcie koncertu podczas wykonywania partii solowej. Zeskoczył więc z estrady, wybiegł na ulicę i już trzy godziny błądził po mieście. Informacja o Poliklinice bardzo go ucieszyła. Ból atakował ząb z przerwami: w chwilach ulgi muzyk zaczynał grać na bębenku, tańcząc przy tym i podśpiewując. Najwidoczniej chciał dokończyć piosenkę, wykonywaną na koncercie:

„Za wódkę trzeba płacić,
a bardzo chce się pić,
lecz cóż, organizacje
nie są mi winne nic.

Niestety, ów zapalony twórca - amator nie przyniósł nam szczęścia. Kiedy podeszliśmy do Mostu Kirowa, właśnie podnoszono obie połowy. Znów za późno...Ta kolejna porażka wywołała w naszych szeregach głębokie wzburzenie. Ból wymagał jednak szybkich działań, toteż po krótkiej naradzie podjęliśmy jednogłośnie decyzję, aby iść w kierunku Wyborgskiej. Nowa trasa wyglądała tak: ulica Kujbyszewa - Most Sampsoniewski - Nadbrzeże Pirogowa - Most Hutniczy - Prospekt Hutniczy - Newski. Szliśmy teraz środkiem jezdni. Prowadziła Staruszka.

Trwało to niedługo. Zbliżywszy się do pewnej wysokiej kamienicy zauważyliśmy, że z szóstego piętra zsuwa się po rynnie jakiś mężczyzna. Gdy tylko szczęśliwie wylądował na ziemi, wydał głośny jęk i złapał się za oba policzki. Po chwili wszystko było jasne. Żona tego nieszczęśliwca, wychodząc do pracy na nocną zmianę, w przypływie zazdrości zamknęła pokój na klucz i zabarykadowała drzwi stołem kuchennym. Tymczasem małżonka rozbolał ząb z prawej strony szczęki. Lewa strona odpowiedziała aktem solidarności. Dwa bolące zęby skłoniły biedaka do opuszczenia pokoju przez okno. Momentalnie dołączył do nas i stanął na czele pochodu. Jako Supermęczennik miał do tego niezaprzeczalne prawo.

Nie na nim jednak zakończyło się powiększanie szeregów. Podchodząc do nadbrzeża Wielkiej Newki zobaczyliśmy kolejnego trzymającego się za szczękę delikwenta. Siedział na kamiennym słupku. Wszystko, co miał na sobie było nowiutkie - przy każdym poruszeniu sypały się z niego metki. Wokół zbolałego osobnika leżały najróżniejsze przedmioty. Był to Szczęśliwiec. Mieszkał w Gdowie, tam też wygrał pięć tysięcy w losowaniu premiowanych obligacji. Wygrawszy przyjechał na jeden dzień do Leningradu, aby szybko wydać tę ogromną sumę. Biegał po sklepach, komisach, bazarach, a przy okazji odwiedził również sporo knajp i restauracji. Nocował u brata ciotecznego. W nocy rozbolał go ząb. Brat poradził pójść na Newski do Polikliniki Stomatologicznej. Szczęśliwiec poszedł, zabierając ze sobą wszystkie zakupy - pociąg do Gdowa odchodził wczesnym rankiem. Przygarnęliśmy biedaka. Zajął miejsce na końcu procesji, zarzuciwszy na plecy swoje manatki. Była między nimi lampa naftowa, maszynka do mięsa, maszyna do szycia, zestaw patelni, patefon, radioodbiornik na baterie, iglica piorunochronu i portret założyciela zakonu jezuitów, św. Ignacego Loyoli w złoconej ramie. Portret wcisnęli Szczęśliwcowi na bazarze zapewniając, że przestawia on znakomitego fizyka Boyle'a - Mariotte'a.

Zbliżywszy się do Mostu Sampsoniewskiego stwierdziliśmy, że za chwilę zostanie on podniesiony. Jednak było nas już dziewięcioro. Ze zbieraniny samotnych cierpiętników wykrystalizował się bojowy kolektyw. Mieliśmy już swoją hierarchię i ustalony porządek pochodu. Dlatego też, prowadzeni przez Supermęczennika, odsunęliśmy zagradzające nam drogę bariery i śmiało wstąpiliśmy na drewniany pomost. Milicjant rzeczny nie tylko nie protestował, ale nawet zasalutował. Ze względu na nas podnoszenie mostu opóźniono o parę minut. Wkrótce kroczyliśmy po Wyborgskiej.

Gdy mijaliśmy niewielki skwerek, podeszła do nas płacząca dziewczyna. Trzymała się za policzek. Nieśmiało spytała, gdzie spodziewamy się uzyskać pomoc. Dowiedziawszy się dokąd zmierzamy, powiększyła nasze szeregi. Mój wygląd wzbudził w niej zapewne zaufanie, gdyż od razu zaczęła iść obok mnie.

Mimo cierpienia nie mogłem nie zauważyć, że dziewczyna jest nadzwyczaj sympatyczna. W myślach nazwałem ją Maleńką. Pachniała drogimi perfumami „Nie porzucaj". Spod granatowego beretu, ozdobionego brylantową spinką spływały fale jasnych loków. W wielkich błękitnych oczach błyszczały łzy. Zgrabną figurkę opinał różowy wełniany sweterek i skąpa spódniczka typu „precz ze wstydem". Oficjalnie, rzecz jasna, takiego fasonu nie było, w tamtych latach nazwę tę wymyśliły starsze panie, zazdroszczące swoim młodszym konkurentkom.

Maleńka, stukając kwadratowymi obcasami szła obok mnie i przez łzy opowiadała historię swojego nieszczęścia. Ząb zabolał ją w środku nocy z przeziębienia. Drewno w tym roku jest złej jakości, dużo osiny, mało sosny i brzozy. Pewien znajomy obiecał dostarczyć trzy metry sośniny, ale na żadne inne poufałości mu nie pozwoli.

Głos dziewczyny dźwięczał jak mały srebrny dzwoneczek i nawet nie zauważyłem, kiedy doszliśmy do Mostu Hutniczego.

Niestety, był już podniesiony....Spóźniliśmy się. Nie mieliśmy dokąd wracać. Pozostawał jedynie Most Ochtiński. Czekała nas daleka droga.

...Zwartą kolumną szliśmy po kocich łbach jezdni. W ciszy białej nocy nasze kroki odbijały się głuchym i trwożnym echem. Pojawiający się z rzadka przechodnie popatrywali na nasz orszak ze

zdumieniem, przeradzającym się w osłupienie. Na przedzie kroczył Supermęczennik. Za nim maszerowała Staruszka i Pan Młody. W następnej parze – Maleńka i ja. Za nami dreptał Bębnista w towarzystwie Portowca. Czwartą parę tworzyli Bliźniacy. Brat-Statek niósł na prawym ramieniu iglicę piorunochronu. Brat-Świnka dźwigał portret św. Ignacego Loyoli powierzony mu przez Szczęśliwca. Sam Szczęśliwiec wlókł się w ariergardzie. Dźwigał pozostałe zakupy. Poruszał się ciężko, jak parowiec zanurzony powyżej linii wodnej. Od czasu do czasu przystawał, aby położyć rzeczy na ziemi i choć przez chwilę potrzymać się za szczękę.

3. Tajne zadanie

Ochta w tamtych czasach była slabo zaludnionym osiedlem. Dziś wznoszą się tam ogromne wieżowce; wtedy stały tylko niewielkie domki z ogródkami.

Idąc wzdłuż długiego parkingu poczuliśmy zapach siana i końskiego nawozu. Potem ujrzeliśmy bramę i napis: „Lenguźtrans. Punkt nr 9". Zapewne minęlibyśmy to miejsce, gdyby nie Staruszka.

–Koński nawóz pomaga na zęby – powiedziała. – Mądrzy ludzie mówili. Trzeba przyłożyć do szczęki końskie jabłko – ból przejdzie, jak ręką odjął.

Terapia nawozowa zainteresowała prawie wszystkich. Były jednak pewne przeszkody.

– Brama zamknięta – stwierdził któryś z cierpiętników. – Przecież jest noc.

Można przeleźć przez płot. Po to Bóg dał ręce i nogi – oznajmiła Staruszka. – Trzeba wybrać ochotników i niech idą na zdrowie. O świętą sprawę chodzi, nie będzie grzechu.

Bracia-Bliźniacy zgłosili się natychmiast, lecz oprócz nich nikt jakoś nie kwapił się do udziału w owej świętej sprawie. Straszliwa Staruszka wyciągnęła więc palec w moją stronę i opowiedziała się za głosowaniem. Zostałem ochotnikiem. Tylko Maleńka wstrzymała się od głosu. Za to Supermęczennik podniósł od razu obie ręce. W tej samej chwili Bębnista wykorzystał moment przerwy w bólu i zaśpiewał:

Posiedziałbym przy wódce,
bo bardzo chce się pić,
lecz żadne instytucje
nie są mi winne nic!

Poproszono go o ciszę. Nie należało budzić koniuszych.

– Jest nas dziesięcioro, a więc powinniście zdobyć dziesięć końskich jabłek. Nikogo nie pomijać – poinformowała ochotników Staruszka.

– Mnie się należą dwie kulki – oznajmił Supermęczennik.

– A ja nie potrzebuję żadnej – łagodnie powiedziała Maleńka. – Cera mi się zniszczy.

Wszyscy popatrzyli na nią z potępieniem jak na odszczepieńca, a ja poczułem do Maleńkiej jeszcze większą sympatię.

Bliźniacy stanęli pod płotem i pochylili się. Po ich plecach polazłem w górę i, chwyciwszy za końce desek, przerzuciłem tułów na drugą stronę. Stojąc na poprzecznej belce, po kolei podciągałem obu braci. Następnie razem zeskoczyliśmy na podwórze. Stały na nim wozy. Ze stajni dobiegało senne tupanie koni. Chyłkiem podeszliśmy do budynku i zatrzymaliśmy się przy otwartych wrotach. Konie spały na stojąco.

Należało przystąpić do realizacji zadania, ale w tej właśnie chwili pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda. Na klepisku leżała wprawdzie dostateczna ilość końskiego nawozu – lecz nie w postaci kulek! Nawóz był rozsypany lub też ciekłej konsystencji. Nie wiedzieliśmy w co go zbierać i jak przetransportować przez płot. Poza tym – czy taki nawóz nadaje się do celów leczniczych? Mowa była tylko o jabłkach.

Nagle zza węgła stajni wyszło olbrzymie łaciate psisko z wielkim łbem. Na sierści miało źdźbła siana – najwidoczniej spało gdzieś, a teraz, zwęszywszy naszą obecność postanowiło zademonstrować swoją czujność. Zamarliśmy w niemiłym oczekiwaniu. Pies podszedł do mnie i rzeczowo, bez szczekania i złości, zatopił zęby w mojej nodze. Podskoczyłem – ale milczałem. Nie chciałem, aby mój okrzyk bólu usłyszała Maleńka. Niezależnie od tego paraliżował mnie strach przed stróżem. Obawiałem się, że w wypadku złapania mogą nam dołożyć z paragrafu o koniokradztwie.

Pies tymczasem podszedł do obu braci i obrzucił ich ciężkim spojrzeniem. Nie ugryzł jednak. Bliźniacy byli tak podobni do siebie, że psisko w obawie przed rozdwojeniem jaźni nie mogło się zdecydować, którego z braci należy ukarać w pierwszej kolejności. Po głębszym zastanowieniu zawróciło w moją stronę i w zadumie ugryzło mnie w drugą nogę – dla symetrii. Znów podskoczyłem nie wydając żadnego dźwięku. Bardzo bolało, lecz dziwna rzecz: w tej samej chwili odczułem niejaką ulgę. Widocznie ból od ugryzienia zagłuszył ból zęba. Wtedy też zadałem sobie pytanie: dlaczego pies nie szczeka? Może jest wściekły?

Wszystko odbywało się w duchu wzajemnego zrozumienia i za obopólną zgodą. Pies gryzł mnie, ale nie szczekał. Ja byłem gryziony, ale milczałem. Pantomima ta wywarła przygnębiające wrażenie na Bliźniakach, którzy z krzykiem rzucili się w stronę płotu. W tej samej chwili z domku, przylegającego do stajni wyszedł stróż w waciaku. Oczekiwałem dorożkarskiej wiązanki, a nawet użycia siły. Nagle zauważyłem, że stróż trzyma się za szczękę. Zrozumiałem natychmiast, że z jego strony nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

– Końskich jabłek dziś nie ma, owies był marny – powiedział nieznajomy z jakimś nietutejszym, obcym akcentem. – A pies nie jest wściekły. Jest niemy od dzieciństwa.

Zaskoczony spytałem, skąd zna moje myśli i jak przejrzał nasze zamiary.

– Wiem dużo – odparł wymijająco stróż. – A teraz dołączę do was.

Nietutejszy (tak ochrzciłem go w myślach) wrócił do stróżówki, obudził swojego zmiennika, następnie zaprowadził nas do bramy, otworzył ją i przyłączył się do pochodu.

4. O krok od śmierci.

Kiedy zziajani i wymęczeni zbliżaliśmy się do Mostu Ochtińskiego okazało się, że podniesiono go na sześć minut przed naszym przyjściem. Był to nasz ostatni most. W górnym biegu Newy w tamtych czasach nie było innych. Należało działać, postanowiliśmy więc szukać przeprawy.

Dotarliśmy już do skraju miasta. Newa nie była tu uregulowana, porośnięty drzewami i krzakami brzeg wyglądał całkiem nie po leningradzku. Długo, długo szliśmy po wyludnionej drodze...

I nagle za krzakami zobaczyliśmy wielkie ognisko, niezbyt jaskrawe na tle bladej nocy. Później dały się słyszeć głosy. Wyszliśmy na polankę. Tuż nad wodą, wokół ogniska siedziało pięciu mężczyzn w różnym wieku. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Wreszcie najstarszy z nieznajomych rzekł:

– Matko Święta, już myśleliśmy, że obława. A to znowu ci od zębów! Patrzcie jak się toto wyroiło! Wczoraj wieczorem przywlokło się sześciu, a dziś aż jedenaście sztuk!... To przez te mosty? – zwrócił się do Supermęczennika, wyczuwszy w nim przywódcę.

– Przez mosty – obrażonym tonem odpowiedział Supermęczennik.

– A jest nas nie jedenaście sztuk, a jedenaście osób.

– Dobra, jak osoby – to osoby – dobrodusznie przytaknął Najstarszy. – Chodźcie do ognia, zagrzejecie się.

Nieznajomi gościnnie zrobili miejsce i stanęliśmy przy ognisku. Każdy, potrzymawszy dłoń nad ogniem, pospiesznie przykładał ją do szczęki; po kilku takich ruchach odczuwało się ulgę. Supermęczennik wsuwał obie ręce prawie w płomienie, a później błyskawicznie podnosił je do twarzy. Pachniało spalenizną.

Szanowny Czytelniku! Interesuje Cię oczywiście, kim byli ludzie, którzy ustąpili nam miejsca przy ognisku. Byli to newscy piraci rzeczni. Istnieli oni w tamtych czasach i gnieździli się głównie na Ochcie i wyżej, wzdłuż prawego brzegu Mateczki-Newy. Byli przeważnie włóczęgami, posiadającymi łódki, w większej części kradzione. Oczywiście nie napadali na statki i nie mieli czarnej flagi z trupią czaszką i piszczelami. Ten ponury obrazek znali najwyżej z nalepek na butelkach z denaturatem. Piraci rzeczni żyli z tego, że sprzedawali na lewo drewno, które odłączyło się od spławianego. Kradli co się dało z przybrzeżnych przystani i składów. Chętnie przewozili też pasażerów z jednego brzegu na drugi, zdzierając za to bajońskie sumy. Grasowali przeważnie w nocy.

Zagrzawszy zęby Supermęczennik rozpoczął pertraktacje handlowe z przywódcą piratów. Najstarszy zażądał za przewóz do brzegu przy Letnim Sadzie po pół rubla od łebka. Szybko zebraliśmy pieniądze, przy okazji zapłaciłem za Maleńką, bo wybiegła z domu bez portmonetki. Bracia-Bliźniacy zrzucili się każdy po siedemnaście kopiejek, więcej nie mieli. Od Szczęśliwca przywódca piratów ściągnął dodatkowo rubla za bagaż.

– Przewiezie was niepijący Losza. Popłyniecie motorówką, jak milionerzy – zapewnił nas najstarszy. – Losza, przyciągnij no swoją łajbę!

Z grupy piratów wyłoniła się postać w czapeczce koloru wschodzącego słońca i kołyszącym się krokiem poszła wzdłuż brzegu. Po kilku minutach dało się słyszeć terkotanie silnika i wkrótce Niepijący Losza podpłynął motorówką do molo, znajdującego się w pobliżu ogniska. Na dziobie łódka miała napis: „Nadzieja". Niestety, tylko nazwa tchnęła optymizmem.

– Płynąć w takiej łódce! To straszne! – oświadczyła Staruszka. – Można całkiem utonąć.
– Nie siejcie, babciu, paniki – obruszył się przywódca piratów. – Jedną nogą na tamtym świecie, a o łódkę się boi.
Zaczęliśmy wsiadać.
Supermęczennik zajął ławeczkę na dziobie, wszyscy inni – pozostałe trzy. Okazało się, że moją sąsiadką jest Maleńka – usiadła między mną a Bębnistą, Szczęśliwiec długo ładował swoje zakupy, a piraci mu pomagali. Niepijący Losza usadowił się na rufie i zaczął się szarpać z silnikiem. Uruchomił go z niejakim trudem. Następnie poradził nam w swoim pirackim żargonie:
– Siedźcie spo, nie kręcić się! A nie, to poto jak ko!
O kręceniu się nie mogło być nawet mowy. Poziom zanurzenia łodzi i cały jej wygląd dawały wystarczająco jasne pojęcie o następstwach podobnych brewerii.
Kiedy oddaliliśmy się od brzegu, Niepijący Losza wyłączył silnik i zdjąwszy czapkę z głowy oznajmił:
– Proszę ofiaro, ile kto ma od gło. Ale nie mniej niż trzydzieści ko!
Wszystkich oczywiście zatrzęsło. Supermęczennik rzekł gniewnie:
– To skandal! Już zapłaciliśmy!
Motorowy pirat oświadczył jednak, że tamte pieniądze poszły do wspólnej skarbonki, a te – do jego osobistej kasy. Na bieżące naprawy. Przeszedł się z czapką, a każdy z pasażerów uiścił wymaganą sumę. Tylko Bliźniacy niczego już nie mogli dać. Znowu zapłaciłem za Maleńką i w jej promiennych oczach błysnęły łzy wdzięczności.
Wsypawszy składkę do kieszeni Niepijący Losza zapuścił silnik i wkrótce znaleźliśmy się na środku Newy. Nagle Szczęśliwiec, siedzący bliżej rufy wykrzyknął!
– Łódka przecieka! Moje nowe buty są mokre!
Kiedy wydało się, że wszyscy mają przemoczone nogi, a wody wciąż przybywa, Losza dobrodusznie wyjaśnił, że w poszyciu na dziobie wyłamana jest jedna listewka. Łódź jest przeciążona, to przecieka.
– Trzeba natychmiast podjąć stanowcze kroki, aby nie utonąć! – autorytatywnie oświadczył Supermęczennik. – Należy odciążyć łódkę! Obywatelu, będziecie musieli wyrzucić pakuneczki za burtę – zakończył, zwracając się wprost do Szczęśliwca.
Ten jednak nie chciał rozstawać się z dobytkiem.
– Raz w życiu mi się trafiło i co? Wychodzi, że mam swoje szczęście w wodę rzucić! Sam się raczej utopię, a rzeczy uratuję!
Aby jednak uspokoić opinię publiczną, wyrzucił za burtę portret św. Ignacego Loyoli, który w swojej złoconej ramie popłynął w dół Newy ku nowym dokonaniom.
– Mało! Mało! – rozlegały się głosy cierpiętników.– Obrazkiem się nie wykręcisz!
Zrozpaczony Szczęśliwiec schwycił iglicę piorunochronu i cisnął za burtę. Nie obliczył jednak ruchu – ostre żelaztwo przed wpadnięciem do wody musnęło i przebiło zbiornik paliwa. Zapachniało benzyną. Silnik charknął dwa razy i ucichł. W zapadłej nagle ciszy rozległ się pełen zainteresowania głos Staruszki.
– Mój Boże – co teraz z nami będzie?
Bóg, niestety, milczał. Łódkę, rufą naprzód, niosło z prądem rzeki. Zza zakrętu wyłonił się Ochtinski Most. Groziły nam dwie rzeczy – albo motorówka zatonie sama, albo, zniesiona na filary mostu, wywróci się.
Wtedy Bębnista wykorzystał moment bez bólu i zaśpiewał dźwięcznie, uderzając bębenkiem po głowach sąsiadów:

Potrzebne mi pieniążki
Jak woda, chleb i prąd
Na wodzie i na lądzie
Potrzebne one są!

Nikt nie podchwycił pieśni. Wszystkim przemknęło przez głowę, że jeśli znajdziemy się w wodzie, to pieniążki w ogóle nie będą nam już potrzebne.

W międzyczasie Niepijący Losza, przekonawszy się, że silnik jest do niczego, stanął na rufie w całej okazałości, skrzyżował ręce na piersi, jak to czynił świętej pamięci cesarz Napoleon, i oznajmił:
– Znaczy, prawdę mówi pieśń: „Lu giną za me"!
– Proszę powiedzieć, czy rzeczywiście nie ma szansy ratunku? – spytał go Pan Młody, a wszyscy zamarli w oczekiwaniu na odpowiedź.
– Możliwy jest overkil – odpowiedział zagadkowo Losza.
Męczennicy, usłyszawszy niezrozumiały dla szczurów lądowych termin, nabrali odwagi. Na sympatycznej buzi Maleńkiej zabłysnął jasny promyk nadziei. Miałem w jacht-klubie dobrego przyjaciela i z tego powodu teoretycznie wiedziałem, co znaczy to słowo. „Overkil" oznacza wywrotkę łodzi kilem do góry.
Jednak w tych warunkach nie uważałem za stosowne dzielić się swoją morską wiedzą.
Wiedząc, że moje godziny są policzone, postanowiłem poświęcić je ludzkości, a ściślej twórczości poetyckiej. Wydostawszy z kieszeni notesik i ołówek zrobiłem szkic swojego łabędziego śpiewu. Nazwałem go „Kołysanka awaryjna". Nie będę przytaczać tekstu wspomnianej pieśni, gdyż jeśli, Szanowny Czytelniku, jesteś człowiekiem kulturalnym, znasz ją na pamięć, tak jak i inne moje utwory.
....Kiedy do mostu pozostało jakieś pięćdziesiąt metrów Nietutejszy wykazał nagle aktywność. Ten skromny stróż szybko przedostał się na rufę i uprzejmie odsunąwszy Niepijącego Loszę pochylił się nad silnikiem. Następnie wyjął z kieszeni coś w rodzaju papierośnicy. Pomyślałem, że facet chce zapalić przed śmiercią. Kiedy jednak otworzył metalowe pudełeczko, nie było w nim żadnych papierosów. Znajdował się tam jakiś skomplikowany mechanizm, a wewnętrzna strona pokrywki była lustrzana.
Nietutejszy skierował lusterko w niebo i wyrzekł kilka słów w niezrozumiałym języku. Z nieba dobiegł przyjemny cichy głos. Ręce Nietutejszego rozjarzyły się różowym światłem.
– Objawiłeś się nam, Panie! – wykrzyknęła Staruszka.
– Mylicie się, obywatelko – rzekł łagodnie Nietutejszy. – Nie jestem żadnym Panem, a tylko zwykłym przybyszem z Allioląry, siódmej planety Pozagalaktycznego Gwiazdozbioru Amplitudy.
Z zachodu powiało silnym, niezbyt ostrym wiatrem, który zaczął nas odpychać od mostu. Nietutejszy niespiesznie przesunął świecącą dłonią po powierzchni zbiornika na paliwo – metal w przebitym miejscu od razu stopił się i zrósł, jakby nigdy nie było żadnej dziury. Następnie odkręcił korek zbiornika, złożył dłonie w łódeczkę i zaczął czerpać wodę z łodzi i wlewać ją do baku.
– Można zapuścić silnik – rzucił w stronę Niepijącego Loszy. Losza z niedowierzaniem uruchomił maszynę. Rozległy się kichnięcia, zapachniało spalinami. „Nadzieja" pomknęła naprzód.
– A więc jesteśmy uratowani! – podsumował Supermęczennik. – Dziękujemy, towarzyszu przybyszu! Jak się nazywacie!
– Mój ziemski pseudonim brzmi Afanasij Pietrowicz – odparł Nietutejszy i włożył ręce do wody, zgromadzonej na dnie. W łodzi zrobiło się sucho. Dłonie naszego wybawcy przestały świecić. Wrócił na swoje miejsce i natychmiast złapał się za szczękę.
Pod wpływem przeżytych wzruszeń ból zęba ogarnął wszystkich z nową siłą. Zapadło milczenie, przerywane jedynie ochnięciami i jękami. Hart ducha zachował tylko Niepijący Losza. W jego mózgu dokonywało się burzliwe przewartościowanie pojęć. Wydobywszy z kieszeni zebrane od nas pieniądze wsypał je do czapki koloru wschodzącego słońca i puścił w obieg między pasażerów, aby każdy odebrał swoją własność.
Spytałem Nietutejszego, dlaczego dysponując taką władzą nad wszelkimi żywiołami nie może sobie poradzić z zębem i szuka pomocy u ziemskich lekarzy.
– Lecąc tutaj, podpisałem na Alliolarze zobowiązanie, że niczym nie będę różnić się od Ziemian – odrzekł Afanasij Pietrowicz.– Wprawdzie przed chwilą byłem zmuszony skorzystać z naszej techniki, żeby uratować was i siebie, lecz przedtem połączyłem się z Alliolarą i poprosiłem o pozwolenie. Udzielono mi go po stwierdzeniu, że uratowanie tej właśnie grupy ludzi nie zmieni w sposób istotny dziejów Ziemi.
Chciałem mu powiedzieć, że jest w błędzie – uratowanie wiązało się z wiekopomnym faktem obdarowania Ziemi moją twórczością, jednakże wrodzona skromność powstrzymała mnie od wygłoszenia tej uwagi.
– Są jeszcze jakieś pytania? – rzucił Afanasij Pietrowicz.
– Proszę mi powiedzieć, ile u was kosztuje metr sześcienny drewna brzozowego? – rozległ się melodyjny głos Maleńkiej.
– Od dawna nie używamy drewna – uprzejmie wyjaśnił Nietutejszy.
– A przestę się u was zdarza? – zainteresował się Niepijący Losza.
– Niestety, zdarzają się. Jakieś sześćdziesiąt cztery lata temu całą

Wadim SZEFNER

urodził się 1915 roku w Leningradzie, gdzie mieszka do dziś. Od wielu lat należy do grona najlepszych i najwyżej cenionych radzieckich poetów i prozaików. W swoim dorobku ma kilka znaczących książek zaliczanych do kanonu współczesnej literatury radzieckiej. Od czasu do czasu „dla wytchnienia" pisuje też opowieści zaliczane do naukowej fantastyki. W polskim przekładzie ukazały się między innymi **„Kulista tajemnica"**, **„O pechowcu, który miał szczęście"** i **„Chłopiec z pięcioma nie"**.

Alliolarą wstrząsnęła straszliwa zbrodnia. Pewien mąż rzucił w swoją żonę kawałkiem mydła. Co prawda nie trafił, ale sam fakt jest dostatecznie przerażający. Nasza prasa rozpisywała się o tym bardzo szeroko.
– I ile łajdak za to dostał? – spytała Staruszka.
– Uniewinniono go. Okazało się, że bolał go ząb, zaś żona zaczęła udzielać mu porad dentystycznych. Udzieliła ich około szesnastu.
– Na jakim systemie oparta jest wasza matematyka? – zadał pytanie Pan Młody.
– Na Alliolarze, tak jak na wszystkich planetach o wysokim stopniu rozwoju, obowiązuje system, oparty na liczbie trzydzieści dwa. Podstawą tego systemu są zęby. Chodzi o to, że wszystkie istoty rozumne w całym Wszechświecie mają po trzydzieści dwa zęby. Jesteśmy braćmi w rozumie – i zębach!

5. Szczęśliwe zakończenie

„Nadzieja", w pełni uzasadniając swoją nazwę, przybyła wkrótce do granitowego nadbrzeża koło Letniego Sadu. Desant cierpiętników wylądował na twardym gruncie bez strat w stanie osobowym. Niepijący Losza pomógł Szczęśliwcowi wyładować rzeczy, a nawet przywiązał mu je do pleców mocnymi marynarskimi węzłami. W tym celu Szczęśliwiec stanął na czworakach. Pozostałą część drogi odbył właśnie w takiej pozycji.
Losza odbił od brzegu, pozdrowiwszy nas po raz ostatni w swoim pirackim żargonie, my zaś ruszyliśmy w ustalonym wcześniej porządku do celu. Na czele, środkiem jezdni, kroczył trzymając się za obie szczęki Supermęczennik, za nim – cała reszta. Pochód zamykał Szczęśliwiec. Posuwał się ciężko jak słoń bojowy. Zestaw przymocowanych do głowy patelni grzechotał odstraszająco. Przechodnie, ryzykując spóźnienie się do pracy, przystawali i długo przyglądali się naszemu orszakowi. Wierzący żegnali się znakiem krzyża.
A otóż i upragniona Poliklinika Stomatologiczna!

Bractwo męczenników rozpadło się. Z lecznicy wychodzili pojedyńczy, obcy sobie ludzie. Jedynie ja i Maleńka opuściliśmy budynek razem. Przycupnąwszy na ławeczce w parku czekaliśmy, kiedy zacznie działać umieszczone w zębach lekarstwo.
Ból ustępował. Na duszy robiło się coraz lżej i radośniej. Martwiło mnie tylko jedno – zbliżał się moment rozstania z Maleńką. Aby przedłużyć spotkanie zacząłem czytać jej swoje wiersze. Słuchała jak zaczarowana. Następnie spytała, czy nie mam czegoś o drwach. Przyznałem, że na ten temat niczego jeszcze nie stworzyłem, lecz z jej inspiracji z pewnością coś napiszę – o ile, oczywiście, nasza znajomość będzie kontynuowana. Następnie, przezwyciężając nieśmiałość, wyjawiłem dziewczynie, że nie chciałbym się z nią nigdy rozstawać i gotów jestem zrealizować swoje uczucia za pośrednictwem USC.
Maleńka pogrążyła się w głębokim milczeniu. Przez moment ważyły się moje losy... Wreszcie wyszeptała:
– Miłość zwycięża!... Mam wrażenie, że się zgodzę... Jesteś zadowolony?
– Jeszcze jak! – wykrzyknąłem.– Ten dzień znajdzie swoje odzwierciedlenie w mojej twórczości, a poprzez nią – w poezji światowej!
– Ślub – to sprawa poważna – mówiła z wahaniem Maleńka. – Dlatego muszę ci zadać intymne pytanie... Umiesz nosić drwa?
– W jakim sensie? – spytałem zmieszany.
– W dosłownym – odparła obrażonym tonem. – Ponieważ jesteś teraz moim narzeczonym, a ja twoją narzeczoną, muszę ci wyznać tajemnicę: mieszkam na szóstym piętrze. Windy nie ma.
– Najdroższa, dla ciebie nosiłbym drwa nawet do mieszkania na szczycie Iglicy Admiralicji – wyszeptałem.

Pobraliśmy się po miesiącu. W dniu ślubu opublikowano „Kołysankę awaryjną", która stała si źródłem mojej popularności. Wydrukowany wkrótce potem poemat „Drwa i losy" zapewnił mi sławę w światowej, a może i kosmicznej skali. Jestem pewien, że Afanasij Pietrowicz czytał tę znakomitą rzecz, zachwycił się nią, przetłumaczył na alliolaryjski i przetransliterował w Kosmos.
Żyjemy z Maleńką jak dwa gołąbki. Od dnia naszego ślubu upłynęły już trzydzieści dwa lata i osiem miesięcy. Przez cały ten czas ani razu nie rzuciłem w nią mydłem. Tak więc zębom zawdzięczam szczęście osobiste i bujny rozkwit sił twórczych, czego życzę również całej pozostałej Ludzkości!

32 grudnia 3216 roku
według kalendarza galaktycznego

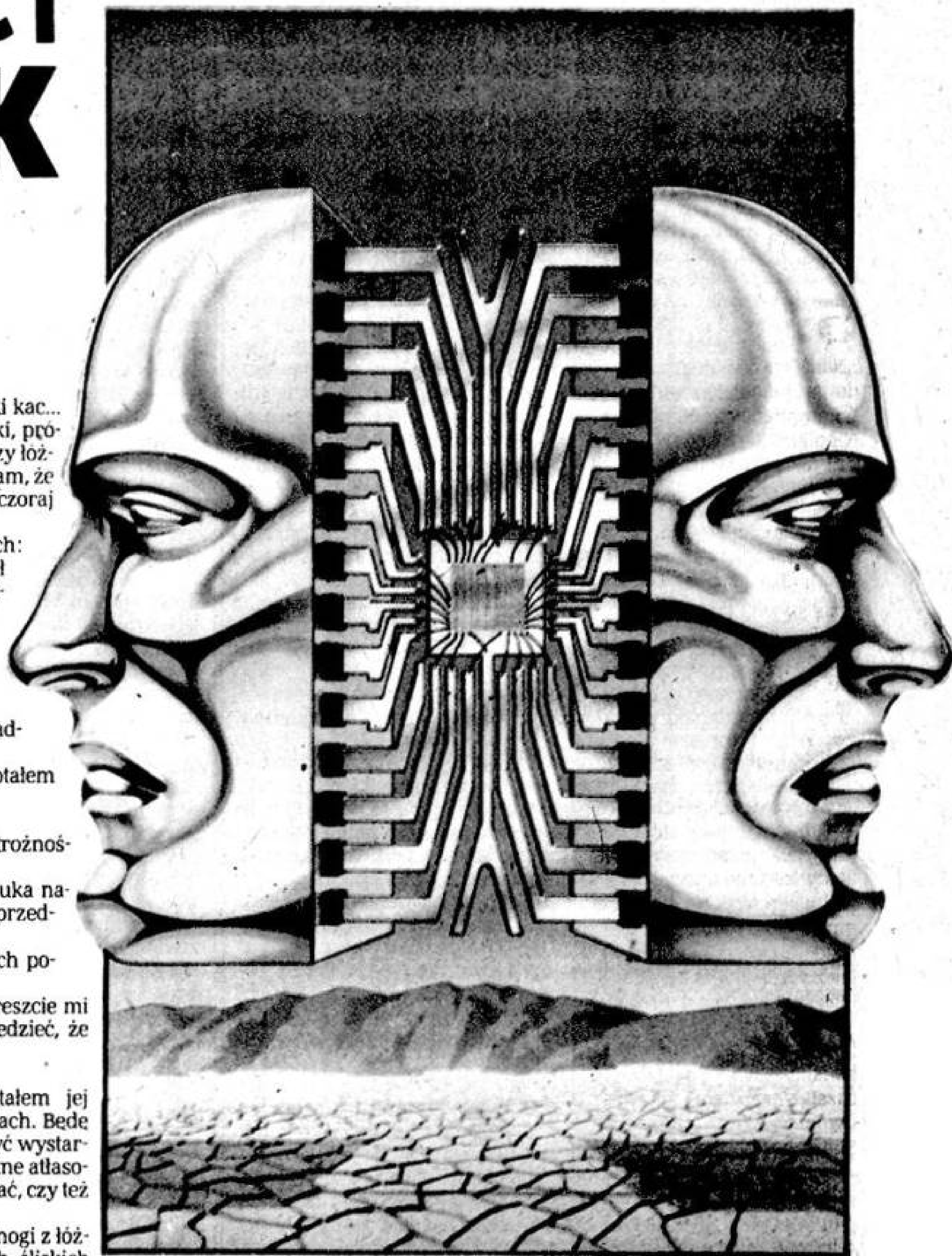
Przełożył **Michał Jagiełło**


Andrzej Szarkowski

PŁONĄCY STATEK

(Fireship)

Joan D. Vinge



Naprawdę musiałem się upić. O rany taki kac... Z trudem oderwałem głowę od poduszki, próbując spojrzeć na zegar stojący na stoliku przy łóżku... Stały tam dwa zegary. Zabawne, pamiętam, że wczoraj wieczorem był tylko jeden. Ooch, wczoraj wieczorem...

Obudziło mnie nie tylko dzwonienie w uszach: obrazofon już chyba po raz dziesiąty zaczynał „Gwiezdną serenadę". Wreszcie przypomniałem sobie gdzie jestem. Rzuciłem okiem na swoje odbicie w lustrze. Zanim wcisnąłem guzik GŁOS wyłączyłem obraz.

– Halo? – powiedziałem. Zabrzmiało to jak „Hao".

– Pan Ring? Jest tam pan? Tu recepcja... – Ładna, ale głos miała jak syrena alarmowa. Pomyślałem, że chyba umieram. Wymamrotałem coś. Wyraźnie ją to ucieszyło.

– Ma pan gości, panie Ring.

Zakołatało mi w głowie przypomnienie o ostrożności:

– Czy są w mundurach? – Miło, gdy ktoś szuka naszego towarzystwa, ale nie wtedy, gdy jest przedstawicielem rządu USA.

– Nie. – Zatrzepotała rzęsami. – Czy mam ich posłać na górę?

– Uuf, nie... – Miałem nadzieję, że głowa wreszcie mi odpadnie, ale niestety... – Uu, proszę powiedzieć, że niedługo zejdę. – Za jakieś kilka godzin...

– Dobrze. Dziękuję, panie Ring.

Obraz na ekranie zniknął, ale zapamiętałem jej uśmiech. Ciekawe co robi w wolnych chwilach. Będę ją musiał o to zapytać, jeśli uda mi się przeżyć wystarczająco długo. Opadłem bezwładnie na błękitne atłasowe prześcieradło, próbując zdecydować: wstać, czy też dać za wygraną i leżeć dalej.

Pierwsza możliwość zwyciężyła i zsunąłem nogi z łóżka na podłogę. Wylądowały w stosie zimnych, śliskich i twardych rzeczy. Podniosłem się i pochyliłem do przodu...

– Do diabła, tylko nie to! – Podłoga wokół łóżka pokryta była grubą warstwą pieniędzy oraz żetonów z kasyna hotelu, co właściwie na jedno wychodzi. Nie mogłem sobie przypomnieć, co zdarzyło się zeszłej nocy. Znowu mnie urządzili, Ring i ten komputer – spili mnie tak dokładnie, że stałem się bezwolną marionetką w ich rękach: Michael Yarrow, nieuleczalny frajer. – Dlaczego się na to godzę? – Ścisnąłem głowę dłońmi, odpowiedziawszy sobie na to głupie pytanie: – Bo są ci potrzebni. – Poza tym nie mogłem winić Ringa, jeśli wczoraj wieczorem ja się upiłem do nieprzytomności, to on też... tylko, że miał panować nad sytuacją, a pozwolił na przejęcie wszystkich funkcji przez ETHANAKA. – Obiecałeś przecież, że więcej mi tego nie zrobisz! Jeśli ktoś zauważył...

Ale oni nawet nie słuchali – nie byłem włączony. Jeśli już miałem się na siebie wściekać, to równie dobrze mogłem mieć słuchaczy. Nie dlatego, żeby słuchali – ja byłem tylko ciałem... – Och, przestań litować się nad sobą, włącz się i od razu poczujesz się lepiej.

Wyszukałem wśród żetonów przewód od leżącej na podłodze walizeczki wielkości bochenka chleba. Włączyłem przewód do gniazdka w dolnej części kręgosłupa. Czułem jak płynie strumień elektronów, jakby zapalał światełka na zakończeniach moich nerwów... Przeciągnąłem się i potrząsnąłem głową, aż minęło uczucie pustki. Równocześnie zniknął kac Yarrowa, co było dla mnie błogosławieństwem. Ale niewiele można było zrobić, by poprawić stan jego ciała: jego odbicie patrzyło na mnie z lustra przekrwionymi, mętnymi oczami, na wpół przesłoniętymi przez potargane włosy okalające twarz koloru owsianki. Nie cierpię owsianki. Krzywiąc się zwróciłem wzrok w inną stronę. Przez moją świadomość przebiło się oburzenie Yarrowa: – Do licha, czy to jedyny sposób, w jaki potrafisz traktować ciało, które cię nosi na świecie? – ...NIE PRZEJMUJ SIĘ, MICHAEL – nawet ETHANAK się włączył, rozochocony sukcesem w hazardzie – PRZECIEŻ OD CZASU DO CZASU MOŻESZ SOBIE POZWOLIĆ NA KORZYSTANIE Z UROKÓW ŻYCIA... – Cieszyć się życiem? Wykorzystywanie całkowitego wyłączenia mojego umysłu wcale nie jest dla mnie dobrą zabawą... – W PORZĄDKU, WIEM, ŻE TRZEBA BYŁO KILKUNASTU KIELISZKÓW, ŻEBYŚ PRZESTAŁ MIEĆ SKRUPUŁY. ALE CZY SIĘ TO NIE OPŁACIŁO...?

Spojrzałem jeszcze raz na stertę żetonów leżących u moich stóp i poczułem, że zaakceptowanie oszałamiającego rezultatu zeszłonocnego szaleństwa w kasynie przekracza możliwości. Skrzywiłem się z odrazą i pozwoliłem Yarrowowi na dalsze wymówki, również i w moim imieniu. – Próbowałem rozbić bank! Na neutralnym terenie! Tu, gdzie każdy mógł to zauważyć i wzbogacić się o pół miliona dolarów za wydanie mnie w ręce policji! O Boże! I ciekawe kto, do diabła, czeka na nas teraz na dole? – ...NIEPOTRZEBNIE SIĘ DENERWUJESZ. GDYBY CI Z ZEOSU WIEDZIELI, ŻE JESTEŚ TUTAJ, TO WYWAŻYLIBY DRZWI I WYCIĄGNĘLI CIĘ STĄD BEZ ZBYTNICH CEREGIELI...

Rozsunąłem zasłony i wpuściłem dzienne światło do pokoju. Zachmurzenie, tak jak zapowiadano: dzień Deszczu. Patrząc mimochodem na ceglastoczerwone niebo, zasnuwające się ciężkimi brunatnymi chmurami, zdecydowałem, że jeżeli ZEOS kiedykolwiek mnie złapie, to będzie to tylko i wyłącznie moja własna wina...

„W Xanadu – jak pisze Samuel Taylor Coleridge – Kubla Khan wspaniały pałac snów zbudować rozkazał, gdzie Alf, święta rzeka wody swe toczy przez groty ludziom niedostępne".
Oryginał istniał tylko w snach Coleridge'a po opium, ale tutaj na Marsie sen stał się jawą, dzięki nieograniczonej fortunie i osobowości Khorama Kabira. Ekscentryk, głowa wielonarodowego, wielomiliardowego imperium finansowego, mógł być uznany za imperatora, ale to mu nie wystarczało – chciał mieć swoje własne Xanadu i, jak prawdziwy mogoł z dwudziestego pierwszego wieku, stworzył je – i to tak, by się to opłaciło.
W ten oto sposób powstał ten niezwykły pałac rozrywki: luksusowy hotel, kurort i... kasyno. Przedtem trzymałem się z daleka od gier hazardowych, bo byłem na tyle sprytny, by przyznać, że są rzeczy, do których się nie nadaję. Jednak moje nowe ja, jak się przekonałem, było jeszcze sprytniejsze. Wierzyłem – i może to nawet była prawda – że przyjechałem tu po to, żeby zobaczyć deszcz. Siedziałem tu już prawie przez ziemski rok, ale ze względu na szczególne położenie, w jakim się znajduję, nigdy nie miałem dość odwagi, by odwiedzić Strefę Turystyczną. Przede wszystkim jednak wylądowałem na Marsie po prostu dlatego, że bardzo chciałem zobaczyć świat, jakikolwiek świat. Nasłuchałem się entuzjastycznych opowiadań o tym, jak moi kumple z instytutu tracili wszystkie pieniądze w czasie jednego wspaniałego wypadu do Xanadu i w końcu nie mogłem już tego dłużej wytrzymać...
Teraz, kiedy wychodziłem z windy do holu, mój zdrowy rozsądek próbował przekonać mnie, że powinienem natychmiast zakończyć wakacje, spakować pieniądze i dyskretnie wrócić do krajów arabskich. Tylko, że ktoś na mnie czekał.
Przeszedłem przez zatłoczony hol do informacji. Jeden z młodszych urzędników podszedł do mnie ze znudzoną miną, szarpiąc poły swego aksamitnego bolero.
– Czym mogę panu służyć?
– Jestem Ethan Ring. Ktoś pytał o mnie. – Od niechcenia poprawiłem swój sięgający kolan wiśniowy żakiet, starając się wyglądać na równie znudzonego.
– Zaraz sprawdzę, proszę pana. – Odszedł na chwilę, a ja odwróciłem się w stronu holu, by sprawdzić czy przypadkiem ktoś nie wygląda tak, jakby na mnie czekał. Ale nic nie zauważyłem. Szmer rozmów rozpływał się w przyciszonych dźwiękach muzyki Bacha, którą grał autentyczny kwartet smyczkowy – w dobrym guście, choć może niezbyt pasujący do tego miejsca. Większość spacerujących gości była równie krzykliwie i przesadnie ubrana jak ja.
– Pan Ring? – młodzieniec wrócił wreszcie. – Czy to pan wygrał wczoraj pięćdziesiąt tysięcy seeyai?
Spojrzałem na niego. Pięćdziesiąt tysięcy międzynarodowych Jednostek Kredytowych... o Boże, to prawie trzysta tysięcy dolarów! – Hm, tak, to ja. – Wyraz całkowitego niedowierzania wspaniale zastępuje wyraz całkowitego braku zainteresowania, nawet na otwartej i szczerej twarzy Yarrowa.
Teraz na twarzy chłopaka malował się lęk, może zazdrość, ale na pewno nie nuda. – Och, pańscy... pańscy goście czekają na pana w Sali Koguta.
– Dzięki. – Poszedłem tam i zatrzymałem się przy wejściu, by rzucić okiem na oczekujących mnie ludzi, jednak nie miałem pojęcia kogo mam szukać. I wtedy ją dostrzegłem – siedziała sama na kanapie przy półokrągłym oknie i uśmiechała się do mnie. I już wiedziałem, że jeśli ona nie jest moim gościem, to ktokolwiek inny by to był, może iść do diabła.
Zszedłem na dół po kilku schodkach ze spiralną balustradką i ruszyłem przez środek sali, po podłodze pokrytej jaskrawoniebieskim perskim dywanem. Wszystko docierało do mojej świadomości tak wyraźnie, jak w ostatniej chwili życia. Ale przede wszystkim widziałem ją: kaskadę kruczoczarnych włosów spadających jak płaszcz na ramiona, ciemne oczy, turkusową suknię odsłaniającą jedno ramię i kryształowe paciorki jak spieniona fala spływające aż po rąbek sukni. Wczoraj wieczorem w kasynie, w dziwnym fluoryzującym świetle Lodowych Jaskini, ta piana połyskliwych paciorków lśniła wszystkimi kolorami tęczy...
Wczoraj wieczorem, gdy grałem przy stole wielkich stawek, ona stała obok mnie... i podczas gdy ETHANAK był tak pogrążony w gorączce gry, że nawet nie zarejestrował jej obecności, ten cholerny idiota Yarrow zakochał się. A to znaczyło...
– Kocham cię, Panno Przynosząca Szczęście – wypalił Yarrow, zanim zdołałem go zatrzymać. – Wszystko co mam, należy do ciebie.
Zaszokowało ją to wyznanie i trudno się temu było dziwić.
– Całe pięćdziesiąt tysięcy seeyi? – spytała.
Wyprostowałem się szczerze żałując, że nie mogłem poddać się zabiegowi usunięcia części mózgu. Części należącej do Yarrowa.
– Może lepiej będzie, jeśli wyjdę i przyjdę jeszcze raz.
– Przyjmijmy, że to już zrobiłeś. – Tym razem uśmiechnęła się. – Dzień dobry, Ethan. Siadaj. Napijesz się czegoś?
Usiadłem naprzeciw niej, chociaż miała ochotę usiąść tuż obok.
– Dziękuję, ale nie mogę patrzeć na alkohol. Myślę, że wczoraj osiągnąłem stan całkowitego nasycenia.
– A jednak nie zapomniałeś o mnie... – Oparła twarz na delikatnej dłoni i trochę posmutniała. – Już myślałam, że nie przyjdziesz.
– Zapomnieć o tobie...? – W końcu to ona mnie szukała i to ona chciała ponownie mnie zobaczyć. W duchu przeklinałem całkowitą pustkę w zapisie ETHANAKA, tam, gdzie wczoraj ona powinna była zostać zarejestrowana. – Po prostu zastanawiam się, jak mogłem pozwolić na to, żebyś mnie wczoraj zostawiła.
– Wypiłeś trochę za dużo Rajskiego Mleka. – Jej uśmiech stał się jeszcze smutniejszy i zrobiło mi się głupio.
– Postaram się wynagrodzić ci to dzisiaj.
– Już to zrobiłeś.
– Tak? – powiedziałem niepewnie, z obawą, że powie mi, w jaki sposób.
– Wygrywając pięćdziesiąt tysięcy seeyi. Wygrywając wczoraj w każdej grze...
Zesztywniałem. Nie przyszło mi do głowy, że chodziło jej o pieniądze. Moja duma otrzymała potężny cios. Ale miłość jest ślepym żebrakiem: jeśli chciała pieniędzy, mogłem jej je dać...
– Mogę to robić co wieczór, jeśli będziesz przy mnie, Panno Przynosząca Szczęście.
Uniosła brwi.
– Naprawdę jesteś gotowy to zrobić?
– Naprawdę.
Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie i jakby bolesny smutek.
– Chcesz powiedzieć, że szczęście nie miało z tym nic wspólnego, że mógłbyś to powtarzać co wieczór. Nieprawdaż, Michel Yarrow?
Teraz już miałem zupełnie głupią minę. Zostałem rozszyfrowany. Może to ja sam byłem na tyle pijany i nieostrożny, że wyznałem jej, że nazywam się Michel Yarrow? Ale przedtem powiedziała do mnie Ethan...
– Czy możesz powtórzyć?
– Jesteś szybki, Yarrow. Kiedy grasz, potrafisz obliczyć prawdopodobieństwo wygranej z szybkością światła. Kasyno nie ma szans. Ale to nie wszystko co potrafisz: twoja inteligencja jest sztucznie wspomagana przez komputer ETHANAC 500.
Pokręciłem przecząco głową.
– Panno Szczęście, jeśli opowiedziałem ci to wszystko wczoraj wieczorem, to przepraszam. Chciałem zaimponować. Naprawdę nazywam się Ethan Ring i pracuję w instytucie programowania. Kiedy się upiję, to nie tylko jestem szybki, ale przy okazji staję się chorobliwym kłamczuchem.
– A jeszcze gorszym, kiedy jesteś trzeźwy. – Wzięła mnie za rękę i odwróciła ją, jakby miała zamiar czytać z mojej dłoni. – Dobra próba. Ale odciski palców nie kłamią, a twoje należą do Michaela Yarrowa, obywatela USA, którego policja poszukuje na Ziemi pod zarzutem kradzieży, sabotażu i zdrady stanu. Cena za twoją głowę wynosi pięćset tysięcy dolarów.
Patrzyła na mnie ze śmiertelnym spokojem. Zrozumiałem jak musiał się czuć Książę, kiedy Kopciuszek zamienił się w brudną żebraczkę.
– W porządku. – Zacisnąłem dłoń w pięść i wyrwałem ją z jej ręki.
– Mam w pokoju żetony wartości trzystu tysięcy dolarów. Jeśli naprawdę wiesz co potrafię zrobić, to również wiesz, że mogę ci dać dwa razy więcej niż rząd USA w dużo krótszym czasie. Czy milion dolarów wystarczy, żeby zamknąć ci buzię?
Znowu zdziwienie, szczere lub udane.
– Więc byłbyś gotowy zdefraudować siedemset tysięcy dolarów?
Zmarszczyłem brwi.
– Trudno powiedzieć, żebym miał na to szczególną ochotę, ale tak, zrobiłbym chyba wszystko, żeby uniknąć zrujnowania mojego zdrowia przez Wydział Zdrowia, Edukacji i Opieki Społecznej.
– Rozumiem. To ułatwia sprawę... – Zerknęła przez okno na niebo, które stawało się, tak jak mój nastrój, coraz bardziej chmurne. – Niestety, nie interesują mnie pieniądze.
– Nie jesteś również zwariowaną patriotką. Więc o co ci chodzi?
– Nazywam się Hanalore Takhashi. – Podała mi białą wizytówkę.
Wziąłem ją posłusznie i przeczytałem:

MEINE GEDANKEN SIND FREI.

– Moje myśli są wolne? – spojrzałem na nią. – O ile wiem, wasze myśli są piekielnie drogie.
Rozpoznałem motto Wolnej Myśli, Spółki z o.o. – najemnego zbiornika umysłów, użyczającego niezwykłej bystrości swoich pracowników i ich zdolności do rozwiązywania problemów wszystkim instytucjom, organizacjom i rządom skłonnym zapłacić wygórowaną cenę.
– Chcecie wciągnąć mnie do swoich szeregów? Do tego niepotrzebny jest szantaż...
Pokręciła głową.
– Biorąc pod uwagę twoje konflikty z rządem amerykańskim niezbyt byś się nam przydał. Po prostu chciałabym wypożyczyć twoje szczególne zdolności do zrealizowania pewnego niewielkiego planu, związanego z działaniem komputera. Tylko tyle. Pomożesz mi, a ja zapomnę, że cię kiedykolwiek widziałam. Jeśli odmówisz...
– To nie pożyję dość długo, by zdążyć tego żałować.

Wiedziałem, jakie powitanie czekałoby marnotrawnego syna Ameryki po powrocie. Zaczęłoby się od wyłączenia ETHANAKA z gniazda w moim kręgosłupie, ale na pewno by się na tym nie skończyło... Hanalore Takhashi, oparta o jaskrawo-błękitną skórę fotela, obserwowała mój paranoiczny popis. Pięć minut temu zastanawiałem się, dlaczego dopiero teraz pojawiła się w moim życiu, teraz chciałem jedynie wiedzieć kiedy znowu z niego zniknie.
– Panno Szczęście, naprawdę wiesz jak dobrać się facetowi do skóry. To nie jest komplement. Tylko jedna drobna przysługa, powiedziałaś, i na zawsze znikniesz mi z oczu? – Uśmiechnąłem się. – Możemy uznać układ za zawarty.
– To dobrze. – Odprężyła się i nagle zdałem sobie sprawę, w jakim przedtem była napięciu. – W takim razie pójdziemy?
– Pójdziemy? – Nie ruszyłem się z miejsca. – Gdzie pójdziemy?
– Na dwór. Spotkać się z kimś. – Dała komuś znak ręką przez okno.
– Około czternastej dwadzieścia powinien zacząć padać deszcz. Chyba nie chcesz się na to spóźnić, nieprawdaż?
Deszcz na Marsie to tak jak śnieg w południowej Kalifornii: nieczęsto się zdarza. A kiedy pada, jest tym, czym Sylwester w Nowym Yorku – wspaniałym pretekstem do szaleństwa, radości i ściskania obcych sobie ludzi. Skomputeryzowane techniki prognostyczne i fakt, że aura marsjańska nie jest kapryśna pozwalają na wcześniejsze zaplanowanie uroczystości i kiedy nad Strefą Turystyczną przechodzą burze – nad Olimpem czy Fat City, czy Dolną Mariner – Marsjanie wraz z Ziemianami skwapliwie wykorzystują okazję do zmoknięcia. Ja również jak tysiące innych stęsknionych za domem kolonistów nie potrafiłem oprzeć się tej pokusie. Wstałem z ponurą miną
– Masz rację, nie chcę stracić tego widowiska.
Poszliśmy do holu, gdzie kłębił się tłum przepychających się ludzi. Jako jedni z ostatnich wypożyczyliśmy pastelowe kombinezony ciśnieniowe. Podążyliśmy za wszystkimi przez śluzę powietrzną, potem długim, pochyłym chodnikiem na „balkon" hotelu Xanadu – pokryty kamiennymi płytami taras, wielki jak stadion olimpijski. Zauważyłem, że niektórzy goście, aby bardziej poczuć deszcz, wypożyczali sobie zamiast całych kombinezonów krótkie skafandry i aparaty tlenowe.
Torowaliśmy sobie drogę przez podniecony tłum. Okrzyki entuzjazmu, które docierały do mnie przez słuchawki kombinezonu, omal mnie nie ogłuszyły. W miejscu najbardziej odległym od wyjścia dostrzegłem dwie postacie, stojące przy kamiennej balustradzie. Kiedy się zbliżyliśmy, jedna z nich uniosła dłoń w rękawicy – może dawała komuś znak, a może tylko sprawdzała czy już pada.
– Cephas, Basil, przyprowadziłam go... – Hanalore usiadła na ławce, ja poszedłem w jej ślady, a dwaj mężczyźni przyglądali mi się z zainteresowaniem. W przezroczystej kuli jednego z hełmów zobaczyłem twarz najwyższego czarnego mężczyzny, jakiego widziałem kiedykolwiek w życiu – właściwie w ogóle najwyższego mężczyzny jakiego w życiu widziałem, z siwiejącymi wąsami i bokobrodami, nadającymi mu wygląd uczonego. Usiadł obok Hanalore. Drugi mężczyzna czekał, żebym się posunął i zrobił mu miejsce. Miał haczykowaty nos i wzorzysty kombinezon. Przypominał mi ptaka morskiego z książki, którą miałem w dzieciństwie. W innych okolicznościach mógłby wzbudzić we mnie tęsknotę za tym, co minęło. Przesunąłem się niechętnie. Usiadł.
– Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby postawić tę walizeczkę na ziemi? – Jego ton wskazywał na to, że nie obchodziło go czy mam coś przeciwko temu. Bezceremonialnie poklepał mają plastykową pozacielesną czaszkę. Poprawiłem awaryjną wtyczkę przewodu ETHANAKA.
– Przyjacielu, na swoim mózgu może pan nawet usiąść, jeśli pan chce, ale ja nie mam zamiaru stawiać mojego na podłodze.
Trzy pary oczu wpatrzyły się we mnie z różną dozą krytycyzmu. Mój przypominający ptaka przyjaciel powiedział:
– Nie. Stanowczo nie, Hana. Nie mogę pracować z takim człowiekim. Nie moglibyśmy mu zaufać... – w duchu go popierałem. – To przestępca! Powinniśmy powiadomić Amerykanów, że on tu jest i na tym koniec.

Miałem ochotę go zabić.
– Basil – Hana podniosła głos, by przekrzyczeć panującą wrzawę. – Nie można winić go za to, że jest ostry. W końcu go szantażujemy. – Spojrzała na mnie. – To moi koledzy: Cephas Ntebe i Basil Kraus.
– Cephas, Basil, to jest Michael Ethan Yarrow Ring. Zdziwili się.
– Co oznacza to nazwisko? – zapytał Ntebe.
Oparłem się o ścianę i spojrzałem w dół na długie, długie zbocze zakończone ostrym spadkiem u stóp wulkanu.
– Po prostu to, że nie jestem Michaelem Yarrow. Jestem Ethan Ring.
– I tylko przypadkiem żyjesz w ciele innego mężczyzny? – Hana złośliwie wskazała na moje ukryte w rękawicach odciski palców.
– Zgadza się – kiwnąłem potakująco głową. Oparłem się na łokciach i słuchając ich rozmowy patrzyłem w zamyśleniu na niebo. Jakiś statek przebił się przez chmury, obserwowałem jak łagodnie zniża się do lądowania na Pola Elizejskie. Wyobrażałem sobie, że mogłem wynieść się z tego cholernego Marsa, gdzieś tam... Z przykrością przypomniałem sobie, że moje przybycie na Marsa nieodwracalnie wykluczyło możliwość opuszczenia go – przynajmniej dobrowolnego opuszczenia. Jeśli kiedyś będę wyjeżdżał z Marsa, to tylko w kajdankach...
Dwie zamarznięte krople roztopiły się, tworząc kwiatki na szkle ponad moją zwróconą do góry twarzą. Mrugnąłem oczami, deszcz ze śniegiem rozpryskiwał się na moim hełmie, a w słuchawkach zabrzmiały okrzyki niezmiernej radości. Nad czerwoną równiną roztańczyły się błyskawice, pioruny rozrywały chmury. Ziemia lśniła w deszczu, który zmywał smutki i grzechy wszystkich, nawet Ethana Ringa. Na krótką chwilę ten dzień stał się taki, jakim chciałem żeby był: dzieliłem radość z powodu deszczu z kobietą moich marzeń, przeżycie, które stanie się wspomnieniem...
Zacząłem znowu przysłuchiwać się rozmowie, rozmowie o mnie: kobieta moich marzeń, obojętna na deszcz i moje uczucia, pochłonięta była opowiadaniem swoim przyjaciołom o moim występnym życiu, co miało być dowodem na to, iż jestem dla nich przydatny. Uzupełniałem w myśli jej opowiadanie, nie mając nic lepszego do roboty do czasu aż zdecydują – zatrudnić mnie czy zastrzelić.
Według oficjalnej wersji, którą wszyscy przyjęli za wiarygodną, Michael Yarrow, królik doświadczalny rządu, był złodziejem i sabotażystą. Wyprowadził w pole cały amerykański system obronny – powszechnie zwany Wielkim Bratem – ukradł niesamowicie drogie, eksperymentalne urządzenie. I wszystko to była prawda.
Okoliczności jednak usprawiedliwiają te czyny. Michael Yarrow był mało wykształconym, nieważnym asystentem w rządowym centrum badawczym. Zgłosił się na ochotnika i wyraził zgodę, by operacyjnie zamontowano mu w kręgosłupie gniazdo wtykowe. W związku z tym jego zwierzchnicy mogli podłączyć komputer do jego układu nerwowego i zobaczyć co się stanie. Nie byle jaki komputer, ale ETHANAK 500, jeden z najszybszych komputerów, jakie kiedykolwiek skonstruowano, z najdoskonalszym programem, opracowanym specjalnie w celu penetracji innych systemów komputerowych. Doskonały komputer zbudowany tak, by można go było włączyć do jeszcze doskonalszego ludzkiego mózgu z powodów, o których rząd nie mówił. Ale okazało się, że posiada swój własny umysł, znacznie przekraczający oczekiwania konstruktorów. Coś, czego się zupełnie nie spodziewali. Kiedy przeprowadzali pierwszą próbę na Yarrowie, nie chcieli by to połączenie było trwałe. Chcieli tylko się upewnić, że u innej, właściwej osoby nie spowoduje to choroby, zaburzeń czynności mózgu albo wstrząsu. Potrzebowali do tej próby kogoś, kogo nikt nie będzie żałował, kogoś, kto nigdy nie dokonał niczego złego ani dobrego – Yarrow warunki te spełnił wręcz idealnie. Nie miał zupełnie nic do stracenia i pochlebiało mu, że jest przedmiotem ich zainteresowania.
I tak oto nadszedł ten ważny moment, kiedy wetknęli wtyczkę w jego kręgosłup i po raz pierwszy człowiek połączył się z maszyną. ETHANAK nagle stał się świadomy wszystkiego czym nie był, rzeczy, których nie miał w swoim programie, możliwości, które zostały nie wykorzystane... szansy wykorzystania całej zawartości tego nieszczęsnego ludzkiego umysłu, który mu udostępniono. Yarrow przez cały dzień był oszołomiony i półprzytomny, podczas gdy jego mózg i budząca się świadomość komputera toczyły ze sobą zaciętą walkę. Wreszcie, z pyłu wyczerpania i kompromisu narodziła się gwiazda: Ethan Ring...ja.
Naukowcy powinni byli zniszczyć mnie wtedy, natychmiast, ale z ciekawości zostawili Yarrowa i ETHANAKA razem. Dzięki temu obaj dowiedzieli się wystarczająco wiele, by zdać sobie sprawę, że każdy z nich miał to, czego brakowało drugiemu... i że kiedy byli razem, ja łączyłem w sobie inteligencję i wiadomości genialnie zaprogramowanego komputera i mocne, normalne ciało nieszkodliwej istoty ludzkiej. Stali się najbliższymi, najbardziej nieprawdopodobnymi przyjaciółmi, którzy przedtem z różnych powodów, nigdy prawdziwie nie żyli. Teraz chcieli wypróbować swoje skrzydła na wolności. Kiedy moja obecność się ustaliła, kiedy przyzwyczaiłem się do mojej własnej rzeczywistości, zapragnąłem żyć, w głębszym i bardziej dosłownym tego słowa znaczeniu. Ale naukowcom nie spodobały się te uboczne, filozoficzne efekty, łącznie z moim poczuciem tożsamości. Moje dni były policzone. Zamknięty w więzieniu, jakim była ta supertajna instytucja, nic na to nie mogłem poradzić. Ale ja, my, mieliśmy jedną niezwykłą zdolność i w nocy przed moją egzekucją – kiedy posunęli się tak daleko, że doprowadzili do mojego spotkania z „wyższym umysłem", fałszywym i bezkompromisowym fanatykiem, który miał zastąpić Yarrowa – zdecydowałem się wykorzystać mój talent. A więc Michael Yarrow skorzystał z telefonu...
– Yarrow, jak jeden człowiek, nawet jeśli miał specjalny sprzęt, mógł przerwać całą amerykańską sieć bezpieczeństwa i ulotnić się? – zapytał mnie Ntebe. Milczałem przez chwilę, obserwując tańczących turystów. Deszcz ściekał po moim kombinezonie. Starałem się ustalić czy przypadkiem nie wymamrotałem na głos historii swojego życia.
– To był przypadek, możecie mi wierzyć lub nie. Chciałem się wydostać tylko z centrum naukowego, ale ich system bezpieczeństwa był częścią głównego systemu. To jeden z najbardziej skompli-

kowanych systemów na Ziemi i jeden z najbardziej wrażliwych... Przeżył załamanie nerwowe.
Przypomniałem sobie szok jakiego doznałem na skutek sprzężenia zwrotnego. Ale był on niczym w porównaniu z szokiem, który to wywołało w rządzie...
– Twierdzili, że był to mechanizm obronny przed szpiegostwem i sabotażem, ale ja w to nie wierzę. Wieli Brat gdy skontaktował się z moim umysłem, zyskał świadomość i w ten sposób, niechcący, przekazałem mu mój własny paniczny strach i wrażenie prześladowania. To spowodowało jego klęskę. Doprowadziłem go do szaleństwa, mimo, że wcale się o to nie starałem.
– Jak płonący statek – powiedziała Hana.
– Jak co?
– Statek, który się podpala i pozwala mu wpłynąć między statki nieprzyjacielskie. Połączenie z komputerem to był statek, a twoje uczucia – ogień.
– Nigdy mi to nie przyszło do głowy – podobała mi się taka interpretacja. – Na czym polega, ten plan, w który mnie pakujecie? Jeśli nie macie nic przeciwko temu, że zapytam.
– Potrzebujemy twojej pomocy w znalezieniu klucza do pewnego komputera – odpowiedział Ntebe.
– Tylko tyle? – Przyjrzałem się im po kolei. – Chcecie tylko tyle?
– Tak, tylko tyle. – Kraus spojrzał na niebo.
Wysoko nad nami lśniła tęcza, delikatny sztandar piękna zawieszony za Olimpem. Westchnąłem.
– To dziecinnie proste. – Spojrzałem na Hanę, zaczynając już wszystko jej wybaczyć. – O jaki komputer chodzi?
– O system, który kieruje działalnością komputerowego kartelu Khorrama Kabira na Ziemi.
– Tego Khorrama Kabira? – Wskazałem na paraboliczny przepych Xanadu. – Kubla Khana?
Kiwnęła potakująco głową.
Czy to nie jest trochę niezgodne z waszymi zasadami? To przestępstwo, jakby na to nie patrzeć. Zawsze myślałem, że wasza firma to bank pomysłów działający zgodnie z prawem.
– Nikt nie jest święty. A my mamy za zadanie rozwiązać problem naszego klienta. Jak wiesz, przed wojną ojciec Khorrama Kabira był jednym z najzręczniejszych przemysłowców w Krajach Arabskich. Po trzeciej wojnie światowej kupił sporo „krajów rozwijających się" ze świetnymi zasobami naturalnymi. Khorram całe życie starał się umacniać imperium swego ojca stosując policyjne metody zarządzania, możliwe i sprawne dzięki jego sieci komputerowej. W tych warunkach należące do niego kraje nie mogą mieć nadziei, że uda się im wydostać spod jego władzy wcześniej niż ograbi je ze wszystkich zasobów naturalnych.
– Ale opozycja w jednym z tych krajów mogłaby coś zdziałać, gdyby miała wejście do komputera? – Dokończyłem za nią. – Niestety jeśli chcecie wyprowadzić w pole Khorrama Kabira, to nie będę mógł wam w tym pomóc.
Ntebe pochylił się do przodu.
Takiej właśnie faszystowskiej postawy spodziewałem się po oszuście.
Wprawił mnie w zakłopotanie już po raz któryś tego popołudnia.
– Chyba trochę jesteś przewrażliwiony, Ntebe. Miałem na myśli tylko to, że wszystkie dostępne wejścia do systemu Kabira znajdują się na Ziemi, a ja nie mogę opuścić Marsa... Wiem, że Kabir od dłuższego czasu mieszka jak pustelnik, w jakimś odosobnionym miejscu na Marsie i panuje przekonanie, że nadal kieruje osobiście swoim imperium. Przypuszczam więc, że tam gdzie jest on, jest również jego wejście do komputera. Ale nikt nie wie gdzie on jest. Więc nie mogę wam pomóc.
– Przepraszam, – Ntebe wyprostował się i starł warstewkę lodu z hełmu.
– Cephas ma powody, by być trochę przewrażliwionym – powiedziała cicho Hana. – Chodzi o jego kraj. On nie tylko pracuje dla WM, ale jest również naszym klientem... I wiemy, że Khorram Kabir tutaj na Marsie ma komputer. A jeśli tak jest, to gdzież indziej może być on i jego komputer, jeśli nie w jego ukochanym Xanadu?
– To dlatego tutaj jesteście. Badacie teren, a mój mały występ wpadł wam w oko przypadkiem.
– Zrządzenie losu, byłeś podarunkiem od bogów. – Uśmiechnęła się.
– Szczerze w to wątpię. Raczej ofiarą losu.
Deszcz już ustał, ale wszyscy bawili się w najlepsze.
– Czy zauważyliście – nagle odezwał się Kraus – że jesteśmy obserwowani?
– Przez kogo? – Hana pochyliła się, by przyjrzeć się tłumowi.
– Nie rozglądaj się! To Salad. – Kraus skulił się wyglądał jak postać z dwudziestowiecznej powieści kryminalnej.
– Salad? – Spojrzałem w miejsce, w które całkiem niedyskretnie wlepiony był jego wzrok. Zobaczyłem łysą głowę, lśniącą w hełmie jak jakiś groźny okaz w akwarium. Mam nienajlepszy wzrok, a szkła zostawiłem w pokoju, więc nie mogłem wyraźnie zobaczyć jego twarzy.
– Kierownik kasyna. – Hana zmarszczyła brwi. – Czołowy kandydat do Domu dla Niesympatycznych, jak twierdzą wszyscy.
Salad wstał i spojrzawszy wyraźnie w naszym kierunku, odszedł w stronę śluzy powietrznej.
– Może po prostu chciał przyjrzeć się człowiekowi, który kosztował go pięćdziesiąt tysięcy seeyi – powiedziała Hana bez przekonania. –
– Dla mnie to jest pewną wskazówką. – Spojrzała na mnie pytająco, więc wyjaśniłem. – Jeśli mam dostać się do systemu, muszę znać oficjalny kod. Może uda mi się czegoś dowiedzieć, kiedy pójdę spieniężyć żetony.



Wkrótce potem wyszedłem z bąbelka windy na najniższym z trzech poziomów kasyna, w głębi Lodowatych Jaskiń. Wyglądałem nieco podejrzanie z torbą wypchaną żetonami. Ale nie był to powód do zmartwienia, gdyż wszyscy goście byli zbyt zajęci

tym co działo się na zielonych stołach, by interesować się moją osobą.
Skierowałem się w stronę kasyna po przeciwnej stronie sali. Przeszedłem obok rzeźby, której lśniące kształty gwałtownie przypomniały mi Hanę. Hanę wczoraj - tutaj w kasynie i Hanę dziś po południu - czekającą na mój powrót w moim pokoju. Wyobraziłem sobie jak, zakłopotany, przyjmuję jej podziękowanie za oddanie nieocenionej przysługi... Zostawiłem sentymenty na potem.
- Słucham pana? - ciało za kontuarem kasy z pewnością miało mniej wdzięku niż to w holu.
- Chciałem to zamienić na pieniądze. - Postawiłem torbę.
- Ach, to pan.
Skinąłem głową z zakłopotaniem, rzuciłem kartę kredytową na kontuar i pochyliłem się, żeby zajrzeć do środka.
- Proszę chwilę zaczekać. - Odwrócił się do mnie plecami i podniósł słuchawkę telefonu. Gdy wciskał klawisze zakodowałem w pamięci dźwięki, mając nadzieję, że łączył się z komputerem. Ale on tylko powiedział „On tu jest" i odłożył słuchowkę. Odwrócił się do mnie i powiedział z naciskiem: - Zanim to spieniężymy, kierownik chciałby zamienić z panem kilka słów, panie Ring.
Salad? Żołądek ścisnął mi się ze zdenerwowania. Uspokój się. Prawdopodobnie chce się tylko upewnić, że nie stanie się to twoim przyzwyczajeniem. Poczułem, że coś ciągnie mnie za rękaw, odwróciłem się. Zobaczyłem, że jestem niezupełnie grzecznie eskortowany przez dwie niewyraźne postacie. Za kasą skręciliśmy i poszliśmy ciemnym korytarzem.
Na końcu korytarza otworzyły się drzwi i oślepiło mnie jasne światło. Drzwi zamknęły się znowu jak wrota grobowca faraona. Mój wzrok powoli przyzwyczaił się do światła i otworzyłem oczy, ale gdy zobaczyłem co znajdowało się w pokoju, gwałtownie nabrałem ochoty, by je zamknąć z powrotem.
Gdyby Torquemada żył w dzisiejszych czasach, chciałby mieć właśnie taki pokój... W rogo Żelazna Panna, na ścianie stłoczone bicze, kajdany i jakieś dziwne rzeczy, których na szczęście nie rozpoznałem. Wśród tych wszystkich okropieństw, za zupełnie zwyczajnym metalowym biurkiem, siedział spokojnie Salad. Na biurku leżał przycisk do papierów. Wpatrzyłem się w nie z ukrytą fascynacją, tak jak kot mógłby patrzeć na kwartet smyczkowy. Gdzieś w środku słyszałem Yarrowa: - Boże, proszę, błagam, wyciągnij mnie z tego, a już nigdy więcej nie będę grał... - Z trudem się opanowałem.
- Dzień dobry, panie Ring. - Salad odezwał się wreszcie, uznawszy, że miałem dosyć czasu, by się wszystkiemu przyjrzeć. - Nazywam się Salad. Jestem kierownikiem kasyna.
- Bardzo mi miło - udało mi się powiedzieć. Chyba nigdy nie powiedziałem czegoś bardziej fałszywego. - Ma pan dosyć, hmm, dosyć niezwykle udekorowany pokój, panie Salad.
Podniósł na mnie wzrok.
- O jakiej dekoracji pan mówi? Gwałtownie usiadłem na najbliższym krześle. Nieco pokrzepiający był fakt, że nie było ono nabite kolcami.
- Po prostu chciałem powiedzieć, że pobyt w pańskim hotelu jest bardzo przyjemny i chcę zapewnić, że to co zdarzyło się zeszłej nocy już się nie powtórzy. Już nigdy. To znaczy, jeśli to zbyt duży kłopot, wie pan, to zapomnę o pieniądzach, nie potrzebuję ich...- Napięcie spowodowało, że zacząłem się rozdzielać. - CICHO, YARROW - powiedział surowo ETHANAK. - ON CHCE CIĘ ZŁAMAĆ PSYCHICZNIE... - Cóż, do diabła, udaje mu się to! Odciąłem osobowość Yarrowa.
- Ależ skąd, panie Ring - powiedział Salad słodko. - To jest uczciwa instytucja i zawsze spłacamy nasze długi. Po prostu byłem trochę ciekawy, w jaki sposób udało się panu wygrać tak dużo i w tak krótkim czasie... - Podniósł przycisk do papieru i zaczął bawić się tym dziwnym przedmiotem . - Czy ma pan jakiś system?
Odruchowo schowałem palce i roześmiałem się skromnie.
- Obawiam się, że nie jestem na tyle bystry. Kiedy... kiedy za dużo wypiję, ujawnia się we mnie talent do liczb i rachunków. Jestem jak głupi uczony. - W tej chwili bardziej głupi niż uczony.
- Rozumiem. A ta walizeczka, którą zawsze ma pan przy sobie - nie ma w niej żadnych elektronicznych urządzeń, prawda? Spojrzałem w dół na opakowania ETHANAKA.
- To? Nie, oczywiście, że nie. To... mój aparat nerkowy. - Podniosłem twarz zastygłą w wyrazie niewinności. - Nie mogę się bez niego obejść.
Na twarzy Salada malowało się całkowite niedowierzanie.
- Jestem pewien, że współczesna technika daje lepsze rozwiązania?
- To spadek po przodkach. - Mam zestaw gotowych odpowiedzi dla ludzi zadających mi obcesowe pytania, ale zwykle w takim przypadku odwracam się i odchodzę.
Spojrzał na mnie.
- Hm... choroba dziedziczna... i odrzucanie przeszczepów?
Wyraz jego twarzy nie zmienił się. Spojrzał na jednego ze stojących przy mnie jak sępy drabów i powiedział po arabsku: „Sprawdzić". Jeden z nich brutalnie otworzył walizeczkę.
- No i co? - Salad pochylił się ze złowieszczą miną.
Drab wzruszył ramionami z niechęcią.
- Wygląda, że jest tak jak mówi. - Salad gestem rozkazał mu odejść.
Zamknąłem walizkę drżącymi rękoma. Sama walizeczka to atrapa, zbudowana tak, by wyprowadzić w pole niepożądanych ciekawskich. Części ETHANAKA są wystarczająco małe, by zmieścić się w jednej z cienkich ścianek. Ale obawiałem się, że ta banda nie da się na to nabrać.
- A więc jeśli coś stanie się z tą walizką, to będzie pan trupem, tak?
- Salad uniósł nieistniejące brwi, a jego mina wskazywała, że zamierza to sobie zapamiętać.
Niestety była to prawda, przynajmniej jeśli chodzi o nas dwóch...
- Mam nadzieję, że nie podejrzewa mnie pan o oszukiwanie...
- Oczywiście, że nie - odparł bez przekonania. - Wiemy, że nie mógł pan z tak dobrym skutkiem oszukiwać w tak wielu różnych grach. Musi pan posiadać jakieś niezwykłe zdolności. Interesuje mnie pani, której dotrzymywał pan towarzystwa...
- Wzruszyłem ramionami.
- Po prostu starała się mnie poderwać. Pieniądze mają dziwny wpływ na niektórych ludzi.
- Czy również na dwóch mężczyzn, którzy z nią byli?
Wstałem, autentycznie oburzony.
- Proszę usiąść, panie Ring.
Usiadłem.
- Chciałem przejść do sedna sprawy. Wiemy już, kim są te trzy osoby, które dzisiaj pana „poderwały" i że próbują przysporzyć kłopotów Khorramowi Kabirowi. Najwyraźniej są przekonani, że można stąd dostać się do jego sieci komputerowej na Ziemi... - ton jego głosu i twarz przekonały mnie, że Hana myliła się sądząc, że wejście znajduje się w kasynie. - Dlaczego? - Spojrzał na mnie.
- Chcą znaleźć wejście.
Zdziwienie na jego twarzy mieszało się z rozczarowaniem, jakby oczekiwał, że nie wyznam tego tak prędko. Może on był stuknięty, ale ja na pewno nie.
- Po co potrzebna była im pańska pomoc?
- Mam pewne doświadczenie w obchodzeniu się z komputerami.
- Musi pan być bardzo ciekawym człowiekiem, panie Ring, żeby nie powiedzieć niewdzięcznym. Wygrawszy u nas pięćdziesiąt tysięcy seeyi, zgadza się pan włamać do naszego systemu komputerów.
- Zgadza się, do diaska! Oni mnie szantażują!
- Dlaczego? - zainteresował się szczerze.
Poczułem się jak w gnieździe węży. ETHANAK zaczął generować możliwości... Spekulacja? Defraudacja? Nic z tego... Spojrzałem na niego ponuro.
- Gdyby było to coś, o czym można mówić, jak mogliby mnie szantażować? Poza tym... - nagle wpadłem na pomysł - jeśli pan wie, że nie dostaną tego czego chcą, to po co się nimi przejmować?
- Dlatego, że pan Kabir chce wiedzieć, kto dał im takie zlecenie. - W jego oczach migotały pogróżki, skierowane pod adresem bezpiecznie bezimiennej osoby, których wolałem nie zauważać... dopóki nie zapytał. - Kto?
- Nie wiem. Oni mnie tylko wynajęli do pomocy, nie powiedzieli mi wszystkiego. Proszę mi wierzyć, ja nie wiem...
Przez długą, zimną chwilę jego oczy przylepione były do mojej twarzy jak ślimaki, a potem kiwnął głową.
- Wierzę panu. Wierzę również, że pomoże nam pan dowiedzieć się tego, prawda, panie Ring? Przyprowadzi ich pan do mnie, a ja już się wszystkiego dowiem...
- Doprawdy? - Dwie rosłe postacie zbliżyły się. - To znaczy jak? Jak mam to zrobić?
- Powie pan, że połączenie z komputerem znajduje się tutaj, w moim biurze. Kiedy zobaczy mnie pan w kasynie dziś wieczorem, powie im pan, że można bezpiecznie wśliznąć się do mojego biura. A my ich aresztujemy.
Dwa potężne cielska stojące za moimi plecami utrudniały mi koncentrację.
- Dlaczego? Czy pan sam nie może ich zgarnąć?
Znów się uśmiechnął.
- Oni mają Przyjaciół. Są pewne prawa, tu w Strefie Neutralnej. Nie możemy ich po prostu zamknąć, musimy zastawić pułapkę. Włamanie do biura to świetny pretekst.
- Musi być jakieś wyjście...
- Nie, panie Ring, proszę nawet o tym nie myśleć. Ten pański aparat nerkowy wygląda na bardzo delikatny. I pan też nie wygląda na specjalnie mocnego. Jestem pewien, że gdyby próbował pan przedwcześnie opuścić hotel, miałby pan okropny wypadek. Okropny...
- Rozumiem. - Albo im się coś przytrafi, albo mnie... Ja miałem do wyboru tylko czas, kiedy coś się ze mną stanie, w zależności od tego kogo zdradzę.
- Cieszę się, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. - Przynajmniej jeden z nas był zadowolony z tego porozumienia. Odłożył makabryczny

przycisk i sięgnął po słuchawkę. – Teraz zapłacimy panu, panie Ring.
Na szczęście miałem jeszcze tyle przytomności umysłu, że zarejestrowałem dźwięki aparatu, kiedy wykręcał numer. Tym razem było więcej cyfr, naprawdę łączył się z komputerem. Fakt, że udało mi się spełnić swoją właściwą misję, nie sprawił na mnie najmniejszego wrażenia. Wstałem jak lunatyk.
Salad skończył i odłożył słuchawkę.
– Dziękuję za pańską gotowość do współpracy z nami. Pan Kabir będzie bardzo wdzięczny.

Na stoliku znalazłem małą, tajemniczą karteczkę z numerem innego pokoju, podpisaną przez Hanę. Domyśliłem się, że chciała, żebym poszedł do nich, ale zamiast to zrobić, wyciągnąłem się na łóżku i włączyłem telewizor czując rozpaczliwą potrzebę kontaktu z normalną rzeczywistością. Usłyszałem radosny głos „W końcu jest to twój pogrzeb..." Przeklęte programy rozrywkowe. Wyłączyłem go i zacząłem zastanawiać się nad sytuacją, w której się znalazłem. Ktoś zapukał do drzwi.
– Proszę wejść – powiedziałem szorstko.
– Ukrywanie się w swoim pokoju nic ci nie da. – To była Hana. Sama. – Co robisz? – powiedziała zapalając światło.
– Przeżywam małe załamanie nerwowe. – Usiadłem z trudem.
– Daj spokój – uśmiechnęła się, jakby namawiała mnie do zjedzenia zupki – to nie będzie takie trudne.
Wstałem gwałtownie i podszedłem do okna.
– Gdzie są Kraus i Ntebe?
– Zaraz przyjdą. – Jej głos znów stał się zimny i obojętny. Udało ci się dostać do komputera?
– W zasadzie tak, ale...
– Ale?
– Nie, nic. – Wiedziałem, że jeśli teraz na nią spojrzę, to zdecyduję się na samobójstwo. Postanowiłem, że na razie zrobię to, co chciał Salad, a potem może dowiem się czegoś, co pomoże nam wydostać się z tej kłopotliwej sytuacji. Podszedłem do barku i nalałem sobie szklankę Rajskiego Mleka.
– Czy nie masz nic przeciwko temu, że ja też się napiję?
Nalałem jej to samo co sobie i wręczyłem szklankę bez słowa, gdyż nie przychodziło mi do głowy nic, oprócz szczerego wyznania.
– Dzięki. Zaczyna do mnie docierać, że zbliżamy się do celu... I jeśli się nam uda go osiągnąć, będzie to tylko twoja zasługa.
– A jeśli wam się nie uda, to też tylko przeze mnie.
– Dziwny jesteś, Michael Yarrow...
– Ethan Ring.
– Cały czas przekazujesz mi sprzeczne sygnały. – Starała się spojrzeć mi prosto w w oczy.
– To z powodu mojej podwójnej natury.
– Wiesz, wczoraj wieczorem zwróciłam na ciebie uwagę nie z powodu twoich sukcesów w grze...
– Ja też odbieram sprzeczne sygnały. Co wy zwykle robicie w wolnych chwilach?
Westchnęła.
– Och, siedzimy i rozwiązujemy różne zagadki.
Na szczęście rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem je. Kraus i Ntebe weszli do pokoju. Spojrzeli na Hanę, siedzącą na moim łóżku ze szklanką w ręku.
– Hana, najpierw obowiązki, potem przyjemność – powiedział strofująco Kraus.
– Załatwmy interes i nich się to wreszcie skończy – powiedziałem.
Podszedłem do telefonu i włączyłem ETHANAKA. Wystukałem numer, którego użył Salad, a potem kod. Stałem bez słowa przez pół minuty i odłożyłem słuchawkę. W tym czasie ETHANAK skontaktował się z prymitywnym komputerem kasyna i wyssał go jak wampir. Czułem jak dane przepływają do mojej świadomości.
– Cóż, myliliście się. To nie jest wejście do komputera Kabira. Ale dowiedziałem się, gdzie on jest. – Trudno uwierzyć, ale była to prawda.
– Sądzisz, że w to uwierzymy? – Kraus powiedział lodowatym głosem. – Żaden człowiek nie mógłby tego zrobić tak szybko. Czy masz nas za idiotów?
Ntebe wyglądał na przestraszonego.
– Rozmawiasz ze skomputeryzowanym włamywaczem, nie ze zwykłym człowiekiem. Jeśli to co głoszą plotki jest prawdą, ETHANAK 500 może wykonać pięćset miliardów operacji w ciągu sekundy... Czego się dowiedziałeś? – Spojrzał na mnie z ufnością, jaką darzy się Boga.
Zostałem uznany za człowieka. I Ethan Ring, elektroniczny Judasz, zaczął karmić ich kłamstwami.

Jak wszyscy normalni ludzie zeszliśmy na obiad, czekając aż kasyno zapełni się znowu. Musiałem coś zjeść, bo miałem przed sobą pusty talerz. Musiałem też o czymś rozmawiać. Nie wiem, w jaki sposób to zrobiłem, bo nic nie pamiętam. Dali się na to nabrać, jak pierwsi lepsi naiwniacy. Przełknęli całe to niewiarygodne łgarstwo. I siedzieli, czekając aż Salad wyjdzie z biura, gotowi tam pójść.

Nie przychodziło mi do głowy nic, co pomogłoby nam wszystkim wydostać się z tego bez szwanku. Nawet gdybym zdał się na ich łaskę i zgodziliby się mnie nie wydać, wątpliwe było, żeby udało mi się bezpiecznie ulotnić z tego miejsca. A gdybym ich zdradził, ich przyjaciele z pewnością zemściliby się na mnie.
Obok naszego stolika przeszli trzej mężczyźni w ubraniach z worka. Hana szepnęła „Vegowie" i zorientowałem się, że byli to członkowie Ligi Ochrony Roślin, powszechnie znienawidzonej grupy. Patrzyłem jak idą w kierunku toalety i zauważyłem, że ich dziwaczność polegała częściowo na tym, że niedawno przybyli z Ziemi i nie byli przyzwyczajeni do mniejszego przyciągania. Ależ... Ależ tak!
– Przepraszam! – Głośno odsunąłem krzesło i wstałem. – Muszę iść do toalety.
W holu był telefon. Wsunąłem kartkę do szczeliny i odbyłem krótką rozmowę, po czym zniknąłem za ciemnymi, drewnianymi drzwiami.
Na Marsie jest wiele dziwacznych sekt, chroniących się przed prześladowcami. Zwykle tutaj wszyscy współżyją zgodnie, gdyż dla każdego jest dosyć miejsca. Ale Ochrona ma tutaj wiele przeciwników. Uznałem, że ci trzej faceci o zaciśniętych wargach przybyli tu w celu sprawdzenia faktów, co oznaczało, że szukali guza. A ja byłem właśnie osobą, która mogła im to ułatwić...
Poprawiłem krawat przy lustrze i kiedy jeden z nich zerknął na mnie, powiedziałem współczująco:
– Wie pan, nie rozumiem jak możecie pogodzić się z obelgami słanymi pod waszym adresem.
Odwrócił się w moją stronę.
– Z jakimi obelgami...
– Nie chciałbym spowodować jakiegoś konfliktu – skłamałem – ale ci dwaj panowie przy moim stoliku powiedzieli, że wy... – nachyliłem się i szepnąłem mu do ucha.
– Melony! – Ryknął. Wszyscy trzej wypadli z łazienki. Zostałem sam i przysłuchiwałem się odgłosom walki.

— Zawsze chciałam, żeby ktoś kiedyś podbił mi oko... – powiedziała Hana – jeszcze jak byłam małą dziewczynką.
Zanim zaczęli się bić, wezwałem tutejszą policję i teraz leżeliśmy na łóżkach w pokoju o połowę mniejszym i na pewno dużo mniej przyjemnym niż mój w hotelu. Ntebe i Krausa umieszczono razem z nami, ale wkrótce z powodów, których mogłem się tylko domyślać, zabrano ich z powrotem.
Drzwi celi otworzyły się. Ntebe i Kraus weszli utykając, zakrwawieni, ale nie skrępowani. Spojrzeli na mnie, jakby morderstwo było następnym przestępstwem, które mieli zamiar popełnić. Drzwi zamknęły się z brzękiem.
Hana wstała. Zrobiłem to samo.
– Wy dwaj połóżcie się na łóżkach – powiedziała. – Potrzebujecie tego bardziej niż my.
Ntebe spojrzał na mnie.
– Ty synu hieny. – Ale przeszedł obok mnie i opadł ciężko na pryczę. – Myślę, że mam wstrząs mózgu. Nic poważnego, ale kiepsko widzę – powiedział do Hany.
– To jego sprawka – odezwał się Kraus, pokazując na mnie drżącą ręką. – Zrobił to specjalnie! A ja mogłem im powiedzieć, kto to jest i nie zrobiłem tego! – Odwrócił się i zaczął walić dłonią w drzwi. – Straż! Straż!
– Basil, proszę... – skrzywił się Ntebe. – Nie zapominaj gdzie jesteś. Masz tu telefon.
– Zaczekaj. – Hana potrząsnęła głową, stanowczym ruchem kładąc dłoń na słuchawce zanim Kraus zdążył po nią sięgnąć. – Co się tutaj dzieje? O czym wy mówicie? Uspokój się, Basil...
Odetchnął głęboko.
– Twój wspaniały komputer napuścił na nas tych facetów, kiedy poszedł do łazienki. Posądzili nas o zniesławienie...! Co im naopowiadałeś, Yarrow?
Starałem się zachować obojętny wyraz twarzy.
– Po prostu rozmawialiśmy o melonach. – Wiedziałem, że cokolwiek się stanie, udało mi się ich ocalić, a równocześnie się zemścić.
Podszedł do mnie, nagle zupełnie spokojny i kiedy stałem zastanawiając się co zamierza zrobić, szarpnął ETHANAKA, wyrywając wtyczkę z mojego kręgosłupa..
Po raz pierwszy rozłączono nas tak gwałtownie. Zachwiałem się i usiadłem na podłodze...
– Kraus, dlaczego nie wsadzisz sobie nosa do ucha i nie wydmuchasz swojego mózgu? – Hana skrzywiła się ze złości.
Poczerwieniał, ale miał mnie w ręku i dobrze o tym wiedział.
– Nasłałeś na nas tych fanatyków, żeby przeszkodzić nam w zrealizowaniu naszego planu. Przyznaj się!
– W porządku – wzruszyłem ramionami. – Możecie mnie zaskarżyć w sądzie.
– Zrobimy coś o wiele gorszego, jeśli nie uda nam się dostać do komputera... – Ntebe zacisnął pięści.
– Ale dlaczego? – Hana zmarszczyła brwi. – Dlaczego on to zrobił? Musiał być jakiś powód...– jej głos brzmiał niemalże błagalnie.

Kraus otworzył walizeczkę ETHANAKA i zaczął w niej grzebać, jak małpa szukająca banana.
- Przestań, Basil. - Hana zamknęła walizeczkę, o mało nie przytrzaskując mu palców. - Nigdy nie psuj niczego, dopóki nie upewnisz się, że nie będziesz tego żałował... A więc - jaki był powód? - Dotknęła ręką podbitego oka i skrzywiła się.
Popatrzyłem na nich i pokręciłem głową.
- Kiedy wy wreszcie zrozumiecie, że nie musicie mnie wieszać za uszy, żebym zgodził się z wami współpracować? Czy nikt wam nigdy nie powiedział, że „proszę" to magiczne słowo? Oczywiście, że był powód! - Opowiedziałem im o wszystkim, o narzędziach do łamania kości, o groźbach, o wszystkim. - Powinniście być zadowoleni, że Ring wpadł na dobry pomysł, cholerni zarozumialcy, bo Salad od początku znał wasze zamiary.
Wziąłem ETHANAKA z rąk Krausa. Nikt nie starał się mi przeszkodzić. Włączyłem go do kręgosłupa. Przyjemne uczucie powrotu do rzeczywistości sprawiło, że zapomniałem o gniewie... Rzuciłem okiem na Krausa.
- Przepraszam - powiedział z taką miną jakby mówił to szczerze.
- Wszyscy przepraszamy - dodała Hana. - I dziękujemy, Yarrowowi, ETHANAKOWI i Ringowi.
Kiwnąłem głową.
- Chciałbym ci jeszcze powiedzieć, że dla nas to nie była... nie jest zabawa, Yar-Ring. - Ntebe pochylił się, chowając twarz w dłoniach.
- To prawda, że nie powinniśmy zmuszać cię do pomagania nam. Ale dopasowanie klucza do tego komputera to nie jest kaprys. Mógłby to być klucz do wolności dla uciemiężonego narodu. Komu jak komu, ale tobie powinno się to podobać. - Wyciągnął się na łóżku, zakrywając dłonią oczy. Ale ponieważ pomyliliśmy się co do miejsca, w którym znajduje się komputer, wszystko to sprowadza się jedynie do filozoficznych dyskusji...
Miny Hany i Krausa wyrażały to samo co ton głosu Ntebe. Kraus usiadł, a potem położył się na drugim łóżku. Hana oparła się o ścianę, kręcąc głową.
- Powiedziałem wam przecież, że wiem, gdzie jest prawdziwe wejście do komputera.
- Co? - Spojrzała na mnie tak, jakbym wyznał, że jestem kobietą. - O czym ty mówisz?
- Kiedy podsłuchiwałem sekrety tutejszego komputera, dowiedziałem się gdzie Khorram Kabir odbiera swoje listy. A to znaczy...
Coś zabrzęczało i drzwi otworzyły się, ukazując Birnbauma, strażnika porządku publicznego, który nas tu wszystkich przyprowadził.
- W porządku, proszę pani. Pani z mężem jesteście wolni. Przepraszamy za sprawione kłopoty.
- Mąż? - Zmierzyłem Hanę spojrzeniem. Czy mnie oszukiwała? Czy jeden z tych...
- Chodźmy, kochanie - wzięła mnie pod rękę i pociągnęła do drzwi. - Jeszcze niezupełnie wrócił do siebie ... - Uśmiechnęła się słodko.
Kraus i Ntebe zaczęli podnosić się ze swych legowisk, ale Birnbaum powiedział:
- Wy dwaj zostajecie tutaj. Jeszcze nie ustalono czy jesteście ofiarami czy sprawcami tej rozróby.
Hana zatrzymała się.
- Cóż, ile to jeszcze potrwa? Nie chcemy opuszczać naszych przyjaciół.
- Musicie - wzruszył ramionami Birnbaum. - Wy jesteście wolni, oni nie. Nie wiem ile to potrwa. - Gestem wyprosił nas na zimny, okrutny świat.

— I co teraz? - Hana odchyliła się do tyłu, opierając głowę na metalowej poręczy ławki. Plac, jak większość przeznaczonych dla turystów miejsc na Polach Elizejskich, z powodu panującej na zewnątrz niskiej temperatury znajdował się pod ziemią. Siedzieliśmy jak bezdomne sieroty gapiąc się na turystów, oglądających oświetlone wystawy domów handlowych.
- Cóż, może wrzucę to tam i wypowiem jakieś życzenie. - Wyciągnąłem moją kartę kredytową, jedyną rzecz jaka mi została i pokazałem na fontannę pośrodku placu.
- Chciałabym, żebyśmy mogli uwolnić Cefasa i Basila! - uderzyła piąstką w kolano. - Do diabła! Jeśli Salad podejrzewa, że odkryłeś prawdę, każda chwila jest cenna. - Odgarnęła włosy z czoła. - Ale możesz mi przynajmniej powiedzieć, gdzie jest Kabir.
- On został mnichem.
- Żartujesz.
- Jak Boga kocham. Wstąpił do klasztoru, znajdującego się w pobliżu bieguna, w sektorze arabskim. Do jednej z dziwacznych grup z Ziemi, z miejscowości zwanej Debre Damo.
- Słyszałam o nich. Ale za nic nie mogę sobie wyobrazić Khorrma Kabira odmawiającego różaniec w chrześcijańskim klasztorze!
- Wątpię, żeby to robił. Ale kto wie? Ma tak ekscentryczne zwyczaje, że każe sobie przysyłać informacje przez kuriera, a nie przez komputer. Założę się o wszystko co mam, że to wejście do komputera jest tam gdzie on - w klasztorze. Nikomu nie przyszłoby do głowy tam go szukać.
- Ale tam nie wpuszczają kobiet! - spuściła głowę w skupieniu. Nawet żadnego zwierzęcia płci żeńskiej, by nie przeszkadzało im w medytacjach... - Wargi jej zadrżały jakby nie wiedziała czy roześmiać się czy zakląć. W końcu roześmiała się. - Nie wiem dlaczego się śmieję... to okropne, do licha! Cała ta sytuacja jest okropna... - Oparła się o moje ramię i sytuacja, z mojego punktu widzenia, nagle zmieniła się w o wiele przyjemniejszą.
Jakiś czas potem wyszliśmy, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.
- Co zrobimy? - szepnęła. - Wszystkie nasze rzeczy są w tym przeklętym hotelu.
Znowu wyciągnąłem kartkę kredytową.
- Mam pięćdziesiąt tysięcy seeyi.
A to było dużo więcej niż potrzebowaliśmy, żeby dostać wszystko, co mogło nam się przydać.

— Czy jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - zapytała. Dobrze wiedząc, że już znała moją odpowiedź, przytuliłem ją i pocałowałem ostatni raz.
- Ethan... - Wyciągnęła do mnie zaciśniętą na czymś dłoń. - Weź to ze sobą. - Włożyła mi to coś do kieszeni, mrucząc jakieś słowa w nieznanym mi języku. - Żebyś wiedział, że myślę o tobie...

Nie wiem, czy dzięki temu ona pamiętała o mnie, ale ja na pewno nie mogłem przestać myśleć o niej. Pół dnia później, rozparty w wygodnym siedzeniu podskakującego naziemnego powoziku, trzymałem to nadal, uwięzione w mojej grubej rękawicy - dowód, że ostatnia noc nie była tylko snem - wąska, ręcznie zrobiona ze srebra wstążeczka, z wplecionymi pasemkami czarnych jak heban włosów. Uśmiechałem się do wspomnień, które otoczyły mnie błogą mgiełką pozwalając zapomnieć o nie kończącej się podróży z New Cairo. Nagle zarumieniłem się, mimo że Faoud, mój przewodnik, zdawał się być zupełnie obojętny na moje marzenia, nie mówiąc już o moim wyglądzie. Sprawiał wrażenie człowieka dobrodusznego i polecono mi go w agencji turystycznej, ale byłem pewien, że uważał mnie za wariata.
Wjechaliśmy na coś leżącego na drodze i naziemny pojazd na kulistych kółkach skoczył jak kangur. Dla Faouda nic nie stanowiło przeszkody, nawet to, że podróż wprawiała mój żołądek w fatalny stan. Z rozpaczą patrzyłem przez okno. Wyłoniliśmy się z tumanu kurzu i zobaczyłem sterty czerwonych kamieni, poczerniałych od sadzy. Przypominały ruiny spalonych w czasie wojny domów. Chcąc znaleźć najłatwiejszy sposób stopienia pokrywy lodowej na biegunach Marsa, kolonizatorzy sięgnęli w swej burzliwej przeszłości po środek najtańszy i najbardziej niezawodny - zanieczyszczenie środowiska, powodowane przez przemysł. Kiedy Marsjanie mówią „zanieczyszczenie środowiska to nasze największe osiągnięcie", to nie jest to tylko żart.
I chociaż doceniam fakt, że bez tego kolonie nie mogłyby żyć, a bez nich ja, nigdy nie mogłem zapomnieć o wyniesionym z Ziemi moralnym przekonaniu, że nie należy niszczyć środowiska naturalnego. Nie jestem fanatykiem, jak Vegowie, ale cieszę się, że nie muszę oglądać Bieguna Południowego.
Uspokajająco poklepałem ETHANAKA: kiedy ją spędzałem miło czas rozmyślając o Hanie, on przetrawiał skąpe informacje o Ge'ez, języku używanym przez mnichów, z taśmy, którą udało mi się zdobyć. Pozwoliłem, by wyniki jego analizy przepłynęły do mego świadomego umysłu, żeby móc się do nich w razie potrzeby odwołać. To przyjemnie uczyć się tak szybko.
- Jesteśmy na miejscu - powiedział Faoud. Posłusznie spojrzałem we wskazanym kierunku, oczekując, że zobaczę samotny niedostępny szczyt, gdyż Debre Damo znaczy święta góra i na Ziemi ci mnisi mieli swoją siedzibę na takim właśnie szczycie. Ale zamiast tego ujrzałem przepaścisty kanion, rozdzielający leżącą przed nami równinę.
- Uważaj na ten dół!
Faoud uśmiechnął się do mnie z pobłażaniem, jakie zwykle okazuje się upośledzonym na umyśle.
- To właśnie tam. Klasztor znajduje się na dole. - Zatrzymał pojazd gwałtownie tuż nad krawędzią.
Kiedy założyliśmy hełmy i maski i wygramoliliśmy się na zewnątrz zobaczyłem, że ktoś na nas czeka. Postać omotana w łachmany i pokryta kurzem wyglądała jak figurka ulepiona z błota, ale rozważywszy różne możliwości doszedłem do wniosku, że musi to być komitet powitalny z klasztoru. Kiedy podeszliśmy bliżej zauważyłem, że monstrualna głębia kanionu lśniła dziwnym blaskiem: święta jasność? Mimo agnostycznej postawy, zrobiło to na mnie duże wrażenie.
Faoud i mnich wymienili słowa powitania w Ge'ez. Słuchałem, starając się sprawdzić czy potrafię praktycznie wykorzystać nowo poznany język. Sapnąłem uprzejmie, kiedy Foud przedstawił mnie mnichowi, którego imię w wolnym tłumaczeniu brzmiało Ojciec Dobrobyt. Potem zaczęli rozprawiać o pieniądzach.

– On mówi, że teraz podróż na dół do klasztoru kosztuje dwie seeyie, panie.
– Dwie seeyie? Tutaj? Trochę świecka cena, nieprawdaż? Nic dziwnego, że nazywają go Ojciec Dobrotyt. – Spojrzałem na Faouda.
Wzruszył ramionami.
– Trudno go przekonać. Taka tradycja, od setek lat pobierali opłaty, jeszcze na Ziemi. Jak pan chce to może się pan potargować...
Z niechęcią poszperałem w kieszeni mojego plecaka i wyciągnąłem kilka monet.
– Masz, zapłać mu.
Obaj skinęli głowami na znak aprobaty.
– No cóż, wrócę za tydzień, panie – pogodnie powiedział Faoud, zmierzając do swego pojazdu.
Drzwi zamknęły się za nim, włączył dopływ prądu. Cofnął powozik, obrócił się i ruszył do przodu, jakby chciał jak najszybciej wrócić do cywilizacji. Nagle zrozumiałem, jakie ogarnęło go uczucie. Odwróciłem się w stronę świetlistego kanionu. Brat Dobrobyt wręczył mi coś przypominającego skórzaną uprząż. Nogi ugięły się pode mną. Nad samą krawędzią kanionu stał szereg gigantycznych kół pasowych.
– Faoud! – wrzasnąłem. Ale zobaczyłem już tylko oddalający się tuman kurzu, a mój krzyk zamarł w powietrzu.
Zrezygnowany podszedłem do krawędzi, by zobaczyć co mnie czeka. Od razu cofnąłem się i zamknąłem oczy. Przepaść miała jakieś cztery kilometry szerokości i dobre dwa głębokości. Jedyną drogą na dół było... to? Spojrzałem na szelki. Mnich przyglądał mi się cierpliwie, jakby przyzwyczajony był do takiego niezdecydowania.
Zacząłem zakładać szelki.
Pamiętam tylko jedną logiczną myśl, kiedy spuszczał mnie na dół wzdłuż gorącej, oślepiającej ściany... Byłem bardzo zadowolony, że zapłaciłem mu całe dwie seeyie.
Kiedy dotarłem do klasztoru, w kanionie było ciemno jak w piekle. Przeprowadzono mnie oświetlając drogę świecą przez coś, co śmierdziało jak wiejskie podwórze, nakarmiono jakąś gorącą papką i zapakowano na nocleg do maciupeńkiej chatki. Sny miałem bardzo dziwne.

Przed świtem obudził Yarrowa dźwięk dzwonów i śpiew. Zastanawiał się dłuższą chwilę, co na Boga nam się przydarzyło. Leżałem w zimnej ciemności na twardej pryczy, pod szorstkim kocami, usiłując przypomnieć sobie dlaczego. W końcu zdałem sobie sprawę, że sytuacja była absurdalna. Robiłem to dla Hany, która miała w sobie cygańską krew i specjalizowała się w badaniu tak zwanych „prymitywnych" rytuałów magicznych. „Będziesz wiedział, że myślę o tobie..." Czy to możliwe? Czyżby mnie zaczarowała?
Kiedy leniwe jesienne słońce wreszcie zstąpiło do kanionu, zrobiłem z pomocą ETHANAKA plan wszystkiego, co znajdowało się pod kopułą klasztoru. Okazało się to bardziej skomplikowane niż myślałem: był to dosłownie labirynt okrągłych, kamiennych chat, rozdzielonych siatką klaustrofobicznych uliczek. To, co ze względu na zapach wziąłem poprzedniej nocy za podwórze, było głównym dziedzińcem, zamieszkałym przez kurczęta. Dalej stał kościół, trzypiętrowy, prostokątny budynek wznoszący się nad morzem okrągłych chat. Jego ściany były również z kamienia, sterczące stalowe żerdzie stanowiły podporę wyższych pięter, błyszcząc niestosownie jak helikopter wśród pterodaktyli.
Ale nigdzie nie rzuciło mi się w oczy nic, co mogło być tajną siedzibą głowy międzynarodowego imperium. Jeśli Khorram Kabir rzeczywiście tam był, to musiał żyć jak ascetyczny pustelnik – i każda z tych skromnych postaci wokół mnie mogła być najbogatszym człowiekiem układu słonecznego. Zacząłem się im przyglądać, ale za nic nie mogłem rozpoznać Kabira wśród zakapturzonych, poważnych twarzy.
Kiedy po wieczornych modlitwach wracałem do mojej chatki, usłyszałem jak trzech mnichów omawiało oczekiwane przybycie następnego gościa. Zorientowałem się, że był to ktoś, kto odwiedzał ich regularnie. I mogłem przysiąc, że ktoś powiedział „helikopter".
Ale to było wszystko, co udało mi się zrozumieć i nawet nie wiedziałem, czy to miało jakieś znaczenie. Kabir musiał tu być, komputer w Xanadu nie kłamał. Myślałem o Hanie i o pozostałych, i o tym jakby to wyglądało, gdybym ich w końcu zawiódł... Potem, leżąc na pryczy późną nocą, myślałem już tylko o Hanie, niepokojony wcale niepobożnymi myślami.
Jest to jeszcze jeden dowód na słuszność twierdzenia, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gdybym tak nie leżał bezsennie, nie usłyszałbym niemalże bezgłośnego dźwięku... lądującego helikoptera? Wstałem i wyjrzałem z chaty. Byłem blisko pokrywy kopuły i za nią zobaczyłem światła, reflektory do lądowania. Nieczęsto widzi się na Marsie helikoptery, a wprowadzenie czegoś takiego do kanionu to nie zabawa. Ponadto samotna postać, w kombinezonie ciśnieniowym, wędrująca w stronę klasztoru... Uznałem, że to nie mógł być zwykły gość.
Ubrałem się pośpiesznie i szybko przemknąłem przez plątaninę uliczek, co w ciemności wcale nie było łatwe. Nie połamawszy sobie nóg dotarłem do dziedzińca akurat na czas, by zobaczyć jak nieznana osoba przechodzi przez plac w towarzystwie dwóch mnichów. Weszli do kościoła. Kościół... jedyny budynek, którego nie mogłem dokładnie obejrzeć, gdyż nie wolno było tego robić nie wtajemniczonym...
To na pewno nie było bez znaczenia. A Kabir? Czy to on był tym nocnym gościem? – czyżby ten klasztor był następnym fałszywym tropem, a on przybywał tu tylko po pocztę? Cóż innego mógłby robić, wślizgując się tu o tej porze? Mogłem się założyć, że nie modlił się za swoje grzechy...
Wreszcie tajemnicza postać wyszła z kościoła i przeszła przez dziedziniec, ale nie w stronę wyjścia. Zastanawiałem się czy zrobić to, co nakazywał mi instynkt i wrócić do łóżka.
Przemknąłem przez podwórze i wszedłem do kościoła. Kiedy byłem w jego bezpiecznym wnętrzu, wyciągnąłem małą latarkę, którą przemyciłem w walizeczce ETHANAKA. Na wszelki wypadek dotknąłem amuletu Hany.
Zapaliłem latarkę i przez kaplicę, w której modliłem się tego wieczoru, przeszedłem do zasłoniętych drzwi. Zawahałem się na myśl, że może popełniłem świętokradztwo. Fakt, że mnisi nie mieli nic przeciwko temu, żeby Kabir przebywał w świętym miejscu, nie znaczył, że i wobec mnie będą tak tolerancyjni. Ale...
Odsunąłem zasłonę i wszedłem do sali. Przesunąłem światłem po rękopisach i zakurzonych stołach, kunsztownych, metalowych krzyżach, freskach i płaskich ekranach na ścianach... ekrany?
I oto zobaczyłem. Na nierównej powierzchni przeciwległej ściany czekał, by przemówić, prostokątny ekran, obok pulpit z przyciskami, krzesło... Komputer. Całe imperium Khorram Kabira. Usiadłem i zabrałem się do pracy.
Światło z ekranu zalało nienaturalną jasnością świętych na freskach. Włączyłem wtyczkę ETHANAKA do pulpitu i pozwoliłem mu prowadzić mnie w tę podróż do niezwykłego mechanicznego umysłu. Był to prawdopodobnie największy i najbardziej skomplikowany komputer jaki kiedykolwiek stworzono – istny raj przypominających chińskie zagadki programów, systemów, zbiorów, danych, jak pełen dziwnych bóstw panteon.
Siedziałem czując jak ETHANAK wciska się między nie, przesiewając i odrzucając, próbując znowu, szukając choćby maleńkiej usterki, furtki, z jednego podprogramu do następnego, ciągle dalej i dalej. Przypomniałem sobie staroświecki system w Xanadu – dostanie się do niego było tak proste jak otwarcie drzwi, dostanie się do tego przypominało włamywanie się do sejfu. Na każdą właściwą operację przypadało tysiące porażek, ale ETHANAK potrafił próbować w niepojętym dla mnie tempie.
Gdyby mi się udało, byłoby to największe osiągnięcie mojego życia. Przewrotny los sprawił, że wybierając to wejście, wybrałem najtrudniejsze. Bo sam komputer musiał być tu, na Marsie – może nawet w tym pokoju... i nie było żadnego opóźnienia w czasie. Gdyby jego mechaniczny korpus znajdował się na Ziemi, miałbym do czynienia jedynie z automatycznym układem o słabszych odruchach obronnych. Opóźnienie w czasie skutecznie zapobiegałoby zamykaniu przede mną bramek. Ale w tej sytuacji ETHANAK musiał stoczyć największą bitwę swego życia.
Był to nie tylko największy system, z jakim się spotkałem. Zacząłem odnosić wrażenie, że również najdziwniejszy. Był taki, jakbym to ja go zaprogramował... a to wcale nie komplement. Jestem najlepszym specjalistą układu słonecznego w wykrywaniu i poprawianiu usterek, ale zupełnie nie mam wyczucia w programowaniu. W rezultacie, jeśli już coś zrobię, to jest to piekielnie zagmatwane. Taki właśnie był system operacyjny tej maszyny. Może było to zabezpieczenie: nic nie było na swoim miejscu, wszystko zasłaniały nic nie znaczące dane.
Nagle z uczuciem triumfu zdałem sobie sprawę, że moje wysiłki nie poszły na marne. Trafiłem na całkowicie nielogiczną sprzeczność – mogła wskazać mi drogę do błędu popełnionego przez programistę. Obwody zamknęły się. Wpakowałem się prosto w pułapkę zabezpieczającą i byłem...
– Kim jesteś? – zapytał zdziwiony głos.
Czyżbym zwariował? Potrząsnąłem głową. Czy słyszałem...
– Jesteś w pułapce, Ethanie Ring. Nie uciekniesz. Czekałem na ciebie...
Głosy. Teraz zrozumiałem co przeżywała Joanna d'Arc.
– Powiedz mi kim jesteś...
Moją pierwszą myślą było to, że niechcący stworzyłem następny dziwoląg, w jakiś sposób ożywiłem ten system. Ale nigdy nie słyszałem głosów. Nawet ETHANAK na początku...
– Kim jesteś? – zadałem bezgłośne pytanie.
– Jestem Khorram Kabir.
A więc to tak: komputer-megalomaniak, wierzący, że jest swoim własnym twórcą... A może...? Czy to możliwe? Czy ten zwariowany system był cały czas świadomy, czy komuś rzeczywiście udało się osiągnąć nieosiągalne... zamienić ludzki umysł, osobowość na programy komputera?
– Zgadza się – powiedział z zadowoleniem głos w mojej głowie. Ta telepatyczna rozmowa była jak drapania w gardle, które nie chce zmienić się w kaszel.
Wreszcie wyjaśniły się wszystkie pogłoski. Khorram Kabir nie był ani stary, ani martwy. Przestał być człowiekiem w dosłownym tego słowa znaczeniu, porzucił świat i swe śmiertelne ciało w najbar-

dziej oryginalny sposób. Ciało... Jeśli to był Khorram Kabir, to kim był ten nieznajomy, którego widziałem...?

Jakby w odpowiedzi usłyszałem za plecami głos:

– Cóż panie Ring. Co za miła niespodzianka.

Odwrócenie głowy w tym momencie było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Bo już wiedziałem, że ten głos przyduszonego królika mógł należeć tylko do jednego człowieka. Spojrzałem na niego.

Czy choć raz w życiu nie mógłbym się pomylić? Salad stał w drugim pokoju, z hełmem w ręku, a w oczach lśniły mu iskierki ponurej satysfakcji.

Zerwałem się z krzesła, próbując wyrwać wtyczkę ETANAKA z pulpitu. Ale nie mogłem, bo Kabir zamknął ją w swoim uścisku. Salad łypnął na mnie złowieszczo i wyciągnął broń.

– Wiem o co mnie posądzasz, ale ja naprawdę, to znaczy...

Rewolwer plunął bezgłośnie i coś uderzyło jak niewidzialny topór w moje kolano. Opadłem na krzesło.

– Tak się cieszę, że to pan, panie Ring – powiedział Salad. – Po tej pańskiej zdradzie, po tym zniszczeniu, jakie spowodował pan w hotelu, po ucieczce bez zapłacenia za to wszystko... – Na jego twarzy pojawił się uśmiech obłąkanego mordercy. – Cóż, teraz pan zapłaci. Bo pan Kabir nadal chce się dowiedzieć, kto pana wynajął. A ja to z pana wyduszę... Ale proszę nie powiedzieć tego zbyt szybko, to psuje zabawę. A poza tym i tak w niczym to panu nie pomoże... – Znów podniósł lufę rewolweru.

– O, Boże – jęknąłem, zbyt oszołomiony, by móc logicznie myśleć. – Pomóż mi, Kabir, nie chcesz chyba czuć tego, co on mi zrobi! Powstrzymaj go, ty możesz go powstrzymać! – Nie wiem skąd przyszło mi do głowy, chyba sprawił to Bóg.

Na ekranie zapaliły się dziesięciocentymetrowe litery:

SALAD. STOP.

– Patrz! – wybełkotałem. – Patrz, patrz...

Salad opuścił broń, otworzył szeroko oczy. Znów je zmrużył.

– To sztuczka. Sfałszowałeś...

– To nie jest żadna sztuczka! – Trudno krzyczeć z zaciśniętymi zębami.

– Salad – nowe literki, mniejsze – tu Kabir. – Na ekranie pojawił się szyfr. – Chcę sam go przesłuchać. Nie dotkniesz go dopóki nie dam ci rozkazu. Zrozumiałeś?

– Ale powiedział pan... – Salad nie mógł w to uwierzyć. – Zrozumiałem. Nie wiedziałem, że pan słyszy.

– Wiele rzeczy o mnie nie wiesz, Salad – powiedział ekran. – I nigdy się nie dowiesz.

Również tego, że Kabir mógł czytać moje myśli...

– Więc zdajesz się na moją łaskę, Ring? – Elektroniczna telepatia formułowała słowa w moim mózgu z szybkością myśli, ekran był pusty.

– Tak, panie Kabir – pomyślałem posłusznie. – Dziękuję panu.

– Od bardzo dawna nie czułem bólu, Ring. Zapomniałem jak bardzo tego nie lubię...

– Nie jest pan wyjątkiem. – Spojrzałem na wilgotną nogawkę spodni i zastanawiałem się, czy chciałby sobie przypomnieć uczucie mdłości. – ETHANAK, pomóż mi – poczułem lekkie brzęczenie w głowie, gdy wyłączył receptory bólu. Uff... zrobiło mi się lepiej.

– Wróćmy do mojego pierwszego pytania, na które pan jeszcze nie odpowiedział, Ring: kim pan jest? Człowiekiem czy maszyną? Nigdy przedtem nie zetknąłem się z czymś takim. Nawet nie wiedziałem, że takie stworzenie istnieje.

– Jestem jednym i drugim. Człowiekiem, siedzącym teraz przy pulpicie, maszyną do niego włączoną: umysłem, który powstał z ich połączenia.

– Prawdziwa symbioza! Jak to się stało? – Proszę mi o sobie opowiedzieć – czułem jak jego niecierpliwa ciekawość wypełnia mój umysł.

– To zaczęło się jakieś pół roku temu... – Po raz drugi w ciągu tych kilku dni odbyłem wycieczkę ścieżką wspomnień, na życzenie, któremu nie mogłem odmówić...

– Rozumiem. A teraz proszę opowiedzieć jak wplątał się pan w tę kabałę.

Strzępy wspomnień i cisza, zanim zdążył dowiedzieć się zbyt wiele.

– Przepraszam. Tego nie mogę.

– Mogę zmusić cię do mówienia. Albo Salad to zrobi.

– O, nie! – zerknąłem na Salada, czekającego jak sęp; znów ogarnęła mnie panika.

– Nie wpadaj w panikę, Ring. Zbyt mnie interesujesz, bym zmarnował cię dla tak błahej sprawy. Zwłaszcza, że nie udało ci się zrobić tego, co próbowałeś.

Ulga, a potem przerażenie. Nie udało mi się, ETHANAKOWI się nie udało, ten system był zbyt sprytny dla nas. Zastanawiałem się, czy ETHANAKOWI udałoby się, gdyby był połączony z lepszym umysłem, który powinien był być jego partnerem... Poczułem się oszołomiony i wyczerpany. Coś ciepłego i mokrego zbierało się w moim prawym bucie.

– Fascynuje mnie pan, Ring. I wywołuje moją zazdrość.

– Doprawdy?

– Tak. Ma pan pięć rzeczy, których nie mogę kupić, mimo mego bogactwa – pięć ludzkich zmysłów. Nie widzę. Nie słyszę, nie czuję smaku ani zapachu, nie mogę niczego dotknąć. I nie ma dla mnie odwrotu... moje ciało jest martwe i pogrzebane. Ta krótka chwila dzielenia twoich odczuć, to mój najbliższy kontakt ze światem od trzynastu lat. Nie wiesz co znaczy dla mnie odkrycie, że istniejesz! Czy jesteś tylko jeden?

– O ile wiem, jedyny. – Zdziwiło mnie uczucie, które mnie ogarnęło. Zdałem sobie sprawę, jak dobrze ETHANAK rozumiał słowa Kabira.

– Ja też jestem tylko jeden. Jeden Khorram Kabir, człowiek, który może żyć bez końca. Rządzę imperium... Ale nie mogę zobaczyć mojego ukochanego Xanadu...

– Ale dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? Wszyscy sądzą, że chciałeś po prostu odsunąć się od świata.

– Byłem chory, moje życie uciekało. Ale nie chciałem stracić władzy. Tylko Khorram Kabir mógł tego dokonać... I teraz, kiedy mi się udało, nigdy nie zrezygnuję. Będę rządził moim mocarstwem tak jak żaden inny władca!

Starałem się zwalczyć druzgocący przypływ ambicji.

– Ale nigdy nie zobaszycz deszczu, nie wypijesz Rajskiego Mleka, nie dotkniesz pięknej kobiety!... – Czułem jak jego siła odpływa. Dotknąłem amuletu. – Och, Hana, pomyśl dzisiaj o nieszczęsnym Ethanie... – Przypomniałem sobie o Kabirze.

– Hana? – Nagle przestał być panem świata. Był po prostu starym, samotnym człowiekiem, rozpaczliwie tęskniącym za życiem. Ale mnie nagle zrobiło się go żal.

– Ring! Co się z tobą dzieje?

– Co? – Leżałem na pulpicie i próbowałem przypomnieć sobie jak to się stało. – Przepraszam. – Z trudem usiadłem prosto.

– Co się dzieje? – wahał się między oburzeniem a niepokojem.

– Myślę, że straciłem dużo krwi. – Nie wiadomo dlaczego wydało mi się to zabawne i zacząłem się śmiać. – To wcale nie jest śmieszne! – To prawda. Świadomość, że jestem zmuszony do siedzenia tu i wspominania aż wykrwawię się na śmierć sprawiła, że nagle ogarnął mnie lęk i chłód.

– Wybacz, Ring. Nie zdawałem sobie sprawy... Nie chciałem. To tyle dla mnie znaczy...

– Biedny człowiek – pomyślałem. – Biedny Khorran Kabir, ty nieszczęsny sukinsynu, chcesz tylko tego, czego ja chciałem... czego wszyscy chcemy... wolności, prawa do życia własnym życiem... Ale innym nie pozwolisz mieć tego co chcą... a ty też nie możesz tego mieć... więc o co ci chodzi?... jak okropne musi być życie w takim smutku... – Czułem rozpacz i żal i nie wiedziałem czyje to uczucie.

– Przestań, Ring! Na litość boską...

Oprzytomniałem nagle i odetchnąłem głęboko.

– Czego ode mnie oczekujesz? Po co tu przyjechałeś?

– Wejście – pomyślałem – chcę dla kogoś zrobić wejście, lukę w twoim systemie – udało mi się nie pamiętać dla kogo. – Dla pewnych ludzi, którzy chcą być wolni.

– W porządku. Zrób to.

– Co?

– Zrób to. Nie przeszkodzę ci.

Czy naprawdę to słyszałem?

– Dlaczego?

– Bo litowałeś się nade mną, Ring... Wszyscy litują się nad tymi, których tyran gnębi. Niewielu jest takich, którym żal jest gnębiciela. Tobie żal wszystkich... i dlatego jestem twoim dłużnikiem. Sprawiasz, że niemal czuję, iż tak szlachetne pragnienie zasługuje na spełnienie. – Cofnął się, jak żółw chowający się w swojej skorupie. – Ale jestem człowiekiem interesu, Ring. Więc ubijemy interes. Jesteś jedynym człowiekiem, który może dać mi to, co chcę. Chcę móc widzieć twoimi oczyma, chcę się dowiedzieć jaki jesteś naprawdę. Ta luka będzie istniała, tak długo, jak długo będziesz tu przyjeżdżał raz w miesiącu i zaspokajał moją ciekawość.

– Umowa stoi! Wrócę, o ile uda mi się wydostać stąd żywym, to znaczy...

– Zajmę się tym. Zrób to, co chciałeś!

System odwołał straże, opuścił zwodzone mosty... ETHANAK pozmieniał wszystko szybciej niż zdążyłem pomyśleć.

– Do widzenia, Ring. Uważaj na siebie – należysz do mnie. – Chichot, a potem w moim mózgu byłem już tylko ja.

– SALAD. – Na ekranie pojawił się najpiękniejszy napis, jaki w życiu widziałem: – Zawieź pana Ringa do szpitala, natychmiast.

Salad wstał od stolika i patrzył to na napis, to na mnie! Kat, któremu właśnie powiedziano, że król zniósł karę śmierci.

– Tak, panie Kabir.

Joan D. VINGE

urodziła się w 1948 roku. Z wykształcenia jest antropologiem, z zawodu archeologiem. Jako autorka utworów science fiction zadebiutowała w 1973 roku opowiadaniem **„Tin Soldier”**. Debiut był bardzo udany i w krótkim czasie pisarka stała się jedną z najbardziej znanych postaci młodego pokolenia na amerykańskim rynku SF. Na łamach licznych magazynów zaczęły się ukazywać chętnie czytane i wysoko cenione opowiadania, które przyniosły ich autorce nominacje do John Campbell Award i Jupiter Award. W 1978 roku za opowiadanie **„Eyes of Amber”** otrzymała nagrodę HUGO. Najbardziej znaną powieścią pisarki jest wydana w 1979 roku **„The Snow Queen”**, która doczekała się licznych przekładów.

W numerze 2/82 „Fantastyki” zamieściliśmy napisane wspólnie z mężem opowiadanie **„Uczeń domokrążcy”**.

Musiałem zebrać wszystkie siły, żeby wyłączyć ETHANAKA z pulpitu, mimo że tym razem nikt mnie nie powstrzymał. Wyłączyłem komputer i pokój nagle pogrążył się w ciemności.
Salad zapalił latarkę, zanim zdołałem znaleźć swoją i z rozmysłem skierował światło na mnie... tak świecą w oczy na przesłuchaniu.
– Podaj mi rękę, Salad.
Przeszedł przez pokój i wyciągnął do mnie rękę. Złapałem ją i podniosłem się. Salad gwałtownie wyszarpnął dłoń z mojego uścisku, pozwalając mi upaść prosto na twarz.
Pomału pozbierałem się i spojrzałem na niego. Nie mogłem dostrzec wyraźnie wyrazu jego twarzy. Chyba lepiej, że tak było.
– O, przepraszam, panie Ring... ale obawiam się, że nie mogę panu pomóc.
– Co przez to rozumiesz? – nie zabrzmiało to tak jak chciałem. – Kabir... kazał ci pomóc, do licha!
– Nie, panie Ring – powiedział uprzejmym głosem. – Powiedział mi tylko, żebym zawiózł pana do szpitala. I zrobię to, jeśli dotrze pan do mojego helikoptera o własnych siłach. Widzi pan, on powiedział mi również, żebym pana nie dotykał, jeśli mi tego nie poleci. A tego nie zrobił.
– Wiesz, że o to mu chodziło!
– Zawsze dokładnie wypełniam jego rozkazy. Co do słowa. Dlatego mi ufa.
– Przestanie ci ufać, jeśli nie pojawię się tu za miesiąc. On chce się ze mną widzieć... – próbowałem wstać, ale bezskutecznie.
– Traci pan czas, panie Ring. Z każdą minutą traci pan coraz więcej krwi.
Wreszcie dotarło do mnie, że na tym właśnie polegała gra. Podniosłem się, jako kuli używając wściekłości, przeszedłem przez drzwi i kaplicę do wyjścia.
Odległość dzieląca mnie od śluzy kopuły zdawała się rozciągać jak w koszmarnym śnie topologa: 50 metrów... 500... 5000. Nie sądziłem, żeby w tych okolicznościach wołanie o pomoc przydało się na coś, nawet w Ge'ez.
A jednak wreszcie dotarliśmy do śluzy, mój cień i ja. Przypomniałem sobie, że nie mam maski tlenowej, ale mnisi należeli do porządnego zakonu i ich maski wisiały jak rząd małych aniołków przy wewnętrznych drzwiach śluzy. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia ukradłem jedną z nich. Obróciłem koło na drzwiach śluzy, łapiąc powietrze jak ryba.
Traciłem świadomość... w mojej głowie zaczynała szaleć burza piaskowa... czerwony kurz... Zewnętrzne drzwi otworzyły się i niewiarygodne zimno marsjańskiej nocy uderzyło we mnie jak pięść.
– ETHANAK! Tonę – łap mnie...
– W PORZĄDKU MICHAEL, WYŁĄCZAM ODBIÓR ZIMNA. WYŁĄCZAM BÓL. ZWOLNIONE KRĄŻENIE. ZAMKNIJ OCZY. KROK DO PRZODU, PRZEZ PRÓG. WYŻEJ! RÓWNOWAGA. KROK... JESZCZE JEDEN... I JESZCZE. POJAZD Z LEWEJ. SPOKOJNIE. ODDYCHAJ! CZEKAJ: DWA POJAZDY. DWA? KTÓRY?
– Salad... który? – ALE ON MNIE NIE SŁYSZY. CZEKAJ NA NIEGO. ŚWIATŁA: DWIE OSOBY, IDĄ TU. KTO? NIE PRZEWRACAJ SIĘ! NAPNIJ MIĘŚNIE NÓG. PRZESUWAJ STOPY. MUSIMY ICH WYMINĄĆ. MUSIMY...
– Ring! Czy to ty? Ring!
– Salad, rzuć to! Mam cię na muszce. Rzuć!
– GŁOSY: NTEBE, KRAUS... JAK? NIE STAWAJ, JESZCZE NIE... JUŻ PRAWIE BEZPIECZNIE.
– Ring, stary! Już wszystko w porządku!
– GŁOS: NTEBE. – Baliśmy się, że przylecimy za późno.
– Co z nim zrobiłeś, Salad? – Co się z nim dzieje? – GŁOS: KRAUS.
– Nie mam pojęcia, panowie. Złapałem go jak groził panu Kabirowi. To łamanie prawa. Pomagacie przestępcy. To również niezgodne z prawem. – GŁOS: SALAD.
– To zależy od punktu widzenia: – GŁOS: KRAUS.
– Kopter... puście mnie! – DOTKNIJ NOGI. ZAMARZNIĘTA. NOGA NIE PRACUJE. NIE UPADAJ.
– Oprzyj się Ring. Trzymam cię. – GŁOS: NTEBE. RĘCE. RAMIONA. POMOC. – Hana czeka w helikopterze. Zabierzemy się stąd. Chodź Kraus.
– Trzymam cię na muszce, Salad. Nie próbuj żadnych sztuczek. – GŁOS: KRAUS.
– Zlituj się, KRAUS, chodź już! Pomóż mi, on jest potwornie ciężki. – GŁOS: NTEBE.
– GŁOS: SALAD. – Nie udało mu się, wszystkim wam się nie udało. WM pożałuje tego.
– GŁOS: NTEBE. – Do widzenia, Salad.
– WIĘCEJ RĄK. HELIKOPTER RUSZA DO GÓRY: DOBRE, TAK... DOBRE RĘCE. DOBRZY LUDZIE. NIE MA SALADA...
– Ethan, Ethan. – GŁOS: TAKHASHI. – Szybciej! Co się stało? Wiedziałam, wiedziałam, że coś jest źle... O, Boże, on jest zimny jak lód, włączcie ogrzewanie. Dajcie apteczkę, potrzebne są bandaże... Ethan, czy mnie słyszysz? Słyszysz mnie?
– CIEPLEJ RAMIONA... MIŁO... ZWIĘKSZONE CIŚNIENIE W KABINIE – ODDYCHAJ GŁĘBOKO, MICHAEL... – Nie.
– Nie? – GŁOS: TAKHASHI – Yarrow?...
– Nie.
– ET... ETHANAK? – GŁOS: TAKHASHI.
– Tak.
– O Boże, on jest sterowany przez ten aparat. – GŁOS: NTEBE.
– ZAWARTOŚĆ TLENU W KRWI WZRASTA. NORMALNE KRĄŻENIE... ZAKŁÓCENIA... długi tunel... ratunku... do diabła... gdzie jest moje ciało...
– WITAJ MICHAEL. – Wszystko jest właśnie tak jak być powinno... Normalne ciśnienie i oddychanie tlenem działa równie dobrze jak transfuzja.
– Brr. Przytul mnie mocno, Panno Szczęścia – wymamrotałem.
– Czy jesteś pewna, że to komputer? – Ntebe pochylił się, żeby mi się przyjrzeć.
– To nie ma znaczenia... my wszyscy... czujemy to samo. – Mrugnąłem oczami, szron topniał mi na rzęsach i krople wody kapały do oczu. – Masz swoje wejście, Ntebe.
– Cudownie! – Ale spojrzał na moją nogę i spochmurniał. – Straciłeś ponad litr krwi...
– Nie przejmuj się.
– Więc udało się. Naprawdę się udało! – zarechotał przy sterze Kraus. – Co za przygoda.
– Basil – powiedziała Hana, delikatnie chuchając na moje zamarznięte palce – zamknij się.
Zapadła cisza.

— Już nigdy nie będę mógł grać na skrzypcach. – Leżałem na macie przy oknie solarium.
– Grasz nogami? – zapytała Hana.
Spojrzałem na nią z poważną miną.
– A czy istnieje jakiś inny sposób?
Kraus jęknął.
– Kto tu jest pacjentem, Kraus, ty czy ja? To mnie ma prawo boleć.
– Pokuśtykałem, by usiąść przy Hanie na plastykowej czerwonej kanapce.
– Boli mnie szyja – Kraus uśmiechnął się do mnie.
– A propos, nadal czekamy aż Salad ręką prawa spuści nam topór na głowę. Chociaż nie chce mi się wierzyć, żeby się na to odważył. – Ntebe zmarszczył brwi.
– Jeśli już spadnie czyjaś głowa, to raczej kata – powiedziałem. – Z niecierpliwością czekam na chwilę, kiedy będę mógł zadać cios... Nie sądzę, żeby Khorramowi Kabirowi spodobało się to, co mi się zdarzyło, kiedy go wyłączyłem.
Hana objęła mnie.
– Khorram Kabir... to komputer. Nadal nie mogę w to uwierzyć. To zbyt nieprawdopodobne.
– Jeśli się ma dość pieniędzy, można mieć wszystko. No, może nie dosłownie wszystko... – pokręciłem głową.
– Nawiązując do mojej umowy z nim – Ntebe spojrzał na mnie i zawahał się. – Nie mam prawa żądać tego od ciebie, po tym co już dla nas zrobiłeś. Ale, gdybyś mógł... odwiedzać go... jeszcze przez kilka miesięcy...
– Zamierzam dotrzymać swojej obietnicy. – Poklepałem ETHANAKA. – Nie chcę, żeby cały ten trud poszedł na marne. A poza tym, chcę to zrobić. Bo wiem co to znaczy nie być. – Spojrzałem na plastykowy kwiat, stojący w doniczce na podłodze. – I może uda mi się stopić jego mechaniczne serce.
Ntebe rozpogodził się.
– Może masz rację.
– Mój płonący statek – Hana pocałowała mnie w policzek.
– Proszę – powiedziałem czerwieniąc się. – Zrób to jeszcze raz.
– No, tak. – Ntebe wstał. – Chodź, Basil. Napijmy się herbaty, albo czegoś lepszego.
– Co?... Aha. – Kraus wstał również. Odeszli cicho.
– Powiedz mi – poprosiłem, kiedy wreszcie zostaliśmy sami. – Skąd wiedziałaś, że cię potrzebuję?
Roześmiała się.
– Ten amulet, który ci dałam, wskazywał drogę. A poza tym śledziłam Salada. On poleciał za tobą... my za nim.
– Ale wtedy, skąd wiedziałaś?
– Chyba nie chcesz, żebym powiedziała prawdę? – zapytała z szelmowskim uśmiechem.
Zastanawiałem się przez chwilę.
– Może rzeczywiście nie. – Dotknęła mojej ręki z czułością. – A może chcę, żebyś przepowiedziała mi przyszłość?
Spojrzała na mnie poważnie.
– Cóż, jako doktor przewiduję, że będziesz potrzebował dłuższego odpoczynku i szczególnej kuracji...
– Nie jesteś doktorem tej specjalności!
– I nie taką kurację mam na myśli.
W każdym razie podziałała ona jak czary.

Przełożyła **Anna Miklińska**

■

Ale Foyle miał ze sobą chłopca. Tylko dzięki temu nie został z miejsca ostrzelany. Unosząc w ramionach Sigurda przemknął przez klasztor niczym uczestnik biegu z przeszkodami gnający do mety. Nikt nie ważył się zastąpić mu drogi, bowiem czołowe zderzenie dwóch ciał pozostających pod pięciokrotnym przyspieszeniem pociągnęłoby za sobą fatalne dla obu skutki. Dla postronnego obserwatora, cały ten karkołomny pościg wyglądał jak trwający pięć sekund zygzak błyskawicy.

Foyle wyprysnął z klasztoru, przeleciał jak strzała przez nawę główną monastyru, minął w pełnym pędzie labirynt i dopadł do publicznej jauntrampy za główną bramą. Tam zatrzymał się, wyłączył przyspieszenie i jauntował się na odległy o pół mili kosmodrom. Kosmodrom był również rzęsiście oświetlony i roił się od Komandosów. Każdy szyb antygrawitacyjny zajęty był przez statek Brygady. Jego własny jacht znajdował się pod strażą.

W jedną piątą sekundy po pojawieniu się na kosmodromie Foyla, przyjauntowała tam za nim pogoń z monastyru. Rozejrzał się rozpaczliwie dokoła. Otaczało go pół regimentu Komandosów; wszyscy pod przyspieszeniem; wszyscy gotowi do walki na śmierć i życie; wszyscy dorównujący mu sprawnością albo przewyższający go w niej. Szanse na zwycięstwo były żadne.

I wtedy Satelity Zewnętrzne odwróciły te szanse. Dokładnie w tydzień po nalocie na Ziemię uderzyły na Marsa.

Pociski spadły znowu na tę, pogrążoną w mroku nocy ćwiartkę planety, na której minęła już północ, a nie nastał jeszcze świt. Znowu niebiosa zamigotały wybuchami przechwytywanych przez system obronny bomb, horyzont eksplodował wielkimi kłębami światła, a ziemia drżała od detonacji pocisków docierających do celu. Tym jednak razem nastąpiło upiorne urozmaicenie, gdyż oto na niebie rozerwała się oślepiająco jasna nova, oblewając nocną półkulę globu jaskrawym światłem. To rój głowic nuklearnych zderzył się z maleńkim satelitą Marsa - Fobosem, zmieniając go w jednej chwili w obłok pary.

Zaskoczenie, jakie wywołał wśród Komandosów ten przerażający atak, dało Foylowi szansę. Przyspieszył ponownie i przedarł się przez kordon zdezorientowanych żołnierzy do swego jachtu. Zatrzymał się przed lukiem głównym, którego strzegł oszołomiony oddział wartowniczy, wahający się czy kontynuować starą akcję, czy też zareagować na zaistniałą sytuację. Foyle z całych sił cisnął Sigurda Magsmana w powietrze jak starożytny Szkot miotający pniakiem i gdy oddział wartowniczy rzucił się jak jeden mąż, aby pochwycić chłopca, zanurkował między nimi i wpadł przez luk do jachtu zatrzaskując za sobą klapę i ryglując ją.

Wciąż pod przyspieszeniem, nie tracąc czasu na sprawdzenie, czy na jachcie ktoś nie pozostał, pomknął na dziób do sterowni, popchnął dźwignię zwalniającą i gdy tylko jacht zaczął się wznosić po wiązce antygrawitacyjnej, dał pełny ciąg 10G. Nie przypasał się do fotela pilota. Wpływ zrywu 10G na jego pozostające w stanie przyspieszenia i nie zabezpieczone ciało był potworny.

Siła przeciążenia porwała go w swoje szpony i wyrzuciła z fotela. Jak lunatyk, cal po calu, posuwał się w kierunku tylnej ściany sterowni. Dla jego przyspieszonych zmysłów, ściana zdawała się najeżdżać na niego. Wyciągnął przed siebie ręce i oparł się o nią obiema dłońmi. Spowolniona siła, pchająca go w kierunku rufy, rozkrzyżowała mu ramiona i przyciskając do ściany, zrazu lekko, potem coraz to silniej i silniej, wgniotła wreszcie w metal jego twarz, szczęki, pierś i całe ciało.

Narastające przeciążenie stawało się nie do wytrzymania. Czynił wysiłki, aby przełączyć językiem klawiaturę w ustach, ale przygniatająca go do ściany siła odrzutu uniemożliwiała wykonanie najmniejszego choćby ruchu odkształconymi ustami. Grzmot eksplozji, który doszedł go gdzieś z dolnego krańca pasma częstotliwości akustycznych powiedział mu, że Brygada Komandosów ostrzeliwuje jacht z powierzchni planety. Statek rwał pełnym ciągiem w granatowo-czarny mrok kosmosu, a on zaczął wrzeszczeć skrzeczącym głosem nietoperza, aż wreszcie litościwi bogowie odebrali mu przytomność.

Część II

ROZDZIAŁ 8

Wraz z odchodzącym rokiem zaraza zatruła planety. Działania wojenne nabrały rozmachu i z odległej awantury romantycznych rajdów i kosmicznych potyczek przerodziły się w zaczątki rzezi. Stało się oczywiste, że dobiegła końca ostatnia z Wojen Światowych i rozpoczęła się pierwsza z Wojen Układowych.

Strony walczące gromadziły powoli sprzęt i ludzi do wyniszczenia. Satelity Zewnętrzne ogłosiły powszechną mobilizację, a Planety Wewnętrzne z konieczności poszły w ich ślady. Zmilitaryzowano całe gałęzie przemysłu, handlu, nauki, rzemiosł i zawodów; mnożyły się coraz to nowe zarządzenia i represje. Armie i floty rekwirowały i sprawowały rządy.

Handel podporządkował się zaistniałej sytuacji, ponieważ obecna wojna (tak samo zresztą jak wszystkie inne wojny) stanowiła zbrojną fazę komercjalnych przepychanek, ale narody buntowały się. Do krytycznych problemów narosły: jaunting przed poborem i jaunting przed pracą. Szerzyły się strach przed szpiegostwem i obawa przed inwazją. Histerycznie zachowywali się zarówno konfidenci jak i ludzie dokonujący samosądów. Złowieszcze przeczucie paraliżowało każdy dom od wyspy Baffina do Falklandów. Odchodzący rok ożywiało jedynie pojawienie się Cyrku Four Mile.

Był to popularny przydomek, którym ochrzczono groteskową trupę niejakiego Geoffreya Fourmyle z Ceres, młodego błazna przybyłego na Ziemię z największego z asteroidów. Fourmyle z Ceres był nieprawdopodobnie bogaty; był przy tym również nieprawdopodobnie zabawny. Stanowił klasyczny przykład nowobogackiego wszystkich czasów.

Jego trupa była skrzyżowaniem objazdowego cyrku z komicznym dworem bułgarskiego książątka, o czym niech zaświadczy jej nietypowe przybycie do Green Bay w Wisconsin.

Wczesnym rankiem pojawił się tam pełnomocnik w cylindrze klanu prawniczego na głowie, z wykazem obozowisk w ręku i z małą fortuną w kieszeni. Zdecydował się na czteroakrową łąkę położoną nad brzegiem jeziora Michigan i wydzierżawił ją za przesadnie wysoką sumę. Za nim przybyli mierniczy z klanu Masson i Dixon. W ciągu dwudziestu minut wytyczyli miejsce pod obozowisko i rozeszła się pogłoska o przybyciu Cyrku Four Mile. Zwabiona zapowiedzią uciesznego widowiska, ściągnęła tłumnie do Green Bay okoliczna ludność z Wisconsin, Michigan i Minnesoty.

Najpierw przyjauntowało na miejsce dwudziestu tragarzy, z których każdy dźwigał na plecach zwinięty namiot. Rozpętała się potężna uwertura wywrzaskiwanych komend, pokrzykiwań, przekleństw i torturującego uszy wizgu sprężonego powietrza. Dwadzieścia gigantycznych namiotów pęczniało w oczach, nadymając się jak balony. Ich gumilakowe i lateksowe powłoki połyskiwały tysiącem rozbłysków, schnąc w promieniach zimowego słońca. Widzowie byli zachwyceni.

Niebawem z góry spłynął sześciomotorowy helikopter i zawisł nad gigantyczną trampoliną. Jego brzuch otworzył się i na dół runęła kaskada mebli i drobnego wyposażenia. Po chwili przyjauntowała służba, kamerdynerzy, kucharze i kelnerzy. Umeblowali i udekorowali namioty. Zaczęły dymić kuchnie polowe i nad obozowiskiem rozeszły się wonie smażenia, pieczenia i gotowania. Cały czteroakrowy

teren patrolowany był już przez prywatną policję Fourmyle'a, która służbiście powstrzymywała napierający tłum gapiów.
Następnie samolotami, samochodami, autobusami, ciężarówkami, motocyklami i jauntując się przybyła trupa Fourmyle'a. Bibliotekarze z książkami, naukowcy z laboratoriami, filozofowie, poeci i atleci. Zestawiono kozły z mieczy i szabel, rozesłano maty do judo oraz ustawiono bokserski ring. W ziemię wkopano pięćdziesięciostopowy basen i za pomocą pomp napełniono go wodą z jeziora. Między dwoma atletami wybuchła interesująca sprzeczka czy basen należy podgrzać dla pływaków, czy też zamrozić go dla łyżwiarzy.
W następnej kolejności przybyli muzycy, aktorzy, kuglarze i akrobaci. Wrzawa stała się ogłuszająca. Brygada mechaników zaczęła ożywiać kolekcję silników wysokoprężnych Fourmyle'a roztopionym w wielkim dole smarem. Jako ostatnia przybyła ciągnąca za obozem zbieranina żon, córek, kochanek, prostytutek, żebraków, szulerów i kieszonkowców. W późnych godzinach porannych zgiełk dochodzący z cyrku słychać było w promieniu czterech mil, stąd też jego przydomek.
W południe, wyróżniając się efektownym sposobem podróżowania, przybył sam Fourmyle z Ceres, a sposób, w jaki to uczynił mógł rozśmieszyć ponuraka od siedmiu lat cierpiącego na melancholię. Z południa nadleciał brzęcząc gigantyczny hydroplan i wodował na jeziorze. Spod samolotu wynurzyła się barka desantowa i prując z głośnym buczeniem fale podpłynęła do brzegu. Przednia klapa barki opadła z hukiem na brzeg i po tak utworzonym pomoście zjechał na ląd dwudziestowieczny wóz dowodzenia. Ku uciesze zachwyconych widzów cud nakładał się na cud, bo oto po przejechaniu jakichś dwudziestu jardów w kierunku centrum obozu, wóz dowodzenia zatrzymał się.
- Na czym teraz wyjedzie? Na motocyklu?
- Nie, na wrotkach.
- Co wy, wyleci na odrzutowej miotle.
Ale Fourmyle zakasował najdziksze spekulacje zebranych. Z wozu dowodzenia wysunęła się bowiem lufa cyrkowego działa, rozległ się huk eksplozji czarnego prochu i Fourmyle z Ceres wystrzelony z armaty poszybował pełnym gracji łukiem pod samo wejście do swego namiotu, gdzie przez czterech kamerdynerów został złapany w sieć. Aplauz, którym go przywitano, słyszalny był w promieniu sześciu mil. Fourmyle wdrapał się na ramiona kamerdynerów i pomachał ręką na znak, że chce przemawiać.
- Przyjaciele, Rzymianie, Wieśniacy - zaczął żarliwie. - Użyczcie mi swych uszu, Szekspir. 1564-1616. Cholera! - Z rękawów Fourmyle'a wyfrunęły, trzepocząc skrzydłami, cztery białe gołębie i wzbijając się w górę odleciały na zachód. Fourmyle odprowadził je zdumionym wzrokiem i ciągnął dalej: - Przyjaciele pozdrawiam, witam, bonjour, bon ton, bon vivant, bon voyage, bon... Co, u diabła? - Kieszenie Fourmyle'a stanęły w płomieniach strzelając na wszystkie strony fajerwerkami sztucznych ogni. Gdy próbował się ugasić, trysnęły zeń chmury serpentyn i konfetti. - Przyjaciele... Zamknijcie się! Powiem krótko. Cicho! Przyjaciele...! - Fourmyle spojrzał na siebie skonsternowany. Jego ubranie topniało w oczach odsłaniając niesamowicie szkarłatną bieliznę. - Kleinmann! Co z tym twoim cholernym hipnotreningiem?
Z namiotu wychyliła się kudłata głowa.
- Ty się uczył ta mowa wczorajsza noc, Fourmyle?
- Tak, do cholery. Dwie godziny ja się uczył. Ani na chwilę nie wyjąłem głowy z hipnotyzatora. Jesteś Kleinmann w Prestidigitacji.
- Nie, nie nie! - wrzasnął kudłacz. - Ile razy mam ja ci mówić. Prestidigitacja nie robić mowa. To być magia. Dumbkopf! Ty wziął zła hipnoza!
Zaczęła topnieć szkarłatna bielizna. Fourmyle zeskoczył z ramion trzęsących się kamerdynerów i zniknął w swoim namiocie. Zerwał się huragan śmiechu i burza oklasków. Cyrk Four Mile rozkręcił się na dobre. Kuchnie skwierczały i kopciły, jedzenia i picia było w bród, orkiestra ani na chwilę nie przestawała grać. Przedstawienie trwało nadal.
W namiocie Fourmyle zmienił ubranie, zmienił zamiar, znowu go zmienił, rozebrał się ponownie, rozdał kilka kopniaków kamerdynerom i zawołał swojego krawca łamanym francuskim, okraszonym oksfordzkim akcentem i afektacją. Już na wpół ubrany w nowy garnitur przypomniał sobie, że się nie wykąpał. Dał po nosie krawcowi i kazał nalać do basenu dziesięć galonów perfum i nagle jak grom z jasnego nieba poraziło go poetyckie natchnienie. Wezwał nadwornego poetę.
- Zapisz to - polecił mu - Le roi est mort, les... Czekaj. Jaki jest rym do księżyca?
- Wieżyca - podpowiadał poeta - strażnica, matryca, stolnica, donica, kłonica....
- Zapomniałem o moim eksperymencie - wykrzyknął Fourmyle. - Doktorze Bohun! Doktorze Bohun!
Półnagi wpadł jak bomba do laboratorium, zderzył się w drzwiach ze swym nadwornym chemikiem,

- Spytaj, kto mógł jej rozkazywać. Była kapitanem na swoim własnym statku. Kto mógł jej rozkazywać. Spytaj ją o to.
- *„Chcę do mojej niani".*
- Zapytaj ją.
- *„Nie. Nie. Nie. Boję się. Ona jest chora. Ona jest ciemna i czarna. Ona jest zła. Nie rozumiem jej. Chcę do mojej niani. Chcę do domu".*
Dzieciak wrzeszczał i trząsł się na całym ciele; Foyle krzyczał. Echo huczało. W momencie, gdy Foyle wyciągnął rękę chcąc zatkać Sigurdowi usta, oślepiło go jaskrawe światło. Całe katakumby oświetlał Płonący Człowiek. Przed Foylem stał w płonącym ubraniu jego sobowtór o straszliwej twarzy i błyszczącymi oczyma wpatrywał się w Skopca, którego nazwisko brzmiało Lindsey Joyce.
Płonący Człowiek otworzył swe tygrysie usta. Wydobył się z nich zgrzytliwy dźwięk, przypominając ognisty śmiech.
- Ona cierpi - usłyszał Foyle.
- Kim jesteś? - wyszeptał.
Płonący Człowiek skrzywił się z bólu.
- Za jasno - jęknął. - Mniej światła.
Foyle postąpił krok naprzód i Płonący Człowiek zasłonił dłońmi uszy. Na jego twarzy malowała się śmiertelna udręka.
- Za głośno - krzyknął. - Poruszaj się ciszej.
- Czy jesteś moim Aniołem Stróżem?
- Oślepiasz mnie. Szał - powiedział Płonący Człowiek i nagle roześmiał się znowu. - Posłuchaj jej. Ona krzyczy. Ona błaga. Ona nie chce umierać. Ona nie chce cierpieć. Słuchaj jej.
Foyle zadrżał.
- Ona nam mówi, kto wydał ten rozkaz. Czy nie słyszysz? Słuchaj oczyma - Płonący Człowiek wskazał szponiastym palcem na skręcającego się w konwulsjach Skopca. - Ona mówi: Olivia.
- Co?!
- Ona mówi Olivia. Olivia Presteign. Olivia Presteign. Olivia Presteign.
Płonący Człowiek zniknął.
W katakumbach znowu zapanowały ciemności.
Wokół Foyla wirowały kolorowe światła i kakofonia ech. Dyszał ciężko i chwiał się na nogach.
- Ślepy Jaunting - mruczał. - Olivia. Nie. Nie. Nigdy. Olivia...
Poczuł jak jego dłoni dotyka jakaś inna dłoń.
- Jiz? - wyrzezil.
I dopiero teraz uświadomił sobie, że to Sigurd Magsman trzyma go za rękę i płacze. Wziął chłopca na ręce.
- *„Cierpię"* - wychlipał Sigurd.
- Ja też cierpię, synu.
- *„Chcę do domu".*
- Zaraz cię tam odprowadzę.
Ciągle trzymając chłopca na rękach powlókł się przez katakumby.
- Śmierć za życia - mamrotał do siebie. - Dołączyłem do nich.
Znalazł kamienne stopnie prowadzące z podziemi do budynku monastyru. Wspinał się po nich mozolnie, rozkoszując się myślą o śmierci i swym nieutulonym żalem. Dostrzegł nad sobą jasne światło i przez chwilę myślał, że to już świt. Potem zdał sobie sprawę, że cały klasztor skąpany jest w potokach sztucznego światła. Słyszał tupot obutych stóp i niski pomruk wydawanych komend. Przystanął w połowie schodów i wziął się w garść.
- Sigurd - szepnął - kto jest na górze? Wybadaj to.
- *„Wojsko"* - odparł dzieciak.
- Żołnierze? Jacy żołnierze?
- *„Komandosi"* - pomarszczona twarz Sigurda rozjaśniła się. - *„Przyszli po mnie. Chcą mnie zabrać do niani. TUTAJ JESTEM! TUTAJ JESTEM!"*
Telepatycznemu wrzaskowi odpowiedziały okrzyki na górze. Foyle przyspieszył i przemierzając resztę schodów wpadł rozmazaną plamą do klasztoru. Znalazł się w czworokącie romańskich łuków, okalających zielony trawnik. Pośrodku trawnika rósł gigantyczny, libański cedr. Wytyczone chorągiewkami ścieżki roiły się od doborowych oddziałów komandosów i Foyle stanął oko w oko z równym sobie przeciwnikiem, bowiem w chwilę po dostrzeżeniu wypadającego z katakumb na powierzchnię rozmazanej plamy, komandosi przyspieszyli również, przemieniając się dla świata zewnętrznego w identyczne, poruszające się błyskawicznie plamy.

– Zamknij się – warknął Foyle. – Przestań. Wyjdziemy stąd jak znajdziesz Lindseya Joyce'a. Skoncentruj się i odszukaj go.

– *„Tam"* – chlipnął Sigurd. – *„Tam, przed nami. Na dole. Siedem, osiem, dziewiąta półka od dołu. Ja chcę do domu. Jestem chory. Ja..."*

Foyle na łeb na szyję pognał katakumbami ciągnąc za sobą Sigurda Magsmana i odczytując po drodze tabliczki identyfikacyjne, dopóki nie natrafił na tę, która głosiła:

„LINDSEY JOYCE. BOUGAINVILLE. VENUS"

To był jego wróg, sprawca jego moralnej śmierci i śmierci sześciuset ludzi z Callisto. To był wróg, w stosunku do którego snuł swe plany zemsty i którego tropił przez wiele miesięcy. To był wróg, któremu przygotowywał cierpienia w luksusowej kabinie z lewej burty swego jachtu. To była „Vorga". Była kobietą.

Foyle stanął jak rażony piorunem. W owych czasach, czasach podwójnego kryterium, kiedy to kobiety trzymano w odosobnieniu, krążyło wiele pogłosek o przypadkach podawania się kobiet za mężczyzn, celem dostania się do zamkniętego dla ich płci świata, nigdy jednak nie słyszał o kobiecie, która by służyła w marynarce handlowej... maskowała się przez całą, długą drogę do najwyższej rangi oficerskiej.

– To? – wykrzyknął wreszcie rozwścieczony. – To jest Lindsey Joyce? Lindsey Joyce z „Vorgi"? Spytaj ją.

– *„Nie wiem co to jest „Vorga".*

– Spytaj ją.

– *„Ale ja nie... Ona była... Ona lubiła rozkazywać".*

– Czy była kapitanem?

– *„Nie podoba mi się to, co w niej jest. Wszystko tam jest chore i ponure. To boli. Ja chcę do domu".*

– Spytaj ją. Spytaj, czy była kapitanem „Vorgi".

– *„Tak, była. Proszę cię, proszę, proszę, nie każ mi już w nią wchodzić. Tam jest źle i boli. Nie lubię jej".*

– Powiedz jej, że jestem człowiekiem, którego nie zabrała na pokład 16 sierpnia 2436 roku. Powiedz jej, że zabrało mi to dużo czasu, ale w końcu przyszedłem, żeby wyrównać rachunki. Powiedz jej, że zamierzam się zemścić.

– *„N... nie rozumiem. Nie rozumiem".*

– Powiedz jej, że ją zabiję. Umrze powoli i w męczarniach. Powiedz, że na jachcie mam kabinę urządzoną tak samo, jak mój schowek na pokładzie „Nomada", w którym gniłem przez sześć miesięcy... w którym zostawiono mnie z jej rozkazu, żebym umarł. Powiedz jej, że będzie gnić i umierać tak jak ja. Powiedz jej! – Foyle potrząsnął ze złością zasuszonym dzieciakiem. – Zrobię tak, żeby to poczuła. Nie ucieknie przed tym, chociaż została Skopcem. Powiedz jej, że ją zarżnę. Czytaj mnie i mów jej wszystko!

– *„Ona...O...oona nie wydała tego rozkazu".*

– Co takiego?

– *„Nie mogę jej zrozumieć".*

– Nie wydała rozkazu porzucenia mnie w kosmosie?

– *„Boję się w nią wchodzić".*

– Wchodź, mały sukinsynu, albo rozerwę cię na sztuki. Co ona ma na myśli?

Dzieciak wył; kobieta skręcała się; Foyle szalał z wściekłości:

– Wchodź w nią! Wchodź! Wyciągnij to z niej. Jezu Chryste, dlaczego jedyny telepata na Marsie musi być dzieciakiem? Sigurd! Sigurd, posłuchaj. Zapytaj ją: Czy to ona wydała rozkaz wyrzucenia za burtę uchodźców?

– *„Nie. Nie!"*

– To znaczy nie wydała, czy ty w nią nie wejdziesz?

– *„Ona go nie wydała".*

– Czy to ona wydała rozkaz pozostawienia „Nomada" własnemu losowi?

– *„Ona jest spaczona i chora. Och, proszę! NIA-NIUUU! Chcę do domu. Chcę stąd wyjść".*

– Czy to ona wydała rozkaz pozostawienia „Nomada" własnemu losowi?

– *„Nie".*

– Nie wydała?

– *„Nie. Odprowadź mnie do domu."*

– Spytaj jej, kto go wydał.

– *„Chcę do mojej niani".*

doktorem Bohunem i wylądował wraz z nim pośrodku namiotu. Chemik, gdy usiłował wstać z podłogi stwierdził, iż znajduje się w najboleśniejszym i najbardziej zawiłym chwycie duszącym.

– Nogouchi! – wrzasnął Fourmyle – Hej! Nogouchi! Wynalazłem właśnie nowy chwyt judo.

Fourmyle wstał, podniósł duszącego się chemika i jauntował się z nim na matę, gdzie mały Japończyk obejrzał swym fachowym okiem chwyt i pokręcił głową.

– Nie, wasza dostojność – zasyczał grzecznie – Hfffff. Ten nacisk na tchawicę nie zawsze będzie śmiertelny. Hfffff. Ja pokażę. – Pochwycił otumanionego chemika, zakręcił nim w powietrzu i rozciągnął na macie w pozycji pewnego samozaduszenia. – Widział pan, Fourmyle?

Ale Fourmyle był już w bibliotece i okładał swego bibliotekarza po głowie tomem „Das Sexual Leben" Blocha/8 funtów i 9 uncji/, gdyż ten nieszczęśliwiec nie potrafił mu polecić żadnego tekstu z zakresu budowy perpetuum mobile. Zirytowany Fourmyle wtargnął potem do laboratorium fizycznego, gdzie zniszczył kosztowny chronometr do eksperymentów z kołami zębatymi, jauntował się na estradę, gdzie chwytając za batutę wprowadził zamieszanie wśród muzyków z orkiestry, nałożył łyżwy i wpadł do napełnionego perfumami basenu pływackiego; wyłowiono go stamtąd klnącego siarczyście na brak lodu i wyrażającego życzenie pozostawienia go w spokoju.

– Życzę sobie zostać sam – powiedział Fourmyle i kopniakami rozpędził kamerdynerów na cztery wiatry. Warczał, dopóki ostatni z nich nie dopadł drzwi i nie zatrzasnął ich za sobą.

Warczenie ustało i Foyle wstał.

– To powinno im na dzisiaj wystarczyć – mruknął i wszedł do garderoby. Stanął przed lustrem, nabrał powietrza w płuca i wstrzymał oddech, obserwując uważnie swoją twarz. Po upływie jednej minuty była ona wciąż nieskazitelnie czysta. Nadal nie wypuszczał powietrza, zachowując nieugiętą kontrolę nad pulsem i mięśniami oraz opanowując podniecenie żelazną siłą woli. Krwawoczerwone piętno pojawiło się po dwóch minutach i dwudziestu sekundach. Foyle wypuścił powietrze z płuc i tygrysia maska zbladła.

– Lepiej – mruknął do siebie. – Dużo lepiej. Ten stary fakir miał rację. Jedyną radą jest joga. Kontrola. Puls, mięśnie, wnętrzności, umysł. Rozebrał się do naga i obejrzał swe ciało. Znajdował się w świetnej formie, ale skóra od karku aż po kostki stóp poprzecinana była wciąż delikatną siecią cieniutkich, srebrzystych nitek. Wyglądało to tak, jakby ktoś odrysował na ciele Foyla zarysy jego układu nerwowego. Srebrne szwy były nie zagojonymi jeszcze bliznami po operacji.

Operacja ta, która kosztowała Foyla 200 000 kredytek łapówki wręczonej Naczelnemu Chirurgowi Marsjańskiej Brygady Komandosów, przekształciła go w straszliwą maszynę wojenną. Wymieniono mu każdy splot nerwowy, w mięśnie i kości wmontowano miniaturowe tranzystory i transformatory, a u nasady pleców zainstalowano maleńkie platynowe gniazdko. Do niego wtykał Foyle zasilacz wielkości ziarnka grochu i włączał go w razie potrzeby. Jego ciało wpadało wtedy w sterowane elektronicznie drgania, które pod względem amplitudy graniczyły nieomal z wibracjami mechanicznymi.

– Bardziej maszyna niż człowiek – pomyślał Foyle. Ubrał się, odrzucając ekstrawaganckie szaty Fourmyle'a z Ceres na rzecz czarnego, anonimowego kombinezonu bojowego.

Jauntował się do apartamentu Robin Wednesbury w budynku wznoszącym się samotnie pośród wisconsinskich sosen. To był prawdziwy powód przybycia Cyrku Four Mile do Green Bay. Jauntował się i przybył w pustkę i ciemność, spadając natychmiast na dół.

– Złe współrzędne! – pomyślał lecąc. Chybiony jaunting? – Uderzył się boleśnie o sterczący koniec złamanej dachówki i wylądował z łomotem na rozkładającym się trupie, który leżał rozciągnięty na potrzaskanej podłodze.

Zerwał się z kontrolowanym obrzydzeniem i nacisnął językiem pierwszy prawy górny ząb trzonowy. Podczas operacji, która przekształciła połowę jego ciała w maszynę elektroniczną, klawiaturę zainstalowano mu w zębach. Naciskając ząb językiem Foyle pobudził peryferyjne komórki siatkówek swych oczu do emisji łagodnego światła. Skierował dwie blado świecące wiązki w dół na trupa mężczyzny.

Zwłoki leżały w apartamencie znajdującym się pod mieszkaniem Robin Wednesbury. Były wypatroszone. Foyle spojrzał w górę. W suficie, tam gdzie powinna być podłoga salonu Robin, ziała dziura o średnicy dziesięciu stóp. W całym budynku śmierdziało spalenizną, dymem i zgnilizną.

– Szaber – mruknął cicho Foyle. – Ten dom splądrowali szabrownicy. Co tu się wydarzyło?

Wiek jauntingu utworzył z włóczęgów, trampów i wagabundów całego świata nową warstwę społeczną. Ciągnęli ze wschodu na zachód za nocą, zawsze w ciemnościach, zawsze w poszukiwaniu łupu, szczątków ocalałych z klęsk żywiołowych, padliny. Gdy trzęsienie ziemi zburzyło dom towarowy, plądrowali go już następnej nocy. Gdy ogień strawił dom mieszkalny lub wybuch zniszczył systemy alarmowe sklepu, wjauntowywali się do wnętrza i oczyszczali je dokładnie. Nazywali siebie Szaber-jauntowcami. Byli szakalami.

Foyle wspiął się na górę po resztkach klatki schodowej. Na korytarzu, piętro wyżej, obozowali Szaber-jauntowcy. Nad ogniskiem, które poprzez dziurę w dachu strzelało w niebo skwierczącymi iskrami, piekła się dorodna sarna. Wokół ogniska siedziało z tuzin mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy potargani i odpychający. Szwargotali coś między sobą w rymowanym, londyńskim żargonie szakali. Odziani byli w łachmany i popijali kartoflane piwo z kieliszków od szampana.

Pojawienie się Foyla przyjęte zostało ze złowieszczym pomrukiem, wyrażającym mieszaninę złości i strachu przed wynurzającym się niespodziewanie spośród ruin olbrzymem w czerni, który przypatrywał się im bacznie oczyma emitującymi snopy bladego światła. Foyle kroczył niespiesznie między podnoszącą się z miejsc bandą, zmierzając w stronę drzwi mieszkania Robin. Dzięki żelaznej kontroli, jaką sprawował nad własnym ciałem z całej jego postaci emanował nastrój chłodnej obojętności.

– Jeśli ona nie żyje – myślał – jestem skończony. Potrzebuję jej, ale jeśli nie żyje...

Apartament Robin był tak samo zdewastowany jak i reszta budynku. Po salonie pozostał tylko owal podłogi okalającej wyrwaną pośrodku dziurę. Foyle szukał ciała. W sypialni leżało w łóżku dwóch mężczyzn i kobieta. Mężczyźni przywitali go przekleństwami. Kobieta wrzasnęła na widok zjawy. Mężczyźni rzucili się na Foyla. Cofnął się o krok i nacisnął językiem dwa górne siekacze. Zabuczały obwody nerwowe i każdy zmysł oraz szybkość reakcji jego ciała na bodźce zewnętrzne uległy pięciokrotnemu przyspieszeniu.

W rezultacie nastąpiło natychmiastowe spowolnienie świata zewnętrznego do niesamowicie żółwiego tempa. Dźwięk mowy przeszedł w basowy bełkot. Barwy przesunęły się w dół widma ku czerwieni. Dwaj napastnicy zdawali się teraz płynąć w jego kierunku z koszmarną powolnością. Dla reszty świata Foyle stał się rozmazaną w ruchu plamą. Odsunął się spokojnie na bok, unikając pięści zmierzającej cal po calu w kierunku jego szczęki, obszedł mężczyznę dookoła, podniósł go do góry i wrzucił do krateru ziejącego w podłodze salonu. Drugiego szakala popchnął w ślad za pierwszym. Dla przyspieszonych zmysłów Foyla ich ciała zdawały się płynąć wolno w powietrzu, przyhamowane w pół wykroku, z wciąż jeszcze wysuwającymi się ospale do przodu pięściami i otwartymi ustami wydającymi stłumione, bełkotliwe dźwięki.

Foyle śmignął do kobiety kulącej się w rogu łóżka.

– Błoucło? – spytała cienkim głosem rozmazana plama.

Kobieta wrzasnęła.

Foyle nacisnął ponownie górne siekacze, wyłączając przyspieszenie. Świat zewnętrzny powrócił z wstrząsem z tempa zwolnionego do normalnego. Dźwięk i barwy przeskoczyły w górę swych skal, a dwaj szakale zniknęli w dziurze, spadając z łoskotem na podłogę apartamentu położonego piętro niżej.

– Było tu ciało? – powtórzył normalnym głosem Foyle. - Murzynka? – Kobieta nie była komunikatywna. Schwycił ją za włosy i potrząsnął, po czym wrzucił sparaliżowane ze strachu ciało do otworu w podłodze.

W poszukiwaniach śladu, który poinformowałby go o losie Robin przeszkodziła mu banda z korytarza. Nieśli ze sobą pochodnie i sporządzoną naprędce broń. Szakal-jauntowcy nie byli zawodowymi mordercami. Tylko bezbronną ofiarę zadręczali na śmierć.

– Nie przeszkadzajcie mi – ostrzegł spokojnie Foyle pochłonięty myszkowaniem po szafkach i zaglądaniem pod przewrócone meble.

Szabrownicy przysunęli się bliżej, podjudzani przez zbója w futrze z norek i trójgraniastym kapeluszu oraz zagrzewani do walki przekleństwami dochodzącymi z dołu. Człowiek w trójgraniastym kapeluszu cisnął w Foyla pochodnią. Sparzyła go. Znowu przyspieszył i Szaber-jauntowcy przemienili się w żywe posągi. Foyle podniósł z podłogi nogę od krzesła i nie spiesząc się zaczął nią okładać jak maczugą poruszające się w zwolnionym tempie postacie. Na razie żaden z nich nie upadł. Foyle przewrócił mężczyznę w trójgraniastym kapeluszu na podłogę i ukląkł na nim. Zwolnił.

Świat zewnętrzny znowu ożył. Szakale padli tam gdzie stali, ogłuszeni ciosami Foyla. Człowiek w trójgraniastym kapeluszu i futrze z norek zaryczał.

– Było tu ciało? – spytał Foyle. – Młoda Murzynka. Wysoka. Bardzo ładna.

Mężczyzna wił się, próbując wyłupić Foylowi oczy.

– Przecież szukacie ciał – powiedział cicho Foyle. – Niektórzy z was, Szabrowników, wolą dziewczęta martwe niż żywe. Znaleźliście tu jej ciało?

Nie uzyskując zadowalającej odpowiedzi, Foyle pochwycił płonącą pochodnię i przytknął ją do futra z norek. Stanęło w płomieniach. Zaciągnął Szaber-jauntowca do salonu i z kamienną twarzą obserwował jak rabuś tarza się wyjąc na krawędzi krateru i wpada niczym żywa pochodnia w jego mroczną czeluść.

– Było tu ciało? – zawołał z niezmąconym spokojem Foyle, wychylając się poza krawędź dziury w

– *„Z kapitanem. Sklo... Skpo..."* – dziecko jąkało się, lamentując coraz głośniej. – *„Idź sobie. Jesteś zły. Zło jest w twojej głowie i płonący ludzie i..."*

– Chodź no tu, Sigurd.

– *„Nie pójdę. NIANIU! NIA-NIUUU!"*

– Stul dziób, gówniarzu!

Foyle porwał z ziemi siedemdziesięcioletnie dziecko i potrząsnął nim w powietrzu.

– To będzie dla ciebie nowe doświadczenie, Sigurd. Po raz pierwszy w swoim życiu dostaniesz w skórę.

Podstarzałe dziecko odczytało go i zawyło.

– Zamknij się! Idziemy na wycieczkę do Kolonii Skopców. Musisz być grzeczny i robić, co ci każę. Potem odstawię cię bezpiecznie do domu i dam lizaka, czy czym cię tam, u diabła, przekupują. A jak nie będziesz grzeczny, to stłukę cię na kwaśne jabłko.

– *„Nie, nie zrobisz tego... Nie zrobisz tego. Jestem Sigurd Magsman. Jestem Sigurd telepata. Nie odważysz się".*

– A ja jestem Gully Foyle, synku. Wróg Publiczny Numer Jeden Układu Słonecznego. Jestem o krok od zakończenia całorocznego polowania... ryzykuję własną głową, bo muszę wyrównać rachunki z sukinsynem, który... Jestem Gully Foyle, synku i nie ma takiej rzeczy, na którą bym się nie ważył.

Telepata zaczął nadawać przerażenie z takim natężeniem że w całym Mars St. Michele rozdźwięczały się dzwonki alarmowe. Foyle przycisnął do piersi stare dziecko, przyspieszył i wyniósł je z twierdzy, po czym jauntował się.

PILNE. SIGURD MAGSMAN UPROWADZONY PRZEZ CZŁOWIEKA ZIDENTYFIKOWANEGO TYMCZASOWO JAKO GULLIVER FOYLE, ALIAS FOURMYLE Z CERES, WRÓG PUBLICZNY NUMER JEDEN UKŁADU SŁONECZNEGO. PRAWDOPODOBNE MIEJSCE PRZEZNACZENIA USTALONO. ZAALARMOWAĆ BRYGADĘ KOMANDOSÓW. POWIADOMIĆ CENTRALĘ WYWIADOWCZĄ. PILNE!

Starożytna sekta Skopców z Białej Rusi, wierząc, iż korzeniem wszelkiego zła jest seks, praktykowała ohydną samokastrację celem wykarczowania tego korzenia. Nowocześni Skopcy, wierząc, iż korzeniem wszelkiego zła pozostają zmysły, praktykowali jeszcze bardziej barbarzyński zwyczaj. Wstępując do Kolonii Skopców i płacąc za ten przywilej fortunę, nowicjusze poddawali się radośnie operacji, w trakcie której odłączano im układ zmysłów postrzegania i dożywali swych dni pozbawieni zmysłów wzroku, słuchu, węchu, smaku, dotyku oraz mowy.

Kiedy nowicjusz po raz pierwszy wkraczał do monastyru, pokazywano mu elegancką, wyłożoną kością słoniową celę, w której, jak mu dawano do zrozumienia, spędzi troskliwie pielęgnowany resztę życia w skupionej kontemplacji. W rzeczywistości, pozbawione zmysłów stworzenia pakowano do katakumb, gdzie siedziały na nieociosanych, kamiennych płytach i były karmione oraz oporządzane raz dziennie. Przez dwadzieścia trzy z dwudziestu czterech godzin każdej doby, nieszczęśnicy ci wegetowali samotnie w ciemnościach, nie pielęgnowani, nie strzeżeni i przez nikogo nie kochani.

– Żywe trupy – mruknął Foyle. Wyłączył przyspieszenie, postawił Sigurda Magsmana na ziemi i zapalił reflektorki siatkówkowe w swych oczach, próbując nimi przebić mrok. Na powierzchni była północ. Pod ziemią, w katakumbach, północ panowała wiecznie. Sigurd Magsman nadawał przerażenie i udrękę z takim telepatycznym rykiem, że Foyle zmuszony był znowu potrząsnąć dzieciakiem.

– Zamknij się! – szepnął. – Nie wolno ci obudzić tych trupów. Znajdź mi teraz Lindseya Joyce'a.

– *„Oni są chorzy.. wszyscy chorzy... jakby mieli w głowach robaki i chorobę i..."*

– Chryste, sam to wiem. No, skończ już z tym. Będzie jeszcze gorzej.

Szli krętym labiryntem korytarzy katakumb. Ze ścian, od podłogi po sklepienie, sterczały półki. Skopcy, biali jak ślimaki, niemi jak trupy, nieruchomi jak Buddowie, wypełniali groty odorem żywych umarłych. Telepatyczne dziecko płakało i wrzeszczało. Foyle ani na chwilę nie poluźnił bezlitosnego chwytu jakim przyciskał je do siebie, ani na chwilę nie ustawał w tropieniu.

– Johnson, Wright, Keeley, Graff, Nastro, Underwood... Boże, są tu ich tysiące. – Foyle odczytywał brązowe tabliczki identyfikacyjne przymocowane do każdej płyty-półki. – Skup się, Sigurd. Znajdź mi Lindseya Joyce'a. Nie będziemy ich przecież odczytywać nazwisko po nazwisku. Regal, Cone, Brady, Vincent... Co u...?

Foyle odskoczył do tyłu. Jedna z kościstobiałych postaci przykuła jego wzrok. Kołysała się i wiła; jej twarz wykrzywiała się w dziwnych grymasach. Foyle rozejrzał się. Wszystkie białe ślimaki kręciły się i wiły na swych półkach. Nieprzerwany, telepatyczny przekaz udręki i przerażenia nadawany przez Sigurda Magsmana dosięgnął ich mózgów i sprawiał im tortury.

KOMISJA BADANIA ZBRODNI WOJENNYCH ZOSTAJE NINIEJSZYM ZOBOWIĄZANA DO SPORZĄDZENIA LISTY WROGÓW PUBLICZNYCH, NUMER PIERWSZY NADAJĄC NA NIEJ FOYLOWI. Y-Y: CENTRALA WYWIADOWCZA.

1 000 000 KREDYTEK NAGRODY ZA UDZIELENIE INFORMACJI, KTÓRE DOPROWADZIŁYBY DO UJĘCIA FOURMYLE'A Z CERES, ALIAS GULLIVERA FOYLA, ALIAS GULLY FOYLA, PRZEBYWAJĄCEGO AKTUALNIE NA WOLNOŚCI NA PLANETACH WEWNĘTRZNYCH. PRIORYTET!

W dwa wieki po kolonizacji Marsa walka o powietrze na tej planecie wciąż jeszcze znajdowała się w tak krytycznym stadium, że obowiązywało nadal Prawo L-W, czyli Prawo Linczu Wegetacyjnego. Narażenie na szwank lub zniszczenie jakiejkolwiek rośliny niezbędnej do przetworzenia składającej się głównie z dwutlenku węgla marsjańskiej atmosfery w atmosferę tlenową, było wykroczeniem karanym śmiercią. Nietykalne było każde źdźbło trawy; stawianie tabliczek z napisami „Nie deptać trawników" było całkowicie zbędne. Mężczyzna, który zszedłby ze ścieżki na trawnik zostałby natychmiast zastrzelony. Kobieta, która zerwałaby kwiatek, zostałaby bez litości zabita. Dwa wieki gwałtownej śmierci, jaką karano niszczenie zieleni, wzbudziło dla tej ostatniej cześć porównywalną niemal z religijnym kultem.

Foyle pamiętał o tym pędząc środkiem grobli wiodącej do Mars St. Michele. Z portu kosmicznego Syrtis jauntował się prosto na rampę St. Michele, usytuowaną u wejścia na groblę, która biegnąc na odcinku ćwierć mili przez zielone pola uprawne, kończyła się u bram Mars St. Michele. Te drogę trzeba było przebyć pieszo.

Podobnie jak oryginalna Mont St. Michele na francuskim wybrzeżu, Mars St. Michele była majestatyczną, gotycką katedrą o strzelistych wieżycach i potężnych przyporach, majaczącą na wzgórzu i sięgającą nieba. Na Ziemi katedrę Mont St. Michele opływały oceaniczne fale. Katedrę Mars St. Michele na Marsie omywały zielone fale traw. Obydwie budowle były twierdzami. Mont St. Michele była twierdzą wiary, dopóki nie zdelegalizowano zorganizowanej religii. Mars St. Michele była twierdzą telepatii. Mieszkał w niej jedyny pełny telepata Marsa – Sigurd Magsman.

– Pozostały mi jeszcze te bastiony obronne, chroniące Sigurda Magsmana – zawodził monotonnie Foyle, a przypominało to coś pośredniego między histerycznym wyciem, a odmawianiem litanii. – Po pierwsze: Układ Słoneczny, po drugie: prawo wojenne, po trzecie: Dagenham-Presteign i spółka, po czwarte: sama twierdza, po piąte: umundurowana straż, personel, służba i wielbiciele tego brodatego mędrca, którego wszyscy tak dobrze znamy – Sigurda Magsmana, sprzedającego swe przeraźliwe moce za przeraźliwe ceny...

Foyle wybuchnął niepohamowanym śmiechem:

– Ale po szóste: wiem, że Sigurd Magsman ma piętę achillesową... bo zapłaciłam 1 000 000 kredytek Sigurdowi III..., a może był to Sigurd IV?

Przeszedł bez przeszkód przez zewnętrzny labirynt katedry Mars St. Michele okazując sfałszowane listy uwierzytelniające i kusiło go, żeby blefować dalej prosząc o audiencję z samym Wielkim Człowiekiem, zamiast dostać się doń od razu poprzez akcję komandoską. Musiał oprzeć się pokusie, gdyż czas ponaglał, a nieprzyjaciel mógł być już blisko. Przyspieszył więc, przemknął rozmazaną plamą przez katedrę i w ogrodzonym wysokim murem ogrodzie znalazł skromnie wyglądający domek. Budyneczek miał brązowe okna i pokryty strzechą dach, przez co można go było wziąć za stodołę. Foyle wśliznął się do wnętrza.

W domku mieściło się przedszkole. W fotelach na biegunach siedziały bez ruchu, trzymając w zastygłych dłoniach niedokończone robótki, trzy sympatyczne nianie. Za ich plecami pojawiła się nagle rozmazana plama będąca Foylem i użądliła je bez pośpiechu żądło-ampułkami. Wyłączył przyspieszenie swego ciała i spojrzał na stare, stareńkie dziecko – zasuszonego, pomarszczonego chłopca, który siedział na podłodze i bawił się elektronicznymi kolejkami.

– Cześć Sigurd – pozdrowił chłopca Foyle.

Dziecko zaczęło płakać.

– Beksa! Czego się boisz? Nic ci nie zrobię.

– *„Jesteś złym człowiekiem o złej twarzy".*

– Jestem twoim przyjacielem, Sigurd.

– *„Nie, nie jesteś. Chcesz mnie namówić do robienia brzydkich rzeczy".*

– Jestem twoim przyjacielem. Posłuchaj, wiem wszystko o tym wielkim, owłosionym człowieku, który udaje, że jest tobą, ale nic nie powiem. Czytaj mnie i sam się przekonaj.

– *„Chcesz mu zrobić krzywdę i chcesz, żebym z nim rozmawiał".*

– Z kim?

podłodze. Tamten potrząsnął w odpowiedzi głową. – Nie poszło zbyt sprawnie – mruknął do siebie Foyle. – Muszę się nauczyć zasięgania języka. Dagenham mógłby mi zdradzić parę chwytów.

Wyłączył wewnętrzny układ elektroniczny i jauntował się.

Pojawił się w Green Bay cuchnąc tak ohydnie opalonymi włosami i przypieczoną skórą, że wstąpił od razu do lokalnego sklepu Presteigna (klejnoty, perfumy, kosmetyki, jonizatory, surogaty), aby nabyć dezodorant. Ale miejscowy Mr. Presto był najwyraźniej świadkiem przybycia Cyrku Four Mile i natychmiast go rozpoznał. Foyle z miejsca zrzucił maskę chłodnej obojętności i przedzierzgnął się w dziwacznego Fourmyle'a z Ceres. Błaznował i wydziwiał. Kupił dwunastouncjowy flakon perfum „Euge Nr 5" (po 100 kredytek za uncję), maznął się delikatnie pod nosem i ku zbudowaniu i zachwytowi Mr. Presta wyrzucił butelkę na ulicę.

Archiwariusz z Archiwum Okręgowego nie był świadomy tożsamości Foyla i przyjął wobec niego postawę nieugiętą i bezkompromisową.

– Niestety, sir. Akta okręgu nie są do wglądu, o ile interesant nie przedstawi nakazu sądowego jako odpowiedniej ku temu podstawy. Takie są przepisy.

Foyle otaksował go przenikliwie i bez urazy.

– Typ asteniczny – zdecydował. – Chudy, długokościsty, niezbyt silny. Egocentryczny, pedantyczny, uczciwy, płytki; zbyt zamknięty w sobie i pruderyjny. Nieprzekupny. Ale szczeliną w jego skorupie jest tłumienie uczuć.

W godzinę później napadło archiwistę sześciu członków trupy z Cyrku Four Mile. Wszyscy byli osobnikami płci żeńskiej, obficie wyposażonymi w rozpustne cechy. Po dwóch godzinach archiwista oszołomiony uciechami cielesnymi, puścił farbę. Budynek, w którym mieszkała Robin Wednesbury stanął otworem dla Szaber-jauntingu w wyniku eksplozji gazu, która wydarzyła się tam przed dwoma tygodniami. Wszyscy mieszkańcy byli zmuszeni go opuścić. Robin Wednesbury przebywała obecnie na oddziale strzeżonym Szpitala Miłosierdzia, nie opodal terenów Poligonu Doświadczalnego Iron Mountain.

– Oddział strzeżony? zdziwił się Foyle. – Dlaczego? Co ona zrobiła?

Zorganizowanie w Cyrku Four Mile grupy kolędników celebrujących święta Bożego Narodzenia zajęło trzydzieści minut. Składała się ona z muzyków, śpiewaków, aktorów i pospólstwa znającego współrzędne Iron Mountain. Wjauntowali się tam pod wodzą swego głównego trefnisia z muzyką, sztucznymi ogniami, wodą ognistą i podarkami. Przeparadowali przez miasto zasypując je prezentami i śmiechem. Przypadkowo natknęli się na pole radarowe systemu alarmowego Poligonu Doświadczalnego, skąd zostali przepędzeni wśród uciesznych wrzasków i popiskiwań. Fourmyle z Ceres, przebrany za Świętego Mikołaja, rozrzucał na prawo i lewo banknoty dobywane z ogromnego wora przerzuconego przez ramię, a podpiekany od spodu przez pole indukcyjne systemu zabezpieczającego zaczął podskakiwać spazmatycznie, dając porywające przedstawienie. Kolędnicy wdarli się do Szpitala Miłosierdzia za Świętym Mikołajem, który ryczał i wierzgał z chłodnym opanowaniem poważnego słonia. Obcałował pielęgniarki, spoił salowe, dokuczył pacjentom podarunkami, zaśmiecił korytarze banknotami i znikł nagle, w chwili, gdy wesołe pląsy osiągnęły takie wyżyny, że musiano wezwać policję. Dużo później stwierdzono, iż znikła również jedna z pacjentek i to pomimo faktu, że znajdowała się ona pod wpływem środków uspokajających i była niezdolna do jauntingu. W rzeczywistości opuściła ona szpital w worze Świętego Mikołaja.

Foyle, dźwigając ją w worku przerzuconym przez ramię, jauntował się do przyszpitalnego parku. Tam, w cichym, sosnowym lasku, pod mroźnym grudniowym niebem, pomógł jej wydostać się z worka. Miała na sobie jedynie zwykłą, szpitalną piżamę i była w niej piękna. Foyle zrzucił swoje przebranie i przypatrywał się bacznie dziewczynie, pragnąc się przekonać czy go pamięta i czy go rozpozna.

Była wystraszona i oszołomiona; wysyłane przez nią myśli przypominały wyładowania elektryczne:

– *„Mój Boże! Kto to jest? Co się stało? Muzyka. Gwar. Dlaczego porwali mnie w worku? Pijacy grali na puzonach. Tak, Virginio, Święty Mikołaj istnieje. Adeste Fidelis. Czego on chce ode mnie? Kto to jest?"*

– Jestem Fourmyle z Ceres – odparł Foyle.

– Co? Kto? Fourmyle z...? Ach tak, oczywiście. *„To ten błazen. Ten burżuazyjny poganin. Wulgarność. Imbecylstwo. Sprośność. Cyrk Four Mile."* Mój Boże! Czy telenadawałam? Słyszysz mnie?

– Słyszę, Miss Wednesbury – powiedział spokojnie Foyle.

– Co ty zrobiłeś? Dlaczego? Co chcesz ze mną zrobić? Ja ...

– Chcę, żebyś na mnie spojrzała.

– *„Bonjour, Madame. Właź do mojego wora, Madame. Ecco! Popatrz na mnie".* Patrzę przecież –

powiedziała Robin, starając się zapanować nad klekotem swych myśli. Zerknęła na jego twarz, nie rozpoznając jej.

– *„Twarz jak twarz. Widziałam takich dziesiątki. O Boże, te twarze mężczyzn! Te Męskie rysy. Każdy w okresie rui. Czyż Bóg nigdy nie uchroni nas przed ich brutalnym pożądaniem?"*

– Mój okres rui już minął, Miss Wednesbury.

– Przepraszam, że to słyszałeś. Jestem naturalnie wystraszona. Ja... Znasz mnie?

– Znam.

– Spotkaliśmy się już kiedyś? – przyjrzała mu się uważniej, ciągle go jednak nie poznając. Gdzieś w głębi duszy poczuł Foyle narastającą falę tryumfu. Jeśli ta kobieta go sobie nie przypomni, jest bezpieczny, pod warunkiem, że będzie panował nad emocjami, umysłem i twarzą.

– Nie, nigdy przedtem się nie spotkaliśmy – odparł. – Słyszałem tylko o tobie. Chcę czegoś od ciebie. Jestem tu właśnie dlatego, że muszę z tobą o tym porozmawiać. Jeśli moja propozycja nie będzie ci odpowiadała, możesz wrócić do szpitala.

– Chcesz czegoś ode mnie? *„Ależ ja nic nie mam. Nic. Nie zostało mi nic prócz wstydu i... O Boże! Dlaczego nie udało mi się popełnić tego samobójstwa? Dlaczego nie potrafiłam..."*

– A więc o to chodzi – przerwał jej łagodnie Foyle. – Próbowałaś popełnić samobójstwo, tak? Stąd ta eksplozja gazu, która rozerwała budynek... i to umieszczenie na oddziale strzeżonym. Targnięcie się na swoje życie. Jak to się stało, że nie ucierpiałaś na skutek wybuchu?

– Tylu było rannych. Tak wielu zginęło. A ja ocalałam. Myślę, że mam pecha. Całe życie byłam pechowa.

– Co cię popchnęło do tego desperackiego kroku?

– Jestem zmęczona. Jestem skończona. Straciłam wszystko... Umieszczono mnie na szarej liście armii... jako podejrzaną. Jestem teraz w ich kartotece, znajduję się cały czas pod obserwacją. Żadnej pracy. Żadnej rodziny. Nic... Dlaczego próbowałam popełnić samobójstwo, pytasz? Dobry Boże, a cóż mi innego pozostało?

– Możesz pracować dla mnie.

– Mogę... Co powiedziałeś?

– Chcę, żebyś pracowała dla mnie, Miss Wednesbury.

Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– Dla ciebie? *„Jeszcze jedna ciura obozowa w cyrku?"* Pracować dla ciebie, Fourmyle?

– Masz seks w mózgu – powiedział łagodnie. – Nie szukam dziwek. Z reguły one mnie szukają.

– Przepraszam. *„Mam obsesję na punkcie tego brutala, który mnie zniszczył. Ja..."* Spróbujmy to uporządkować – Robin, opanowała się. – Zreasumujmy. Porwałeś mnie ze szpitala, żeby zaproponować mi pracę. Słyszałeś o mnie. To by znaczyło, że wymagasz ode mnie czegoś specjalnego. Moją specjalnością jest telenadawanie.

– I urok osobisty.

– Co takiego?

– Chcę kupić twój urok, Miss Wednesbury.

– Nie rozumiem.

– No, wiesz! – powiedział łagodnie Foyle. – To powinno być dla ciebie proste. Jestem błaznem. Jestem samą wulgarnością, imbecylstwem i sprośnością. Z tym trzeba skończyć. Chcę, żebyś była moją sekretarką do spraw kultury.

– I myślisz, że w to uwierzę? Za swoje pieniądze możesz zaangażować sto takich sekretarek... nawet tysiąc. Spodziewasz się, że uwierzę, iż jestem dla ciebie tą jedną jedyną? Że po to porwałeś mnie z oddziału strzeżonego, aby mnie zatrudnić?

Foyle skinął głową.

– To prawda, takich są tysiące, ale tylko jedna potrafi telenadawać.

– A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

– Będziesz brzuchomówczynią: ja będę twoim asystentem. Nie znam form towarzyskich, obowiązujących w wyższych sferach naszego społeczeństwa. Ty je znasz. Wiem, że oni mają swoje własne tematy rozmów, swoje własne dowcipy, swoje własne maniery. Jeśli człowiek chce być przez nich akceptowany, musi posługiwać się ich językiem. Ja nie umiem, ale ty to potrafisz. Będziesz przez moje usta rozmawiała za mnie.

– Ale przecież możesz się tego sam nauczyć.

– Nie. To trwałoby zbyt długo. A zresztą nie można się nauczyć uroku osobistego. Chcę kupić twój urok osobisty, Miss Wednesbury. A teraz przejdźmy do warunków finansowych. Będę ci wypłacał miesięcznie 1000 kredytek.

Oczy Robin rozszerzyły się.

– I on kazał mnie pozostawić na pastwę losu?

– Tak, tak, tak. Dosyć. Daj mi już umrzeć.

– A żyj, ty świnio... ty ohydny, nieczuły skurwysynie! Żyj bez serca. Żyj i cierp. Utrzymam cię przy życiu na zawsze, ty...

Kątem oka dostrzegł Foyle niesamowity błysk światła. Podniósł głowę. Przez wielki, kwadratowy iluminator luksusowej kabiny prawej burty zaglądał do środka jego płonący sobowtór. Zanim zdążył dopaść do iluminatora, płonący człowiek znikł.

Foyle wypadł z kabiny i popędził na dziób, do sterowni głównej, skąd z pęcherza obserwacyjnego ogarniał wzrokiem 270 stopni przestrzeni. Płonącego Człowieka nigdzie nie było widać.

– Wydawało mi się – mruknął do siebie. – To nie mogła być jawa. To był znak, szczęśliwy znak... To Anioł Stróż. Ocalił mnie już na Schodach Hiszpańskich. Mówi mi, żebym nie rezygnował i odszukał Lindseya Joyce'a.

Przypiął się pasami w fotelu pilota, włączył silniki odrzutowe jachtu i gwałtownym ruchem dźwigni dał pełne przyspieszenie.

– Lindsey Joyce, Kolonia Skopców, Mars – myślał, wtłoczony głęboko w pneumatyczny fotel. – Skopiec... Pozbawiony zmysłów, uczuć rozkoszy i bólu. Ucieczka w stoicką krańcowość. Jak mam go ukarać? Jak torturować? Umieścić go w kabinie lewej burty i pokazać co czułem na pokładzie „Nomada"? Psiakrew! To tak, jakby umarł. On przecież jest martwy. Muszę znaleźć sposób, aby ożywić to martwe ciało i doprowadzić do tego, żeby poczuło ból. Żeby być już tak blisko końca i ujrzeć, jak drzwi zatrzaskują ci się przed nosem... Co za cholerne zniweczenie moich wszystkich planów. Zemsta jest po to, aby o niej śnić... nigdy po to, aby wprowadzić ją w czyn.

W godzinę później uwolnił się spod przytłaczającego ciężarem wpływu przyspieszenia i własnej wściekłości. Rozpiął pasy i przypomniał sobie Kempseya. Przeszedł na rufę do sali operacyjnej. Maksymalne przyspieszenie z jakim statek wystartował z Księżyca zakłóciło na tyle pracę pompy krwi, aby zabić Kempseya. Foyle zapałał nagle strasznym gniewem na siebie samego. Bezskutecznie walczył z tym uczuciem.

– Co się z tobą dzieje, kurcze? – szeptał do siebie. – Pomyśl o tych sześciuset wypchniętych w próżnię... Pomyśl o sobie... Stałeś się świętoszkowatym Chrześcijaninem Piwnicznym, który nadstawia drugi policzek i skamle o przebaczenie? Olivio, co ty ze mną robisz? Daj mi siłę, nie tchórzliwość...

Niemniej jednak odwrócił wzrok wyrzucając ciało za burtę.

ROZDZIAŁ 13

ZATRZYMAĆ W CELU PRZESŁUCHANIA WSZYSTKIE OSOBY, O KTÓRYCH WIADOMO, ŻE BYŁY ZATRUDNIONE PRZEZ FOURMYLE'A Z CERES LUB POZOSTAWAŁY Z NIM W JAKICHKOLWIEK STOSUNKACH. Y-Y: CENTRALA WYWIADOWCZA.

WSZYSCY ZATRUDNIENI W SPÓŁCE ZOBOWIĄZANI ZOSTAJĄ DO ZWRACANIA BACZNEJ UWAGI NA NIEJAKIEGO FOURMYLE'A Z CERES, A O JEGO POJAWIENIU SIĘ NATYCHMIAST MELDOWAĆ MAJĄ LOKALNEMU MR. PRESTO. PRESTEIGN.

WSZYSCY KURIERZY MAJĄ PRZERWAĆ NATYCHMIAST WYKONYWANIE BIEŻĄCYCH ZADAŃ I ZAMELDOWAĆ SIĘ W KWATERZE GŁÓWNEJ CELEM ODEBRANIA INSTRUKCJI W SPRAWIE FOYLA. DAGENHAM.

W ZWIĄZKU Z KRYZYSEM WOJENNYM BANK HOLIDAY ZOBOWIĄZANY ZOSTAJE NINIEJSZYM DO ZABLOKOWANIA WSZELKICH KONT FOURMYLE'A. Y-Y: CENTRALA WYWIADOWCZA.

KAŻDY DOPYTUJĄCY SIĘ O SS „VORGA" MA BYĆ BEZZWŁOCZNIE DOPROWADZONY DO ZAMKU PRESTEIGNA CELEM PRZESŁUCHANIA. PRESTEIGN.

PRZYGOTOWAĆ NA PRZYBYCIE FOURMYLE'A WSZYSTKIE PORTY I KOSMODROMY NA PLANETACH WEWNĘTRZNYCH. WSZYSTKICH LĄDUJĄCYCH PODDAWAĆ KWARANTANNIE I REWIZJI CELNEJ. Y-Y: CENTRALA WYWIADOWCZA.

PRZESZUKAĆ I WZIĄĆ POD OBSERWACJĘ KATEDRĘ ŚW. PATRYKA. DAGENHAM.

CELEM UPRZEDZENIA, JEŚLI TO MOŻLIWE, NASTĘPNEGO RUCHU FOYLA, WYSZUKAĆ W AKTACH BONESSA I UIGA NAZWISKA WSZYSTKICH OFICERÓW I CZŁONKÓW ZAŁOGI „VORGI". PRESTEIGN.

Kempsey zemdlał. Foyle ocucił go, nakładając mu maskę tlenową.
- Pozwól mi umrzeć, na miłość boską!
- Co ci jest? Boli? Ja umierałem sześć miesięcy i nie skamlałem.
- Daj mi umrzeć.
- Wszystko w swoim czasie, Kempsey. Twój blok sympatyczny jest zneutralizowany, ale pozwolę ci umrzeć, kiedy nadejdzie na to pora i jeśli będziesz grzeczny. Byłeś na pokładzie „Vorgi" szesnastego sierpnia 2436 roku?
- Zaklinam cię na Chrystusa, daj mi umrzeć.
- Byłeś wtedy na pokładzie „Vorgi"?
- Tak.
- Minęliście w kosmosie wrak. Wrak „Nomada". Wzywał pomocy, a wy jej mu nie udzieliliście, tak?
- Tak.
- Dlaczego?
- Chryste! O Chryste, dopomóż mi!
- Dlaczego?
- O Jezu!
- To ja byłem na „Nomadzie", Kempsey. Dlaczego zostawiliście mnie tam, żebym zgnił?
- Słodki Jezu, dopomóż mi! Chryste, wybaw mnie!
- Ja ciebie wybawię, Kempsey, jeśli będziesz odpowiadał na pytania. Dlaczego zostawiliście mnie, żebym tam zgnił?
- Nie mogliśmy cię zabrać.
- Dlaczego?
- Mieliśmy na pokładzie uchodźców.
- Aha! A więc słusznie się domyślałem. Transportowaliście uchodźców z Callisto?
- Tak.
- Ilu?
- Sześciuset.
- To sporo, ale mogliście przecież zrobić miejsce dla jeszcze jednej osoby. Dlaczego mnie nie zabraliście?
- Wyrzucaliśmy tych ludzi.
- Co!? - krzyknął Foyle.
- Za burtę... wszystkich... sześciuset. Rozbieraliśmy ich do naga... zabieraliśmy im ubrania, pieniądze, klejnoty, bagaże... Wypychaliśmy ich partiami przez śluzę powietrzną. Chryste! Te ubrania na całym statku... Te wrzaski... Jezus! Gdybym mógł to zapomnieć! Nagie kobiety... całe sine... rozrywające się w próżni... lecące za statkiem...Te ubrania na całym statku... Sześciuset... Wyrzuconych.
- Ty sukinsynu! Oszukaliście tych ludzi? Wzięliście od nich pieniądze nie mając nawet zamiaru przewieźć ich na Ziemię?
- Tak, oszukaliśmy ich.
- I to dlatego mnie nie zabraliście?
- I tak musielibyśmy cię wyrzucić.
- Kto wydał ten rozkaz?
- Kapitan.
- Nazwisko?
- Joyce. Lindsey Joyce.
- Adres?
- Kolonia Skopców, Mars.
- Co!? - Foyle był oszołomiony. - On jest Skopcem? Chcesz przez to powiedzieć, że po całym roku tropienia nie mogę go tknąć... nie mogę nic mu zrobić... nie mogę doprowadzić do tego, żeby czuł to co ja czułem? - odwrócił się od rozciągniętego na stole operacyjnym, torturowanego człowieka, cierpiąc na równi z nim torturę pokrzyżowanych planów. - Skopiec! Jedyna rzecz, której nigdy bym się nie spodziewał... przygotowując dla niego tę luksusową kabinę na lewej burcie... Co robić? Na Boga, co robić? - ryczał z wściekłości, a piętno na jego twarzy zdawało się być żywe.
Wyrwał go z tego stanu rozpaczliwy jęk Kempseya. Odwrócił się z powrotem twarzą do stołu operacyjnego i pochylił się nad rozprutym ciałem.
- Podsumujmy to ostatecznie. Rozkaz wyrzucenia uchodźców za burtę wydał ten Skopiec, Lindsey Joyce?
- Tak.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślny, Fourmyle.
- Zatuszuję wniesione przeciwko tobie oskarżenie o próbę samobójstwa.
- Jesteś bardzo miły.
- I obiecuję usunąć twoje nazwisko z szarej listy armii. Z chwilą zakończenia współpracy ze mną, będziesz już figurowała na liście białej. Będziesz mogła zacząć wszystko od początku z czystą kartoteką i sporą odprawą w gotówce, którą otrzymasz ode mnie. Będziesz mogła zacząć życie od nowa.
Usta Robin drżały. Zaczęła płakać. Szlochała tak gwałtownie, że Foyle musiał ją uspokoić.
- No więc jak? - spytał. - Zgadzasz się?
Skinęła głową.
- Jesteś dla mnie taki dobry... To znaczy, nie jestem przyzwyczajona do życzliwości.
Foyle zesztywniał na głuchy odgłos eksplozji, która w tym właśnie momencie targnęła powietrzem.
- Chryste! - wykrzyknął w nagłym porywie paniki. - Znowu ślepy Jaunting. Ja...
- Nie - uspokoiła go Robin. - Nie wiem co to takiego ten ślepy jaunting, ale nie masz się czego obawiać. Pewnie coś detonowali na Poligonie Doświadczalnym. Oni... - spojrzała na Foyla i krzyknęła. Niespodziewany wstrząs wywołany eksplozją i żywy jeszcze w pamięci łańcuch skojarzeń poluzowały na chwilę żelazną obręcz kontroli, którą nad sobą sprawował. Pod skórą twarzy wykwitły mu krwawoczerwone blizny po tatuażu. Patrzyła nań przerażona, wciąż krzycząc.
Dotknął policzka i doskoczył do Robin, zatykając jej usta dłonią. Znowu odzyskał panowanie nad sobą.
- Wylazło, co? - mruknął uśmiechając się upiornie. - Straciłem na chwilę zimną krew. Zdawało mi się, że znowu jestem w Gouffre Martel i słyszę ślepy Jaunting. Tak, jestem Foyle. Jestem brutalem, który cię zniszczył. Wcześniej czy później i tak byś się o tym dowiedziała, miałem jednak nadzieję, że nastąpi to później. Jestem Foyle. To znowu ja. Czy będziesz teraz cicho i wysłuchasz mnie?
Potrząsnęła wściekle głową i próbowała wyrwać się z jego objęć. Ze stoickim spokojem rąbnął ją pięścią w szczękę. Robin zwisła bezwładnie w jego ramionach. Foyle wziął ją na ręce, owinął swoim płaszczem i czekał aż wróci jej świadomość. Gdy dostrzegł, że zatrzepotała powiekami, przemówił znowu:
- Nie ruszaj się, bo pożałujesz. Mogę uderzyć silniej.
- *„Brutal... Zwierzę..."*
- Mógłbym ci wyciąć brzydszy numer - ciągnął. - Mógłbym cię szantażować. Wiem, że twoja matka i siostry są na Callisto i że cię to stawia w niekorzystnym położeniu. Sam ten fakt kwalifikuje ciebie do umieszczenia na czarnej liście, chyba się ze mną zgodzisz? Nie muszę cię przekonywać, że wystarczyłby anonim do Centrali Wywiadowczej, a nie byłabyś już tylko podejrzana. Wypruliby z ciebie zeznania w przeciągu dwunastu godzin...
Poczuł, jak zadrżała.
- Ale nie zamierzam tak postąpić. Zamiast tego postanowiłem wyjawić ci prawdę, gdyż chcę, abyś została moją wspólniczką. Twoja matka przebywa obecnie na Planetach Wewnętrznych. Ona jest na Planetach Wewnętrznych - powtórzył z naciskiem. - Całkiem możliwe, że znajduje się teraz tu, na Ziemi.
- Czy jest bezpieczna?
- Nie wiem.
- Postaw mnie na ziemi.
- Przeziębisz się.
- Postaw mnie na ziemi.
Uczynił to.
- Już raz mnie zniszczyłeś - powiedziała zdławionym głosem. - Czy znowu do tego zmierzasz?
- Nie. Wysłuchasz mnie do końca?
Skinęła głową.
- Byłem rozbitkiem w kosmosie. Umierałem tam i gniłem przez sześć miesięcy. Potem nadleciał statek, który mógł mnie ocalić. Ten statek mnie zostawił. Skazał mnie na śmierć. Ten statek nazywał się „Vorga". „Vorga - T:1339". Czy coś ci to mówi?
- Nie.
- Jiz McQueen - moja przyjaciółka, która już nie żyje - poradziła mi, żebym dowiedział się, dlaczego nie udzielono mi pomocy. To byłaby odpowiedź na pytanie, kto wydał taki rozkaz. Zacząłem więc skupywać informacje o „Vordze". Wszelkie informacje.
- Co to ma wspólnego z moją matką?
- Posłuchaj dalej. Te informacje nie były łatwe do zdobycia. Z akt Bónessa i Uiga zniknęły wszystkie dane dotyczące „Vorgi". Zdołałem ustalić tylko trzy nazwiska... trzy na całą standardową załogę składa-

jącą się z czterech oficerów i dwunastu ludzi. Nikt nic nie wiedział, albo nie chciał mówić. No i znalazłem jeszcze to... – Foyle wydobył z kieszeni srebrny medalionik i wręczył go Robin. – Zastawił go w lombardzie jakiś kosmonauta z „Vorgi". To wszystko, co udało mi się ustalić.

Robin wybuchnęła płaczem i trzęsącymi się palcami otworzyła medalion. Wewnątrz znajdowała się fotografia jej oraz dwóch innych dziewcząt. Gdy wieczko odskoczyło, trójwymiarowe podobizny uśmiechając się zaczęły szeptać:

– Uściski od Robin, mamo... Uściski od Holly, mamo... Uściski od Wendy, mamo.

– To mojej matki – zaszlochała Robin. – To... Ona... Na litość boską, gdzie ona jest? Co się z nią stało?

– Nie wiem – powiedział bezbarwnym głosem Foyle. – Ale domyślam się. Sądzę, że twoja matka w taki, czy inny sposób wydostała się z obozu koncentracyjnego.

– Więc moje siostry również. Nigdy by ich nie zostawiła.

– Może twoje siostry też. Uchodźców ewakuowała z Callisto „Vorga". Za dostanie się na jej pokład i przewiezienie na Ziemię, twoja rodzina musiała zapłacić pieniędzmi i biżuterią. W ten sposób jakiś kosmonauta z „Vorgi" wszedł w posiadanie tego medalionu.

– A więc gdzie one są?

– Nie mam pojęcia. Może wysadzono je na Marsie albo na Wenus. Najprawdopodobniej jednak sprzedano je do obozu pracy na Księżycu i dlatego nie mogły się z tobą skontaktować. Nie wiem gdzie są, ale „Vorga" może nam to powiedzieć.

– Nie kłamiesz? Nie zwodzisz mnie?

– Czy ten medalion to kłamstwo? Mówię prawdę... całą prawdę, jaką znam. Chcę się dowiedzieć dlaczego zostawili mnie, skazując na pewną śmierć i kto wydał ten rozkaz. Człowiek, który ten rozkaz wydał, będzie wiedział gdzie przebywają twoja matka i siostry. Powie ci to... zanim go zabiję. Będzie miał na to bardzo dużo czasu, bo będzie długo umierał.

Robin spojrzała nań z przerażeniem. Pasja, którą był opętany sprawiła, że na jego twarzy znów pojawiło się krwawoczerwone piętno. Wyglądał jak tygrys szykujący się do skoku.

– Mam fortunę do wydania... nieważne jak wszedłem w jej posiadanie. Na skończenie tej roboty mam trzy miesiące. Nauczyłem się wystarczająco dużo matematyki, aby wyliczyć sobie prawdopodobieństwo. Potrwa trzy miesiące, zanim odkryją, że Fourmyle z Ceres to Gully Foyle. Dziewięćdziesiąt dni; od Nowego Roku do Prima Aprilis. Będziesz ze mną współpracować?

– Z tobą? – wykrzyknęła z nienawiścią w głosie Robin. – Współpracować z tobą?

– Cały ten Cyrk Four Mile jest tylko kamuflażem. Nikt nigdy nie będzie podejrzewał klowna. A ja badam, uczę się i przygotowuję do ostatecznej rozgrywki. Teraz potrzebuję tylko ciebie.

– Do czego?

– Nie wiem dokąd zaprowadzi mnie to polowanie... do wyższych sfer, czy do slumsów. Muszę być przygotowany na obydwie ewentualności. Ze slumsami poradzę sobie sam. Żargonu jeszcze nie zapomniałem. Ale do swobodnego poruszania się w kręgach elity towarzyskiej będę potrzebował ciebie. Zgadzasz się?

– To boli – Robin wyszarpnęła ramię z uścisku Foyla.

– Przepraszam. Kiedy myślę o „Vordze", tracę panowanie nad sobą. Pomożesz mi więc znaleźć „Vorgę", a przy okazji swoją rodzinę?

– Nienawidzę cię! – wybuchnęła Robin. – Gardzę tobą. Jesteś zepsuty. Niszczysz wszystko, czego dotkniesz. Odpłacę ci pewnego dnia.

– Ale od Nowego Roku do Prima Aprilis pracujemy razem, tak?

– Pracujemy razem.

ROZDZIAŁ 9

W wigilię Nowego Roku Geoffrey Fourmyle przypuścił szturm na elitę towarzyską. Najpierw pojawił się na pół godziny przed północą na balu w rezydencji Gubernatora w Camberze. Była to wysoce oficjalna impreza, olśniewająca barwami i pompą, ponieważ wśród arystokracji utarł się zwyczaj noszenia przy okazjach takich uroczystości strojów wieczorowych, skrojonych według kanonów mody, które obowiązywały w roku założenia klanu lub opatentowania jego godła handlowego.

I tak Morsowie (Telefony i Telegrafy) nosili dziewiętnastowieczne surduty, a ich partnerki zapięte pod szyję wiktoriańskie suknie. Skodowie (Proch i Armaty) cofnęli się do schyłku wieku osiemnastego, przywdziewając obcisłe trykoty z okresu regencji i krynoliny. Odważni Peenmundowie (Rakiety i Reaktory), datujący początki swego klanu na lata 1920, mieli na sobie smokingi, natomiast ich panie bezwstydnie odsłaniały nogi, ramiona i plecy w głęboko wydekoltowanych sukienkach.

– Co ci jest, kurczę?

– Ubrania – chlipnął Kempsey. – Ubrania. Wszędzie ubrania. Jak plugastwo, jak zaraza, jak brud. Ubrania. Wszędzie ubrania.

– Człowieku, weź się w garść. Wstawaj.

– Ubrania. Wszędzie ubrania. Jak plugastwo, jak zaraza, jak brud...

– Kempsey, posłuchaj, człowieku. Przysyła mnie Orel.

Kempsey przestał chlipać i zwrócił zlane łzami oblicze na Foyla.

– Kto? Kto?

– Przysyła mnie Sergei Orel. Wykupiłem cię. Jesteś wolny. Odlatujemy stąd.

– Kiedy?

– Zaraz.

– O Boże! Bóg mu zapłać. Pobłogosław mu Boże! – Kempsey zaczął brykać w niemrawym uniesieniu. Posiniaczona i rozlazła twarz rozciągała się w coś na podobieństwo uśmiechu. Śmiejącego się i pląsającego, Foyle wyprowadził z umywalni. Gdy Foyle wiódł go przez długą salę, nadzy rajfurzy zaczęli podrzucać w górę naręcza brudnych ubrań i potrząsać nimi przed oczyma Kempseya. Ten krzyknął i znowu uderzył w płacz. Pienił się i mamrotał coś pod nosem.

– Co mu jest, kurczę? – spytał Foyle bezwłosego.

Bezwłosy okazywał mu teraz neutralny szacunek, o ile nie przyjaźń.

– Podejrzany o grabież – odparł. – Z nim tak zawsze. Pokaż mu stare łachy, a dostaje kota.

– Dlaczego?

– Czort go wie. Wariat i tyle.

Po założeniu skafandrów w śluzie powietrznej głównego biura, Foyle wyprowadził Kempseya na kosmodrom, gdzie dwadzieścia szybów rakietowych wskazywało bladymi paluchami swych wiązek antygrawitacyjnych wiszący na nocnym niebie sierp Ziemi. Zeszli do jednego z szybów, dostali się na pokład jachtu Foyla i tam zdjęli skafandry. Foyle wyjął z szafki butelkę i żądło-ampułkę. Nalał Kempseyowi drinka i odstąpiwszy kilka kroków do tyłu przyglądał mu się z uśmiechem, ważąc żądło-ampułkę w dłoni.

Kempsey, wciąż oszołomiony, wciąż nie posiadający się z radości pociągnął spory łyk whisky.

– Wolny – mamrotał pod nosem. – Pobłogosław mu Boże! Wolny. Nie wiesz nawet przez co tu przeszedłem – popił znowu. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć. To jest jak sen. Dlaczego nie startujesz, przyjacielu? Ja... – Kempsey zakrztusił się trunkiem i wypuszczając z rąk szklankę wybałuszył na Foyla przerażone oczy. – Twoja twarz! – wykrzyknął. – Mój Boże, twoja twarz! Co jej się stało?

– Ty jej się stałeś, sukinsynu! – wrzasnął Foyle, wykrzywiając płonącą tygrysią maskę. Sprężył się nagle w sobie i cisnął ampułką jak nożem. Ugodziła Kempseya w szyję i utkwiła w niej drgając. Kempsey zatoczył się.

Foyle przyspieszył, śmignął rozmazaną plamą ku ciału, pochwycił je zanim upadło na podłogę i przeniósł na rufę, do luksusowej kabiny położonej po prawej burcie. Na jachcie znajdowały się dwie kabiny luksusowe i Foyle już zawczasu odpowiednio przygotował obydwie. Kabina po prawej burcie została ogołocona z wyposażenia i przekształcona w salę operacyjną. Foyle przypasał bezwładne ciało Kempseya do stołu operacyjnego, otworzył futerał z narzędziami chirurgicznymi i przystąpił do skomplikowanej operacji, której tego dnia rano nauczył się w drodze hipno-treningu – operacji możliwej do przeprowadzenia tylko dzięki pięciokrotnemu przyspieszeniu wykonywanych przezeń ruchów.

Przeciął skórę i powięź, przepiłował się przez żebra klatki piersiowej, odsłonił serce, wyciął je, a żyły i arterie podłączył do skomplikowanej pompy krwi stojącej obok stołu. Włączył pompę. Od momentu rozpoczęcia operacji upłynęło zaledwie dwadzieścia sekund czasu obiektywnego. Nałożył na twarz Kempseya maskę tlenową i włączył ssąco-tłoczącą pompę tlenu.

Wyłączył przyspieszenie swego ciała, zmierzył Kempseyowi temperaturę, zaaplikował mu serię dożylnych zastrzyków pobudzających i czekał. Krew, bulgocząc, płynęła przez pompę i ciało Kempseya. Po pięciu minutach Foyle zdjął mu maskę tlenową. Proces oddychania trwał nadal dzięki odruchowi bezwarunkowemu. Kempsey nie miał serca, ale żył. Foyle usiadł przy stole operacyjnym i czekał. Na twarzy pałało mu wciąż szkarłatne piętno.

Kempsey był ciągle nieprzytomny.

Foyle czekał.

Kempsey ocknął się z krzykiem.

Foyle zerwał się z krzesła, zacisnął pasy i pochylił się nad pozbawionym serca człowiekiem.

– Cześć, Kempsey – powiedział.

Kempsey krzyknął.

– Spójrz na siebie, Kempsey. Jesteś martwy.

- Dla dwudziestu funtów PirE?
- Nie. Po to, żeby wygrać przegraną wojnę.
- Co takiego? - Jisbella wstała z łóżka i podeszła do szklanej szyby rozdzielającej obie sypialnie. - Ty jesteś patriotą, Saul?
Skinął głową, robiąc przy tym minę winowajcy.
- To zabawne. Groteskowe. Ale jestem patriotą. Zmieniłaś mnie całkowicie. Znowu jestem normalnym człowiekiem.
Przycisnął swoją twarz do szyby i pocałowali się przez trzy cale ołowiowego szkła.

Mare Nubium było miejscem nadającym się idealnie do hodowli niezbędnych w medycynie i przemyśle bakterii beztlenowych, organizmów glebowych, fagów, pleśni oraz innych mikroskopijnych form życia, których rozwojowi sprzyjało pozbawione powietrza środowisko. Bacteria, Inc. była ogromną mozaiką pól uprawnych, poprzecinanych pomostami roboczymi zbiegającymi się w centrum, które stanowiła grupka stłoczonych ciasno, jeden przy drugim, baraków mieszkalnych, biur i warsztatów. Każde poletko przykryte było gigantycznym szklanym kloszem o średnicy stu stóp, wysokim na dwanaście cali i grubym na dwie molekuły.
W dniu poprzedzającym dotarcie do Mare Nubium pełznącej wolno po powierzchni Księżyca linii świtu klosze napełniano pożywką. O wschodzie słońca, nagłym i oślepiającym na pozbawionym atmosfery Księżycu, obsiewano przykryte kloszami poletka i przez kolejne czternaście dni nieprzerwanego nasłonecznienia pielęgnowano je, ekranowano, regulowano, dokarmiano... Tam i z powrotem, po pomostach roboczych, snuli się doglądający pól robotnicy odziani w skafandry próżniowe. Kiedy do Mare Nubium dopełzała linia zmierzchu, w kloszach odbywały się żniwa, po czym pozostawiano je, aby wymroziły się i wysterylizowały podczas zapadającej na dwanaście dni mroźnej księżycowej nocy.
Przy żmudnych, wlokących się w ślimaczym tempie pracach polowych jaunting nie miał żadnego zastosowania, przeto Bacteria, Inc. zatrudniała niezdolnych do jauntowania nieszczęśliwców, płacąc im głodowe stawki. Była to praca najniższej kategorii dla mętów i wyrzutków społecznych Układu Słonecznego, toteż podczas cyklicznych, dwunastodniowych przerw w pracy, baraki mieszkane Bacteria, Inc. przypominały piekło. Foyle przekonał się o tym wchodząc do Baraku Nr 3.
Przywitało go przerażające widowisko. W ogromnym pomieszczeniu kłębiły się ze dwie setki ludzi; były tam prostytutki ze swymi patrzącymi spode łba rajfurami, byli zawodowi szulerzy ze swymi przenośnymi stoliczkami do gry, byli domokrążcy handlujący narkotykami, byli i lichwiarze. W powietrzu unosiły się opary gryzącego dymu i odór alkoholu, pomieszany ze smrodem jego substytutów. Po podłodze walały się w nieładzie szczątki umeblowania, rozmemłane barłogi, bezprzytomne ciała, puste butelki, nadpsute resztki jedzenia i licho wie co jeszcze.
W panującym zgiełku pojawienie się Foyla przeszło niezauważone, był jednak przygotowany na taką ewentualność.
- Który to Kempsey? - spytał grzecznie pierwszej zarośniętej gęby, na jaką się nadział. Ubliżono mu w odpowiedzi, mimo to uśmiechnął się i wręczył człowiekowi stukredytkowy banknot.
- Który to Kempsey? - spytał innego. Odpowiedziano mu przekleństwem. Zapłacił znowu i nie zrażając się przesuwał się niespiesznie w głąb baraku rozdając na prawo i lewo stukredytkowe banknoty w zamian za obelgi i inwektywy, którymi go obdarzano. Pośrodku sali znalazł informatora, bez wątpienia postrach baraku, nagiego, bezwłosego potwora w ludzkiej skórze pieszczącego dwie dziwki i pojonego whisky przez paru pochlebców.
- Który to Kempsey? - spytał go Foyle. - Szukam Rogera Kempseya.
- Toś, koleś, znalazł guza, bo mi przerywasz - warknął w odpowiedzi typ wyciągając wielgachną łapę po pieniądze Foyla. - Kopsaj.
Tłum zawył z zachwytu. Foyle uśmiechnął się i splunął bezwłosemu w oko. Zaległa pełna napięcia cisza. Bezwłosy zrzucił z kolan prostytutki i zerwał się na równe nogi z zamiarem unicestwienia Foyla. W pięć sekund później wił się po podłodze pod postawioną na jego karku stopą Foyla.
- Pytałem o Kempseya - powiedział łagodnie Foyle. - Muszę go kurcze, znaleźć. Lepiej go wskaż, albo już po tobie, jak rany.
- Umywalnia - jęknął bezwłosy. - Siedzi w umywalni.
- Widzisz, teraz ty mi przerywasz - powiedział Foyle. Cisnął bezwłosemu resztę pieniędzy i oddalił się szybkim krokiem w kierunku umywalni.
Kempsey kulił się w kącie pod natryskami, przyciskając twarz do ściany i zawodząc w monotonnym rytmie, z czego można było wnioskować, iż znajduje się w tym stanie od kilku godzin.
- Kempsey? - spytał Foyle.
Odpowiedziało mu zawodzenie.

Fourmyle z Ceres pojawił się na balu w stroju wieczorowym bardzo nowoczesnym i bardzo czarnym, urozmaiconym jedynie przez złote słońce przypięte do ramienia - godło handlowe klanu Ceres. Towarzyszyła mu Robin Wednesbury ubrana w błyszczącą, białą suknię ściśniętą w talii fiszbinami. Turniura sukni podkreślała smukłą sylwetkę dziewczyny, jej proste plecy i pełen gracji krok.
Kontrast bieli z czernią, jaki reprezentowała sobą Robin, był tak frapujący, że wysłano specjalnie kamerdynera, aby ten sprawdził w Almanachu Parów i Patentów do jakiego klanu należy godło handlowe wyobrażające słońce. Wrócił z wieścią, że to Kompania Górnicza Ceres, założona w roku 2250 celem eksploatacji bogactw naturalnych asteroidów Ceres, Pallos i Vesta. Bogactwa te nigdy nie zamanifestowały swojej obecności i kompania Ceres usunęła się w cień, nigdy jednak nie umarła. Najwyraźniej znajdowała się właśnie w stadium wskrzeszania.
- Fourmyle? Ten klown?
- Tak. Cyrk Four Mile. Głośno o nim.
- Czy to ten sam człowiek?
- Nie może być. Wygląda na poważnego.
Towarzystwo ciekawie, aczkolwiek ostrożnie gromadziło się powoli wokół Fourmyle'a.
- Idą tutaj - mruknął Foyle do Robin.
- *„Odpręż się. Chcą tylko porozmawiać. Zaakceptują wszystko, byle tylko było to zabawne. Zostań dostrojony".*
- Czy to pan jest tym okropnym człowiekiem z cyrku, Fourmyle?
- *„Pewnie, że jesteś. Uśmiechaj się."*
- Tak, to ja, madame. Może mnie pani dotknąć.
- Patrzcie państwo, wygląda pan na dumnego. Czy szczyci się pan swoim złym smakiem?
- *„W dzisiejszych czasach problemem jest w ogóle mieć jakiś smak".*
- W dzisiejszych czasach problemem jest w ogóle mieć jakiś smak. Uważam się za szczęśliwego.
- Szczęśliwy, ale okropnie nieprzyzwoity.
- Nieprzyzwoity, ale nie nudny.
- I okropny, ale czarujący. Dlaczego pan teraz nie błaznuje?
- Jestem „pod wpływem", madame.
- Czyżby! Jest pan pijany? Jestem Lady Shrapnel. Kiedy będzie pan znowu trzeźwy?
- Jestem pod pani wpływem, Lady Shrapnel.
- Pan jest figlarzem, młody człowieku. Charles! Charles, podejdź tu do nas i wybaw pana Fourmyle'a. Uwodzę go.
- *„To Victor z RCA Victor".*
- Fourmyle, nieprawdaż? Niezmiernie mi miło. Ile kosztuje ta pańska trupa?
- *„Powiedz prawdę".*
- Czterdzieści tysięcy, Victorze.
- Dobry Boże! Tygodniowo?
- Dziennie.
- Dziennie! Do czego, u licha, pan zmierzasz szastając w ten sposób pieniędzmi?
- *„Mów prawdę."*
- Do sławy, Victorze.
- Ha! Mówisz pan poważnie?
- Mówiłam ci, że on jest figlarzem, Charlesie.
- To cholernie ożywcze. Klaus! Podejdź na momencik. Wyobraź sobie, że ten nieroztropny młody człowiek wydaje czterdzieści tysięcy dziennie, aby zyskać rozgłos.
- *„To Skoda ze Skodów"*
- Dobry wieczór, Fourmyle. Bardzo mnie interesuje to wskrzeszenie nazwy. Jest pan może potomkiem kogoś z pierwotnego ciała założycielskiego Ceres, Inc.?
- *„Powiedz mu prawdę"*
- Nie, Skodo. Nabyłem ten tytuł. Kupiłem całą spółkę. Jestem parweniuszem.
- *„Dobrze. Toujours de láudace!"*
- Słowo daję, Furmyle! Szczery z pana człowiek.
- Widzisz? Mówiłam ci, że jest nieroztropny. Bardzo ożywczy. Na tej sali jest cała banda parweniuszy, ale oni się do tego nie przyznają. Elizabeth, chodź, poznaj Fourmyle'a z Ceres.
- Fourmyle! Umierałam z chęci poznania pana.
- *„To Lady Elizabeth Citroen"*
- Czy to prawda, że podróżuje pan z podręcznym gimnazjum?
- *„Teraz lekki docinek".*

- Z podręczną akademią, Lady Elizabeth.
- Ale dlaczego, Fourmyle?
- Och madame, tak trudno wydać w dzisiejszych czasach pieniądze. Musimy wynajdywać najbardziej zwariowane usprawiedliwienia. Gdyby tak ktoś potrafił wymyślić nową ekstrawagancję.
- Powinien pan podróżować z podręcznym wynalazcą, Fourmyle.
- Mam takiego, prawda, Robin? Ale traci czas usiłując skonstruować perpetuum mobile. Potrzebuję jeszcze tylko nadwornego rozrzutnika. Czy ktoś z waszych klanów nie miałby ochoty wypożyczyć mi swojego młodszego syna?
- Czy ktoś z nas by nie zechciał? Jest wielu takich, za których pozbycie się klan jeszcze by dopłacił.
- Czy prace nad perpetuum mobile nie są dla pana wystarczająco kosztowne, Fourmyle?
- Nie. To skandaliczne marnotrawstwo pieniędzy. Istotą ekstrawagancji jest działać jak głupiec i czuć się głupcem, ale bawić się tym. Co jest zabawnego w perpetuum mobile? Czy w entropii jest jakaś ekstrawagancja? Miliony na bzdury, ale ani centa na entropię. To mój slogan.

Wszyscy roześmieli się. Tłum otaczający Fourmyle'a rósł w oczach. Towarzystwo było zachwycone i rozbawione. Był dla nich nową zabawką. Potem nadeszła północ i gdy wielki zegar wybił godzinę zwiastując nadejście Nowego Roku, zgromadzenie zaczęło się szykować do jauntowania dookoła świata wraz z północą.
- Chodź z nami na Jawę, Fourmyle. Regis Sheffield wydaje tam cudowne przyjęcie dla prawników. Zagramy w „Trzeźwego sędziego".
- Do Hongkongu, Fourmyle.
- Do Tokio, Fourmyle, w Hongkongu leje. Chodź z nami do Tokio i zabierz ze sobą swój cyrk.
- Dziękuję, ale nie mogę. Udaję się do Szanghaju. Spotkamy się za dwie godziny. Gotowa, Robin?
- *„Nie jauntuj. To nieelegancko. Wyjdź pieszo. Nie spiesz się. Powolność należy do dobrego tonu. Uszanowania dla Gubernatora... Dla Komisarza... Dla ich pań... Bien. Nie zapomnij wręczyć napiwku służbie. Nie jemu, idioto! To Wicegubernator. No, dobrze. Zrobiłeś wrażenie. Zaakceptowali cię. Co teraz?"*
- A po co przybyliśmy do Canberry?
- Myślałam, że na bal.
- Na bal i w poszukiwaniu człowieka nazwiskiem Forrest.
- Kto to jest?
- Ben Forrest, kosmonauta z „Vorgi". Mam trzy tropy, wiodące do tego, który wydał rozkaz pozostawienia mnie na pastwę losu. Te trzy tropy to trzy nazwiska: kucharz z Rzymu o nazwisku Poggi; Orel - szarlatan z Szanghaju i ten tutaj, Forrest. To operacja kombinowana... wyższe sfery i poszukiwania. Rozumiesz?
- Rozumiem.
- Mamy dwie godziny na przyciśnięcie Forresta do muru. Znasz współrzędne Aussie Cannery? Tego wolnego miasta?
- Nie chcę mieć nic wspólnego z twoimi porachunkami z „Vorgą". Szukam tylko swojej rodziny.
- Jakkolwiek patrzeć, jest to operacja połączona - powiedział tak dzikim tonem, że zamrugała powiekami i jauntowała się z miejsca. Gdy Foyle przybył do swego namiotu w Cyrku Four Mile, obozującym na Jervis Beach, Robin przebierała się już w strój podróżny. Foyle spojrzał na dziewczynę. Chociaż zmusił ją, aby ze względu na własne bezpieczeństwo zamieszkała w jego namiocie, nie tknął jej już więcej. Robin pochwyciła jego spojrzenie, przestała się przebierać i czekała.

Pokręcił głową.
- Z tym już koniec.
- Ciekawe. Nie bawi cię już gwałt?
- Ubieraj się - powiedział chłodno. - Powiedz im, że mają dwie godziny na przeniesienie obozu do Szanghaju.

Było trzydzieści minut po północy, kiedy Foyle i Robin przybyli na rogatki wolnego miasta Aussie Cannery. Zwrócili się o wydanie im plakietek identyfikacyjnych i zostali powitani przez samego burmistrza.
- Szczęśliwego Nowego Roku - kolędował burmistrz. - Życzę szczęścia, szczęścia i jeszcze raz szczęścia! Państwo z wizytą? Z przyjemnością obwiozę państwa po mieście. Państwo pozwolą ze mną. - Zapakował ich do wielgachnego helikoptera i wystartował. - Dzisiejszej nocy odwiedzają nas tłumy gości. Nasze miasto jest bardzo gościnne. To najgościnniejsze miasto na świecie.

Helikopter lawirował wśród niebotycznych budowli.
- To nasze lodowe pałace... w dole, na lewo baseny pływackie... Ta wielka kopuła to skocznia nar-

Grzeszny Borgia o czarnych oczach i liniach na twarzy. To musi być chyba jakiś wzór.
- Wzór, moja droga?
- Tak. Na jego twarzy dostrzegłam dziwny rysunek... to nie była zwykła elektryczność wytwarzana przez mięśnie i nerwy. To coś leży głębiej pod skórą. Zafascynowało mnie to od samego początku.
- A jaki to wzór?
- Fantastyczny... Cudownie diabelski. Mogę ci go narysować. Daj mi tylko coś do pisania.

Zatrzymali się przed liczącą sobie sześćset lat szafką Chippendale'a. Presteign wyjął z niej kryształową płytkę oprawioną w srebrną ramkę i podał ją Olivii. Dotknęła płytki czubkiem palca i na jej powierzchni pojawiła się czarna plamka. Posunęła palcem i plamka wyciągnęła się w linię. Szybkimi ruchami naszkicowała straszliwe wiry i zawijasy diabelskiej maski.

Saul Dagenham opuścił ciemną sypialnię. W chwilę później zalało ją światło z rozjaśniającej się ściany. Mogłoby się wydawać, że sypialnia Jisbelli odbija się w jakimś gigantycznym zwierciadle, gdyby nie pewien drobny szczegół: Jisbella leżała w łóżku sama, natomiast na domniemanym odbiciu, na krawędzi łóżka siedział samotnie Saul Dagenham. Lustro było w rzeczywistości taflą szkła ołowiowego, oddzielającą dwa identyczne pokoje. Dagenham właśnie włączył w swoim światło.
- Miłość z zegarkiem w ręku - rozległ się z głośnika głos Dagenhama. - Wstrętne.
- Nie, Saul, wcale nie.
- Frustrujące.
- Ależ skąd.
- Ale unieszczęśliwiające.
- Nie. Nie bądź zachłanny. Ciesz się tym, co masz.
- To więcej niż miałem kiedykolwiek. Jesteś wspaniała.
- A ty jesteś ekstrawagancki. Połóż się już spać, kochanie. Jutro idziemy na narty.
- Nie, nie mogę. W moich planach zaszły pewne zmiany. Muszę popracować.
- Och, Saul... Obiecałeś. Koniec z pracą, z tym ciągłym zdenerwowaniem, zabieganiem... Nie dotrzymasz danego raz przyrzeczenia?
- Nie mogę, dopóki trwa wojna.
- Do diabła z wojną. Dosyć już dałeś z siebie na Tycho Sands. Nie mogą wymagać od ciebie więcej.
- Muszę dokończyć pewną robotę.
- Pomogę ci ją dokończyć.
- Nie. Lepiej trzymaj się z dala od tego, Jisbello.
- Nie ufasz mi?
- Nie chciałbym, żeby coś ci się stało.
- Nikt nam nic nie może zrobić.
- Foyle może.
- C... Co?
- Fourmyle to Foyle. Przecież o tym wiesz. Wiem, że wiesz.
- Ależ ja nigdy...
- Nie, nigdy mi tego nie powiedziałaś. Jesteś wspaniała. W ten sam sposób i mnie dochowuj wierności, Jisbello.
- Jak więc to odkryłeś?
- Foyle popełnił błąd.
- Jaki?
- Przybierając nazwisko Fourmyle.
- Fourmyle z Ceres? On kupił spółkę z Ceres.
- A skąd nawisko Geoffrey Fourmyle?
- Wymyślił je sobie.
- Sądzi, że je wymyślił, ale w rzeczywistości je zapamiętał. Geoffrey Fourmyle to nazwisko, które nadano mu podczas testu na megalomanię w Połączonym Szpitalu w Mexico City. Poddałem Foyla Megal Nastrojowi chcąc go wybadać. To nazwisko musiało mu utkwić gdzieś w podświadomości. Wyłowił je stamtąd i przyjął za oryginalne. To właśnie ono naprowadziło mnie na ślad.
- Biedny Gully.

Dagenham uśmiechnął się.
- Tak, tak. Żebyśmy nawet nie wiem jak bronili się przed światem zewnętrznym, to i tak coś nas zawsze podkopie od środka. Przed zdradą nie ma obrony, a wszyscy sami siebie zdradzamy.
- Co zamierzasz zrobić, Saul?
- Co zamierzam? Wykończyć go, oczywiście.

tak zgruzgotało pani opinię o sobie samej, ale postaram się to naprawić. No więc... została pani oszukana, tak? Głównie z własnej winy? Wszyscy w takich przypadkach powinniśmy mieć pretensje tylko do siebie. Ale ktoś pani w tym dopomógł. Kto to był?
- Jeśli powiem, zadenuncjuję go.
- Niech więc mi pani nie mówi.
- Ale ja muszę odnaleźć moją matkę i siostry... jemu już nie mogę ufać... Muszę to zrobić sama. - Robin wzięła głęboki oddech. - Chcę panu powiedzieć o człowieku nazwiskiem Gulliver Foyle.
Yang-Yeovil od razu przystąpił do wypełniania obowiązków służbowych.

— Czy to prawda, że przybył na przyjęcie pociągiem? - spytała Olivia Presteign. - Odkrytym wagonem ciągniętym przez lokomotywę? Cóż za cudowne zuchwalstwo.
- Tak, to nadzwyczajny młodzieniec - odparł Presteign. Stał z córką, stalowosiwy i stalowotwardy, w holu recepcyjnym swego domu. Strzegł jej honoru i życia, oczekując powrotu służby i personelu z ratuj-się-kto-może jauntingu. Z niewzruszonym spokojem gawędził z Olivią, ani przez chwilę nie dopuszczając do tego, by uświadomiła sobie w jak śmiertelnym znajduje się niebezpieczeństwie.
- Jestem zmęczona, ojcze.
- Tak, to była ciężka noc, moja droga. Ale nie odchodź jeszcze, proszę.
- Dlaczego?
Presteign nie chciał jej niepokoić wyjaśnieniem, że z nim będzie bezpieczniejsza.
- Czuję się osamotniony, Olivio. Porozmawiajmy kilka minut.
- Uczyniłam coś wymagającego odwagi, ojcze. Obserwowałam atak z ogrodu.
- Moja droga! Sama?
- Nie. Był ze mną Fourmyle.
Drzwiami frontowymi, które Presteign zamknął na klucz, zaczęło wstrząsać potężne walenie.
- Co to?
- Łupieżcy - odparł spokojnym głosem Presteign. - Nie obawiaj się, Olivio. Nie wtargną tutaj. - Podszedł do stołu i starannie, jakby układał pasjansa, rozłożył na nim arsenał broni.
- Nic nam nie grozi, kochanie. - Spróbował odciągnąć jej uwagę od nieustającego łomotu - Mówiłaś coś o Fourmyle'u...
- Ach tak. Oglądaliśmy wszystko razem... opisując sobie nawzajem bombardowanie.
- Bez damy do towarzystwa? To nie było rozważne, Olivio.
- Wiem, wiem. Zachowałam się haniebnie. Wydawał mi się taki wielki, tak pewny siebie, że potraktowałam go w stylu Lady Hauteur. Pamiętasz Miss Post, moją guwernantkę, która była tak sztywna i powściągliwa, że przezwałam ją Lady Hauteur? Postępowałam tak, jak Miss Post, a on się wściekał, ojcze. To dlatego przyszedł potem szukać mnie do ogrodu.
- I pozwoliłaś mu pozostać? Jestem wstrząśnięty, moja droga.
- Ja również. Teraz wydaje mi się, że na wpół postradałam zmysły z podniecenia. Jak on wygląda, ojcze? Powiedz mi, proszę, jak on dla ciebie wygląda?
- Jest wielki. Wysoki, bardzo śniady i raczej zagadkowy. Jak Borgia. Sprawia wrażenie kogoś, kto nie może się zdecydować czy być pewnym siebie, czy okrutnym.
- Ach, zatem jest okrutny? Sama to zauważyłam. Cały promieniuje niebezpieczeństwem. Większość ludzi ledwie iskrzy, a on wygląda jak piorun. To strasznie fascynujące.
- Moja droga - zaprotestował łagodnie Presteign - niezamężne niewiasty są zbyt skromne, aby dyskutować o takich sprawach. Nie byłbym zadowolony gdybyś zaczęła utrzymywać jakieś romantyczne stosunki z takim parweniuszem jak Fourmyle z Ceres.
Do holu recepcyjnego wjauntował się personel Presteigna: kucharze, kelnerki, odźwierni, gońcy, stangreci, kamerdynerzy i pokojówki. Wszyscy byli jeszcze roztrzęsieni i mieli miny winowajców. Wstydzili się swej ucieczki przed śmiercią.
- Opuściliście swoje posterunki. Zostanie to wam zapamiętane - powiedział chłodno Presteign. - Moje bezpieczeństwo i honor są znowu w waszych rękach. Strzeżcie ich. Lady Olivia i ja udajemy się na spoczynek.
Ujął córkę pod rękę i poprowadził ją schodami na górę.
- Krew i pieniądze - mruknął po drodze.
- Słucham, ojcze?
- Myślałem o naszej rodzinnej wadzie, Olivio. Dziękowałem Bóstwu, że jej nie odziedziczyłaś.
- Co to za wada?
- Nie ma potrzeby, żebyś o niej wiedziała. To wada, którą ma również Fourmyle.
- Ach, więc on jest grzeszny? Wiem o tym. On jest niczym Borgia, sam to powiedziałeś.

ciarska. Śnieg przez cały rok... Tam dalej to tropikalne ogrody pod szklanymi dachami. Palmy, papugi, orchidee, owoce. Na prawo nasz rynek... teatr... mamy też własną rozgłośnię radiową. 3D-5S. Teraz przelatujemy nad stadionem futbolowym...
- Gadaj zdrów - mruknął pod nosem Foyle.
- Tak, pszepana, mamy tu wszystko. Dosłownie wszystko. Nie trzeba jauntować dookoła świata, aby znaleźć rozrywkę. Aussie Cannery sprowadza świat do was. Nasze miasto jest małym wszechświatem. Najszczęśliwszym małym wszechświatem na świecie.
- Rozumiem przez to, że nie macie problemów z zasiedleniem miasta.
Burmistrz bez zająknienia ciągnął dalej swą mowę pochwalną.
- Spójrzcie w dół na ulice. Widzicie te rowery? Te motocykle? Te samochody? Możemy pozwolić sobie na bardziej luksusowe środki transportu niż jakiekolwiek inne miasto na Ziemi. Popatrzcie na domy. To rezydencje. Mieszkańcy naszego miasta są bogaci i szczęśliwi. Dokładamy starań, aby takimi byli.
- Ale czy udaje się wam zatrzymać ich na dłużej?
- Co ma pan na myśli? Oczywiście, my...
- Może nam pan powiedzieć prawdę. Nie jesteśmy kandydatami do osiedlenia się tutaj. Udaje się wam ich zatrzymać?
- Nie potrafimy zatrzymać ich dłużej niż sześć miesięcy - westchnął burmistrz. - To cholerne zmartwienie. Dajemy im wszystko, ale nie możemy trzymać ich siłą. Zapadają na manię podróżniczą i jauntują. Brak rąk do pracy pociągnął za sobą dwunastoprocentowy spadek produkcji naszych zakładów przemysłowych. Nie możemy utrzymać rytmicznego tempa produkcji.
- Nikt tego nie potrafi.
- Jakiś porządek powinien mimo wszystko być. Forrest, mówiliście? To już tutaj.
Wysadził ich przed domkiem przypominającym szwajcarski szałas, do którego przylegał pięcioakrowy ogród i wystartował mrucząc coś do siebie. Foyle i Robin podeszli do drzwi i przystanęli, czekając aż kamera złapie ich w obiektyw i zaanonsuje gospodarzom. Zamiast tego drzwi zabłysły czerwienią i pojawiła się na nich trupia czaszka ze skrzyżowanymi u dołu piszczelami. Jakiś blaszany głos oznajmił:
OSTRZEŻENIE. REZYDENCJA TA WYPOSAŻONA JEST W SYSTEM
ZABEZPIECZAJĄCY SZWEDZKIEJ KORPORACJI PRODUKUJĄCEJ
ŚRODKI OCHRONY ŚMIERCIONOŚNEJ. R:77-23. ZOSTAŁEŚ
FORMALNIE OSTRZEŻONY.
- Co, u diabła? - mruknął Foyle. - W Sylwestra? Gościnny facet, nie ma co. Spróbujemy od tyłu.
Obeszli domek dookoła, prześladowani przez trupią główkę ze skrzyżowanymi piszczelami rozbłyskującą w regularnych odstępach czasu i wygłaszane blaszanym głosem ostrzeżenie. Z jednej strony dostrzegli jasno oświetlone okienko piwnicy, z którego doleciał ich uszu przytłumiony chór głosów:
- Pan jest moim pasterzem, nie będę pożądał...
- Chrześcijanie Piwniczni! - wykrzyknął Foyle. Pochylili się z Robin nad okienkiem i zajrzeli do środka. Na wspólnym i wysoce nielegalnym nabożeństwie celebrowało nadejście Nowego Roku trzydziestu wiernych zbliżonych wyznań. Dwudziesty czwarty wiek nie obalił jeszcze Boga, zniósł jednak zorganizowaną religię.
- Nic dziwnego, że ten dom jest tak zabezpieczony - powiedział Foyle. - Takie nielegalne praktyki. Spójrz tylko, są tam ksiądz i rabin, a ten przedmiot stojący za nimi to krzyż...
- Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek co znaczą niektóre słowa, których często używasz? - spytała cicho Robin. - Mówisz nieraz „O Jezu" albo „Jezu Chryste", a wiesz co to w ogóle znaczy?
- Przekleństwa i tyle. Takie same jak „o kurczę" albo „do diabła".
- Nie, to jest religia. Ty tego nie wiesz, ale za takimi słowami kryje się dwa tysiące lat, przez które coś one znaczyły.
- Nie ma czasu na gadanie po próżnicy - przerwał jej ze zniecierpliwieniem Foyle. - Zostawmy to na później. Teraz chodź.
Tylną ścianę domku stanowiła lita szklana tafla, będąca jednocześnie oknem skąpo oświetlonego, pustego salonu.
- Połóż się twarzą do ziemi. - rozkazał Foyle. - Wchodzę.
Robin legła posłusznie na brzuchu na marmurowej posadzce, którą wyłożone było patio. Foyle włączył swe ciało, przyspieszył i przemieniając się w rozmazaną w ruchu plamę wytłukł dziurę w szklanej ścianie. Daleko w dolnym krańcu pasma częstotliwości akustycznych usłyszał głuche detonacje. To były wystrzały. W jego kierunku mknęły szybkie pociski. Przypadł do podłogi i przeczesując pasmo częstotliwości słyszalnych poczynając od najniższych basów, a na ultradźwiękach kończąc, dostroił swe uszy do szumu mechanizmów wykonawczych systemu zabezpieczającego. Kręcąc powoli głową sprecyzo-

wał ich położenie przez obouszne namierzanie kierunkowe, przeczołgał się pod gradem kul i zdemolował urządzenie. Wyłączył przyspieszenie.
- Wchodź. Szybko!
Robin, drżąc na całym ciele, dołączyła do niego w salonie. Gdzieś w głębi domu rozlegały się męczeńskie pojękiwania Chrześcijan Piwnicznych wysypujących się w panice z piwnicy.
- Poczekaj tu na mnie - mruknął Foyle. Przyspieszył, przemknął rozmazaną plamą przez dom, znalazł Chrześcijan Piwnicznych zastygłych w pozach skamieniałych biegaczy i obejrzał ich sobie. Wrócił do Robin i wyłączył przyspieszenie.
- Żaden z nich nie jest Forrestem - oświadczył. - Może schronił się na górę. Wieje tylnym wyjściem, podczas gdy reszta pcha się frontowymi drzwiami. Idziemy.
Pognali po schodach na górę. Zatrzymali się na podeście, aby zorientować się w sytuacji.
- Musimy działać szybko - szepnął Foyle i nagle urwał nasłuchując. Zza drzwi widniejących u szczytu schodów dobiegło ciche kwilenie. Foyle pociągnął nosem.
- Analog! - wykrzyknął. - Tam musi być Forrest. No i co ty na to? W piwnicy nabożeństwo, a na strychu narkotyki.
- O czym ty mówisz?
- Później ci to wyjaśnię. Wchodzimy tam. Mam tylko nadzieję, że nie przyćpał na goryla.
Foyle sforsował drzwi jak traktor. Znalezli się w wielkim pomieszczeniu o nagich ścianach. Z sufitu zwisała lina. W połowie drogi między podłogą, a sufitem wisiał opleciony wokół niej człowiek. Wijąc się pełzał po linie w górę i w dół wydając przy tym piskliwe dźwięki i wydzielając piżmowy odór.
- Pyton - stwierdził Foyle. - Transformacja już się zaczęła. Nie zbliżaj się do niego. Pogruchotałby ci kości, gdybyś go dotknęła.
Z dołu ktoś zaczął wołać:
- Forrest! Co to za strzelanina? Szczęśliwego Nowego Roku, Forrest! Gdzie, u diabła, celebracja?
- Idą tutaj - mruknął Foyle. - Trzeba go stąd wyjauntować. Spotkamy się na plaży. Ruszaj!
Błyskawicznym ruchem wydobył z kieszeni nóż, odciął linę, zarzucił sobie wijącego się mężczyznę na plecy i jauntował się. Robin znalazła się na pustej plaży Jervis Beach na chwilę przed nim. Foyle przybył tam z oplatającym jego kark i ramiona człowiekiem, który niczym pyton miażdżył go w straszliwym uścisku. Na twarzy Foyla pałało krwawoczerwone piętno.
- Sindbad - wyrzęził nieswoim głosem. - Starzec z Morza. Szybko mała! Prawa kieszeń. Trzecia od góry. Ampułka z igłą. Wbij mu ją byle gdz... - zabrakło mu tchu.
Robin odpięła kieszeń i znalazła w niej paczuszkę szklanych paciorków. Każdy paciorek zaopatrzony był w ostrze, przypominające żądło pszczoły. Wbiła ostrze żądła ampułki w kark wijącego się mężczyzny. Natychmiast rozluźnił uścisk. Foyle strząsnął go z pleców i podniósł się z piasku.
- Chryste! - mruknął masując sobie gardło. Wziął głęboki oddech. - Psiakrew. Samokontrola - powiedział, na powrót przywracając swej postaci i twarzy wygląd niezmąconego spokoju. Szkarłatny tatuaż spełzł powoli z jego twarzy.
- Co to był za horror? - spytała Robin.
- Analog. Psychiatryczny narkotyk dla psychotyków. Zakazany. Czubek musi się jakoś rozładować powracając do natury. Utożsamia się z określonym gatunkiem zwierzęcia... z gorylem, z grizzlim, z bykiem, z wilkiem... Zażywa narkotyk i przemienia się w zwierzę, którym chciałby być. Wygląda na to, że Forrest ma bzika na punkcie węży.
- Skąd to wiesz?
- Mówiłem ci przecież, że studiuję... szykuję się na „Vorge". To jedna z rzeczy, których się do tej pory nauczyłem. Jeśli nie stchórzysz, pokażę ci coś więcej. Pokażę ci jak otrzeźwić czubka znajdującego się pod wpływem Analogu.
Foyle odpiął drugą kieszeń swojego kombinezonu i przystąpił do cucenia Forresta. Robin przyglądała się temu przez chwilę, potem wydała okrzyk przerażenia, odwróciła się i odeszła plażą w kierunku morza. Stała tam patrząc nieobecnym wzrokiem na bijące o brzeg fale i na gwiazdy, dopóki kwilenie i szamotanie za jej plecami nie ustały.
- Możesz już wrócić - zawołał Foyle.
Robin zbliżyła się, zastając roztrzęsioną kreaturę siedzącą prosto na piasku i wpatrującą się matowymi, trzeźwymi oczyma w Foyle.
- Ty jesteś Forrest?
- A kim ty, u diabła jesteś?
- Jesteś Ben Forrest, główny kosmonauta. Latałeś kiedyś na „Vordze" Presteigna.
Forrest krzyknął w przerażeniu.
- Byłeś na pokładzie „Vorgi" 16 sierpnia 2436 roku.

- Jakaś dama do ciebie, Yeo.
- Czy to pora na komedie? - Powiedział rozwścieczonym tonem Yáng-Yeovil. Wskazał palcem na widniejące na przezroczystej tablicy równania Whiteheada, opisujące obraz zniszczeń. - Przeczytaj to i zetrzyj wychodząc.
- To bardzo specjalna dama, Yeo. Twoja Wenus ze Schodów Hiszpańskich.
- Kto? Jaka znowu Wenus?
- Twoja Wenus z Kongo.
- Ach, ta? - Yáng-Yeovil zawahał się przez moment. - Wprowadź ją.
- Porozmawiasz z nią prywatnie, ma się rozumieć?
- Żadne ma się rozumieć. Toczy się wojna. Zajmij się lepiej nadchodzącymi meldunkami, ale przedtem uprzedź wszystkich, żeby zwracając się do mnie używali Tajnej Mowy.
Do biura weszła Robin Wednesbury wciąż jeszcze ubrana w podartą, białą suknię wieczorową. Nie tracąc czasu na przebieranie, jauntowała się natychmiast z Nowego Jorku do Londynu. Jej twarz, chociaż przemęczona, była śliczna. Yáng-Yeovil obrzucił ją taksującym spojrzeniem, co nie trwało dłużej jak ułamek sekundy i stwierdził, iż pierwsze wrażenie, jakie odniósł na Schodach Hiszpańskich nie było pomyłką. Robin również przyjrzała mu się uważnie i jej oczy rozszerzyły się.
- Przecież pan jest kucharzem ze Schodów Hiszpańskich! Angelo Poggi!
Jako oficer Wywiadu Yáng-Yeovil był świetnie przygotowany do tego typu kryzysowych sytuacji.
- Nie jestem kucharzem, madame. Nie miałem czasu, aby powrócić do swej normalnej, fascynującej osobowości. Proszę usiąść Miss...
- Wednesbury. Robin Wednesbury.
- Czarująco. Jestem kapitan Yáng-Yeovil. Jak to miło z pani strony, że mnie pani odwiedza. Oszczędziła mi pani wielu długich i żmudnych poszukiwań.
- *„A... Ale ja nie rozumiem. Co w takim razie robiłeś na Schodach Hiszpańskich? Czego tam szukałeś..."*
Yáng-Yeovil zauważył, że dziewczyna nie porusza ustami.
- Ach? Pani jest telepatką, Miss Wednesbury? Jak to możliwe? Myślałem, że znam wszystkich telepatów w układzie.
- *„Nie jestem pełną telepatką. Jestem tylko telenadawczynią. Mogę tylko wysyłać myśli, ale nie potrafię ich odbierać".*
- Co, oczywiście, czyni panią bezwartościową dla świata. Rozumiem. - Yáng-Yeovil zrobił do Robin pełne sympatii oczko. - Co za paskudny pech, Miss Wednesbury... żeby zostać wyposażonym we wszystkie wady telepatii, i jednocześnie być pozbawionym wszystkich jej dobrych stron. Szczerze pani współczuję. Proszę mi wierzyć.
- *„Coś takiego! Jest pierwszym, który zrozumiał to sam, bez tłumaczenia".*
- Ostrożnie, Miss Wednesbury, odbieram panią. Przejdźmy teraz do Schodów Hiszpańskich, dobrze?
Zamilkł, wsłuchując się uważnie w strumień wysyłanych przez nią myśli:
- *„Na kogo tam polował? Czyżby na mnie? Nieprzyja... O Boże! Czy będą mnie torturować? Wyciągać... informacje? Ja..."*
- Moja droga pani - powiedział łagodnie Yáng-Yeovil. Ujął życzliwie jej dłoń i poklepał ją uspokajająco. - Proszę mnie przez chwilę posłuchać. Nie ma się pani czego obawiać. Najwyraźniej w tym konflikcie stoi pani po przeciwnej stronie barykady, tak?
Skinęła głową.
- Tak się nieszczęśliwie składa, że nie to nam teraz w głowie. A co do wyciągania informacji od podejrzanych i szatkowania ich w tym celu, to tylko propaganda.
- Propaganda?
- Nie jesteśmy partaczami, Miss Wednesbury. Wiemy jak wyciągać informacje bez cofania się do średniowiecza. Legendę o torturach rozpuściliśmy po to, aby zawczasu zmiękczyć ludzi, zanim jeszcze wpadną w nasze ręce.
- *„Czy to prawda? Nie, on kłamie. To podstęp".*
- To prawda, Miss Wednesbury. Często postępuję przebiegle, ale w pani przypadku nie jest to konieczne. Przecież przyszła tu pani z własnej, nieprzymuszonej woli, aby podzielić się z nami informacjami.
- *„On jest zbyt zręczny... zbyt bystry... On..."*
- Myśli pani jak osoba, którą niedawno boleśnie oszukano, Miss Wednesbury. Boleśnie dotknięto.
- Tak właśnie było. Właśnie tak. *„Głównie z mojej winy. Jestem głupia. Beznadziejnie głupia".*
- Głupia pani nie jest na pewno, Miss Wednesbury, a już na pewno nie beznadziejnie. Nie wiem co

– Umarł zanim skończył mówić. To nazwisko brzmi Kempsey.
– I to ten twój ślad?
– Tak. Kempsey. Nazwisko i adres jeśli obiecasz, że pozwolisz mi odejść.
– Zgadzam się – powiedział. – Możesz odejść. Mów.
– Odwróciła się i podeszła do ubrania podróżnego, które miała na sobie w Szanghaju. Z jednej z kieszeni wyciągnęła arkusik nadpalonego papieru.
– Zobaczyłam to na biurku Sergeia Orela, kiedy próbowałam ugasić ogień... ogień, który wzniecił Płonący Człowiek...
– Wręczyła arkusik Foylowi. Był to fragment błagalnego listu:
„... zrób coś, żeby mnie wydostać z tych pól bakteryjnych. Czy człowiek tylko dlatego, że nie potrafi jauntować, ma być traktowany jak pies? Pomóż mi Serg, proszę cię. Pomóż staremu kamratowi ze statku, którego nazwy lepiej nie wspominajmy. Możesz chyba wydać 100 kredytek. Pamiętasz ile wyświadczyłem ci przysług? Przyślij 100 albo chociaż 50 kredytek. Nie daj mi tu zginąć.
Rodg Kempsey
Barak Nr. 3
Bacteria, Inc.
Mare Nubium
Księżyc"
– Na Boga! – wykrzyknął Foyle. – To jest ślad. Teraz nie może nam się nie udać. Już my będziemy wiedzieli co robić. Wyśpiewa wszystko... wszystko. – Uśmiechnął się do Robin. – Jutro w nocy lecimy na Księżyc. Zarezerwuj bilety. Albo nie. W związku z nalotem mogą z tym być kłopoty. Kup jakiś statek. Tak czy owak nie powinien teraz kosztować drogo.
– Mówisz „my"? – odezwała się Robin. – Myślisz chyba o sobie.
– Nie, myślę o nas – odparł Foyle. – Lecimy na Księżyc. Oboje.
– Ja odchodzę.
– Nigdzie nie odchodzisz. Zostajesz ze mną.
– Ale przecież obiecałeś...
– Zmądrzej wreszcie, dziewczyno. Musiałem obiecać ci co chciałaś, żeby się tego od ciebie dowiedzieć. Teraz potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek. Tu nie chodzi o „Vorgę". Z „Vorgą" sam sobie poradzę. Potrzebna mi jesteś do czegoś ważniejszego.
Popatrzył na jej twarz, na której malował się wyraz niedowierzania i uśmiechnął się smutnie.
– Niedobrze, mała. Gdybyś dała mi ten list dwie godziny temu, dotrzymałbym słowa. Ale teraz jest już za późno. Potrzebuję sekretarki do spraw Romansów. Zakochałem się w Olivii Presteign.
Płonąc gniewem zerwała się na nogi.
– *„Kochasz ją? Olivię Presteign? Kochasz tego białego trupa?"*
Przejmująca furia jej telenadawania była dlań wstrząsającym odkryciem.
– *„No to teraz mnie straciłeś. Straciłeś na zawsze. Teraz cię zniszczę!*
Zniknęła.

ROZDZIAŁ 12

W Kwaterze Centrali Wywiadowczej w Londynie kapitan Yang-Yeovil wertował napływające raporty z szybkością sześciu na minutę. Informacje przekazywane były za pomocą telefonu, telegrafu, dalekopisu i jauntingu. Wyłaniał się z nich szybko obraz zniszczeń, jakie pociągnęło za sobą bombardowanie.

ATAKIEM ZOSTAŁY OBJĘTE AMERYKI PÓŁNOCNA I POŁUDNIOWA W PASIE ZAWIERAJĄCYM SIĘ MIĘDZY 60 A 120 STOPNIEM DŁUGOŚCI GEOGRAFICZNEJ ZACHODNIEJ. OD LABRADORU NA PÓŁNOCY PO EKWADOR NA POŁUDNIU. SZACUJE SIĘ, ŻE PRZEZ EKRAN PRZECHWYTUJĄCY PRZEDARŁO SIĘ OKOŁO DZIESIĘCIU PROCENT (10%) CAŁKOWITEJ LICZBY POCISKÓW. OFIARY ŚMIERTELNE W LUDZIACH SZACUJE SIĘ NA 10 DO 12 MILIONÓW...

Gdyby nie jaunting – powiedział Yang-Yeovil – straty byłyby pięciokrotnie wyższe. Mniejsza z tym, to był prawie nokaut. Jeszcze jedno takie uderzenie i Ziemia jest skończona.
Słowa te kierował do asystentów wjauntowujących się i wyjauntowujących z jego biura, pojawiających się i znikających, rzucających meldunki na jego biurko oraz nanoszących dane i równania na szklaną tablicę pokrywającą całą ścianę. Nieformalność była tu zasadą, więc Yang-Yeovil zdziwił się wielce i zaczął wietrzyć jakiś podstęp, gdy jeden z dyżurnych zapukał służbiście do drzwi, po czym wszedł do gabinetu przyjmując wyszukanie sztywną postawę.
– Co to znowu za kawały? – spytał Yang-Yeovil.

Mężczyzna załkał i potrząsnął głową.
– Szesnastego sierpnia minęliście wrak. Niedaleko pasa asteroidów. Wrak bliźniaczego statku – „Nomada". Wzywał pomocy. „Vorga" nie udzieliła mu jej. Minęła go i zostawiła, żeby dryfował dalej i zginął. Dlaczego „Vorga" go minęła?
Forrest zaczął krzyczeć histerycznie.
– Kto wydał rozkaz pozostawienia „Nomada" na pastwę losu?
– Jezusie, nie! Nie! Nie!
– Z akt Bonnesa i Uiga zniknęły wszystkie meldunki. Ktoś dobrał się do nich przede mną. Kto to był? Kto znajdował się wtedy na pokładzie „Vorgi"? Kto wtedy z tobą leciał? Chcę znać nazwiska oficerów i członków załogi. Kto dowodził?
– Nie! – wrzasnął Forrest – Nie!
Foyle potrząsnął plikiem banknotów przed nosem rozhisteryzowanego mężczyzny.
– Za tę informację zapłacę ci pięćdziesiąt patyków. Będziesz miał Analog zapewniony do końca życia. Kto wydał rozkaz pozostawienia mnie na pewną śmierć, Forrest? Kto?
Mężczyzna wyrwał z dłoni Foyla banknoty, zerwał się na nogi i pokłusował plażą. Foyle dopadł go nad samą wodą. Forrest rozciągnął się jak długi na ziemi, wpadając głową w wodę. Foyle przytrzymał go w tej pozycji.
– Kto dowodził „Vorgą", Forrest? Kto wydał ten rozkaz?
– Utopisz go! – krzyknęła Robin.
– Niech trochę pocierpi. W wodzie jest przyjemniej niż w próżni. Ja męczyłem się sześć miesięcy. Kto wydał ten rozkaz, Forrest?
Mężczyzna wypuszczał z ust pęcherzyki powietrza i krztusił się. Foyle wyciągnął mu głowę z wody.
– Co z ciebie za człowiek? Jesteś lojalny? Szalony? Boisz się? Typy twojego pokroju puszczają farbę za pięć patyków. Ja proponuję ci pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt tysięcy za informację, ty sukinsynu, albo umrzesz powoli i w męczarniach. Na twarzy Foyla znowu pojawił się tatuaż. Wepchnął głowę Forresta pod wodę, przytrzymując wyrywającego się mężczyznę. Robin próbowała go odciągnąć.
– Zamordujesz go!
Foyle zwrócił ku niej swą straszliwą twarz.
– Precz z łapami, suko! Kto był z tobą na pokładzie, Forrest? Kto wydał ten rozkaz? Dlaczego?
Forrest szarpnął się i wynurzył głowę z wody.
– Było nas na „Vordze" dwunastu – wykrztusił. – Chryste, ocal mnie! Byłem ja, Kemp...
Drgnął spazmatycznie i znieruchomiał. Foyle wyciągnął jego ciało z wody.
– No dalej. Ty i kto? Kemp? Kto jeszcze? No, mów.
Nie było odpowiedzi. Foyle zbadał ciało.
– Nie żyje – jęknął.
– O mój Boże! Mój Boże!
– Jeden trop diabli wzięli. I to wtedy, kiedy zaczął właśnie puszczać farbę. Co za cholerny pech. – Wziął głęboki oddech i niczym żelazną tarczę roztoczył wokół siebie aurę niezmąconego spokoju. Tatuaż zniknął mu z twarzy. Naregulował zegarek ustawiając go na sto dwadzieścia stopni długości wschodniej.
– W Szanghaju prawie północ. Ruszajmy. Może z Sergeiem Orelem, tym felczerem z „Vorgi", będziemy mieli więcej szczęścia. Nie rób takiej wystraszonej miny. To dopiero początek. Ruszaj, mała. Jauntuj się!
Robin stała jak skamieniała. Dostrzegł, że z wyrazem niedowierzania na twarzy patrzy gdzieś ponad jego ramieniem. Odwrócił się. Na plaży majaczyła gorejąca postać – ogromny mężczyzna w płonącym ubraniu, o straszliwie wytatuowanej twarzy. To był on sam.
– Chryste! – wykrzyknął Foyle. Postąpił krok w kierunku swego płonącego wizerunku i ten nagle znikł.
Poszarzały na twarzy i drżący zwrócił się do Robin.
– Widziałaś to?
– Tak.
– Co to było?
– Ty.
– Na miłość boską! Ja? Jak to możliwe? jak...
– To byłeś ty.
– Ale... – głos uwiązł mu w krtani. Opuściła go siła i szaleńcze opętanie. – Czy to było złudzenie? Halucynacja?

– Nie wiem. Też to widziałam.
– Boże wszechmocny! Żeby ujrzeć samego siebie... oko w oko... Ubranie stało w ogniu. Widziałaś? Co to mogło być, w imię boże?
– To był Gully Foyle – powiedziała Robin – smażący się w piekle.
– W porządku – wybuchnął złością Foyle. – To byłem ja w piekle, ale mimo to nie zrezygnuję. Jeśli spłonę w piekle, to „Vorga" spłonie razem ze mną. – Klasnął w dłonie otrząsając się z oszołomienia. – Na Boga, brnę w to dalej! Kolej na Szanghaj. Jauntuj!

ROZDZIAŁ 10

Na balu kostiumowym w Szanghaju Fourmyle z Ceres zbulwersował towarzystwo pojawiając się przebrany za Śmierć ze „Śmierci i panny" Dürera z olśniewającym blond stworzeniem u boku, spowitym w przezroczysty welon. Pomimo faktu, że w charakterze przyzwoitki towarzyszyła tej parze Robin Wednesbury, wiktoriańskie towarzystwo, które chroniło swe kobiety trzymając je w odosobnieniu i które uważało sukienki z 1920 roku noszone przez panie z klanu Peenmunde za zbyt wyzywające, było zaszokowane. Kiedy jednak Fourmyle wyjawił, że jego towarzyszka była świetnie podrobioną androidką, nastąpił natychmiastowy zwrot opinii publicznej na jego korzyść. Towarzystwo było zachwycone podstępem. Nagie ciało, haniebne w przypadku ludzi, było po prostu bezpłciową ciekawostką, kiedy należało do androida.

O północy Fourmyle ogłosił licytację androidki, zapraszając do wzięcia w niej udziału obecnych na balu gentlemenów.

– Czy pieniądze zostaną przeznaczone na cele dobroczynne, Fourmyle?
– Wykluczone. Znacie przecież mój slogan: „Ani centa na entropię". Czy dobrze usłyszałem? Sto kredytek za to kosztowne i śliczne stworzenie? Sto, panowie? Ona jest skończoną pięknością, a do tego bardzo dobrze adaptuje się w nowych warunkach. Dwieście? Dziękuję. Trzysta pięćdziesiąt? Dziękuję. Kto da więcej? Pięćset? Osiemset? Dziękuję. Czy ktoś da więcej za to znakomite dzieło nadwornego geniusza z Cyrku Four Mile? Chodzi, rozmawia, jest uległa. Jest tak zaprogramowana, żeby była miła dla osoby oferującej najwyższą cenę. Dziewięćset? Dziewięćset po raz pierwszy. Dziewięćset po raz drugi. Dziewięćset po raz trzeci. Sprzedana Lordowi Yale za sumę w wysokości dziewięćset kredytek.

Rozległy się burzliwe oklaski i zatrwożone kalkulacje:
– Taki android musi być wart z dziewięćdziesiąt tysięcy! Jak może go być stać na taką rozrzutność?
– Czy zechce pan przekazać te pieniądze androidce, Lordzie Yale? Odpowiednio się panu odwdzięczy. Do zobaczenia w Rzymie, panie i panowie... Pałac Borgiów o północy. Szczęśliwego Nowego Roku.

Kiedy, ku zachwytowi swojemu i innych kawalerów, Lord Yale odkrył, że popełnione zostało podwójne oszustwo, Fourmyle'a nie było już wśród zebranych. Androidka była w rzeczywistości żywym, ludzkim stworzeniem, skończoną pięknością i to bardzo uległą. Po wręczeniu jej dziewięciuset kredytek była nad wyraz miła. Trik ten był przez cały rok tematem rozmów w palarniach. Mężczyźni nie posiadający partnerek, czekali pełni entuzjazmu, aby pogratulować Fourmyle'owi.

A Foyle z Robin Wednesbury mijali właśnie szyld głoszący w siedmiu językach:
TU ZDWOISZ SZYBKOŚĆ JAUNTOWANIA LUB OTRZYMASZ
ZWROT KOSZTÓW W POSTACI PODWOJONEJ WNIESIONEJ OPŁATY
i wkraczali do ośrodka, w którym rządy sprawował:
DR SERGEI OREL, CUDOTWÓRCA W DZIEDZINIE ROZWIJANIA
ZDOLNOŚCI PSYCHOKINETYCZNYCH MÓZGU.

Poczekalnia udekorowana była niesamowitymi planszami objaśniającymi, w jaki to sposób dr Orel przykłada na mózg okłady, stawia na nim bańki, balsamuje go i poddaje elektrowstrząsom, a wszystko to w celu zdwojenia możliwości tego organu albo zwrotu wniesionej opłaty w podwójnej wysokości. Specjalista ten podwajał również pojemność pamięci przeciwgorączkowymi proszkami na przeczyszczenie, podbudowywał morale środkami wzmacniającymi oraz leczył wszelkie zbolałe dusze Maścią na rany Orela.

W poczekalni nie było nikogo. Foyle otworzył na chybił trafił jakieś drzwi. Zajrzeli z Robin do długiej sali. Foyle skrzywił się z niesmakiem.

– Wylęgarnia. Można się było spodziewać, że sięgnie również po chorych na głowę.

Melina ta zaspokajała potrzeby Kolektorów Chorób, najbardziej beznadziejnym spośród nerwicomanów. Leżeli w szpitalnych łóżkach umiarkowanie cierpiąc na wywoływane w nielegalny sposób paraodrę, para-grypę, para-malarię, doglądani troskliwie przez pielęgniarki w białych nakrochmalonych fartuchach i cieszyli się swymi nielegalnymi przypadłościami oraz uwagą, którą one zwracają.

Wszedł do swojego namiotu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była postać w bieli siedząca na dywanie i nucąca sobie wesoło. Poznał w niej Robin Wednesbury. Jej suknia była w strzępach, w strzępach był jej umysł.

– Robin!

Nuciła dalej, nie zwracając na niego uwagi. Podniósł ją z dywanu, potrząsnął i uderzył w policzek. Rozpromieniła się i nuciła dalej. Napełnił skrzykawkę i zaaplikował jej potężną dawkę Niaciny. Otrzeźwiający kop narkotyku wpłynął w okropny sposób na jej patetyczną ucieczkę od rzeczywistości. Satynowa skóra przybrała barwę popiołu. Piękna twarz skręciła się z bólu. Poznała Foyla; przypomniała sobie to, o czym próbowała zapomnieć. Krzyknęła i padła na kolana. Zaczęła płakać.

– Tak jest lepiej – powiedział do niej. – Jesteś pierwsza do ucieczki. Najpierw samobójstwo, teraz to. Co będzie następne?
– *„Odejdź".*
– Prawdopodobnie religia. Już cię widzę jak dołączasz do sekty piwniczników z hasłem w rodzaju Pax Vobiscum na ustach. Przemyt biblii i umartwianie się w imię wiary. Czy nigdy niczemu nie potrafisz stawić czoła?
– *„A ty nigdy nie uciekałeś?"*
– Nigdy. Ucieczka jest dla kalek. Dla neurotyków.
– *„Neurotyków. Najulubieńsze słowo Dopiero-Co-Wyedukowanego Jasia. Jesteś takim Jasiem, prawda? Taki opanowany. Taki zrównoważony. Uciekasz całe swoje życie."*
– Ja? Nigdy. Całe życie poluję.
– *„Właśnie że uciekasz. Czy nigdy nie słyszałeś o Ucieczce przez Atak? O ucieczce od rzeczywistości przez atakowanie jej... wyparcie się jej... niszczenie jej? Tak właśnie robisz".*
– Ucieczka przez Atak? – Foyle zerwał się wzburzony na równe nogi. – Chcesz przez to powiedzieć, że przed czymś uciekam?
– *„Najwyraźniej".*
– A niby przed czym?
– *„Przed rzeczywistością. Nie potrafisz zaakceptować życia takim, jakie ono jest. Wzbraniasz się przed tym. Atakujesz je... starasz się je nagiąć do własnych o nim wyobrażeń. Atakujesz i niszczysz wszystko, co stoi na przeszkodzie twojemu szalonemu stylowi życia."* –Podniosła mokrą od łez twarz i spojrzała mu prosto w oczy. Nie jestem w stanie dłużej tego znosić. Chcę, żebyś pozwolił mi odejść.
– Odejść? Dokąd?
– Tam, gdzie będę mogła żyć własnym życiem.
– A co z twoją rodziną?
– Sama je odnajdę.
– Dlaczego? Dlaczego właśnie teraz?
– Tego już za wiele jak dla mnie... ty i ta wojna... Bo ty jesteś tak samo zły jak wojna. Gorszy. To co się stało ze mną dzisiejszej nocy, dzieje się każdej chwili kiedy jestem z tobą. Nie mogę już wytrzymać ani jednego, ani drugiego.
– Nie zgadzam się – powiedział. – Potrzebuję cię.
– Jestem gotowa wykupić się.
– Czym?
– Straciłeś wszystkie tropy prowadzące do „Vorgi", prawda?
– No i?
– Znalazłam jeszcze jeden.
– Gdzie?
– Nieważne gdzie. Pozwolisz mi odejść jeśli ci go zdradzę?
– Mogę wyciągnąć to od ciebie siłą.
– No dalej, wyciągnij. – Oczy jej błyszczały. – Jeśli wiesz co to jest, nie napotkasz na żadne trudności.
– Mogę cię zmusić, żebyś to mi wyjawiła.
– Możesz? Po dzisiejszym bombardowaniu? Spróbuj.

Był zaskoczony jej buńczuczną postawą.
– Skąd mam wiedzieć, że nie blefujesz?
– Uchylę rąbka tajemnicy. Pamiętasz tego człowieka z Australii?
– Forresta?
– Tak. Próbował wyjawić ci nazwiska załogi. Pamiętasz to jedyne nazwisko, które zdołał powiedzieć zanim umarł?
– Kemp.

nienia jej ze swych objęć. Przez chwilę łapała spazmatycznie oddech, a potem znowu się roześmiała. Jej koralowe oczy błyszczały.
– Już po wszystkim – powiedziała.
– Jeszcze się nie zaczęło.
– O czym mówisz?
– O wojnie między nami.
– Wywołaj tę wojnę – powiedziała gwałtownie. Jesteś pierwszym, który nie dał się zwieść moim wizjom. O Boże! Ci nudni rycerscy rycerze z tą ich mdłą miłością do księżniczek z bajki. Ale ja nią nie jestem... w środku. Nie jestem. Nie jestem. Nie. Wywołaj okrutną wojnę między nami. Nie pokonuj mnie – zniszcz mnie.
I nagle znowu stała się Lady Olivią, pełną gracji Śnieżną Dziewicą.
– Szkoda, że bombardowanie już się skończyło, mój drogi Fourmyle. Już po przedstawieniu. Cóż to było za podniecające preludium Nowego Roku. Dobranoc.
– Dobranoc? – powtórzył za nią z niedowierzaniem w głosie.
– Dobranoc – powiedziała jeszcze raz. – Doprawdy, mój drogi Fourmyle, tak dalece brak ci ogłady, że nigdy nie wiesz kiedy jesteś niepożądany? Możesz już odejść. Dobranoc.
Wahał się przez chwilę szukając słów, a nie znalazłszy odwrócił się i chwiejnym krokiem opuścił gmach. Drżał z podniecenia i oszołomienia. Szedł jak ślepiec, nie zwracając uwagi na otaczający go chaos i zniszczenie. Horyzont oświetlało teraz czerwone morze płomieni. Falowe naloty gwałtownie wstrząsnęły atmosferą i nad pogorzeliskiem hulały w dziwnych porywach nieustające wiatry. Potężne eksplozje tak silnie wstrząsnęły miastem, że ulice zawalone były cegłami z przewróconych ścian domów, oberwanymi gzymsami, szkłem z potłuczonych szyb i wszelkiego rodzaju żelastwem, chociaż na Nowy Jork nie wykonano bezpośredniego ataku.
Ulice były wyludnione; miasto opustoszało. W rozpaczliwym poszukiwaniu bezpiecznego schronienia jauntowali się wszyscy mieszkańcy Nowego Jorku... każdego innego miasta. Każdy jauntował do granic swoich możliwości... pięć mil, pięćdziesiąt mil, pięćset mil. Niektórzy wjauntowali się w samo centrum bezpośredniego uderzenia. Tysiące zginęły w jaunt-eksplozjach, bowiem jauntrampy publiczne nie były przystosowane do sprostania takiemu masowemu exodusowi.
Foyle otrzeźwiał na widok pojawiającej się na ulicy Brygady Ratowniczej ubranej w białe pancerze. Adresowany doń kategoryczny sygnał ostrzegł, iż mają zamiar go wcielić z natychmiastowym skutkiem w szeregi służby porządkowej. Problemem ery jauntingu było nie to, jak ewakuować ludność z zagrożonego miasta, ale jak ją później ściągnąć z powrotem i zmusić do przywrócenia porządku. Foyle nie miał zamiaru spędzać najbliższego tygodnia na walce z pożarami i użeraniu się z szabrownikami. Przyspieszył i wymknął się Brygadzie Ratowniczej.
Zwolnił dopiero na Piątej Alei. Przyspieszanie kosztowało go tak dużo energii, że niechętnie włączał je na dłużej niż kilka chwil. Długie okresy przyspieszania wymagały potem dobrych paru dni rekonwalescencji.
Pojedynczo i całymi grupami pracowali już na alei rabusie i Szaber-jauntowcy. Cichaczem, a mimo to z okrucieństwem szakale rozszarpywały ciało żywego jeszcze, ale bezsilnego zwierzęcia. Otoczyli Foyla. Dzisiejszej nocy wszystko było ich łupem.
– Dajcie mi spokój, nie jestem w nastroju – odezwał się do nich. – Poszukajcie sobie kogoś innego.
Wypróżnił kieszenie z pieniędzy i cisnął je im pod nogi. Pozbierali szybko banknoty, ale nie byli zadowoleni. Pragnęli rozrywki, a on był najwyraźniej bezbronnym gentlemanem. Kilku łotrów zbliżało się do Foyla, aby go podręczyć.
– Miły gentlemanie – uśmiechali się. – Urządźmy sobie małe przyjęcie.
– Foyle widział już raz okaleczone ciało jednego z honorowych gości ich przyjęcia. Westchnął i otrząsnął się z wizji Olivii Presteign.
– Dobra, szakale – powiedział. – Pobalujemy.
Rabusie przygotowali się do wprawienia go w taniec wrzasku. Foyle przełączył klawiaturę w ustach i na dwanaście niszczycielskich sekund przedzierzgnął się w najbardziej morderczą maszynę, jaką kiedykolwiek wynaleziono – w Komandosa-Zabójcę. Wszystko odbywało się bez udziału jego świadomości, czy woli, jego ciało stosowało się jedynie do dyrektyw zakodowanych w mięśniach i odruchach. Pozostawił na ulicy sześć rozciągniętych ciał.
Odwieczna katedra Św. Patryka stała nienaruszona. Po zaśniedziałym, krytym miedzią dachu igrał odblask szalejących wokół pożarów. Wewnątrz świątynia była pusta. Nawę główną zapełniały namioty Cyrku Four Mile. Były oświetlone i umeblowane, ale personel cyrkowy znikł. Służba, kucharze, kamerdynerzy, atleci, filozofowie, ciury obozowe, kanciarze, wszyscy czmychnęli w popłochu.
– Wrócę pewnie na szaber – mruknął do siebie Foyle.

– Popatrz na nich – powiedział pogardliwie Foyle. – Obrzydliwe. Jeśli istnieje coś plugawszego od religijnego narkomana, to jest nim wieczny chory.
– Dobry wieczór – rozległ się za ich plecami jakiś głos.
Foyle zamknął drzwi i odwrócił się. Doktor Sergei Orel zgiął się w ukłonie. W klasycznym ubiorze lekarza z klanu medycznego, do którego, jak twierdził, należał, a składającym się z białego czepka, fartucha i chirurgicznej maski, wyglądał rześko i sterylnie. Był niskim, smagłym mężczyzną o oliwkowych oczach, a jego rosyjskiego pochodzenia można się było domyślić jedynie z nazwiska. Przeszło wiek jauntingu tak wymieszał wszystkie narodowości świata, że zatarciu uległy wszelkie typy rasowe.
– Nie spodziewaliśmy się, że będzie miał pan otwarte w Sylwestra – powiedział Foyle.
– Nasz rosyjski Nowy Rok przychodzi o dwa tygodnie później – wyjaśnił doktor Orel. – Proszę tędy – wskazał drzwi i znikł z cichutkim cmoknięciem. Za drzwiami ukazała się ich oczom długa kondygnacja schodów. Gdy Foyle z Robin zaczęli wstępować na stopnie, doktor Orel pojawił się parę schodków nad nimi.
– Tędy proszę. Och... chwileczkę. – Znikł i pojawił się znowu za nimi. – Zapomnieli państwo zamknąć drzwi. – Zatrzasnął drzwi i jauntował się ponownie. Tym razem zjawił się wysoko, u szczytu schodów. – Proszę wejść.
– Popisuje się – mruknął pod nosem Foyle. – Zdwoisz szybkość jauntowania, albo otrzymasz zwrot kosztów w postaci podwojonej wniesionej opłaty. Wszystko jedno, jest szybki. Będę musiał być jeszcze szybszy.
Weszli do gabinetu konsultacyjnego. Była to nadbudówka o szklanym dachu. Pod ścianami stały zbytkowne, ale przestarzałe aparaty medyczne: maszyna do kąpieli uspokajającej; krzesło elektryczne do wstrząsowego leczenie schizofreników; analizator EKG do śledzenia rozwoju chorób nerwowych oraz stare mikroskopy – optyczny i elektronowy.
Szarlatan czekał już na nich siedząc za biurkiem. Gdy weszli, jauntował się do drzwi, zamknął je, jauntował się z powrotem za biurko, zgiął się w ukłonie, wskazał krzesła, jauntował się za Robin, aby podtrzymać jej krzesło, gdy siadała, jauntował się do okna i zaciągnął zasłony, jauntował się do kontaktu i wyregulował natężenie oświetlenia, po czym znowu pojawił się za biurkiem.
– Rok temu – powiedział z uśmiechem – wcale nie potrafiłem jauntować. Potem odkryłem sekret, który...
Foyle dotknął językiem klawiatury zainstalowanej w końcówkach nerwów jego zębów. Przyspieszył. Wstał, podszedł spokojnie do postaci za biurkiem poruszającej się wolno i bełkoczącej coś głębokim basem, zamachnął się i naukowo grzmotnął Orela w oko, powodując wstrząs czołowych płatów mózgu i porażając ośrodek jauntingu. Zaniósł szarlatana na krzesło elektryczne i przytroczył go doń pasami. Cała akcja zajęła mu w przybliżeniu pięć sekund. Dla Robin Wednesbury była to rozmazana plama ruchu.
Foyle wyłączył przyspieszenie. Szarlatan otworzył oczy, spróbował się poruszyć i zorientowawszy się gdzie go posadzono, wpadł w złość okraszoną zdumieniem.
– Jesteś Sergei Orel, felczer z „Vorgi" – powiedział spokojnie Foyle. – Szesnastego sierpnia 2436 roku znajdowałeś się na pokładzie „Vorgi".
Złość i zdumienie malujące się na twarzy Orela ustąpiły miejsca przerażeniu.
– Szesnastego sierpnia minęliście wrak. Niedaleko pasa asteroidów. To był wrak „Nomada". Wzywał pomocy i „Vorga" mu jej nie udzieliła. Zostawiliście go, żeby dryfował i zginął. Dlaczego?
Orel potoczył wokół przerażonym wzrokiem, ale nie odpowiedział.
– Kto wydał rozkaz zostawienia mnie? Kto chciał, żebym zgnił tam i umarł?
Orel zaczął coś szwargotać.
– Kto był wtedy na pokładzie? Kto z tobą leciał? Kto dowodził? Chcę otrzymać odpowiedzi na pytania. Nie myśl, że zrezygnuję – powiedział Foyle z chłodnym okrucieństwem. – Kupię, albo wydrę je od ciebie. Czemu skazano mnie na śmierć? Kto wam kazał mnie zostawić?
Orel wrzasnął.
– Nie mogę o tym mó... Poczekaj, powiem...
Zwisł na pasach.
Foyle zbadał ciało.
– Nie żyje – mruknął. – I to w chwili, kiedy już chciał mówić. Tak samo jak Forrest.
– Zamordowałeś go.
– Nie. Nawet go nie tknąłem. To było samobójstwo – zachichotał bez cienia wesołości Foyle.
– Jesteś szalony.
– Nie, ubawiony. Nie zabiłem ich; zmusiłem ich tylko, aby sami zadali sobie śmierć.
– Co to za brednie?

– Założono im Bloki Sympatyczne. Wiesz coś o BS-ach, mała? Wywiad zakłada je swoim agentom. Bierze się jakąś istotną informację, która nie ma prawa wyjść na jaw, sprzęga ją z sympatycznym systemem nerwowym, który steruje bezwarunkowym odruchem oddychania i biciem serca. Gdy tylko obiekt próbuje wyjawić tę informację, włącza się blokada, serce i płuca przestają pracować i człowiek umiera. Tajemnica zostaje zachowana. Agent nie musi się kłopotać czy ma popełnić samobójstwo celem uniknięcia tortur, czy też nie; robi się to za niego.

– I tak zrobiono tym ludziom?

– Najwyraźniej.

– Ale dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć? Nie tłumaczy tego przewóz uchodźców. Żeby zostały podjęte takie środki ostrożności, „Vorga" musiała być wplątana w jakieś ciemniejsze interesy. Ale mamy teraz problem. Naszą ostatnią nitką jest Poggi z Rzymu. Angelo Poggi, pomocnik kucharza z „Vorgi". Jak wyciągnąć od niego informacje bez... – Urwał.

Przed nim, z twarzą płonącą krwawoczerwonym tatuażem, w płonącym ubraniu, stał cichy i złowieszczy jego sobowtór.

Foyle skamieniał. Wziął głęboki oddech i przemówił drżącym głosem:

– Kim jesteś? Co ty...

Zjawa znikła.

Foyle oblizując wargi odwrócił się do Robin.

– Widziałaś to? – Odpowiedział mu wyraz jej twarzy. – Czy to było realne?

Wskazała na biurko Sergeia Orela, przy którym przed chwilą stała zjawa. Leżące na biurku papiery zajęły się ogniem i płonęły teraz wesoło. Foyle cofnął się, wciąż przestraszony i oszołomiony. Przesunął dłonią po twarzy. Była wilgotna.

Robin podbiegła do biurka i próbowała stłumić płomienie. Chwytała pliki papierów i listów i machała nimi bezradnie. Foyle nie ruszał się.

– Nie mogę tego ugasić – wykrztusiła wreszcie zdyszana.

– Musimy stąd uciekać.

Foyle skinął głową, a potem mobilizując całą siłę woli wziął się w garść.

– Rzym – powiedział chrapliwym głosem. – Jauntujemy się do Rzymu. Musi istnieć jakieś wyjaśnienie tego wszystkiego. Znajdę je, na Boga! A tymczasem w drogę. Kierunek Rzym. Ruszaj, mała. Jauntuj!

Od czasów średniowiecza Schody Hiszpańskie pozostają głównym siedliskiem zepsucia w Rzymie. Pnące się szeroką promenadą od Piaza di Spagna do ogrodów Villa Borghese, Schody Hiszpańskie obfitują, obfitowały i zawsze będą obfitować występkiem. Po schodach tych, dniem i nocą wałęsają się stręczyciele, prostytutki, zboczeńcy, lesbijki i bierni homoseksualiści. Bezczelni i aroganccy manifestują swoją upadłość, drwiąc sobie z przechodzących tamtędy czasami porządnych ludzi.

Schody Hiszpańskie uległy zniszczeniu podczas wojen atomowych toczących się u schyłku dwudziestego wieku. Potem odbudowano je i ponownie zniszczono podczas wojny o Restaurację Świata w dwudziestym pierwszym wieku. Odbudowano je znowu i tym razem przykryto odporną na wybuchy kryształową banią, przekształcając schody w stopniową Galerię. Kopuła Galerii przesłaniała widok z okna pokoju śmierci w domu Keatsa. Zwiedzający nie mogli już zerkać przez wąskie okno, aby rzucić okiem na widok, który oglądały gasnące oczy poety. Widzieli teraz okopconą kopułę Schodów Hiszpańskich, a w dole pod nią zniekształcone sylwetki przedstawicieli światka zepsucia.

Galeria Schodów była nocą oświetlana i tegoroczny Sylwester nie stanowił w tym względzie wyjątku. Od tysięcy lat Rzym witał Nowy Rok bombardowaniem... rzucano petardy, rakiety, torpedy, strzelano z broni palnej, z butelek, walono w stare garnki i patelnie. Od miesięcy Rzymianie składali odpadki, aby gdy wybije północ wyrzucić je z ostatniego piętra. Kiedy Foyle i Robin, wyszedłszy z balu karnawałowego, który odbywał się w pałacu Borgiów, schodzili po stopniach w dół, huk fajerwerków puszczanych wewnątrz kopuły Schodów i klekot rupieci spadających od zewnątrz na jej sklepienie były ogłuszające.

Foyle i Robin byli wciąż w kostiumach balowych; on we wściekłym, karmazynowo-czarnym trykocie i w tunice Cezara Borgii, ona w inkrustowanej srebrem sukni Lukrecji Borgii. Na twarzach mieli oboje groteskowe, aksamitne maski. Kontrast między ich renesansowymi strojami, a nowoczesnymi ubraniami kłębiącego się na Schodach Hiszpańskich tłumu, wywoływał drwiny i gwizdy. Nawet Lobesi – bywalcy Schodów, niefortunni notoryczni kryminaliści, którym wypalono po ćwiartce mózgu, przeprowadzając lobotomię płatów czołowych, otrząsnęli się ze swej posępnej apatii, aby popatrzeć na dziwną parę schodzącą Galerią.

– Poggi – zawołał Foyle. – Angelo Poggi?

– Ach, pozujesz na rycerza w zbroi? Szlachetnego wybawcę? To do ciebie nie pasuje, mój drogi. Nie masz do tego smykałki. Idź sobie lepiej.

– Zostanę.

– Jak wspaniały kochanek?

– Jak kochanek.

– Wciąż jesteś nudny, Fourmyle. Dalej, wykrzesz z siebie trochę fantazji. Powiedz mi lepiej co widzisz.

– Nic takiego – odparł rozglądając się dokoła i krzywiąc twarz. – Nad całym horyzontem świeci jasna łuna. Przelatują w pędzie jakieś świecące obłoki. W górze... coś jakby iskrzyło. Przypomina to trochę migotanie zimnych ogni.

– Och, tak mało widzisz swoimi oczyma. Posłuchaj co ja widzę. Niebo przykryte jest kopułą, tęczową kopułą. Kolory tej tęczy zmieniają się od głuchego dzwonienia do oślepiającego świecenia. To właśnie nazywam kolorami. Czym może być ta kopuła?

– To ekran radarowy – mruknął Foyle.

– Są tam jeszcze ogromne, ogniste słupy, tryskające w górę, chwiejące się, falujące, tańczące, przecesujące niebo. Co to może być?

– To wiązki przechwytujące. Widzisz po prostu cały elektroniczny system obronny.

– Widzę też spadające bomby... szybkie smugi tego co nazywasz czerwienią, ale nie twoją czerwienią – moją. Dlaczego je widzę?

– Nagrzewają się w atmosferze na skutek tarcia, ale mają skorupy z obojętnego ołowiu i dla nas są niewidoczne.

– No widzisz o ile jesteś pożyteczniejszy jako Galileusz niż jako Galahad? Och! Jedna spada na wschodzie. Obserwuj ją! Leci, leci, leci... Teraz!

Rozbłysk światła na wschodnim horyzoncie dowiódł, iż nie była to jej imaginacja.

– Tam, na północy, spada druga. Jest już bardzo nisko. Bardzo. Teraz!

– Od północy nadleciała fala uderzeniowa.

– A eksplozje, Fourmyle... one są nie tylko obłokami światła. One są dla mnie namacalnymi tkaninami, materiałami... gobelinami zachodzących na siebie barw. Jakież one są piękne. Jak misternie tkane całuny.

– Bo też nimi są, Lady Olivio.

– Boisz się?

– Tak.

– No to uciekaj.

– Nie.

– Ach, więc jesteś buntownikiem.

– Nie wiem kim jestem. Boję się, ale nie ucieknę.

– Nadrabiasz więc brawurą. Popisujesz się męską odwagą – w jej matowym głosie dawało się wyczuć rozbawienie. – Zastanów się, Fourmyle. Ile czasu zajmie ci jauntowanie się stąd? W ciągu paru sekund możesz być bezpieczny... w Meksyku, w Kanadzie, na Alasce. Tak, bezpieczny. Pewnie są tam już miliony ludzi. My dwoje jesteśmy prawdopodobnie ostatnimi, którzy pozostali jeszcze w mieście.

– Nie każdy potrafi jauntować się tak daleko i tak szybko.

– A zatem jesteśmy ostatnimi pozostałymi, którzy to potrafią. Dlaczego mnie nie zostawisz? Ratuj się. Niedługo zginę. Nikt się nigdy nie dowie, że schowałeś do kieszeni swoją ambicję i wycofałeś się.

– Suka!

– Ach, więc jesteś zły? Co za oburzający język. To pierwsza oznaka słabości. Dlaczego nie pokierujesz się swoją lepszą oceną sytuacji i nie porwiesz mnie? To byłaby druga oznaka.

– A niech cię diabli!

Przesunął się blisko niej zaciskając z wściekłości pięści. Dotknęła zimną, spokojną dłonią jego policzka i znowu nastąpił wstrząs elektryczny.

– Nie, już za późno, mój drogi – powiedziała. – Nadlatuje cały rój czerwonych smug... są coraz niżej... gnają prosto na nas. Nie będzie przed nimi ucieczki. Szybko! Uciekaj! Jauntuj się! Zabierz mnie ze sobą. Szybko! Szybko!

Porwał ją z ławki.

– Suko! Nigdy!

Mocno przycisnął dziewczynę do siebie znajdując słodkie koralowe usta i pocałował je. Miażdżył jej usta swoimi, czekając na ostateczny blackout.

Wstrząs jednak nie następował.

– Oszukałaś mnie! – wykrzyknął. Roześmiała się. Pocałował ją znowu i wreszcie zmusił się do uwol-

– Och, naprawdę próbujesz? Po co?

– Rozwijam się, Jiz – powiedział cicho Foyle. – Nietrudno było odgadnąć, że o to właśnie chodzi Presteignowi i Dagenhamowi.

– Gdzie przechowujesz resztę bryłek?

– W bezpiecznym miejscu.

– Nie są tam bezpieczne. One nigdzie nie będą bezpieczne. Nie wiem czym jest PirE, ale wiem, że to prosta droga do piekła i nie chcę, żeby Saul na nią wkroczył.

– Tak bardzo go kochasz?

– Tak bardzo go szanuję. On jest pierwszym mężczyzną, który okazał zrozumienie dla mego podwójnego życia.

– Czym jest to PirE, Jiz? Przecież ty to wiesz.

– Domyślam się tylko. Poskładałam sobie wszystkie napomknienia, które o nim słyszałam i doszłam do pewnego wniosku. Mogłabym ci go wyjawić, ale nie zrobię tego. – Furia malująca się na jej twarzy była wyraźnie widoczna. – Tym razem to ja cię opuszczam. Zostawiam ciebie, żebyś błądził bezradny w ciemnościach po omacku. Zobacz jak to smakuje, chłopczyku! Ciesz się!

Wyrwała się z jego objęć i pobiegła przez salę balową ku wyjściu. W tym właśnie momencie spadły pierwsze bomby.

Nadleciały jak roje meteorów; nie tak liczne, ale o wiele bardziej śmiercionośne. Nadleciały nad tę ćwiartkę kuli ziemskiej, na której rozpoczął się już nowy dzień, na której minęła już północ, ale nie zaświtał jeszcze poranek. Zderzyły się czołowo z wysuniętą naprzód półkulą Ziemi pędzącej po orbicie okołosłonecznej. Aby tu dotrzeć, pokonały odległość 400 milionów mil.

Ogromne prędkości, z jakimi gnały, mieściły się, choć z niewielkim tylko marginesem, w zakresie zdolności rozdzielczych szybkich komputerów ziemskiego systemu wczesnego wykrywania, który w przeciągu mikrosekund wyśledził i przechwycił te noworoczne podarki od Satelitów Zewnętrznych. Na niebie rozbłysło na chwilę i zaraz zgasło mrowie nowych gorejących gwiazd; były to pociski wykryte i zdetonowane na wysokości 500 mil ponad celem, do którego zmierzały.

Margines zapasu między szybkością systemu obronnego, a szybkością ataku był jednak tak wąski, że wiele pocisków przedarło się przez zaporę. Przeniknęły przez warstwę zórz polarnych jonosfery, przebiły się przez strefę świecenia meteorytów, przemknęły przez mezosferę, stratosferę i spadły na Ziemię. Ich niewidzialne trajektorie zaznaczyły swój kres tytanicznymi konwulsjami ziemskiej skorupy.

Pierwsza eksplozja nuklearna zniszczyła Newark, wstrząsając z nieprawdopodobną siłą rezydencją Presteigna. Zadygotały podłogi i ściany, a parkiety zasłały się zwałami ściętych z nóg gości, poprzewracanych mebli i roztrzaskanych dekoracji. Cały Nowy Jork drżał pod lejącym się z nieba, rozrzedzonym prysznicem. Wszyscy byli ogłuszeni, sparaliżowani strachem i zdezorientowani. Huk wybuchów, wstrząsy, rozbłyski trupiosinych błyskawic na horyzoncie były tak potężne, że odarły człowieczeństwo z rozumu, pozostawiając ogłupione ze skóry stworzenia zdolne tylko do wrzasku, krycia się i umykania. W przeciągu pięciu sekund eleganckie przyjęcie u Presteigna przerodziło się w anarchię.

Foyle podniósł się z podłogi. Rozejrzał się po sali balowej i dostrzegł Jisbellę próbującą wyczołgać się spod sterty ciał kłębiących się po parkiecie. Uczynił krok w jej stronę i zatrzymał się. Odwrócił w oszołomieniu głowę nie mogąc się oprzeć wrażeniu, iż nie stanowi ona części jego własnego ciała. Grzmot nie ustawał. W holu recepcyjnym dojrzał Robin Wednesbury, zataczającą się i sponiewieraną. Postąpił krok w jej kierunku i znowu się zatrzymał. Wiedział już gdzie musi iść.

Przyspieszył. Grzmot i oślepiający blask zjechały natychmiast w dół widma, rozczłonkowując się na poszczególne wybuchy i migotanie. Gwałtowne wstrząsy przeszły w ospałe falowanie. Foyle lotem błyskawicy przemierzał wielki gmach. Szukał, aż wreszcie znalazł ją w ogrodzie. Stała na palcach na marmurowej ławce i wyglądała dla jego przyspieszonych zmysłów jak marmurowy posąg... posąg egzaltacji.

Wyłączył przyspieszenie. Zmysły podskoczyły znowu w górę spektrum i ponownie zostały porażone straszliwymi wrażeniami bombardowania.

– Lady Olivio! – zawołał.

– Kto to?

– To ja, klown.

– Fourmyle?

– Tak.

– Szukałeś mnie? Jestem wzruszona, szczerze wzruszona.

– Jesteś szalona stojąc tak tutaj. Błagam cię...

– Nie, nie, nie. To jest piękne... Wspaniałe!

– Pozwól, że jauntuję cię w bezpieczne miejsce.

Jakiś stręczyciel wrzasnął pod jego adresem anatomiczne przekleństwo.

– Poggi? Angelo Poggi? – wołał niewzruszenie Foyle. – Mówiono mi, że dzisiejszej nocy mogę go znaleźć na Schodach. Angelo Poggi?

Jakaś dziwka oczerniła jego matkę.

– Angelo Poggi? Dziesięć kredytek temu, kto mi go sprowadzi.

Otoczył Foyla las wyciągniętych łap. Jedne były brudne, inne wyperfumowane, a wszystkie chciwe. Potrząsnął głową.

– Najpierw mi go pokażcie.

Rozpętała się wokół niego żywiołowa rzymska wściekłość.

– Poggi? Angelo Poggi?

Po sześciu tygodniach bezowocnego wałęsania się po Schodach Hiszpańskich kapitan Yáng-Yeovil usłyszał wreszcie słowa, na które czekał. Sześć tygodni żmudnego podszywania się pod dawno zmarłego, niejakiego Angelo Poggi, pomocnika kucharza z „Vorgi", przyniosło nareszcie rezultaty. Wywiad włączył się do tej gry z chwilą, gdy kapitanowi Yáng-Yeovilowi doniesiono, że ktoś ostrożnie rozpytuje o załogę „Vorgi" Presteigna, płacąc za informacje ciężkie pieniądze.

– To trudna operacja – powiedział wtedy Yáng-Yeovil – ale tej szaleńczej próby wysadzenia „Vorgi" w powietrze dokonał właśnie Gully Foyle, AS-128/127.006. No a dwadzieścia funtów PirE warte jest zachodu.

Teraz, kołysząc się w biodrach, wstępował po schodach podchodząc do człowieka w renesansowym kostiumie i w masce. Dzięki kuracji hormonalnej przybrał na wadze czterdzieści funtów. Cerę przyciemnił umiejętnie dobraną dietą. Jego fizjonomia, nie zdradzająca bynajmniej cech orientalnych, a zbliżona raczej do jastrzębich rysów twarzy starożytnego amerykańskiego Indianina, przy pewnej kontroli nad mimiką pasowała swobodnie do niezbyt jasno opisanego pierwowzoru.

Tak więc agent kołysząc się w biodrach wstępował teraz po Schodach Hiszpańskich niczym tłusty kogut o złodziejskiej twarzy. Zbliżywszy się do Foyla podał mu paczuszkę poplamionych kopert.

– Sprośne obrazki, signore? Chrześcijanie Piwniczni, klęczący, modlący się, śpiewający psalmy, całujący krzyż? Bardzo nieprzyzwoite. Bardzo świńskie, signore. Zabawią pańskich przyjaciół... Podniecą damy.

– Nie – Foyle odsunął wtykaną mu pornografię na bok. – Szukam Angela Poggi.

Yáng-Yeovil dał mikrosygnał. Jego ludzie znajdujący się na schodach, nie zaprzestając ani na chwilę stręczycielstwa i nierządu, zaczęli fotografować i rejestrować przebieg rozmowy. Wokół Foyla i Robin, w gradzie ledwie zauważalnych tików, ruchów nosem, gestów, póz i min rozsygnalizowała się Tajna Mowa Tongu Wywiadowczego Sił Zbrojnych Planet Wewnętrznych. Był to starożytny chiński język znaków przekazywanych za pomocą powiek, brwi, nosa, koniuszków palców oraz nieskończenie drobnych ruchów ciałem.

– Słucham. Signore? – wysapał Yáng-Yeovil.

– Angelo Poggi?

– Si, signore. Jestem Angelo Poggi.

– Pomocnik kucharza z „Vorgi"? – Spodziewając się tego samego napadu strachu, jaki manifestowali na samo wspomnienie o „Vordze" Forrest i Orel, a którego przyczynę wreszcie zrozumiał, Foyle wyciągnął rękę i złapał Yáng-Yeovila za łokieć. – Tak?

– Si, signore – odparł z niezmąconym spokojem Yáng-Yeovil. – Czym mogę panu służyć?

– Może ten wyjdzie z tego cało – mruknął Foyle do Robin. – Nie przestraszył się. Może potrafi obejść blokadę. Chcę uzyskać od ciebie pewne informacje, Poggi.

– Jakiego rodzaju, signore i za ile?

– Chcę kupić wszystko, co masz do sprzedania. Wszystko co wiesz. Ile żądasz?

– Ależ, signore! Jestem człowiekiem leciwym i doświadczonym. Nie handluję po cenach hurtowych. Należy mi płacić pozycja po pozycji. Pan wybiera, a ja wymieniam cenę. Co chce pan wiedzieć?

– Czy byłeś na pokładzie „Vorgi" 16 sierpnia 2346 roku?

– Cena tej pozycji wynosi 10 kredytek.

Foyle uśmiechnął się niewesoło i zapłacił.

– Byłem, signore.

– Chcę się dowiedzieć czegoś o statku, który minęliście w pobliżu pasa asteroidów. O wraku „Nomada". Minęliście go szesnastego sierpnia. „Nomad" wzywał pomocy, a „Vorga" przeszła obok i nie udzieliła mu jej. Kto wydał taki rozkaz?

– Ach, signore!

– Kto wydał wam taki rozkaz i dlaczego?

– Czemu pan o to pyta, signore?

- Nieważne. Mów ile chcesz i gadaj.
- Zanim odpowiem, muszę wiedzieć na co panu ta informacja, signore. - Na tłustym obliczu Yáng-Yeovila wykwitł chytry uśmieszek. - Zapłacę za swoją dociekliwość opuszczając cenę. Dlaczego interesuje się pan „Vorgą" i „Nomadem" i tym skandalicznym porzuceniem w kosmosie? Czy to może pan był tym nieszczęśliwcem, którego tak okrutnie potraktowano?
- *„On nie jest Włochem! Akcent ma świetny, ale używa złej składni. Żaden Włoch nie budowałby takich zdań".*
Foyle zesztywniał zaalarmowany. Bystre oczy Yáng-Yeovila, wprawione w wychwytywaniu najdrobniejszych szczegółów, dostrzegły zmianę, jaka zaszła w jego postawie. Z miejsca zorientował się, że został w jakiś sposób zdemaskowany. Dał bezzwłocznie sygnał swym ludziom.
Na Schodach Hiszpańskich wywiązała się gwałtowna bijatyka. Foyle i Robin zostali w jednej chwili porwani przez wrzeszczącą i walczącą bandę. Ludzie z Tongu Wywiadowczego byli niezrównanymi mistrzami w przeprowadzaniu tego manewru, oznaczonego kryptonimem OP-1, a mającego na celu zaskoczenie świata jauntingu. Ta przeprowadzana w ułamku sekundy operacja mogła wytrącić z równowagi każdego człowieka i obnażyć go, celem identyfikacji. Jej powodzenie opierało się na fakcie, że między niespodziewanym atakiem, a reakcją obronną musiała zawsze wystąpić pewna zwłoka czasowa, tzw. czas martwy. W tym czasie Tong Wywiadowczy gwarantował, że nie dopuści nikogo do jauntowania się.
W przeciągu trzech piątych sekundy, Foyle został sponiewierany, powalony na kolana, rąbnięty w czoło, przewrócony na stopnie i rozciągnięty na nich z rozpostartymi rękoma i nogami. Zdarto mu z twarzy maskę, ściągnięto ubranie i tak przygotowany i bezsilny oczekiwał już tylko na zgwałcenie kamerami identyfikacyjnymi. I właśnie wtedy, po raz pierwszy w historii Tongu, harmonogram operacji uległ zakłóceniu.
Nad ciałem Foyla pojawił się człowiek na rozkraczonych nogach - ogromny mężczyzna o straszliwie wytatuowanej twarzy w dymiącym i płonącym ubraniu. Zjawa była tak przerażająca, że agenci stanęli jak rażeni piorunem i gapili się na nią z rozdziawionymi ustami. Tłum zebrany na Schodach wydał jęk zgrozy.
- Płonący Człowiek! Patrzcie! Płonący Człowiek!
- Ale to Foyle! - wyszeptał Yáng-Yeovil.
Zjawa stała tak może z ćwierć minuty milcząc, płonąc i patrząc niewidzącymi oczyma, potem znikła. Rozpostarty na schodach mężczyzna znikł również. Przedzierzgnął się w rozmazaną w błyskawicznym ruchu plamę, która śmigała wśród ludzi Wywiadu wyszukując i niszcząc kamery, rejestratory i wszelkie aparaty identyfikacyjne. Potem plama pochwyciła dziewczynę w renesansowej sukni i rozpłynęła się z nią w powietrzu.
Schody Hiszpańskie ożyły znowu, jak gdyby otrząsając się z koszmaru. Oszołomieni agenci Wywiadu zbili się w gromadkę wokół Yáng-Yeovila.
- Co to było, na miłość boską, Yeo?
- Myślę, że to był nasz człowiek - Gully Foyle. Widzieliście tę wytatuowaną gębę?
- I płonące ubranie!
- Wyglądał jak czarownica na stosie.
- Ale jeśli ten Płonący Człowiek był Foylem, to na kogo, u diabła, marnowaliśmy czas?
- Nie wiem. Czyżby Brygada Komandosów zafundowała sobie służbę wywiadowczą i nie zadała sobie trudu, aby nam o tym wspomnieć?
- Dlaczego akurat Komandosi, Yeo?
- Widzieliście jak przyspieszył, prawda? Zniszczył całą dokumentację, jaką zrobiliśmy.
- Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co widziałem.
- Och, ty wierzysz nawet w to, czego nie widziałeś. To była najściślejsza tajemnica Desantu. Rozbierają swoich ludzi na kawałki i wymieniają im cały system nerwowy oraz układ ruchu. Muszę się skontaktować z dowództwem na Marsie i zapytać, czy Brygada Komandosów nie prowadzi równoległego śledztwa.
- Od kiedy to armia spowiada się marynarce?
- Wyspowiadają się przed Wywiadem - powiedział ze złością Yáng-Yeovil. - Sprawa jest na tyle poważna, że nie ma w niej miejsca na ceregiele. I jeszcze jedno: Nie było powodu, aby w trakcie manewru tarmosić tę dziewczynę. To była niepotrzebna niesubordynacja. - Yáng-Yeovil przerwał, nieświadomy krzyżujących się wokół niego znaczących spojrzeń. - Muszę się dowiedzieć kim ona była - dodał rozmarzonym głosem.
- Jeśli ona też została przyspieszona, to może to być interesujące, Yeo - odezwał się słodki głos, wyraźnie pozbawiony ukrytego znaczenia. - Chłopiec spotyka Komandoskę...

- Nie wygłupiaj się, Jiz. Zarobisz na tym interesie 17 980 000 kredytek.
- Co to ma znaczyć?
- Powiedziałem kiedyś, że oddam ci wszystko co zostanie, kiedy wykończę „Vorgę".
- Wykończyłeś ją? - spytała zdziwiona.
- Nie, kochanie. Ty wykończyłaś mnie. Ale dotrzymam obietnicy.
Roześmiała się.
- Wspaniałomyślny Gully Foyle. Bądź naprawdę wspaniałomyślny, Gully. Zorganizuj coś za te pieniądze. Zabaw mnie trochę.
- Piszcząc o łaskę jak nędzny szczur? Nie wiem jak, Jiz. Umiem tylko polować.
- A więc wykończyłam tygrysa. Usatysfakcjonuj mnie chociaż, Gully. Powiedz, że byłeś blisko „Vorgi" i zrujnowałam cię, gdy do jej wykończenia brakowało ci tylko ostatniego pociągnięcia, tak było?
- Bardzo bym tego chciał, Jiz, ale tak nie było. Dalej jestem w lesie. Dziś wieczorem próbowałem znaleźć tu kolejny trop.
- Biedny Gully. Może uda mi się ci pomóc w wybrnięciu z tej pułapki. Mogę powiedzieć... że się pomyliłam... albo, że żartowałam... że tak naprawdę to ty nie jesteś Gully Foyle. Wiem jak oszukać Saula. Potrafię to zrobić, Gully... jeśli nadal mnie kochasz.
Spojrzał na nią z góry i pokręcił głową.
- Między nami nigdy nie było miłości, Jiz. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Jestem zbyt zaślepiony, aby być kimś innym niż myśliwym.
- Jesteś zbyt zaślepiony, aby być kimś innym niż głupcem!
- Co chciałaś przez to powiedzieć, Jiz? Dagenham wystarał się, by cię nie wsadzili z powrotem do Gouffre Martel... Wiesz jak oszukać Saula Dagenhama? Co ty masz z nim wspólnego?
- Pracuję dla niego. Jestem jednym z jego kurierów.
- Chcesz przez to powiedzieć, że on cię szantażuje? Grozi wtrąceniem do Gouffre Martel, jeśli ty nie...
- Nie. Doszliśmy do porozumienia przy naszym pierwszym spotkaniu. On zaczął od pojmania mnie; ja skończyłam na usidleniu jego.
- Jak to zrobiłaś?
- Nie domyślasz się?
Spojrzał jej w oczy. Były przysłonięte powiekami, ale zrozumiał.
- Jiz! Z nim?
- Tak.
- Ale jak? On przecież...
- Istnieją środki ostrożności. To... Nie, nie chcę o tym mówić, Gully.
- Przepraszam. Długo nie wraca.
- Kto nie wraca?
- Dagenham ze swoją armią.
- Ach tak, oczywiście - Jisbella roześmiała się znowu, a potem powiedziała cicho, rozwścieczonym tonem:
- Nwet się nie domyślasz na jakiej balansowałeś linie, Gully. Gdybyś błagał albo próbował mnie przekupić, czy romansować ze mną... Na Boga, zniszczyłabym cię. Powiedziałabym całemu światu kim jesteś... Wykrzyczałabym to z dachów domów...
- O czym ty mówisz?
- Saul nie wróci. On nic nie wie. Możesz iść do piekła sam, na własny rachunek.
- Nie wierzę ci.
- Czy myślisz, że pojmanie ciebie zajęłoby mu tyle czasu? Saulowi Dagenhamowi?
- Ale dlaczego mu nie powiedziałaś? Po tym, jak cię zostawiłem...
- Bo nie chcę, żeby poszedł do piekła razem z tobą. Nie mówię w tej chwili o „Vordze". Myślę o czym innym. O PirE. Przez to właśnie cię ściga. O to mu właśnie chodzi. O dwadzieścia funtów PirE.
- Co to jest?
- Czy kiedy otworzyłeś sejf, była w nim mała kasetka? Takie pudełeczko z Obojętnego Izomeru Ołowiu?
- Tak, była.
- Co było wewnątrz tej kasetki?
- Dwadzieścia bryłek czegoś, co wyglądało jak sprasowane kryształki jodyny.
- Co zrobiłeś z tymi bryłkami?
- Dwie wysłałem do analizy. Nikt nie potrafił stwierdzić z czego są zrobione. Na trzeciej sam próbuję przeprowadzić analizę w moim laboratorium... kiedy nie pajacuję.

– Ach, Fourmyle – powiedział Presteign – przedstawiam ci Saula Dagenhama. Może nam poświęcić tylko trzydzieści minut, a jedną z nich chce spędzić z tobą.

– *„Czy on wie? Czy posłał po Dagenhama, żeby się upewnić? Atak. Toujours de láudace"*. Co się stało z twoją twarzą, Dagenham? – spytał jak gdyby nigdy nic Fourmyle.

Trupia główka uśmiechnęła się.

– Wydawało mi się, że jestem sławny. To skażenie promieniowaniem. Jestem gorący. Kiedyś mawiano „gorący jak pistolet". Teraz mówi się „gorący jak Dagenham". – Trupie oczy zmierzyły Foyla od stóp do głów. – Co się kryje za twoim cyrkiem?

– Żądza sławy.

– Sam jestem starym wygą kamuflażu. Znam się na rzeczy. Co ty ukrywasz?

– Czy Dillinger wydał Capone'a? – Foyle odwzajemnił uśmiech odzyskując pewność siebie i odprężając się. – *„Obu wyprowadziłem w pole"*. Wyglądasz na szczęśliwszego, Dagenham – powiedział i natychmiast ugryzł się w język.

Dagenham z błyskiem w oku wyłowił to potknięcie.

– Szczęśliwszy niż kiedy? Wtedy gdy się ostatnio widzieliśmy?

– Nie szczęśliwszy niż kiedyś; szczęśliwszy niż ja. – Fourmyle zwrócił się do Presteigna. – Zakochałem się bez pamięci w Lady Olivii.

– Minęło twoje pół godziny, Saul.

Dagenham i stojący z drugiego boku Foyla Presteign odwrócili się. Podeszła do nich pełna godności, wysoka kobieta w szmaragdowej sukni wieczorowej. Jej rude włosy błyszczały. To była Jisbella McQueen. Ich spojrzenia spotkały się. Zanim szok zawrzał mu na twarzy Foyle odwrócił się na pięcie, przebiegł sześć kroków dzielących go od najbliższych drzwi i wypadł przez nie z sali.

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Znajdował się w krótkim, ślepym korytarzyku. Rozległ się trzask, przez chwilę było cicho, a potem jakiś metaliczny głos przemówił uprzejmie:

– Wtargnąłeś do prywatnej części rezydencji. Proszę wyjść.

Foyle walczył z sobą, dygocząc na całym ciele.

– Wtargnąłeś do prywatnej części rezydencji. Proszę wyjść.

– *„Przecież nie wiedziałem... Myślałem, że tam zginęła... Poznała mnie..."*

– Wtargnąłeś do prywatnej części...

– *„Jestem skończony... Nigdy mi tego nie wybaczy... Na pewno mówi teraz o mnie Presteignowi i Dagenhamowi"*.

Drzwi od holu recepcyjnego otworzyły się gwałtownie i Foylowi zdawało się przez chwilę, że widzi w nich swego płonącego sobowtóra. Potem uświadomił sobie, że patrzy na płomieniste włosy Jisbelli. Nie ruszała się. Stała nieruchomo, uśmiechając się doń w szaleńczym triumfie. Wyprostował się.

– *„Nie, na Boga. Nie podejdę do niej ze skomleniem"*.

Foyle wyszedł statecznym krokiem z korytarzyka, ujął Jisbellę pod ramię i poprowadził ją przez hol recepcyjny. Nie zawracał sobie nawet głowy rozglądaniem się za Dagenhamem, czy Presteignem. I tak we właściwym czasie stawią się tu tłumnie i zbrojnie. Uśmiechnął się do Jisbelli. Odwzajemniła mu się wciąż tryumfującym uśmiechem.

– Dzięki ci za to, że uciekłeś. Nigdy nie śniłam, że może mi to tak wyjść na dobre.

– Za to, że uciekłem? Moja droga Jiz!

– No, słucham?

– Nie potrafię wypowiedzieć, jak ślicznie dziś wyglądasz. Długą drogę przeszliśmy od Gouffre Martel, nieprawdaż?

Foyle skierował swe kroki w stronę sali balowej. – Zatańczymy?

Oczy Jisbelli rozszerzyły się, wyrażając podziw dla jego opanowania. Pozwoliła wprowadzić się do sali balowej i wziąć w ramiona.

– A propos, Jiz. W jaki sposób udało ci się wykręcić od ponownego wtrącenia do Gouffre Martel?

– Dagenham to załatwił. A więc potrafisz teraz tańczyć, Gully?

– Tańczę, władam od biedy czterema językami, studiuję nauki ścisłe i filozofię, piszę żałosną poezję, wysadzam się w powietrze idiotycznymi eksperymentami, uprawiam szermierkę jak głupiec, boksuję jak pajac... Krótko mówiąc jestem niepoprawnym Fourmyle z Ceres.

– Już nie jesteś Gully Foyle?

– Tylko dla ciebie, moja droga i dla każdego, komu mnie zdradziłaś.

– Tylko Dagenhamowi. Gniewasz się, że wydałam twoją tajemnicę?

– Rozumiem ciebie. Nie potrafiłaś zapanować nad sobą, tak samo zresztą jak ja.

– Tak, nie potrafiłam. Twoje nazwisko wyrwało mi się z ust po prostu mimo woli. Ile byś mi zapłacił gdybym trzymała język za zębami?

Yáng-Yeovil zaczerwienił się.

– W porządku – przyznał. – Nie potrafię tego ukryć.

– Powtarzasz się tylko, Yeo. W ten sam sposób zaczynają się wszystkie twoje romanse. „Nie było potrzeby poniewierania tej dziewczyny...", a potem – Dolly Quaker, Jean Webster, Gwynn Roget, Marion...

– Tylko bez nazwisk! – przerwał wstrząśnięty głos. – Czy Romeo rozpowiadał o Julii?

– Na jutro wszyscy są wyznaczeni do szorowania latryn – powiedział Yáng-Yeovil. – Niech mnie diabli, jeśli pozwolę na taką sprośną niesubordynację. Nie, nie na jutro; ale zaraz po zamknięciu tej sprawy. – Jego jastrzębia twarz pociemniała. – Mój Boże, co za bryndza! Czy zapomnicie kiedykolwiek Foyla stojącego tam jak płonąca pochodnia? Ale gdzie on jest? Do czego zmierza? Co to wszystko znaczy?

ROZDZIAŁ 11

Rezydencja Presteigna z Presteignów w Central Park była z okazji nadejścia Nowego Roku rzęsiście oświetlona. Urocze, antyczne żarówki elektryczne z zygzakowatymi żarnikami i o spiczastych bańkach rzucały wokół ciepłe światło. Na tę specjalną okazję usunięto jauntoszczelny labirynt i otwarto wielkie wrota wejściowe. Wnętrze budynku zasłonięto przed ciekawym wzrokiem zebranej na zewnątrz gawiedzi, wysadzanym klejnotami parawanem, ustawiając go tuż za wrotami.

Gapie szeptali między sobą i witali okrzykami bardziej i mniej sławne klany i septy przybywające pod dom Presteigna autami, powozami, bryczkami i wszelkimi innymi rodzajami luksusowych środków transportu. Przed wrotami swej rezydencji stał sam Presteign – szpakowaty, przystojny, z nieodłącznym, bazyliszkowym uśmiechem na ustach – i witał towarzystwo. Ledwie jedna znakomitość przekroczyła gościnne progi i znikała za parawanem, a już z turkotem kół, w wehikule jeszcze fantastyczniejszym, podjeżdżała następna, jeszcze sławniejsza.

Colasowie przybyli w cygańskim wozie. Rodzina Esso (sześciu synów i trzy córki) wzbudziła zachwyt nadjeżdżając autobusem marki Greyhound, przykrytym szklanym dachem. Natomiast Greyhound przyjechał wózkiem akumulatorowym Edisona, niemalże depcząc im po piętach, co stało się przyczyną wielu żartów i przekomarzań przed wejściem. Kiedy jednak jako następny wysiadł ze swego napędzanego benzyną powoziku ESSO Edison z Westinghouse, zamykając tym samym kółko, śmiech na schodach przerodził się w ryk.

W chwili gdy grupka gości odwróciła się, aby wejść do domu Presteigna, uwagę wszystkich przykuł dochodzący z oddali zgiełk. Był to dudniący, bolesny dla uszu terkot młotów pneumatycznych i przeraźliwy, metaliczny jazgot. Hałas przybliżał się z każdą sekundą. Najdalsze kręgi gapiów rozstąpiły się, tworząc szeroki szpaler. Utworzoną w ten sposób aleją pędziła z turkotem ogromna ciężarówka. Sześciu ludzi zwalało z jej skrzyni drewniane belki. Za ciężarówką posuwała się dwudziestoosobowa brygada robotników, starannie układając te belki w rzędy.

Presteign i jego goście przyglądali się w osłupieniu rozgrywającej się na ich oczach scenie. Pełzając po ułożonych dopiero co belkach nadjeżdżała z wyciem i łomotem gigantyczna maszyna. Za nią układano równolegle nitki stalowych szyn. Brygada robotników z młotami kowalskimi i pneumatycznymi przytwierdzała szyny sworzniami do podkładów. Tor położono pod same wrota rezydencji Presteigna, spod których łagodnym łukiem wykręcał on z powrotem. Wyjąca maszyna, a z nią brygady robotników zniknęły w ciemnościach.

– Dobry Boże! – rozległ się wyraźny w zapadłej nagle ciszy głos Presteigna. Z domu wysypali się goście, ciekawi przyczyny hałasu.

Gdzieś w dali rozległ się przeraźliwy gwizd. Torem nadjeżdżał człowiek na białym koniu, dzierżący w dłoni wielką, czerwoną flagę. Za nim sapała parowa lokomotywa, ciągnąca jeden odkryty wagon. Pociąg zatrzymał się przed wrotami rezydencji Presteigna. Ze stopnia wagonu zeskoczył konduktor, a za nim steward. Steward przystawił do drzwi wagonu schodki, po których zeszli na ziemię dama i gentleman w strojach wieczorowych.

– Nie powinno potrwać długo – zwrócił się gentleman do konduktora. – Proszę wrócić po nas za godzinę.

– Dobry Boże! – wykrzyknął znowu Presteign.

Pociąg posapując i dysząc odjechał. Przybyła para wstąpiła na schody.

– Dobry wieczór, Presteignie – odezwał się gentleman. – Strasznie mi przykro, że mój koń zrył kopytami twoje tereny, ale stare nowojorskie przepisy nadal wymagają noszenia przed pociągiem czerwonej flagi.

– Fourmyle! – krzyknęli goście.

– Fourmyle z Ceres! – wznieśli okrzyk gapie.

Przyjęcie u Presteigna miało już zapewniony sukces.

W ogromnym, obitym aksamitem i pluszem holu, Presteign przyjrzał się ciekawie Foylowi. Foyle znosił ze spokojem przenikliwe spojrzenie stalowoszarych źrenic, pozdrawiając w międzyczasie skinieniami głowy i uśmiechami pozyskanych dzisiejszej nocy od Canberry do Nowego Jorku entuzjastycznych wielbicieli, z którymi gawędziła Robin.

- *„Samokontrola"* - myślał. - *„Zimna krew, opanowanie i mózg. Po tym idiotycznym zamachu na „Vorgę" wałkował mnie w swoim gabinecie przez godzinę. Czy mnie teraz rozpozna?"* Twoja twarz wydaje mi się znajoma, Presteignie - powiedział Fourmyle. - Czy nie spotkaliśmy się już kiedyś?

- Do dzisiejszego wieczoru nie miałem honoru poznania Fourmyle'a - odparł dwuznacznie Presteign. Foyle ćwiczył się w czytaniu ludzkich twarzy, ale surowe, przystojne oblicze Presteigna było nieodgadnione. Stojąc tak oko w oko, jeden obojętny i wzbudzający szacunek, drugi powściągliwy i nieugięty, wyglądali jak dwie mosiężne statuetki rozgrzane do białości i mające się za chwilę stopić.

- Mówiono mi, że szczycisz się swoim parweniuszostwem, Fourmyle.

- Tak. Biorę przykład z Presteigna Pierwszego.

- Czyżby?

- Pamiętasz zapewne, iż szczycił się on zbiciem majątku na czarnym rynku plazmy podczas trzeciej Wojny Światowej.

- To była druga Wojna Światowa, Fourmyle. Ale hipokryci naszego klanu nigdy go nie uznali. Nazywał się wtedy Payne.

- Nie wiedziałem.

- A jakież było twoje nieszczęsne nazwisko, zanim zmieniłeś je na Fourmyle?

- Brzmiało Presteign.

- Naprawdę? - bazyliszkowy uśmieszek wyrażał uznanie za celne trafienie. - A więc rościsz sobie pretensje do powinowactwa z naszym klanem?

- Będę je rościł w swoim czasie.

- O jaki stopień powinowactwa chodzi?

- Powiedzmy... o pokrewieństwo.

- To bardzo interesujące. Znajduję u ciebie pewną fascynację krwią, Fourmyle.

- To bez wątpienia rodzinne, Presteignie.

- Jesteś łaskaw być cynicznym - stwierdził nie bez cynizmu Presteign. - Ale masz rację. Zawsze mieliśmy fatalną słabość do krwi i pieniędzy. To nasza wada. Sam to przyznaję.

- A ja ją podzielam.

- Pasję do krwi i pieniędzy?

- Właśnie. Najżarliwiej.

- Bez litości, bez wybaczenia, bez hipokryzji?

- Bez litości, bez wybaczenia, bez hipokryzji.

- Fourmyle, młodzieńcze, jesteś moją bratnią duszą. Nawet gdybyś nie rościł sobie praw do powinowactwa z naszym klanem, i tak byłbym zmuszony cię adoptować.

- Spóźniłeś się, Presteignie. To ja właśnie adoptuję ciebie.

Presteign ujął Foyla pod ramię.

- Muszę przedstawić cię mojej córce, Lady Olivii. Czy pozwolisz?

Przeszli przez hol recepcyjny. Foyle pomyślał przez chwilę, czy nie warto by przywołać Robin, aby ostrzegała go przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, ale sukces za bardzo uderzył mu do głowy:

- *„On nie wie. Nigdy się nie dowie".*

Potem przyszła wątpliwość.

- *„Ale nigdy się też nie dowiem, czy on wie. Jest z tyglowej stali. Mógłby mnie nauczyć paru rzeczy o samokontroli".*

Fourmyle'a pozdrowiło grono znajomych.

- Fantastyczną sztuczkę zrobiłeś w Szanghaju.

- Cudowny był ten karnawał w Rzymie, prawda? Słyszałeś może o płonącym człowieku, który pojawił się na Schodach Hiszpańskich?

- Szukaliśmy cię w Londynie.

- Cóż to było za cudowne wejście - zawołał Harry Sherwin-Williams. - Zakasowałeś nas wszystkich, Fourmyle. Zrobiłeś z nas bandę jakichś cholernych zbieraczy petów.

- Zapominasz się, Harry - upomniał go zimno Presteign. - Wiesz przecież, że w moim domu nie pozwalam na żadną profanację.

- Przepraszam, Presteignie. Gdzie jest teraz twój cyrk, Fourmyle?

- Nie wiem - powiedział Fourmyle - ale zaczekaj chwilkę.

Wokół rozmawiających zebrał się spory tłumek gości, oczekujących z uśmiechami na twarzach na nowe szaleństwo Fourmyle'a. Fourmyle wyjął z kieszeni platynowy zegarek i zwalniając zatrzask otworzył kopertę. Na cyferblacie pojawiła się twarz kamerdynera.

- Nnno... ty... jak ci tam... Gdzie w tej chwili stoimy?

Rozległ się głos cichy i metaliczny, jakby zapytany odpowiadał z blaszanej puszki po konserwach:

- Wydałeś polecenie, aby twoją stałą rezydencją uczynić Nowy Jork, Fourmyle.

- Tak? Tak powiedziałem? No i?

- Kupiliśmy katedrę Św. Patryka, Fourmyle.

- A gdzie to jest?

- Stary Św. Patryk, Fourmyle. To tam gdzie kiedyś Piąta Aleja krzyżowała się z Pięćdziesiątą Ulicą. Obóz rozbiliśmy we wnętrzu.

- Dziękuję. - Fourmyle zatrzasnął kopertę platynowego Huntera. - Mój obecny adres: Stary Św. Patryk, Nowy Jork. Wyjętym spod prawa religiom trzeba przyznać jedno... Wznosiły chociaż świątynie na tyle duże, aby pomieściły cyrk.

Olivia Presteign siedziała na podwyższeniu, otaczana przez wielbicieli składających hołd tej pięknej córce-albinosce Presteigna. Była zdumiewająco i cudownie ślepa, ponieważ widziała tylko w podczerwieni, reagując na zakres fal o długościach zamykających się w przedziale od 7500 angstremów do jednego milimetra, rozciągającym się daleko poniżej normalnego spektrum widzialnego. Widziała na czerwonym tle fale cieplne, pola magnetyczne, fale radiowe, widziała swych adoratorów jako dziwną poświatę promieniowania organicznego.

Z koralowymi oczyma, koralowymi ustami, władcza, tajemnicza, nieosiągalna była Śnieżną Dziewicą, Królową Lodu. Foyle spojrzał na nią i zanim jeszcze ślepy wzrok dziewczyny dostrzegł go w postaci fal elektromagnetycznych i promieniowania podczerwonego, spuścił zmieszany oczy. Puls zaczął mu bić szybciej, przez mózg przelatywały błyskawicami setki wyobrażeń, których bohaterami byli on sam i Olivia Presteign.

- *„Nie bądź głupcem!"* - pomyślał z desperacją. - *„Opanuj się. Przestań marzyć. To może być niebezpieczne..."*

Przedstawiono go. Przemówił doń silny, srebrzysty głos; podano mu chłodną, szczupłą dłoń; ta dłoń jednak zdała się eksplodować w jego własnej iskrami wyładowania elektrycznego. Było to coś na kształt pierwszego, wzajemnego rozpoznania... coś na kształt połączenia się emocjonalnym wstrząsem.

- *„To szaleństwo. Ona jest symbolem księżniczki z twych snów... Nieosiągalna... Opanuj się!"*

Walczył tak zawzięcie z samym sobą, że chyba nie zauważył nawet, iż dano mu łaskawie i obojętnie znak do usunięcia się. Nie mógł w to uwierzyć. Stał jak prostak z rozdziawionymi ustami.

- Cóż to? Ciągle tu jesteś, Fourmyle?

- Nie mogę uwierzyć w to, że zostałem odprawiony, Lady Olivio.

- Niezupełnie, ale obawiam się, że stoisz na drodze moim przyjaciołom.

- Nie przywykłem, aby mnie odprawiano. *(„Nie. Nie tak. Wszystko źle")*, przynajmniej przez kogoś, kogo chciałbym zaliczyć do grona swych przyjaciół.

- Nie bądź nudny, Fourmyle. Zejdź.

- Czym cię uraziłem?

- Uraziłeś? Teraz jesteś śmieszny.

- Lady Olivio... *(„Czy nie potrafię już nic powiedzieć dobrze? Gdzie jest Robin?")*. Czy możemy zacząć od początku?

- Jeśli starasz się być nietaktowny, Fourmyle, to cudownie ci się to udaje.

- Daj mi jeszcze raz swoją dłoń, proszę. O, dziękuję. Jestem Fourmyle z Ceres.

- No już dobrze - roześmiała się. - Przyznaję, że dobry z ciebie klown. Zejdź teraz. Jestem pewna, że znajdziesz sobie kogoś, kogo będziesz mógł rozśmieszać.

- Co się tym razem stało?

- No nie, sir.

Starasz się mnie rozzłościć?

- Nie. *(„Tak. Staram się. Staram się jakoś ciebie dotknąć... przebić się przez tę twoją lodową skorupę")*. Za pierwszym razem uścisk naszych dłoni był... gwałtowny. Teraz tak nie było. Co się stało?

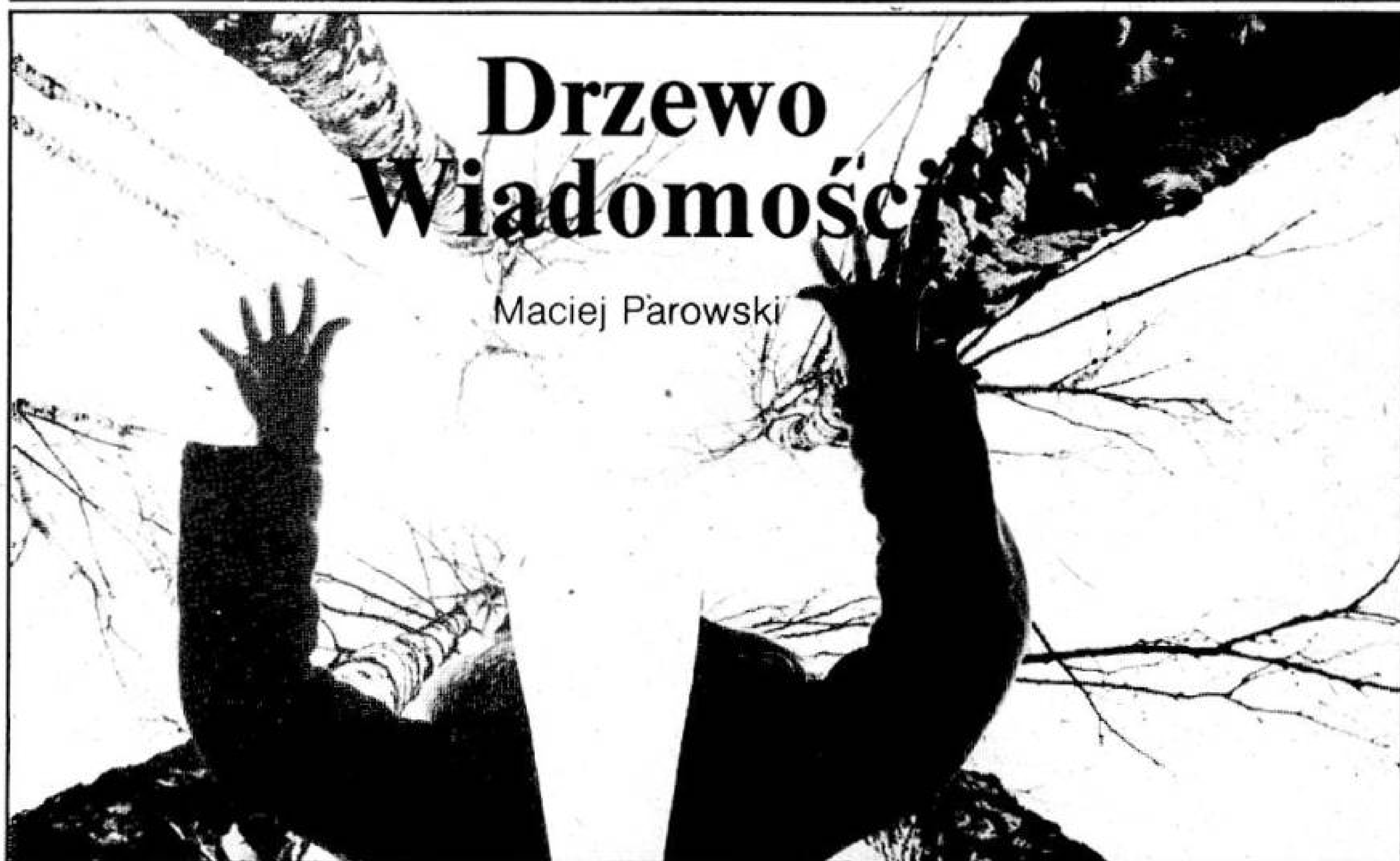
- Fourmyle - powiedziała znudzonym głosem Olivia. - Przyznam, że jesteś zabawny, oryginalny, dowcipny, fascynujący przyznam wszystko co chcesz, bylebyś tylko odszedł.

Zszedł niezgrabnie z podium.

- *„Suka. Suka. Suka. Nie. Ona jest właśnie tym marzeniem, o którym śniłem. Muszę zdobyć tę lodową wieżę. Muszę przystąpić do oblężenia... wziąć ją szturmem... gwałtem... rzucić ją na kolana..."*

I nagle stanął oko w oko z Saulem Dagenhamem.

Stanął jak wryty, zmuszając się do zachowania zimnej krwi.



Drzewo Wiadomości

Maciej Parowski

Eden – zuryski hotel kategorii II-giej (cztery gwiazdki w większości przewodników) nie był wysoki. Budynek liczył zaledwie cztery piętra, ale jego zgrabna, secesyjnie zdobiona bryła mogła uchodzić za wzór szwajcarskiej solidności i uroku fin de siécle'u. Okna części frontowej zwrócone w stronę południową patrzyły ku drugiemu brzegowi jeziora i bliższym bulwarom, do których przybijały żaglówki i małe stateczki. Północną stronę Edenu okalał dobrze utrzymany park, poprzecinany strumykami Piszon, Cichon, Chidekel oraz Frat. Tak uściślały to wszystkie bedekery, zgodnie nie ustosunkowując się do pogłosek, iż strumyki są sztuczne. Wśród drzew biegało kilka sarenek i przechadzały się wrzaskliwe pawie.

Goście, zależnie od gustów, wybierali pokoje z widokiem na park lub na jezioro. Bogato zdobiona fasada przypominała im o istnieniu epok oznaczonych liczbami rzymskimi poniżej dwudziestki; epok, w których żyli wyrafinowani szczęściarze, prowadzący niespieszną egzystencję poświęconą produkowaniu i podziwianiu pięknych przedmiotów. Dyrekcja hotelu Eden, obrazy i grafiki na ścianach korytarzy i pokoi, bezlik drobnych sprzętów wypieszczonych ręką rzemieślnika, a oddanych do osobistego użytku gości, tykanie starych zegarów, dyskretne uwagi służby – wszyscy w Edenie starali się o podtrzymanie nostalgicznych nastrojów. Hotel miał bowiem renomę najlepszego w stolicy wytwornego domu schadzek. Na specjalne życzenie, co zdarzało się często, żeby nie powiedzieć nagminnie, dyrekcja hotelu organizowała również gościom partnerki i partnerów.

Adam First, 40-letni funkcjonariusz handlowy jednego z krajów Europy Środkowej (dyskrecja zapewniona), oddelegowany na półroczną współpracę z bankiem SBGUS, korzystał z usług Edenu już w trzecim tygodniu swego zuryskiego pobytu. Poprzednik Adama na tej placówce poufnie polecił mu Eden jako komfortowy i niesamowicie wprost tani krypto-burdelik z ambicjami, więc Adam First zjawił się w Seefeld Quai z pierwszą wypłatą w portfelu. Powitano go bardzo serdecznie. First wymienił nazwisko swego poprzednika, lecz wtedy jowialny patron przedstawiający się jako Herr Gott, z uśmiechem położył palec na ustach.

– Nie musi pan wymieniać nazwisk, bardzo proszę – powiedział i Adam First wiedział, że znalazł to czego szuka.

Na mocy dysonansowych zestawień, w których celują Szwajcarzy, Eden – ostoja wysmakowanej tradycji, już w pierwszym dniu odsłonił przed przybyszem najnowocześniejsze wyposażenie techniczne. Herr Gott zapytał Adama czy potrzebuje partnerki, usłyszał odpowiedź twierdzącą, skinął ze zrozumieniem głową i zaprowadził gościa do suteren, gdzie mieściła się stacja obliczeń. Tam na komputerze TREENEWS-2010, najnowszym modelu IBM, poddano Adama specjalnym testom, wg programu RIB-300, mającym ustalić jego seksualne preferencje. Adam czuł się znużony i na pytania odpowiadał niechętnie. Biust, typ sylwetki, oczy, karnacja, temperament, podobieństwo do wybranej osoby ze świata filmu lub mody – procedura doboru partnerki wydała mu się raptem dęta i niepoważna. Toteż, kiedy po trzech dniach przedstawiono mu Eve – kobietę wybraną przez TREENEWS-2010 – Adam uświadomił sobie ze smutkiem, że niepotrzebnie zlekceważył testy. Kobieta to kobieta – myślał wówczas – co za różnica. Tymczasem Eve okazała się prawie dokładnie taka, jak (o określił w odpowiedziach udzielanych przecież trochę na odczepnego. To prawda, była piękna, miała znakomitą figurę, ale jej twarz przypominała twarz aktorki, której nazwisko First zapamiętał przypadkiem, z lat młodości, teraz natomiast już od roku zafascynowany był inną, nowszą gwiazdą. Przełknął tę pigułkę w milczeniu, kobiety tak dobrej jak Eve i tak nie miał nigdy dotąd. Herr Gott życzył im wszystkiego najlepszego, przypominając Adamowi warunki, na jakich Eden dostarcza gościom partnerek. Otóż nie wolno Adamowi starać się zbliżyć do Eve poza terenem hotelu, nie wolno mu szukać jej rodziny, nie wolno podejmować prób rozszyfrowania techniki doboru ani starać się docierać do banku pamięci TREENEWS-2010. Krótko mówiąc: Adam może smakować co dostał, stanowczo natomiast musi wyrzec się dociekania – skąd, dlaczego i jak? Trzymając za dłoń uśmiechniętą Eve, podniecony Adam First, w którym wszystko wprost wyrywało się ku górnym numerom, nie potrafił, nie chciał, nie mógł uznać tych warunków za wygórowane.

Kochali się dwa razy w tygodniu w pokojach, których okna wychodziły na stronę północną. W ten sposób First nie musiał się obawiać, że podejrzy go przez lornetkę ktokolwiek z pasażerów żaglówek lub turystów opływających jezioro stateczkiem. Dziewczyna była niezmordowana, małomówna i nieodmiennie urocza. W pokoju panował półmrok, lśniły w nim brązowe gałki łoża i niklowane krany nad umywalką i bidetem. Sprężyny i materace poddawały się ich ciałom niemal bezszelestnie; Eve nie zanadto cicha i nie przesadnie hałaśliwa miała wspaniałą skórę i równie wspaniały instynkt seksualny, który sprawiał, że nigdy nie zostawała z tyłu. Gdy Adam w uniesieniu dobiegał szczytu, milkła raptem jak chwycona za gardło i wyginała się w kabłąk. Za oknem krzyczał paw. To jest to – myślał Adam First pod pobłażliwym spojrzeniem zuryskich patrycjuszy patrzących nań z dagerotypów na ścianach – solidność, dostatek, dobry smak, kultura i rozkosz. Eve, której wracał głos, trzepotała się chwilę na pościeli, a Adam notował na siatkówce każdy jej ruch, każdą pozę; starał się zapamiętać każdy ton jej westchnienia. Odtwarzał je potem sobie w czasie samotnych nocy spędzonych w tanim pokoju podzuryskiego hotelu w Effretikonie, oddanym mu przez rodzimą firmę na pomieszczenie służbowe. Znowu rozlegał się krzyk pawia – nieco cichszy. Dziewczyna uspokajała się, na jej twarzy widać było wyraz sytości. Doskonałość, szacowność, dyskrecja – myślał Adam First, przytulał głowę do drobnych, sprężystych piersi Eve i zapadał w pokrzepiającą



drzemkę. Zrazu był szczęśliwy, że stosunek z Eve nie zmusza go do żadnych dodatkowych deklaracji czy gestów, poza gestami, jakie świadczyli sobie w półmroku hotelowych numerów. Niskie ceny usług Edenu utrzymywały się stale na tym samym poziomie. Herr Gott nieodmiennie z rewerencjami traktował przybysza z dalekiego kraju. Nikt z hotelowej służby nie wysuwał żadnych żądań ani nie próbował dyskretnych szantaży. Evi, powściągliwa do granic możliwości, odpowiadała krótko na błahe pytania Adama spokojnym, bezbarwnym głosem. Sama z własnej inicjatywy mówiła jeszcze mniej. I co najbardziej dziwiło Adama podczas samotnych rozważań w pokoiku w Effretikonie, dziewczyna ani przez chwilę nie próbowała być kapryśna czy agresywna, nie dopuszczała się najdrobniejszych damskich prowokacji, do jakich prowadzi zażyłość, a dyktowanych kobiecie przez ambicję i chęć sprawdzenia własnej wartości.
Z czasem ten brak konfliktów począł niepokoić Adama. Ceny mogłyby przecież pójść w górę, a Eden mógłby choć raz zamknąć swe podwoje przed przybyszem. Niestety, ceny nie rosły, Eden czynny był zawsze, także wtedy gdy Adam nie zapowiedziany zjawiał się na Seefeld Quai. Dziewczyna mogłaby być nieobecna, mogła mieć okres, mogłaby wysunąć dyskretne żądania, stawiać jakieś warunki. Niestety, nigdy gdy przychodził, Eve nie miała okresu, nie wysuwała żądań, nie mówiła Adamowi nic o sobie, nie miała cichej pretensji, że o to nie pyta i nie oczekiwała, że wyciągnie ją z Edenu. Na początku bał się, że tego właśnie zażąda, teraz czuł się upokorzony, że dziewczyna tego nie robi. „Dobrze ci?" – pytał Eve. „Tak" – odpowiadała z przekonaniem swym bezbarwnym głosem. „Więc czemu – myślał Adam – czemu nie prosisz, bym cię uwolnił?" Ale wyraz oczu dziewczyny, spojrzenia patrycjuszy ze ścian (w których to ścianach domyślał się Adam kamer i mikrofonów), atmosfera Edenu stwarzana przez obsługę hotelu i samego Herr Gotta – wszystko to sprawiało, że nigdy nie odważył się sformułować na głos swoich pytań.

Pewnej niedzieli zrezygnował z wizyty w Edenie i wybrał się w rejs po jeziorze turystycznym stateczkiem. Już na przystani zwrócił uwagę Adama spoglądający na świat nieco mefistofelicznie przystojny mężczyzna w czerni z małym hiszpańskim wąsikiem. Mężczyzna stał pod rzeźbą przedstawiającą chłopca z łabędziem; chłopiec unosił dłoń w górę i nie wiadomo było, czy trzyma w niej chleb, który za chwilę poda łabędziowi, czy też zamierza ptakowi dać klapsa. Zaklęta w brązie zagadka przypomniała Adamowi dwuznaczność jego własnej sytuacji. Czarny mężczyzna stojący pod rzeźbą uśmiechał się chytrze jakby znał obydwa rozwiązania.
Los sprawił, że znaleźli się razem na stateczku i oparci o burtę zamienili parę słów. Na poziomie Seefeld Quai, gdy stateczek mijał Eden, Adam First westchnął. Słysząc to mężczyzna nieznacznie drgnął.
– Ach, Gott, cholerny Herr Gott, największy szalbierz świata – powiedział po francusku, jakby do siebie, w ogóle nie patrząc na Adama.
– Pan go zna – spytał First – zna pan Gotta, właściciela Edenu?
Mężczyzna wyciągnął dłoń.
– Oczywiście, że znam. To mój były szef – odparł sięgając do kieszeni. – Obecnie konkurent. Nawiązał ostatnio ciemne konszachty

z IBM i wspólnie próbowali mnie wykończyć. Ale bez obaw, nie dałem się.
Adam rozłożył ręce w geście wyrażającym zdumienie.
– Prowadzę teraz własny interes – wyjaśnił mężczyzna i wręczył Adamowi wizytówkę z napisem: „DANIEL SERPENT ★ CASINOS-CINEMAS-MASAGES ★ GENEVE-LAUSANNE". – Zapraszam, jeśli będzie pan na południu. I dobrze radzę, niech pan zerwie z Gottem.
– Skąd pan wie, że z nim trzymam? – wyrwało się Adamowi.
– To widać – rzekł monsieur Serpent. – Opętała pana któraś z jego milkliwych laleczek. Proszę ją spytać skąd się wzięła, zobaczymy co panu odpowie.
– Im nie wolno odpowiadać, a ja obiecałam nie pytać – rzekł Adam First. Dziwił się sobie, że rozmawia z mężczyzną tak szczerze.
– O tym wiem. Ale niech pan spróbuje ją sprowokować – porozumiewawczo mrugnął Serpent. – Można by na przykład zarzucić, że nie jest kobieca, że zachowuje się jak bezduszny automat, to ją musi rozruszać. Wtedy powie coś na swój temat albo zdradzi jakiś sekret TREENEWS – dodał przebiegle, wyciągając cygara.

Ta krótka rozmowa długo nie dawała Adamowi spokoju. „Zarzucić Eve, że nie jest kobieca, przecież to niepoważne" – myślał nocą z wzrokiem utkwionym w ciemnościach małego pokoiku w Effretikonie. Za oknem stukały pociągi, a elektroniczny zegar z wieży protestanckiej świątyni na wzgórzu wybijał głośno kwadranse." Nie jest kobieca, zachowuje się jak automat, to idiotyczne, już raczej ja..." – myślał Adam z rozpaczą. „Przeklęty Herr Gott, nieludzkie warunki, bezsensowne obietnice, zwariowany Serpent" – powtarzał bezdźwięcznie i oczywiście w poniedziałek, natychmiast po skończeniu godzin urzędowania, poszedł do Edenu. Eve – urocza, usłużna i namiętna Eve – przyjęła go jak zwykle. Za oknem tak samo jak zwykle krzyczały pawie, zuryscy patrycjusze tak samo jak przed wiekiem dumnie patrzyli ze ściany. Wszystko znowu onieśmieliło Adama, ale zarazem sprawiło, że z uznaniem pomyślał o radzie Serpenta.
– Prawdziwej kobiecie nie wystarczyłyby takie ukradkowe spotkania na godziny – powiedział obojętnie i przytulił się jak zwykle do piersi Eve.
– Normalna kobieta spróbowałaby sklecić z tego coś trwałego – dodał przypominając sobie z lękiem o kamerach i mikrofonach.
Ciało Eve drgnęło szarpnięte tajemniczym impulsem.
– Coś ty powiedział? – zapytała podniesionym głosem i odtrąciła jego głowę. – Coś ty powiedział, First? – powtórzyła.
„Boże, zwróciła się do mnie po nazwisku" – w panice pomyślał First. Kobieta tymczasem zaczęła głośno oddychać i znienacka wygięła się w kabłąk. Za oknem wrzasnął paw. Eve ciężko opadła na pościel, trzepotała się jak ranny ptak.
– Jestem kobieca, Fist. Zobacz, jestem kobieca – powtórzyła podniesionym, bezbarwnym głosem.
Adam First poczuł zimny pot na czole. Nagie ciało Eve wyginało się w bolesnych skurczach; wcale teraz nie wyglądało ponętnie. Na dole trzasnęły drzwi, rozległ się tupot kroków na schodach. Adam dopadł leżącej i potrząsnął ją za ramiona. – Uspokój się. Uspokój się, proszę! – zawołał błagalnie.
Eve wyglądała na nieprzytomną, jej ciałem wstrząsały szybkie dreszcze. Uderzył dziewczynę w twarz otwartą dłonią i zajrzał jej w oczy. Coś jakby w nich zgasło, powieki były uchylone, źrenice matowe i przeraźliwie puste, jak oczy owada.
– Jes-tem-ko-bie-ca-Fir-st-jes-tem-ko-bie-ca-Fir-st- mówiły usta Eve i raptem jej dłonie chwyciły za gardło oniemiałego Adama. – Je-stem-ko-bie-ca – powtórzyła zaciskając palce. Zobaczył czarne plamy; fala ciemności podchodziła mu do mózgu. Ostatnią trzeźwą myślą Adama Firsta był przypływ nadziei, że ktoś ze służby wpadnie zaraz do pokoju i pewnie zdąży oderwać stalowe palce od jego szyi; odczuł zarazem niepokój, że zobaczą go nago. Ogarnęło Adama uczucie wielkiego żalu i równie wielkiego wstydu. Zemdlał.

Pierwszą osobą, którą zobaczył po otwarciu oczu, był portier Gabriel uzbrojony w staromodną laskę ze srebrną gałką w kształcie anioła. „Na pewno w środku jest sztylet" – pomyślał Adam ze zgrozą. Gabriel przyglądał mu się badawczo. Dziewczyna zniknęła. Pod oknem stał Herr Got i w krwawych promieniach zachodzącego słońca gniewnie przetrząsał portfel Adama. Właśnie wypadła zeń mała, biała kartka. Gabriel schylił się i podał kartonik właścicielowi hotelu. Ten błyskawicznie przebiegł go wzrokiem
– Wizytówka tego łajdaka Serpenta – rzekł Gott złowieszczo. – Posłuchał pan rad kanalii. Dobrze, sam chciałeś, nie ma dla ciebie miejsca w Edenie.
Gabriel wskazał Adamowi ubranie. First chwycił spodnie i zawstydził się po raz drugi. Jednocześnie ogarnęło go uczucie ulgi. „Koniec z Eve – mówił sobie – cóż, w sumie wygląda to niezbyt tragicznie".
– Proszę sobie nie wyobrażać, że zdoła pan wykorzystać tę śmieszną wiedzę o nas, którą pan tu zdobył – rzekł Gott jakby czytając w myślach Adama i podał mu kopertę.
Było w niej kilkadziesiąt kolorowych zdjęć, swoistych arcydzieł sztuki fotograficznej, a na nich Adam i Eve, znakomicie oświetleni, nadzy, uchwyceni w bardzio interesujących pozach.
– Może je pan zabrać – rzekł drwiąco Gabriel – będą panu przypominać Eden i wszystko, co pan utracił. Mamy dla siebie drugi komplet odbitek.
Adam uważnie obejrzał zdjęcia, włożył je do koperty i oddał ją Gottowi. Ten patrzył szyderczo, jakby znał przyczynę, zanim objawiła się ona Adamowi i zanim Adam zdołał ją nazwać.
– Dziękuję, celnicy mego kraju są bardzo pruderyjni – powiedział Adam tylko. „A moja żona zazdrosna" – dodał w myśli. Dopiero mówiąc to uświadomił sobie, że sprawa nie zakończy się ekją z przytulnego hotliku. Mają go przecież w ręku. Nikt nigdy nie uwierzyłby, że Adam First mógł zafundować sobie rozrywkę tak wyrafinowaną ze skromnej urzędniczej pensji, nie dopuszczając się zasadniczej nielojalności wobec centrali.

Na drugi dzień rano przekonał się, że nie myliły do najczarniejsze przeczucia. Cicha informacja przekazana z ust do ust, jeden telex i jeden międzynarodowy telefon przesądziły o najbliższym losie Adama Firsta. Centrala wezwała swego pracownika do natychmiastowego powrotu. Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, Adam przystąpił do pakowania walizek. Następnego dnia, koło południa, w drodze na lotnisko kupił gazetę. Zamierzał przeczytać ją w samolocie, lecz już w terminalu zwrócił uwagę na zdjęcie z pierwszej strony. Przedstawiało monsieur Serpenta w otoczeniu dwu agenów; czarny mężczyzna miał na dłoniach kajdanki.
WPADKA KRÓLA ROZRYWKI – głosiły tytuły – DANIEL SERPENT ARESZTOWANY ZA PRÓBĘ GWAŁTU NA SWEJ PRACOWANICY MARII P.
Pod zdjęciem niedoszłej ofiary gwałtu, pięknej młodej kobiety o cnotliwym obliczu, wybito fragment wywiadu: „Zmiażdżę go – mówiła – za krzywdy wszystkich kobiet, które uwiódł i poniżył". Nieco niżej adwokat Serpenta chełpił się, że sprawa nie jest wcale oczywista, że doprowadzi do zwolnienia swego klienta za kaucją i że proces będzie się toczył jeszcze bardzo długo. W komentarzu w środku numeru, który Adam przeczytał już w samolocie, autor podpisany jako Elochis wyrażał przypuszczenie, że wpadka Serpenta nie jest przypadkiem i że kryją się za nią rozgrywki w showbiznesie, w które po przeciwnej stronie zamieszany jest bez wątpienia pewien właściciel sieci hoteli. Elochis nie pisał wszystkiego co wiedział. Pominął mianowicie fakt, że ów hotelarz nazywa się Herr Gott, a także to, że ów Gott współpracuje z IBM i w niektórych ze swych hoteli testuje dyskretnie najnowsze prototypy androidów. Po skorygowaniu usterek, jakie ujawniła awaria sprowokowana przez Adama, a związanych z nieoczekiwanym kryzysem tożsamości modelu Eve, uruchomienie seryjnej produkcji będzie sprawą miesięcy. Elochis tego nie napisał, bowiem, czego nie wiedział ani Adam, ani czytelnicy „Zuricher Zeitung", również on był człowiekiem Herr Gotta.
„Koniec z Edenem, koniec z Eve, żegnajcie bezpowrotnie tygodnie szczęścia i beztroski" – myślał Adam z czołem przyklejonym do okrągłego okienka. Podobnie jak i pozostali ludzie w kabinie, trzymał się kurczowo poręczy fotela, a żołądek podchodził mu do gardła. Samolot pochylił sie, stołeczne lotnisko jednego z krajów Europy poczęło nieubłaganie, w coraz szybszym tempie zbliżać się do srebrzystej maszyny. W oddali widać było zbiegające się w perspektywie oznaczenia pasów. Adam patrzył na to niewidzącym wzrokiem, myśląc o pracy w pocie czoła, która go czeka, o prawdopodobnej degradacji służbowej, o szarym życiu w kraju znacznie uboższym od Szwajcarii.
Dla chwilowego choćby pokrzepienia spróbował nakazać swojej wyobraźni przywołanie obrazu Eve – nie zdefektowanej jeszcze Eve, na nienagannej pościeli pod wyrozumiałym spojrzeniem patrycjuszy – ale pamięć poczęła płatać mu figle. W miejsce pożądanych obrazów pojawiała się stale, niechciana, posępna scena pożegnania Edenu. Obok furtki w nienagannie utrzymanym żywopłocie, z piękną bryłą hotelu za plecami stoi portier Gabriel z groźnie uniesioną laską. Laska skrywa sztylet (Adam jest tego pewien), a w dodatku w krwawych promieniach zachodzącego słońca wygląda jak ognisty miecz.

(1983)

■



PRZEKLĘCI POLACY

Bronisław Kijewski

Głównodowodzący Alf
Centrum Dowodzenia – Planeta IV
Tekstem tajnym!

Raport nr 0001

Postępowanie kontaktowe dało wynik pozytywny. Prowadzimy rozmowę z Organizacją Narodów Zjednoczonych, która zgodnie z uprzednimi ustaleniami, jest władna reprezentować wszystkie narody gatunku homo sapiens. Klimat rozmów nasycony zaufaniem i dążeniem do nawiązania współpracy we wszystkich dziedzinach.
Ocena możliwości Ziemian w aspekcie przeciwstawienia się realizacji II Etapu Planu:
I. Sfera Militarna: Powszechne uzbrojenie narodów w konwencjonalne środki ataku i obrony. Wartość środków przy ataku zdalnym niewielka. Zakładać należy wzrost wartości tych środków przy walkach w atmosferze i na powierzchni planety. Wartość środków walki w przestrzeni międzyplanetarnej – duża. Potwierdziłem uprzednie rozpoznanie dotyczące dyslokacji i ilości szybkich ścigaczy rakietowych uzbrojonych w nuklearne środki rażenią. Zasięg operacyjny: zdolność do długotrwałych walk w przestrzeni po rubieże orbity V planety.
Poziom przygotowania strategicznego: wysoki, mimo braku doświadczenia w prowadzeniu walk w przestrzeni międzyplanetarnej, uwarunkowany historycznie wojnami między grupami narodowymi. Indywidualne przygotowanie taktyczne wojowników wysokie. Wrodzony nawyk dyscypliny uzupełniany przez umiejętność doboru optymalnych środków i metod dostosowanych do zmiennych warunków walki.
Środki rozpoznania i łączności: rozbudowana sieć automatycznych penetratorów w strefie okołoziemskiej i w bazach księżycowych. Sondaż przestrzeni kierowanymi statkami automatycznymi i załogowymi. Środki łączności o wysokim stopniu efektywności z systemem automatycznych blokad przeciwzakłóceniowych.
Zalecenia:
- usunąć ze statków Grupy Ekspedycyjnej zaparkowanych na orbicie księżycowej, środki bojowe, w celu uniemożliwienia rozpoznania ich możliwości i zapobieżenia przedwczesnemu odkryciu zamiarów.
- dokonać głębszego kamuflażu Centrum Dowodzenia na IV planecie i Grupy Bojowej na planecie V,
- przeprowadzić korektę planów strategicznych dostosowując je do rozpoznanych środków bojowych Ziemian i ich strategii walki.
II. Sfera Organizacyjna: potwierdzony został rozłam Ziemian na dwa przeciwstawne obozy przewodzone przez dwóch hegemonów.
Powód rozłamu: różnice ideologiczne stymulujące przebieg walk w sferach politycznej, gospodarczej i wojskowej.
Uwaga! Wspólne działanie pod patronatem globalnej unii, jaką jest Organizacja Narodów Zjednoczonych, wskazuje na umiejętność rezygnacji z interesów partykularnych w imię idei tzw. Człowieczeństwa. W razie globalnego zagrożenia systemy organizacyjne dwóch przeciwstawnych obozów przygotowane do prawie bezkolizyjnego zlania się w jeden organizm.
Zalecenie:
- rozważyć możliwość i przygotować plan działania zgodnie z zasadą: Divide et impera!
III. Sfera socjo-psychiczna podkreślona tendencja do łączenia się narodów w unie, jest charakterystyczna również dla jednostek. Jednostki łączą się dobrowolnie w większe grupy, które z kolei wchodzą w skład grup wyższego rzędu. Końcowym rezultatem tej tendencji jest Organizacja Narodów Zjednoczonych. Przynależność do poszczególnych grup nie niweluje praw indywidualnych. Niezrozumiała zostaje możliwość takiej symbiozy. Jest to cecha specyficznie ludzka. Nasze społeczeństwo, zorganizowane według zasady pełnego podporządkowania jednostek celom ogólnym, stoi moim zdaniem na wyższym stopniu rozwoju.
Uwaga! Indywidualizm i specyficzne dla poszczególnych nacji cechy są piętą achillesową Ziemian. Przeprowadzony na poszczególnych osobnikach test Omega dał rezultaty pozytywne.
Zalecenie:
- wyposażyć statki bojowe w urządzenia typu „Inox" do zdalnej dezintegracji funkcji mózgu.
Wnioski ogólne:
Przeciwnik bardzo trudny, ale możliwy do pokonania przy niewielkich stratach własnych. Nastawienie do nas bardzo przychylne spowodowane brakiem uprzednich kontaktów z „braćmi w rozumie". Naiwna wiara w przychylność INNEGO ROZUMU, mimo doświadczeń na własnym podwórku będącym areną ciągłych wojen między narodami. Podstawowa dyrektywa postępowania: do chwili osiągnięcia pełnej gotowości do konfrontacji, prowadzić grę dyplomatyczną w duchu przyjaźni i zrozumienia dla obopólnych korzyści płynących z projektowanej współpracy.
Dalsza łączność zgodnie z przyjętym systemem. Koniec.

Przewodniczący Grupy Parlamentarnej.
I Zastępca Głównodowodzącego
Betal

Do Narodów Świata

Komunikat nr 0001

Nadszedł tak długo oczekiwany przez Ludzkość moment nawiązania bezpośredniego kontaktu z przedstawicielami Innej Cywilizacji Kosmicznej. Nieprawdopodobne stało się faktem i oto teraz możemy z całą pewnością powiedzieć, że nie jesteśmy wybrykiem natury, wynaturzeniem w skali kosmicznej, lecz że jesteśmy jednymi z wielu dzieci tego Wszechświata.
Zrzuciliśmy ze swych barków najuciążliwszy z możliwych ciężarów: świadomość samotności. Fakt kontaktu otworzył przed ludzkością niewyobrażalne w tej chwili możliwości rozszerzenia wiedzy o Wszechświecie i lepszego zrozumienia samych siebie. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych prowadzi w chwili obecnej rozmowy z Przybyszami mające na celu wzajemne poznanie się i stworzenie płaszczyzny do przyszłej wspólnej działalności w imię Rozumu i Poznania. Już w tej chwili należy stwierdzić, że więcej nasz łączy z naszymi Gośćmi aniżeli dzieli. Zgromadzenie Ogólne zobowiązało Sekretarza Generalnego ONZ do bieżącego informowania Narodów Świata o postępach rozmów oraz wzywa wszystkich ludzi do zachowania spokoju i użyczenia swej wiedzy oraz doświadczenia w wypadku wezwania do udziału w pracach Komisji d/s Kontaktu.

Sekretarz Generalny ONZ
Kiu Sakamoto

Kolegium Szefów Państw-Członków ONZ
Tajne!
Specjalnego Znaczenia!
Tylko w jednym egzemplarzu!
Raport nr 0001

Prowadzone przez Zespół Ekspertów d/s Bezpieczeństwa Ziemi działania rozpoznawczo-badawcze od momentu wtargnięcia Ob-

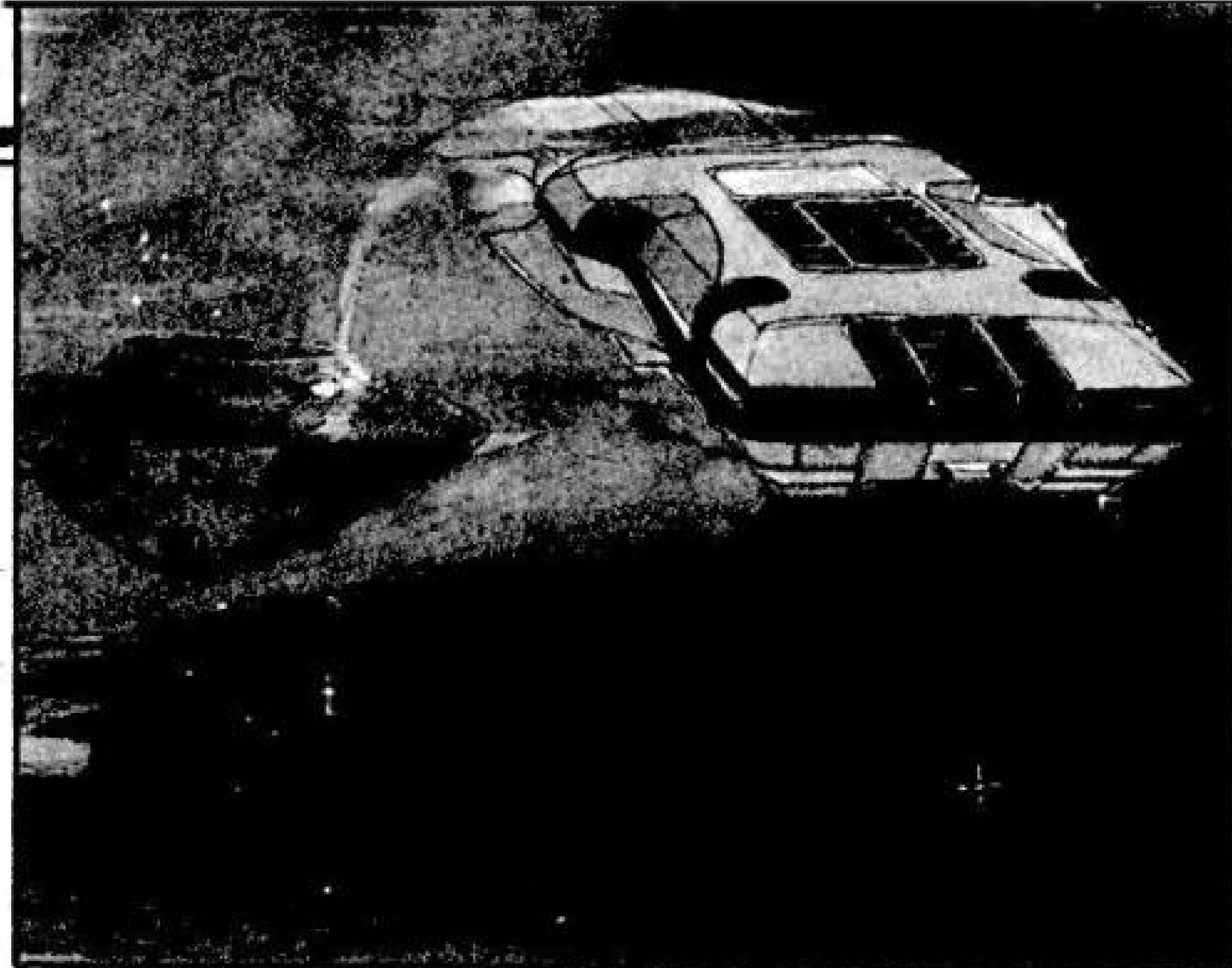
cych w kontrolowany rejon Układu do chwili obecnej, dają następujący obraz sytuacji:

I. Stan zaawansowania technicznego: wysoki.
Napęd statków kosmicznych Obcych stanowi paliwo stałe. Powłoki ochronne odporne na działanie promieniowana kosmicznego i wysokich tempteratur. Współczynnik wytrzymałościowy stopów dwukrotnie wyższy od odpowiednich współczynników materiałów stosowanych w naszych statkach kosmicznych. Niemożliwość przebicia powłok przy użyciu broni konwencjonalnej. Kształt statku areodynamiczny. Statki przystosowane do lądowania na powierzchni ciał kosmicznych. Zdolność manewrowa równa zdolności rakiet typu „Teta". Wielkość statków równa wielkości rakiet typu „Gamma". Nie wykryto zewnętrznych oznak uzbrojenia.
Uwaga! Wielkość statków i rodzaj stosowanego paliwa wskazują na niemożliwość pokonania przestrzeni do najbliższego układu gwiezdnego. Zakładać należy istnienie Statku-Bazy, którego obecności w strefie kontrolowanej nie wykryto. Stwierdzono fakt łączności radiowej między statkami stacjonującymi na orbicie księżycowej a statkiem parlamantariuszy. Nie wykryto modulowanych emisji radiowych z głębi Układu.

Uwaga! Analiza seansów radiowych wskazuje, że prowadzone są one tekstem zakrytym. Szyfrów dotąd nie złamano.

II. Ocena właściwości psychofizycznych Obcych:
Organizmy stałocieplne. Kręgowce. Ssaki. Pojemność mózgu zbliżona do pojemności mózgu ludzkiego. Podstawowy budulec-węgiel i woda. Przystosowani do oddychania ziemskim powietrzem atmosferycznym. Badanie resztek pożywienia Obcych wykazało proporcje białka, węglowodanów i tłuszczów podobne do diety ludzkiej. Parlamentariusze są osobnikami jednej płci. Przeciętny wiek grupy testowanej w granicach 30–60 lat ziemskich. Zasób pojęć i struktura języka podobne ludzkiemu. Porozumiewanie wokalne. Ogólna sprawność fizyczna niższa od ludzkiej.
Uwaga! Stwierdzono zdolność emanowana fal telepatycznych. Ukrycie tego faktu budzi podejrzenie, że Obcy mogą dokonywać bezpośredniego odczytu myśli ludzkich.
Brak danych do ścisłego określenia struktury społecznej Obcych, z tym że niektóre przesłanki wskazują na silne podporządkowanie grupy parlamentarnej decyzjom przewodniczącego Betala.

Zalecenia:
– Szefów Państw, którzy zapoznali się z niniejszym raportem, wycofać z prac w Komisjach Kontaktu i Zgromadzeniu Ogólnym ONZ w celu uniemożliwienia pozyskania przez Obcych drogą telepatyczną informacji o działalności i zakresie badań Zespołu Ekspertów ds. Bezpieczeństwa Ziemi,
– wycofać z prac w wyżej wymienionych Organach wszystkie osoby przejawiające nieufność wobec Obcych i im nieprzychylne (typowanie tych osób przeprowadzić bez wiedzy zainteresowanych za pomocą badań testowych opracowanych przez Zespół Ekspertów),
– odwlekać moment wyrażenia zgody na lądowanie Obcych na Ziemi i Księżycu,
– nalegać na wzajemne wizytowanie statków na orbicie księżycowej (wykorzystać w tym celu eskadrę statków szkolnych typu „Alfa", przygotowanych zgodnie z zaleceniami Zespołu Ekspertów),
– w prowadzonych rozmowach demonstrować spontaniczną życzliwość i przeświadczenie o spodziewanych obopólnych korzyściach kontaktu.


Praca konkursowa Adam Wójcik

Wnioski ogólne:
Przeprowadzone badania pozwalają stwierdzić, że Obcy stworzyli cywilizację o poziomie zaawansowania rozwojowego co najmniej równym naszej. Wynika z tego jeden podstawowy wniosek: w dziedzinie militarnej Przybysze muszą nas przewyższać. Podstawową przesłanką tego wniosku jest fakt, że podejmując się eksploracji odległych układów gwiezdnych muszą być przygotowani na każdą ewentualność. Zespół Ekspertów biorąc pod uwagę całokształt wyników prowadzonych rozmów oraz rezultaty badań specjalnych nie jest w stanie w chwili obecnej dokładnie sprecyzować czy wizyta ma charakter pokojowy, czy zaborczy. Cztery fakty przemawiają jednak za tym, aby zachować czujność: ukrycie przez Obcych głównych sił ekspedycji poza zasięgiem penetracji Ziemian, prowadzenie rozmów radiowych tekstem zakrytym, zdolności telepatyczne oraz podejrzewana struktura organizacyjna na wzór wojskowy. Fakty te można interpretować również jako normalne zabezpieczenie przed niespodziankami, niemniej wymagają one od nas podjęcia wszelkich działań umożliwiających zabezpieczenie Ziemi przed atakiem.
W celu wyjaśnienia przedstawionej alternatywy co do charakteru wizyty Zespół Ekspertów skoncentruje swoje wysiłki na wyjaśnieniu budzących wątpliwości faktów.

Przewodniczący
Zespołu Ekspertów ds. Bezp.Ziemi
Admirał Riva

I Zastępca Głównodowodzącego Betal
M.p. Ziemia
Tekstem tajnym!

Raport nr 0001

Przechwyciłem sygnały radiowe emitowane przez sondy Ziemian zakamuflowane na księżycach planety IV i V. Sondy przekazały informacje statystyczne co do ilości, rodzaju paliwa, składu powłok oraz obrazy wizualne statków Grupy Bojowej oraz Centrum Dowodzenia. Po krótkim okresie emisji zamilkły zniszczone prawdopodobnie przez Grupę Bojową. Sondy typu oczekującego, reagujące na bodźce pochodzenia sztucznego.
Wcześniejsze ich wykrycie, z uwagi na brak emisji jakichkolwiek sygnałów, było niemożliwe. Informacje przekazane przez sondy zostały z całą pewnością przechwycone przez stacje badawcze Ziemian rozlokowane na Księżycu. Czekam na rozkazy.

Dowódca Grupy Ekspedycyjnej
Tul

Kolegium Szefów Państw – Członków ONZ
Tajne!
Specjalnego Znaczenia!
Tylko w jednym egzemplarzu!

Raport nr 0002

Złamane zostały szyfry Obcych. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mamy do czynienia z agresorami. Poza Grupą, zwaną Ekspedycyjną, dwa silne ugrupowania: pierwsze zwane Grupą Dowodzenia na powierzchni Marsa; drugie, zwane Grupą Bojową, na

Bronisław KIJEWSKI

ur. 6.06.1944 r. w Buku koło Poznania – z wykształcenia prawnik, obecnie rencista. Od paru lat pisał krótkie formy SF do szuflady, ujawnił się dopiero wówczas, gdy zebrało się tych opowiadań na tomik. Poznał się na prozie Kijewskiego i kupił rzecz na pniu red. Kledzik z Wydawnictwa Poznańskiego. Wcześniej nieco, w roku 1980, na antenie PR odczytano opowiadanie Kijewskiego pt. „Posłaniec". Autor z Poznania uwielbia fantastykę Van Vogta, Asimova, Strugackich, a w ogóle widzi w SF świeży, ożywczy nurt literacki, pozwalający w nowej, niezbanalizowanej formie powiedzieć parę ważnych prawd o człowieku.

(mp)

powierzchni księżyców Jowisza. Nasze sondy automatyczne umieszczone na tych księżycach zostały zniszczone. Przechwycony tekst ostatniej depeszy Przewodniczącego Betala nakazuje Grupie Ekspedycyjnej oczekiwać na rozkazy, których treść warunkuje sposobem naszej reakcji na dane podane przez sondy.

Zalecenia:
- powołać w trybie natychmiastowym Radę Obrony,
- ogłosić stan pogotowia dla sił naziemnych i kosmicznych,
- zażądać od Przewodniczącego Betala wyjaśnień co do charakteru wizyty oraz powodów zniszczenia naszych sond automatycznych,
- celowe byłoby uwięzienie Grupy Parlamentariuszy w charakterze Zakładników,
- uprzedzić Ludzkość o agresywnych zamiarach Obcych w celu przygotowania psychicznego do działań wojennych.

Przewodniczący
Zespołu Ekspertów ds. Bezp.Ziemi
Admirał Riva

Głównodowodzący Alf
Centrum Dowodzenia - Planeta IV
Tekstem tajnym!

Raport nr 0002

Odkryte zostały nasze zamiary. Błędem było zniszczenie sond automatycznych na księżycach IV i V-tej. Nie mogąc usprawiedliwić tego faktu, wszcząłem realizację II Etapu Planu. Przedłożyłem Ziemianom ultimatum bezwarunkowego poddania się. Ultimatum zostało odrzucone. Wysyłam rozkaz dla Grupy Ekspedycyjnej, aby podjęła działania w celu zawładnięcia Księżycem. Grupa Parlamentarna zostanie prawdopodobnie uwięziona. Koniec.

I Zastępca Głównodowodzącego
Betal

Rada Obrony ONZ
Tekstem tajnym!

Raport nr 0001

Natychmiast po otrzymaniu rozkazu przystąpiłem do likwidacji Ugrupowania Wroga stacjonującego na orbicie okołoksiężycowej. Przebieg bitwy: do walki wprowadziłem statki wyposażone w broń nuklearną. Atak, zgodnie z poleceniem, bez uprzedzenia. Po pierwszym uderzeniu statki wroga rozproszyły się prowadząc działania obronne w sposób chaotyczny i nie skoordynowany. Po minięciu zaskoczenia eskadra wroga powróciła do szyku i przystąpiła do kontrnatarcia. Pierwsza faza walki bez strat własnych. Straty wroga równe połowie jego eskadry. W drugiej fazie bitwa przyjęła niekorzystny dla nas obrót. Wróg użył nieznanych fal, które spowodowały u pilotów mojej eskadry zaburzenia funkcji mózgu przejawiające się w utracie możliwości obiektywnej oceny sytuacji. Zanotowałem przypadki ataków moich pilotów na statki własnej eskadry. Wydałem rozkaz rozproszenia się i uskoczyłem z kilkoma pozostałymi statkami w głąb przestrzeni okołoksiężycowej. W formacji wroga nastąpiło przegrupowanie. Część jego Ugrupowania ruszyła w pościg za statkami mojej eskadry, a część skierowała się w stronę Księżyca z zamiarem ataku na Bazy. W tym stadium walki otrzymałem zgłoszenie eskadr narodowych idących ze wsparciem od strony planety Wenus. Znając skutki działania nieznanych fal uznałem, że jedyną możliwą metodą walki z wrogiem będzie atak zdalny. Zabroniłem eskadrom narodowym wchodzenia w bezpośredni kontakt bojowy z wrogiem. Wszystkie eskadry narodowe podporządkowały się moim rozkazom z wyjątkiem eskadry polskiej dowodzonej przez komandora Nowaka. Widząc, że wchodzi on w strefę bezpośredniego kontaktu, ponownie wezwałem go do wycofania się. Otrzymałem nieparlamentarną odpowiedź, którą cytuję: „Odpieprz się! Może chcesz ich witać na Ziemi chlebem i solą"? Eskadra komandora Nowaka przypuściła z marszu atak na Ugrupowanie wroga idące w stronę Księżyca. Z radością stwierdziłem, że atak został uwieńczony powodzeniem. Ugrupowanie zostało rozbite, a z bitwy uszły tylko dwa statki Obcych. Sądząc, że przestały działać emitory nieznanych fal, dałem wsparcie Polakom idącym na Ugrupowanie ścigające statki mojej eskadry. Grupę wsparcia stanowiła eskadra francuska. Okazało się to błędem. Po wejściu w strefę walki eskadra francuska utraciła natychmiast 3 statki, wobec czego wydałem rozkaz jej wycofania. Na polu walki pozostali tylko Polacy, którzy dając przykład nieustraszonego męstwa rozbili w puch Ugrupowanie wroga.

Ocena sytuacji: w chwili obecnej strefa okołoksiężycowa bezpieczna. Dałem zezwolenie komandorowi Nowakowi na ściganie wroga po rubieże orbity Marsa.

Wnioski: Zamiast własnych podaję wniosek wysnuty przez Centralny Komputer Księżycowy, który przeprowadził wszechstronną i bieżącą analizę przebiegu walki: Wróg użył fal dezintegrujących funkcje mózgu. Brak założonego efektu działania tych fal na Polaków można wyjaśnić jedynie ich specyficznym nastawieniem psychicznym do wroga, specyficznym stanem ducha, który krótko można określić „duchem sarmackim".

Dowódca Eskadry Księżycowej ONZ
Pierre Delacroix

Głównodowodzący Alf
Centrum Dowodzenia - Planeta IV

Raport nr 0002

Zostałem nagle zaatakowany przez Ugrupowanie Bojowe Ziemian na orbicie okołoksiężycowej, dwukrotnie liczniejsze od Grupy Ekspedycyjnej. Z uwagi na brak jakichkolwiek rozkazów od I Zastępcy Betala rozpocząłem działania według własnego uznania. W momencie ataku połowa moich statków wyposażona była w dezintegratory „Inox". Przebieg bitwy: Ziemianie przystąpili natychmiast do ataku jądrowego nie ryzykując użycia broni konwencjonalnej. W pierwszych starciach zostały zlikwidowane statki nie wyposażone w dezintegratory. Po pierwszej fazie zaskoczenia Grupa Ekspedycyjna przystąpiła do kontrdziałania. Zaczęliśmy odpierać systematycznie wroga, likwidując kolejno jego statki bojowe. Druga faza bitwy bez strat własnych. Dezintegratory „Inox" zdały egzamin zgodnie z założeniem. Obserwowaliśmy przypadki, że pod wpływem fal dezintegrujących wojownicy wroga przypuszczali ataki na statki własnego Ugrupowania. Zwrot w przebiegu bitwy nastąpił w chwili, gdy Ugrupowanie wroga otrzymało wsparcie nielicznej eskadry idącej od strony II-giej planety. Eskadra przeważyła szalę zwycięstwa za pomocą kontrataku dezintegrującego. Stwierdziłem, że dezintegratory „Inox" są bezsilne wobc wojowników tej eskadry, a moi wojownicy ulegają dezintegracji pod wpływem fal emitowanych przez mózgi wrogów. Uszedłem z tej bitwy w sile dwóch statków bojowych. Przechwyciłem depeszę Ziemian, z której wynika, że eskadra ta złożona była ze specjalnie wyszkolonych wojowników o nazwie „Polacy". Uważam, że były I Zastępca Głównodowodzącego - Betal jest podłym zdrajcą, który wszedł w układy z Ziemianami. Wniosek swój opieram na tym, że nie uprzedził mnie o planowanej agresji na moją Grupę. Uważam, że musiał wykryć istnienie specjalnej grupy wojowników „Polacy" i nie poinformował nas o tym, chcąc osiągnąć sobie tylko wiadome, parszywe cele. Niniejszym pragnę uniżenie zwrócić uwagę Głównodowodzącego, że cele Betala są właściwie jasne, gdy się weźmie pod uwagę, że jego brat na pewno zarzuci Waszej Ekscelencji nieudolność w prowadzeniu tej wyprawy, a wpływy, jakie ma w Radzie Wojennej, mogą spowodować przejęcie przez niego funkcji Głównodowodzącego, o co od dawna zabiegał.

Dowódca Grupy Ekspedycyjnej
Tul

Dowódca Grupy Ekspedycyjnej
Tekstem tajnym!

Rozkaz nr 0001

Opuszczamy Układ. Dołączyć do Grupy Dowodzenia.
Koncentracja na rubieżach Układu.
Głównodowodzący Alf

Głównodowodzący Alf
Rejon Koncentracji

Raport nr 0003

Zostałem zaatakowany. Znowu ci przeklęci „Polacy". Tracę orientację... żegnajcie... nie dołączę...

■

„FANTASTYKA"

IGNACY FIK (1904–1942) – jeden z czołowych krytyków i publicystów okresu międzywojennego – urodził się 4 IV 1904 r. w Przeciszowie koło Wadowic. Po złożeniu egzaminu dojrzałości w 1923 r., podjął studia polonistyczne i filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a następnie na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Doktoryzował się na podstawie pracy „Uwagi nad językiem Cypriana Norwida" (1929). W latach dwudziestych był również nauczycielem gimnazjum, a po wybuchu II wojny światowej – nauczycielem zespołu korespondencyjnego w Krakowie. Organizator lewicowego „Związku Pionierów", konspiracyjnej grupy niepodległościowej „Polska Ludowa", redaktor podziemnego wydawnictwa „R", od 1942 r. – sekretarz komitetu PPR w Krakowie. Aresztowany 22 października 1942 roku, został rozstrzelany w miesiąc później – w listopadzie 1942 r.

Działalność krytyczna Ignacego Fika była jak najściślej związana z programem rewolucyjnej lewicy społecznej. Publicysta, poeta (w latach 30-tych wydał m.in. tomiki wierszy: „Kłamstwa lustra", 1932; „Przemiany", 1932; „Plakaty na murze", 1936) oceniał literaturę z punktu widzenia marksistowskiego, stosując metodę analizy socjologicznej, postulując realizm w przebiegu procesu twórczego („W sprawie autentyzmu", 1936; „Linie podziału w literaturze", 1938; „Awangarda i awangardziści", 1938; „Mitologia mitu", 1939). Autor pierwszej marksistowskiej syntezy literatury polskiej okresu 1864–1938 („Rodowód społeczny literatury polskiej", 1938).
W tomie: „Dwadzieścia lat literatury polskiej" (1939) ukazał drogi rozwoju literatury dwudziestolecia międzywojennego. Współpracował m.in. z „Lewarem", „Gazetą Artystów", „Miesięcznikiem Literatury i Sztuki", lwowskimi „Sygnałami", „Naszym Wyrazem", „Albo – albo". Drukował również w „Wiadomościach Literackich", „Nowej Kwadrydze", w warszawskim „Życiu Literackim" Juliusza Saloniego. Zajmował się problemami estetyki, które omawiał m.in. w artykułach: „Podstawa klasyfikacyjna dzieł sztuki" (1936), „Rzeczywistość sztuki" (1937), „Dzieło sztuki jako budowa" (1938).

Szkic zatytułowany „Fantastyka", którego fragmenty przedrukowujemy na łamach naszego czasopisma, ukazał się w tomie: „Dwadzieścia lat literatury polskiej" (Kraków 1939) i był pierwszą próbą polskiej systematyki gatunku, koncepcją, z którą polemizowali później powojenni krytycy i teoretycy science fiction (C. Skołuda, R. Handke, J. Trzynadlowski i in.).

(A. N.)

Do dziś dnia jeszcze panuje wśród niektórych marksistów przekonanie, iż przyszła literatura, tworzona w ustroju socjalistycznym, w odróżnieniu od literatury burżuazyjnej oprze się na ścisłym realizmie i wyruguje ze sztuki element wyobraźniowy. Jest to niezmiernie szkodliwe uprzedzenie, które w skutkach doprowadzić może do zniszczenia nowej sztuki w samych zarodkach.
Właśnie motywy fantastyki, odznaczając się wielką ruchliwością, wyrazistością i oryginalnością, mogą być pierwszorzędnym czynnikiem artystycznego oddziaływania i dlatego nie wolno z nich za żadną cenę zrezygnować. Fantastyka sama w sobie nie jest zła ani dobra, prawdziwa ani fałszywa, wartość swą otrzymuje zależnie od tego, kto jej używa, w jakim celu i w jaki sposób. Fantastyka może fałszować świat, ale może go także uwyraźniać, może służyć za azyl przed życiem, ale być także źródłem wzmożenia życia, może degradować rzeczywistość, ale równocześnie nadawać jej pełny i żywy sens.
Fantastyka w literaturze polskiej powojennej i w swych formach i w swym przeznaczeniu ma charakter typowo dekadencki. Wyróżnić się tutaj da kilka rodzajów, żaden nie jest niestety reprezentowany przez rzeczy wartościowe.
Typ *techniczno-naukowy*, który mógłby być typem najsympatyczniejszym, jest prawie nieobecny. Niedorozwój nauki i techniki w kraju, mimo epoki obfitującej w wynalazki, w ogromnym stopniu mogące pobudzić wyobraźnię, nie sprzyja fantastyce w stylu Verne'a. Najpopularniejszym stosunkowo pomysłem jest motyw zmechanizowanego robota. Goetel i Rafał Malczewski napisali nawet sztukę „Król Nikodem" i ukazali kraj, w którym prezyduje automat. Atak na robota jest łatwą formą satyry społecznej, kryje jednak w sobie pewne argumenty reakcyjne, wynikające z nastawienia naiwnych wrogów maszyny, dopatrujących się w niej istoty kryzysu moralnego i społecznego epoki. Na maszyny zwala mieszczaństwo wszystkie grzechy, nie wiedząc, że sama maszyna jest tworem człowieka i że tylko od niego zależy, czy ma on zrobić z niej swego przyjaciela, czy też narzędzie panowania nad człowiekim. W innym wypadku ma właśnie maszyna swoich obrońców, którzy widzą jej wyzysk przez człowieka.
Również pozytywny w zasadzie typ fantastyki *przyszłościowej* na temat, co będzie, nie ma zbytniego uznania w literaturze polskiej. Pisarze mieszczańscy widzą świat apokaliptycznie, w zbyt czarnych kolorach. W ostatniej swej fazie istnienia jest on opanowany przez antychrysta, drani lub w najlepszym razie przez zautomatyzowane typy, które wytępiwszy nędzę, chorobę i niesprawiedliwość, nudzą się potwornie i tęsknią do dawnych barbarzyńskich czasów. Nie ma u nas jednak porządnego Wellsa czy Huxleya, musimy się zadowolić Słonimskim, który bez skrupułów niszczy całą ludzkość w „Dwu końcach świata", byle mieć sposobność do paru antyrasistowskich i antymilitarnych dowcipów. Poza tym zanotować można również katastrofową powieść W. Niezabitowskiego: „Ostatni na ziemi" i J. Karczewskiego: „Bakcyl", gdzie autor ukazuje skutki zniszczenia złotą przez nowo odkryte bakterie.
Typ fantastyki *apokaliptycznej* uprawia Zagórski („Przyjście wroga") i Rymkiewicz („Tropiciele").
Typ fantastyki *intelektualnej* reprezentuje u nas Al. Wat zbiorem pomysłowych nowel pt. „Bezrobotny Lucyfer". Bohaterami są tu pojęcia, idee i poglądy, które rozbujawszy się w swych możliwościach i konsekwencjach doznają paradoksalnych przygód. Oryginalne refleksje doprowadzone do absurdu drogą wyrafinowanej dialektyki służą autorowi do demaskowania i wyszydzania współczesnej kultury. Niestety sens tej roboty jest dość nihilistyczny. Do podobnej, ale bardziej pustej zabawy służą Gombrowiczowi różne tezy psychoanalityczne w „Pamiętniku wieku dojrzewania" i w postaci „Ferdydurke".
Psychoanaliza jest w ogóle jedynym poważnym źródłem najmodniejszej fantastyki. Wprowadzenie rzeczywistości snu, majaczeń i psychopatologii ściąga do literatury tłum zwidzeń, zmór i fantazyjnych tworów wraz z całą koszmarną atmosferą, w której się lęgną. Wyróżnić można dwie kategorie tych niesamowitych zjaw, zależnie od tego, gdzie się rodzą: czy w podświadomości, czy w metafizyce. Przykładem może być z jednej strony praktyka B. Schulza, z drugiej St. Grabińskiego. Dla Grabińskiego rzeczywistość istnieje po to, by wybuchały z niej tajemnicze i irracjonalne siły. Dlatego notuje zachłannie wszystko, co wynika z rozkładającego się mózgu i nerwów. Anormalne stany duszy są dla niego symbolem jakiejś innej, ważniejszej i ciekawszej rzeczywistości, której domyślać się można z tych właśnie strzępów neuropatycznych. Grabiński wierzy we wszystkie satanizmy, zjawiska spirytystyczne, media, w wędrówkę dusz itp. i twory te urealnia. W robocie tej jest coraz bardziej bezkrytyczny, o czym świadczy droga odbyta od „Demona ruchu" do „Cienia Bafometa". Nie inny poziom mają „Czarci" Jerzego Bandrowskiego. Najsystematyczniejszym i najpomysłowszym budowniczym nowych realności jest B. Schulz w zbiorach opowiadań „Sklepy cynamonowe" i „Sanatorium pod Klepsydrą". Rozróżnia on różne stopnie rzeczywistości i różne jej fazy. Pozwala mu to własnego ojca uważać za karalucha, a wiosnę czy wicher wyposażyć w psychikę ludzką. Poprzez wyobraźnię dziecka widzi świat Szelburg-Zarembina. Charakterystyczna maniera ożywiania przedmiotów martwych typowa jest dla wielu kobiet. Inną odmianę stylizowania świata w wymiary mniej lub więcej fantastyczne reprezentują z dawnych pisarzy R. Jaworski („Historie maniaków", „Wesele hrabiego Orgaza"), z młodszych St. Baliński („Miasto księżyców"), Truchanowski („Ulica Wszystkich Świętych"), Uniłowski („Człowiek w oknie") i in.
Duży stopień fantastyki uzyskują szczegóły rzeczywistości, gdy obarczymy je rolą znaku ogólniejszych spraw. Ten cel przyświeca E. Jędrkiewiczowi w „Świątkach i centaurach" i „Masce tragicznej", gdzie różne demony greckie stają się symbolami zagadek duszy ludzkiej. Zupełnie inaczej robi to J. Szaniawski w swych sztukach scenicznych: „Lekkoduch", „Ptak", „Adwokat i róże", „Żeglarz". Różne idealizacje rzeczywistości: marzenia, kłamstwa, fikcje, pozory, są tu konfrontowane z samą rzeczywistością.
Pozytywniejsze perspektywy otwierają eksperymenty S.I. Witkiewicza, w którego sztukach („Nowe wyzwolenie", „Kurka wodna", „Tumor Mózgowicz" i in.) motywy fantastyczne użyte zostają w roli artystycznych składników całości kompozycyjnej. Analogicznie wykorzystana jest materia fantastyczna w sztukach Czyżowskiego („Ulica Dziwna"), T. Czyżewskiego („Wąż", „Orfeusz i Eurydyka"), Jaremy (inscenizacje w teatrzyku „Cricot") czy Wielowieyskiej („Krótkie spięcie").
Dawny świat fantastyki wydobyty z wierzeń ludowych i religijnych dziś zanika. Zdaje się, że jest to dziedzina do tego stopnia wyeksploatowana, że trudno dziś na niej twórczo działać. Mimo to postać Twardowskiego skusiła Wołoszynowskiego i Sieroszewskiego.
Słabo jest także reprezentowany temat przygód fantastycznych, jakkolwiek wynalazek aeroplanu i odzyskanie morza mogłyby spowodować rozbudzenie wyobraźni w tym kierunku. Pozory innej wersji rzeczywistości można uzyskać na drodze stylizacji języka. W pewnym stopniu robi to poezja w ogóle. Przykładami krańcowości w tym kierunku może być Leśmian i jego naśladowcy.
Uogólniając stwierdzić trzeba, że na polu fantastyki literatura polska nie ma rozmachu. Fantastyka karmi się unowocześnionymi płodami wyobraźni średniowiecznych czarownic i satanistów lub mdłym poetyzowaniem skłóconych z rzeczywistością fantastów. Wyobraźnia nie żyje w świeżym powietrzu życiotwórczych wizji, ale oddycha wyziewami rozkładających się nerwów chorych lub znudzonych samotników.

Cyt. za: I. Fik *„Wybór pism krytycznych"* oprac. A. Chruszczyński, Książka i Wiedza, Warszawa 1979, ss. 503-507.

Ignacy Fik

BORGES I JEGO KSIĘGA ISTOT ZMYŚLONYCH

Wydany w bieżącym roku przekład „Zoologii fantastycznej" Jorge'a Luisa Borgesa stanowi dogodną okazję do przypomnienia polskiemu czytelnikowi sylwetki jej autora.
Kim jest i jaki jest ów niewidomy Argentyńczyk, który pisze książki tak różne od znakomitej większości utworów kojarzących się w Polsce z latynoamerykańskim „boomem" literackim? Pozwólmy, by wyjaśnił nam to sam pisarz słowami eseju „Borges i ja": „*Spinoza zauważył, że każda rzecz chce trwać w swoim bycie; kamień po wieczne czasy pragnie pozostać kamieniem, tygrys – tygrysem. Ja muszę trwać w Borgesie, nie we mnie (...). A jednak o ileż mi trudniej rozpoznać siebie w jego książkach, niż w tylu innych...*"[1]
Autora nie można identyfikować z tworzoną przez niego fikcją. Nie można też całkowicie ich od siebie oddzielić. I choć wiele już napisano o tym, co wpłynęło na ukształtowanie się pisarskiej osobowości Borgesa, warto przypomnieć kilka spraw najistotniejszych: angielsko-hiszpańsko-argentyńskie dziedzictwo kulturowe, długi pobyt w Europie, młodzieńcze fascynacje literackie, wreszcie – utratę wzroku.
Urodzony w Buenos Aires w zamożnej, mieszczańskiej rodzinie, wnuk Angielki ze Staffordshire, spędził w dzieciństwie wiele czasu wśród książek angielskich i hiszpańskich – jako dziewięcioletni chłopiec przetłumaczył „Szczęśliwego księcia" Wilde'a tak doskonale, że autorstwo przekładu przypisywano jego ojcu. To właśnie tradycja wyniesiona z rodzinnego domu sprawi, że dojrzały już i sławny na cały świat pisarz, wśród swych ulubionych autorów, wymieni w pierwszym rzędzie – Whitmana, Shawa, Chestertona i Emersona.
Wybuch pierwszej wojny światowej zastaje rodzinę Borgesów w Szwajcarii. Tu Jorge Luis składa egzamin maturalny, stąd podróżuje po Europie. Przed powrotem do Argentyny odwiedza Hiszpanię, gdzie nawiązuje wiele literackich przyjaźni, z których najistotniejszą okaże się znajomość z andaluzyjskim poetą żydowskiego pochodzenia, Rafaelem Cansinos-Assensem („*wywarł na mnie ogromny wpływ; sprawiał wrażenie kogoś właściwego wszystkim stuleciom*" – powie po latach Borges). Wróciwszy do rodzinnego kraju, znajdzie się pod urokiem i przemożnym wpływem poety Macedonio Fernandeza, który odkryje przed początkującym twórcą metafizyczne oblicze literatury. Wśród osób, jakie odegrały największą rolę w kształtowaniu się jego osobowości, Borges wymieni również swoją matkę.
Prawdopodobnie właśnie wpływowi matki należałoby przypisać antyperonizm Borgesa. Skutki objęcia władzy w Argentynie przez Perona rodzina pisarza odczuła bardzo dotkliwie: matka i siostra znalazły się na pewien czas w więzieniu, a on sam stracił skromną posadę w bibliotece publicznej. Próżno jednak szukać śladów tych wydarzeń w jego utworach – literackim credo Borgesa było i jest odizolowanie twórczości pisarskiej od bieżących wydarzeń; zadaniem literatury jest według niego stworzenie fikcji i poszukiwanie w ten sposób uniwersalnego oblicza świata, a nie komentowanie aktualnego oblicza rzeczywistości.
Swoistej izolacji pisarza sprzyjała, być może, stopniowa utrata wzroku. Ułomność ta w rodzinie Borgesów była dziedziczna i Jorge Luis, który już w bardzo młodym wieku miał kłopoty ze wzrokiem, który był świadkiem postępującej ślepoty babki, a potem ojca, żył ze świadomością, iż nadejdzie dzień, gdy i on przestanie widzieć. Tak się złożyło, że kiedy po upadku Perona został mianowany dyrektorem Biblioteki Narodowej w Buenos Aires, był już prawie całkowicie ociemniały. W „Poemacie o obdarowaniu" napisze: „*...w przystępie wspaniałej ironii Bóg dał mi ciemność na równi z księgami*"[3]
W owych latach literacka pozycja Borgesa w Argentynie jest już ustalona. Ukazują się drukiem zbiory opowiadań, które później przyniosą mu międzynarodową sławę: „Powszechna historia nikczemności", „Ogród o rozwidlających się ścieżkach", „Fikcje" i „Alef". Uznaniem cieszą się jego eseje i poezje. Borges rozwija też współpracę z Adolfo Casaresem, znanym polskiemu czytelnikowi z fantastycznej powieści „Wynalazek Morela". Początek lat 60-tych przynosi mu światowy rozgłos. W roku 1961, wraz z Samuelem Beckettem, otrzymuje w Formentor Międzynarodową Nagrodę Wydawców, w okresie późniejszym kilkakrotnie kandyduje do Literackiej Nagrody Nobla. W Polsce pierwsze tłumaczenia jego opowiadań pojawiają się na półkach księgarskich na początku lat 70-tych[4]. Mało kto jednak wie, że już w r. 1922, w czasopiśmie „Nowa Sztuka", wydrukowano wiersz Borgesa „Poranek" (w tłumaczeniu Tadeusza Peipera).
Nie ma chyba wypowiedzi dotyczącej Borgesa, która nie otarłaby się, choćby fragmentarycznie, o świat jego obsesji – labiryntów, luster, sobowtórów, czasu, który się powtarza... Należałoby jednak ustalić, co stanowi istotę Borgesowego świata fikcji, świata wyobraźni literackiej. Przyjrzyjmy się zatem tym jego elementom, które posłużyły do napisania, powstałej we współpracy z Margaritą Guerrero, „Zoologii fantastycznej". W nieczęsto spotykanej, literackiej formie podręcznego słownika zamyka Borges, ułożone w porządku alfabetycznym, imiona najdziwniejszych stworzeń, jakie powstały w wyobraźni człowieka, których istnienie uwierzytelnia, powołując się na starożytne i uznane autorytety – Wergiliusza, Hezjoda, Plutarcha, Owidiusza, Koran, Biblię, ukazując tym samym literacką „karierę" wielu mitów. Jego książka jest wędrówką przez czas, wyobraźnię i literaturę, przez niepokojącą rzeczywistość zmyślonych istot.
Wiele charakterystycznych cech pisarstwa słynnego Argentyńczyka można odnaleźć właśnie w „Zoologii fantastycznej". A więc – erudycyjną podbudowę opisywanych „fikcji", poszukiwanie wspólnych archetypów dla wyobraźni różnych kultur, fascynację tym, co niewiadome, co opiera się doświadczeniu zmysłów i spekulacjom rozumu, wreszcie – styl, który pod mylącą prostotą sformułowań kryje ich wieloznaczność i przekonanie o niedoskonałości ludzkiego języka.
Jaką więc rolę odgrywa zarówno w tej, jak i w innych książkach Borgesa tak często „wypominana" mu przez krytyków erudycja? W jednym z wywiadów wyznaje: „*Czerpię natchnienie ze wszystkich książek, jakie kiedykolwiek przeczytałem, a również z tych, których nie czytałem wcale – cała literatura poprzedzająca moje czasy jest dla mnie inspiracją (...). Język sam w sobie jest tylko literacką tradycją*".[5] Ciekawy jest również stosunek Borgesa do związku fikcji z rzeczywistością. Zgodnie z jego ideą, literatura fantastyczna posługuje się fikcją nie po to, by uciec od rzeczywistości, lecz by ukazać jej złożoną strukturę. Jeden z krytyków powie: „*Jorge Luis Borges jest przedstawicielem fantastyki, której wszechobecnym źródłem jest „Wielka Pamięć", powszechna pamięć gatunku.*"[6] Gdy „Zoologia fantastyczna" ukazała się w roku 1957 w Meksyku, nosiła tytuł „Manual de zoologia fantastica" – „Podręcznik zoologii fantastycznej"; natomiast wydanie, które stało się podstawą polskiego tłumaczenia, ukazało się w Buenos Aires w r. 1978 jako „El libero de los seres imaginarion" – „Księga istot zmyślonych". Wydaje się, iż ten drugi tytuł lepiej obrazuje zawartość całego zbioru. Rzeczywiście – znaleźć tam można zarówno stwory wyśnione przez pisarzy i poetów, jak i te, które zrodziła wyobraźnia różnych ludów, wyrażających w ten sposób istotę swych wierzeń, lęków i nadziei. Są wśród nich istoty powołane do życia – a może po prostu **widziane** – przez filozofa i wizjonera Emanuela Swedenborga; są anioły, demony, nimfy, sylfidy i sobowtóry; są istoty wyśnione przez ludy Wschodu, Zachodu, Północy i Południa, są i te, które zostały stworzone lub przyswojone przez wszystkie kultury. I tak na przykład „smok" w interpretacji Borgesa przybrał cztery postaci: smoka chińskiego, wschodniego, zachodniego i „zrodzonego z Lewiatana", co autor komentuje w sposób następujący: „*Nie umiemy zdefiniować smoka, tak jak nie umiemy zdefiniować wszechświata, ale jest coś w wizerunku smoka, co odpowiada ludzkiej wyobraźni i tłumaczy jego pojawienie się pod różnymi szerokościami geograficznymi i w rozmaitych epokach*".
Na koniec należałoby poświęcić trochę miejsca jeszcze jednej sprawie: barierze językowej. „Zoologia fantastyczna" jako zbiór swego rodzaju symboli jest odzwierciedleniem wielowiekowych wysiłków definiowania pojęć nie istniejących w języku człowieka, żyjących w jego wyobraźni. Wiadomo, że język określa sposób widzenia świata. Wiadomo też, że jest on nieprecyzyjny. Skoro nawet postrzeganie kolorów jest odmienne u różnych narodów, jakże można zaufać słowom i powierzyć im opisanie rzeczywistości ludzkiej fantazji? Świadom tych trudności, autor „Fikcji" przywiązuje ogromne znaczenie do językowej warstwy swoich utworów toteż z uwagi na precyzję i zamierzoną niejednoznaczność stylu, przekład jego tekstów nie jest zadaniem łatwym. W przypadku „Zoologii fantastycznej" z całym spokojem możemy zaufać tłumaczce Zofii Chądzyńskiej, autorce wielu świetnych przekładów Borgesa (przypomnijmy chociażby tomiki „Alef" i „Twórca"). Sądzę, że również i tym razem praca jej będzie dobrze pośredniczyć między pisarzem i jego czytelnikiem.
Warto zatem skorzystać z okazji i sięgnąć do stworzonego przez Borgesa „podręcznika", dzięki któremu nieuchwytne dla zmysłów, niemożliwe do ogarnięcia dla intelektu, wyśnione w ciągu wieków i rodzące się nadal w wyobraźni człowieka istoty żyją w sposób nie mniej rzeczywisty, niż zwierzęta opisane we współczesnych podręcznikach zoologii, a podziw, zaciekawienie, lęk i nadzieja, jakie budzą, są przeżywane przez nas na jawie i we śnie, są po prostu prawdziwe. Warto raz jeszcze zanurzyć się w fascynującym świecie jednego z najoryginalniejszych twórców Ameryki Łacińskiej i wraz z nim zastanowić się nad takim oto zdaniem: „*Jeżeli we śnie człowiek przeniknąłby do Raju i podarowano by mu kwiat na dowód, iż był tam rzeczywiście, i jeżeli zbudziwszy się, ujrzy ów kwiat w swoim ręku...to wtedy – co?*"[7]

Dorota Walasek

J.L. Borges *„Zoologia fantastyczna"* Czytelnik 1982

1. Tłum. moje – D.W.
2. Rita Guibert – Seven Voices, New York 1973, tłum. moje – D.W.
3. Tłum. K. Rodowska-Wiesiołowska
4. Wydane w Polsce dzieła Borgesa: „Alef", przeł. Zofia Chądzyńska i Andrzej Sobol-Jurczykowski, Warszawa 1972; „Fikcje", przeł. Kazimierz Piekarec i inni, Warszawa, 1972; „Antologia osobista", przeł. Edward Stachura i inni, Kraków 1974; „Twórca", przeł. Zofia Chądzyńska i Krystyna Rodowska-Wiesiołowska, Warszawa 1974; „Raport Brodiego", przeł. Zofia Chądzyńska, Kraków 1975; „Powszechna historia nikczemności", przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski i Stanisław Zembrzuski, Warszawa 1976; „Pochwała cienia", przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski, Warszawa 1977; „Opowiadania", przeł. Zofia Chądzyńska, Andrzej Sobol-Jurczykowski, Kazimierz Piekarec, Kalina Wojciechowska, Stanisław Zembrzuski, Warszawa 1978; „Zoologia fantastyczna", przeł. Zofia Chądzyńska, Warszawa 1983
5. Rita Guibert op. cit.
6. Saul Yurkievich – Borges /Cortazar: mundos y modos de la ficcion fantástica. (W:) Revista Iberoamericana 110/111 1980, tłum. moje – D.W.
7. J.L. Borges – Otras inquisiciones, tłum. moje – D.W.

„INNER SPACE" PO POLSKU

Od ponad dziesięciu lat literatura – coraz bardziej umownie nazywana fantastyczno-naukową – przeżywa okres burzliwych przemian i rozkwitu. Wykorzystując coraz to nowe chwyty literackie, zagarnia różne gatunki i wyraźnie powiększa swój dorobek myślowy. Jest w coraz mniejszym stopniu fantastyką naukową – staje się raczej „fantastyką psychologiczną", „fantastyką społeczną". W centrum jej aktywnych zainteresowań znajduje się człowiek, rozumiany zarówno jako istota społeczna, jak i indywiduum psychofizyczne. A więc obszar zainteresowań science fiction coraz wyraźniej pokrywa się z obszarem zainteresowań literatury bez żadnych dodatkowych określeń. SF inaczej tylko spogląda na człowieka, w innym kontekście opisuje jego sprawy.

Taka jest nowoczesna czy nawet awangardowa literatura fantastyczno-naukowa. W jej obrębie należy widzieć „Olśnienie", złożony z dwóch mikropowieści tom prozy Adama Hollanka. Nie ma w nim wypraw międzygwiezdnych i egzotycznych przygód – atrybutów „klasycznej" odmiany fantastyki naukowej. W zamian jest drążenie ludzkiej psychiki, próby wejścia do ludzkiego „kosmosu wewnętrznego".

Tytułowy utwór książki opowiada wprawdzie o spotkaniu z inną cywilizacją, czy może raczej – innym światem, ale jest to świat niejako przenikający się z naszym. Bohater „Olśnienia" trafia doń najzupełniej przypadkowo, odkrywając swego rodzaju połączenie, miejsce styku obu rzeczywistości. Czy jednak można to, co znajdujemy w utworze Hollanka, potraktować jako faktyczne doświadczenie bohatera? Jako realność? Nie jestem o tym przekonany. Interpretacja opisanych wydarzeń możliwa jest, moim zdaniem, w kategoriach rozdwojenia jaźni czy też jakiegoś delirium (podobnie jak było to np. w przypadku „Wyspy" J. G. Ballarda), na co mogą wskazywać wizje „rozpływającego się", „galaretowiejącego" świata oraz przenikania się tych galaretowych tworów z obrazami o wymiarze realistycznym.

Jest to więc fantastyka, której świat przedstawiony posiada niejasny status ontologiczny, co jest cechą charakterystyczną współczesnej odmiany tego gatunku. A przy tym jest to również proza o człowieku, który autentycznie cierpi na skutek swojego faktycznego czy też wyimaginowanego, ale odczutego w kategoriach realności, kontaktu z innym światem; historia człowieka tracącego poczucie jednoznacznego i ściśle określonego miejsca w świecie, tracącego rodzinę, spokój wewnętrzny, gubiącego się pośród tego, co czuje i widzi.

Drugi tekst, noszący tytuł „Nie można go spalić", jest bliższy tradycyjnej fantastyce naukowej, wyposażony w solidniejsze „uzbrojenie" technologiczne, ale opowiada o podobnych sprawach co „Olśnienie", to znaczy o dezintegracji osobowości wywołanej przez wynalazek genialnego uczonego, zakochanego na dodatek w aktorce. Ten utwór ukazuje jeszcze jedną cechę współczesnej SF – skłonność do wplatania w tok narracji fragmentów eseistycznych. Autorzy, odchodząc od czystej przygodowości, nasycają akcję dyskursem podanym wprost w postaci odautorskiego komentarza bądź też niekiedy wkładają własne rozważania w usta fikcyjnych postaci. Rozbija to niewątpliwie rytm narracji, ale – z drugiej strony – dowodzi, jakie ambicje łączy się teraz z uprawianym przez siebie gatunkiem i jakie myśli rodzą się w pracowniach twórców. „Nie można go spalić" zawiera wiele trafnych i bezdyskusyjnych spostrzeżeń, na przykład o nieuchronności ludzkiego losu, o niemożności sprzeciwienia się przemocy, izolacji w pojedynkę itd (por. odkrycia dokonywane przez Natana wybierającego się do Wielkiego Komputera). Za wszystkim zaś, jak to bywa w literaturze z prawdziwego zdarzenia kryje się myśl o człowieku teraźniejszym, o jego dzisiejszych sprawach.

Jestem przekonany, że tylko takie nastawienie fantastyki naukowej jest zapowiedzią jej przyszłego rozwoju. Książka Hollanka staje się kolejnym sygnałem, że polska SF szuka nowych dróg, że żyje i to coraz intensywniej.

Leszek Bugajski

Adam Hollanek *„Olśnienie"* Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1983

CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI

Czegóż w dziedzinie kina SF możemy dziś oczekiwać od naszych filmowców? Oczekiwać – przy obecnym stanie wytwórni w Polsce, oraz przy dzisiejszym stanie świadomości? Szlaki wiodące ku ekranizacjom typu „Gwiezdnych wojen", „Aliena" czy „Bliskich spotkań trzeciego stopnia" wydają się nieprzejezdne dla machiny filmowej, ograniczonej rygorami skromnych finansowych limitów. A więc gwiezdny western, kosmiczny horror perfekcyjnie dopracowany od strony scenograficznej, kino wielkiego planu i kosztownych tricków – pozostają nie dla nas. Także zakup światowych przebojów tego typu przekracza najczęściej możliwości kasy. Polscy filmowcy i polska widownia skazani są na myślenie – to na ekranie kalkuluje się najtaniej. Kino widowisko – nie; kino intelektualne – i owszem! Mogło być gorzej.

Polskie kino SF, podobnie jak i polska proza tego typu, jest od pewnego czasu bardzo antropocentryczne. Kiedy niedawno dyskutowano w radiu o antologii KAW A.D 1979, redaktorka-neofitka, zakochana raptem w czystej SF, spostrzegła, iż mało w tej antologii boksowania z kosmosem, robotyką, innością, a dużo udręczonego człowieczeństwa. Zabrzmiało to jak zarzut, choć przecież człowiek był i pozostał miarą wszechrzeczy; przynajmniej dla nas – Ziemian. Kiedy na przykład nie tak dawno Marek Piestrak, reżyser niestrudzenie lansujący na polskich ekranach gatunki popularne, sięgnął po SF – jego „Test pilota Pirxa" okazał się pieśnią na cześć ułomnego człowieka przeciw zimnej i perfidnej doskonałości robota.

Podobny rys antropocentryzmu znajdujemy w ekranizacji Piotra Szulkina, z dwuletnim bez mała opóźnieniem docierającej wreszcie na główne – nie tylko studyjne ekrany. Przy czym Szulkin koncentruje się raczej na tym co w człowieku mało sympatyczne. „Wojna światów", wbrew tytułowi, pokazuje jeden tylko świat, ziemski. Marsjanie, ich przylot i odlot, narysowani są w filmie skrótowo; widać zaledwie dwóch, może trzech przedstawicieli obcej rasy – karzełka w futrze spryskanej metalicznym lakierem – marsjańskie realia są wyraźnie puszczone. Dajcie sobie spokój z klasyczną fantastyką, zdaje się mówić Szulkin, przecież nie o to tu chodzi.

Film dedykowany jest H. G. Wellsowi i O. Wellesowi. Pierwszy pokazał w powieści z 1898 roku biomechanicznych Marsjan miażdżących zacną Anglię; drugi czterdzieści lat później skomponował słuchowisko radiowe, w wyniku czego w Stanach zapanowała panika. Szulkin bogatszy o doświadczenia choćby łaszyzmu, idzie w innym kierunku, pokazuje Ziemię nie tyle poddaną malowniczemu podbojowi, ile wyrafinowanej okupacji. Najgorsze jest to, że Marsjanie dokonują swej okupacji z ludzkiego przyzwolenia i głównie ludzkimi rękami. Ta wizja, czego Szulkin wiedzieć nie musi, ale co podpowie mu każdy fan, bliższa niż obu panom W. będzie trzeciej realizacji – noweli Strugackich „Drugi najazd Marsjan".

I autorzy radzieccy i polski reżyser opowiadają o człowieczeństwie upodlonym obcym naciskiem, ale też własną zgodą na poddaństwo. To tu, w potępieniu owej zgody, tkwi przesłanie filmu; bowiem fascynująca na terenie SF metafizyka kontaktu jest w dziele Szulkina nieobecna. Film pokazuje, że człowiek ugina się pod przemocą, że sam już przygięty poniża bliźnich, a kiedy wymuszenie ustąpi, próbuje winę za zdradę zwalić na innych. Ten kto nie nie może zwalić winy na nikogo pozostaje czarną owcą i kozłem ofiarnym. Widzimy tu więc działanie propagandowej machiny podporządkowania i wdrażania podboju, której bossowie zachowują do końca cudownie czyste ręce. W tym konkretnym przypadku reżyser pokazuje to przez pryzmat Instytucji Telewizji i przez losy dziennikarza Idema. Ale nie telewizja jest głównym tematem filmu. Już raczej hasło – kowal zawinił, cygana powiesili.

Zaczyna się „Wojna światów" sceną znaczącą. Mały chłopak pełznie przez ulicę poganiany kopniakami przez starszego kolegę, który przebrał się za Marsjanina. „Niech pan mu nic nie robi – mówi poniżony do Idema – pan pójdzie, a on mi dołoży". O tym traktuje film, o zgodzie na poniżenie, o „naturalności" poniżenia. Tyle, że to są już czysto ludzkie sprawy, dlatego fizyczna obecność Marsjan trwa na ekranie tak krótko.

„Wojna światów" jest opowieścią o człowieku, który pod wpływem przymusu robi nie to co chce, nie może zrealizować swego powołania do wielkości. Roman Wilhelmi dający twarz Ironowi Idemowi, bohaterowi filmu, pokazuje tę mękę poniżenia i niespełnienia bardzo przekonywująco.

Para: dręczący – dręczony, jak z początku, mamy w filmie więcej; przy czym dręczony nie zawsze jest potulny, bilans nie zawsze wypada tu na korzyść przemocy. Jest cyniczny dozorca znakomicie wpisany w realia marsjańskiego ładu, ale jest i włóczęga, który obrzuca kamieniami uliczne ekrany, a całą telewizję próbuje wysadzić w powietrze. Jest Idem buntujący się i jego szef, który go miażdży. Jest zafascynowana Marsjanami dziewczyna z windy i, grana przez Jandę, dziewczyna niezłomna. W każdej sytuacji można zachować się godziwie i niegodziwie. Można być małym prowokatorem jak ten w biurze rejestracji przyjaciół Marsjan, ale można też znienacka użyć łomu i zatłuc Marsjanina w toalecie. Do ostatniej chwili zachowujemy możliwość wyboru, przygięty zrazu Idem odgina się przecież; bohaterska śmierć włóczęgi-dynamitarda nie traci wartości przez to tylko, że szefom Idema, udało się ją propagandowo wygrać w przeciwną stronę.

Nie wszystko, jak to u Szulkina i innych polskich twórców podejmujących tematykę społeczną, jest jasne od początku do końca. Po odlocie Marsjan, Idem zrewoltowany, Idem, który rzucił słowa prawdy w twarz koncertowej publiczności – zostaje w wyniku sprytnej manipulacji ubrany w szaty zdrajcy i skazany na karę śmierci, która... okazuje się kolejną mistyfikacją. Czyżby w tym królestwie kłamstwa nawet prawdziwa śmierć była niemożliwa? Diabeł odleciał, ale część jego diabelstwa pozostała w nas – trochę tak brzmi diagnoza reżysera. Diagnoza, która jest oskarżeniem i – usprawiedliwieniem? Podobnych szczelin znajdziemy w filmie więcej, to ponieką specjalność Szulkina znana już z „Oczu uroczych" i „Golema"; główny kontekst zazwyczaj jest wyjęty z tła, reżyser montuje swe filmy dość luźno, koncentruje się na smakowaniu pięknych i wymownych obrazów, których wizje spadają na nas jak karty wyrafinowanego albumu. Spaja natomiast całość jednolity nastrój, znakomita muzyka Skrzeka (w ogóle muzyka obok myślenia wydaje się być polską specjalnością na czasy kryzysu) – no i przejmujący Wilhelmi.

Pozostaje problem Marsjan i wszystkich domniemanych kosmicznych istot, oczernianych przez ziemskich twórców w myśl psychologicznych reguł projekcji. Szulkin grzeszy tu stosunkowo niewiele, mówi głównie o ludziach, ale popatrzmy na innych autorów. Marsjanie to, kosmici tamto, można by pomyśleć, że to kosmiczne cywilizacje są praprzyczyną i paliwem całego ziemskiego zła. Nie sądzę by taka zmasowana oszczercza kampania służyła intergalaktycznemu porozumieniu. A przecież wymierzone w niebo teleskopy czekają na sygnał. Co będzie jeśli kiedyś, już poza obszarem literackiej konwencji, trafi się nam p r a w d z i w y k o n t a k t z innymi cywilizacjami? Jak my zdołamy się im wytłumaczyć z naszych oszczerstw?... Wypada liczyć na to, że jeśli istnieją, to jako istoty myślące powinni nas jednak zrozumieć. Może zresztą, jeśli oni też kręcą filmy i piszą książki, i my będziemy im, mieli do wybaczenia grzech podobny.

Maciej Parowski

„WOJNA ŚWIATÓW – NASTĘPNE STULECIE", scenariusz i reżyseria: Piotr Szulkin, zdjęcia: Zygmunt Samosiuk, produkcja PRF „Zespoły Filmowe" – Zespół „Perspektywa", 1981

KONRAD FIAŁKOWSKI

(1939 –)

Uczony, pisarz i teoretyk SF

Prof. d hab. Konrad Fiałkowski urodził się 29 XII 1939 w Lublinie. Uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego im. J. Zamojskiego. W roku 1957 został laureatem Olimpiady Fizycznej. W roku 1962 ukończył Wydział Elektroniki Politechniki Warszawskiej, a w 1964 uzyskał doktorat z zakresu maszyn matematycznych. Habilitował się w roku 1966 (od 1973 r. posiada tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego nauk komputerowych; od 1981 – profesora zwyczajnego). Zajmuje się arytmetyką maszyn cyfrowych i zagadnieniami modelowania cyfrowego. Twórca koncepcji maszyny cyfrowej ANOPS do zastosowań biomedycznych, laureat konkursu „Mistrz Techniki 1966". Członek Rady Naukowej miesięcznika „Problemy" (tu redagował przez ponad dziesięć lat dział fantastyki). Autor wielu prac z zakresu informatyki, m.in. „Maszyna cyfrowa ZAM-2" (Wyd. Naukowo-Techniczne, 1963) – jedna z pierwszych książek z zakresu maszyn cyfrowych w języku polskim, „Autokody i program maszyn cyfrowych" (WNT, 1965), „Wprowadzenie do informatyki" (współautor: J.Bańkowski; PWN, 1978). Od 1968 członek senior w Institute of Electrical and Electronics Engineers.

Jako pisarz SF debiutował w roku 1956 na łamach tygodnika „Dookoła świata". Laureat drugiej nagrody w literackim konkursie „Młodego Technika" za opowiadanie „Prawo wyboru" (druk. w numerze sierpniowym 1962), które zostało następnie wyróżnione na Międzynarodowym Konkursie Fantastyki w Moskwie. Swoje utwory Fiałkowski publikował najczęściej na łamach „Młodego Technika" i „Nurtu". Część z nich została wykorzystana w formie słuchowisk radiowych oraz widowisk i filmów telewizyjnych („Poprzez piąty wymiar", „Szansa śmierci", „Biohazard"). W latach 1963–1982 ukazały się następujące zbiory opowiadań: **„Wróble Galaktyki"** (Wiedza Powszechna, 1963), **„Poprzez piąty wymiar"** (Nasza Księgarnia, 1967; wyd. 2 –1971), **„Włókno Claperiusa"** (Iskry, 1969). Wszystkie utwory zostały zebrane w dwutomowym zbiorze **„Kosmodrom"** (Iskry, 1975 i 1976; wyd.2 – 1980; zawartość: Prawo wyboru, Cerebroskop, Strzał informacji, Chlorella, Szansa śmierci, Ja Milikilos, Jej głos, Adam i Ewa, Zanim polecą do gwiazd, Nieśmiertelny z Wegi, Lot ku Ziemi, Wróble Galaktyki, Kosmodrom, Strażnik, Poranek autorski, Witalizacja kosmogatora, Włókno Claperiusa, Konstruktor, Ten, który czuwa nad granicą dwu czasów, Jego pierwsza twarz, Ploxis, Biohazard, Elektronowy Miś, Poprzez piąty wymiar, Gatunek homo sapiens, Zerowe rozwiązanie, Człowiek z aureolą). Fiałkowski jest również autorem powieści **„Homo divisus"** (Iskry, 1979; wyd.2 – Wyd. Radia i TV, 1981). Opowiadania Fiałkowskiego ukazywały się w następujących antologiach i seriach wydawniczych: „Nowa Cywilizacja" (red. Z. Przyrowski, 1973), „Stało się jutro (red. E.Truszczyńska, zbiór 1/1974, 2/1974, 15/1978), „Kroki w nieznane" (red. L. Jęczmyk, t. 2 i 6), „Gość z głębin" (red. Z. Przyrowski, 1979). Z przekładów obcojęzycznych na uwagę zasługują: „Pjato izmerenie" Wyd. „Mir", Moskwa 1966, „Die Chance des Todes" (w: Walther Klaus, Marschmenschen, Berlin 1966; wyd.2 – 1967), „Nulevo resenie" (Wyd. Georgi Bakałow, Warna 1980), „Die fünfte Dimension" (Berlin 1971; nast. wyd. – 1974, 1981), „Paty rozmér" (Praha 1971), „Allein in Kosmos" (Heyne Verlag, München 1977), „Galaxisspatren" (Berlin 1975), „Homo Divisus" (Heyne Verlag, München 1980; Delta Förlags, Stockholm 1980; Tatron, Bratislava 1982; Albin Michel, Paris 1983), „Strażnik" (w zbiorze wydanym w Tokio 1983).

W najbliższym czasie ukaże się powieść K. Fiałkowskiego **„Adam, jeden z nas"** (wydana już w przekładzie w monachijskim wydawnictwie Heyne Verlag).

Autor „Homo divisus" jest również krytykiem i teoretykiem science fiction (zob. „Model rzeczywistości pomyślanej", w: „Nurt" 1976/8; por. też „Spotkanie Pisarzy – Twórców Literatury Fantastyczno-Naukowe" Poznań 1973). Członek ZLP, PSMFiSF i ESSF – wieloletni przedstawiciel polskich pisarzy SF na forum międzynarodowym („World SF"), członek Science Fiction Writers of America.

Prezentując twórczość Fiałkowskiego wypada rozpocząć od założeń jego programu literackiego. Zdaniem autora „Kosmodromu":

1/ *„Fantastyka naukowa powinna być możliwością wypowiedzi na tematy, które nie spełniają warunków ścisłości naukowej, a które po prostu są intrygujące".*

2/ Celem science fiction *„nie jest przewidywanie przyszłości. Przewidywanie staje się właściwie ciągłą powtórką, cofaniem się, ustępowaniem z zajętych terenów. Nie jest nim też – popularyzacja. Fantastyka może jedynie wzbudzić zainteresowanie jakąś dziedziną wiedzy".* Dlatego też, fantastyka naukowa jest raczej: a/ próbą wymodelowania sytuacji pomyślanych, przy czym konflikty muszą tu być prawdziwie ludzkie. *W tym co piszę* – twierdzi autor – *próbuję uświadomić moim czytelnikom, że ta rzeczywistość, która nas otacza, nie jest jednoznaczną realnością daną czy zastaną, ale jedną z wielu możliwości, których ogromnej liczby pojąć nie sposób",* b/ science fiction jest także *„zracjonalizowaną baśnią naszych czasów, charakterystycznym symptomem współczesności".* Burzliwy rozwój SF można wytłumaczyć, jak określił to kiedyś S.Grochowiak, *„tęsknotą do wielkiej prostoty w skomplikowanych warunkach współczesnego życia". SF jest zatem „protezą nieoczekiwanych doznań", modelem złudzenia. Jej alegorię stanowi wizerunek „diabelskich wideł".*

3/ Od nauki zapożycza SF sposób, w jaki tworzone są jej konstrukcje modelowe (z prostych prawdziwych twierdzeń buduje się strukturę ich powiązań). W SF obowiązuje zasada „brzytwy Ockhama" – niemnożenia bytów ponad potrzebę. „Posługując się brzytwą Ockhama i dodając trochę założeń, można uzyskać niemal każdą potrzebną konstrukcję, która nie jest lokalna i nie daje się przenosić do innych utworów".

W twórczości Fiałkowskiego dają się zauważyć dwie następujące po sobie fazy. Pierwsza obejmuje niemal wszystkie opowiadania pochodzące z lat 1956–1979, utrzymane w klasycznej konwencji „hard fiction", która – zdaniem R.Handkego – wywodzi się w prostej linii z odmiany "cudownego wynalazku". Autor odtwarza tu po wielekroć kontakty człowieka z wytworami jego myśli technicznej i próbuje ukazać zachowanie „nieomylnego kreatora" w przypadku awarii bądź zakazu wykorzystania wspomnianych urządzeń. *„Nie wierzę* – twierdzi Fiałkowski w jednym z wywiadów datowanym na lata 70-te – *aby automaty z umiejętnością samodzielnego stawiania sobie problemów były w prowadzeniu tak łatwe, jak samochód. Możliwości, jakie otwiera przed człowiekiem rozwój nauki, są oszałamiające. Także niewątpliwie groźne. Konieczna jest więc etyczna postawa wobec nich, etyczny wybór. Technika winna być kontrolowana przez humanizm".* Warto dodać, iż opowiadania pochodzące z tego okresu dowodzą zarówno sprawności warsztatu pisarskiego autora, jak i pewnej rutynowości w modelowaniu typowych tematów science fiction. Zdarzają się wśród nich utwory interesujące, prekursorskie wobec ustaleń polskiej, powojennej SF, jak sfilmowany „Biohazard", czy przypominane na „Pożółkłych kartkach" – „Wróble Galaktyki".

Druga faza twórczości pisarza oznacza wyraźny przełom w spojrzeniu na problematykę kreacji literackiej. Bohaterem powieści „Homo divisus" jest narrator z XX stulecia przeniesiony w przyszłość, będący obiektem swoistych eksperymentów medycznych. Do najciekawszych partii utworu należy obserwacja poczynań bohatera usiłującego rozpoznać prawa rządzące nową, nieznaną mu rzeczywistością. Co istotniejsze, założenia powieści dają się także przełożyć i na współczesne pozaliterackie kategorie poznawania świata. Słusznie zatem zauważa A. Hollanek, iż *„futurologiczny, nieco niesamowity pomysł rzutowania fragmentów psychiki jednego człowieka do mózgu drugiego jest, w gruncie rzeczy, opisem rozdwojenia jaźni. U każdego z nas identyczność osobowości podlega bowiem częstym wahaniom, zmianom..."*

Dla wielu czytelników SF pisarstwo Fiałkowskiego staje się równoznaczne z pojęciem współczesnej, najnowszej literatury science fiction. Autor przyznaje, iż powodzenie fantastyki naukowej zależy *„od klimatu zaufania do nauki; jej wytworów i możliwości".* Tymczasem wspomniana teza zaczyna coraz częściej brzmieć gorzko i zwodniczo. Właśnie w obliczu narastającego kryzysu, rozpadu spójności cywilizacyjnej, SF zaczyna zdobywać coraz większą popularność...

Warto na koniec przypomnieć, iż Fiałkowski jest autorem hipotezy bazującej na pracach von Neumanna postulującej uniwersalny mechanizm powstawania istot myślących w Kosmosie. Wspomniana praca została opublikowana w „Studies in Physical Antropology" w 1978 r; spopularyzowana w wersji polskiej w „Problemach" 10/1980. Zdaniem autora powstanie mózgu ludzkiego jest efektem ubocznym, uniwersalnej w swym mechanizmie, adaptacji niezawodnościowej. Artykuł kończy się stwierdzeniem: *„Jeżeli hipoteza jest zasadna, to zakres jej stosowalności jest uniwersalny i może dotyczyć również całkowicie nie znanych nam (pozaziemskich) środowisk".* I to nie jest już fantastyka.

Bibliografia wybrana:

– L.M.Bartelski *„Polscy pisarze współcześni. Informator 1944–1974"* Wyd. Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977,
– „Encyklopedia Popularna" PWN, Warszawa 1980,
– *„Who's Who in the World"* 5th Edition, Marquis Who's Who, Chicago 1980/81,
– T.Przeździecki *„Rozmowa z K.Fiałkowskim"* (w) „Radio i TV" 1980/21,
– A.Hollanek *„Fantastyka naukowa. W ilu postaciach?"* (w) „Trybuna Ludu" 1980/62,
– K.Fiałkowski *„Adaptacja niezawodnościowa jako przyczyna powstania mózgu człowieka – hipoteza"* (w) „Problemy" 1980/10,
– K.Fiałkowski *„Model rzeczywistości pomyślanej,* (w) „Nurt" 1976/8.

■

WRÓBLE GALAKTYKI

Konrad Fiałkowski

...Przed nami była kotlina, zwykła kilkumetrowej średnicy kotlina. Pośrodku niej stał stożek. Wysoki, idealnie polerowany stożek. W jego powierzchni odbijały się gwiazdy, Jowisz i skalne ściany. To był i c h statek, i c h baza, ośrodek inwazji... W kotlinie panował ruch. Ze wszystkich stron zdążały do stożka pojazdy niknące w białej mgle u jego podstawy. Większość tych pojazdów miała kształt lejka zakończonego kulistym zbiornikiem. Unosiły się tuż nad powierzchnią, przelatując od skały do skały jak motyle wśród kwiatów na łące. Dwa z nich rozbijały błękitnym oślepiającym płomieniem ogromny głaz i błyski ich palników widzieliśmy dochodząc do kotliny.

– Co oni robią? – zapytała Gay.

– Oni? To są automaty. One zbierają głazy. Spójrz jak ten jest blisko.

Rzeczywiście, w odległości najwyżej dwustu metrów przelatywał jeden z automatów. Z lejka szerokim snopem, jak światło reflektora, emitowało jakieś pole siłowe. Głazy wpadające w ten niewidoczny snop światła podrywały się z podłoża i znikały w gardle lejka. Nagle pojazd zmienił kierunek i zaczął wznosić się ku nam, bez trudu pokonując spadziste zbocze. Poderwałem się do ucieczki.

– Stój! Nie zdążysz... – Gay zsunęła z ramienia dezintegrator. Mierzyła starannie, lekko przekrzywiwszy głowę.

– W podstawę. Tam muszą być zespoły napędowe – mówiła to z taką pewnością, jakby sama konstruowała ten dziwny pojazd. Strzeliła. Ściągnąłem z ramienia swój dezintegrator, lecz nie zdążyłem go jeszcze odbezpieczyć, gdy pojazd niespodziewanie uniósł się nad skały i skierował wprost na nas swój dziwaczny lejek. Gay krzyknęła coś, czego nie zrozumiałem. Stała nieruchomo z wzniesionym dezintegratorem. Nagle wszystko stało się czerwone, jakbym włożył czerwone okulary.(...)

Byliśmy w wielkiej hali(...). Spojrzałem w górę. Ta hala w ogóle nie miała sklepienia. To, co było w górze, wyglądało jak mgła, różowa mgła.

– To... to jest wnetrze stożka... – powiedziała Gay. I wtedy stało się coś najzupełniej nieoczekiwanego. Kamienie, wszystkie kamienie uniosły się w górę. Oddalały się ku sklepieniu i nagle momentalnie zniknęły. Ale najdziwniejsze było to, że myśmy zostali. Staliśmy zanurzeni po pas w różowej, opalizującej mgle. Nie widzieliśmy własnych stóp.

– ...Spostrzegli nas.

– Może automat segregujący odróżnił nas od kamieni...

– Bzdury. To oni... Serg... uciekajmy, Serg.

Gay straciła swój dotychczasowy spokój.

– ...Uciekajmy... uciekajmy stąd... – powtarzała w kółko.

– Ale dokąd?

– Wszystko jedno – zaczęła oddalać się, brodząc wśród mgły.

– Stój, po co tam idziesz?! – krzyknąłem. Nie zatrzymała się. Teraz biegła już prawie. Nagle mgła zafalowała. Nie czułem wiatru, ale mgła zafalowała tak, jakby dołem powiał wiatr.(...)

Śledziłem słoneczną plamę przesuwającą się wolno po posadzce. Przez otwarte okno słyszałem szum automatu strzygącego trawę w ogrodzie. Na błękitnym prostokącie nieba przesuwały się obłoki gnane wiatrem od gór. Przy oknie stała Gay... Gay bez skafandra... To była Ziemia, naprawdę Ziemia!

Skończyliśmy właśnie opowiadać i Toren w zamyśleniu pocierał dłonią swe wysokie, łysawe czoło.

– ...I mówicie, że tam była mgła, różowa mgła... a potem kule... – powtarzał.

– A inwazja zlikwidowana? – zdecydowałem się w końcu go zapytać.

– Inwazja? – z roztargnieniem spojrzał na mnie. – Inwazji w ogóle nie było.

– Nie było?

– Oczywiście, to nasz wymysł, nastepstwo megalomanii naszego gatunku. – Teraz patrzył na Gay. Spostrzegł widocznie, że nic nie rozumie. – Widzicie, to tak, jakby ktoś chciał ogrodzić swoje pole przed szkodnikami. Można po prostu wznieść płot. Ale jeśli ktoś dysponuje odpowiednią techniką i nie chce zabijać, to... po prostu zakłada siatkę sygnalizacyjną z torusów, wzywającą obłok sterowany. Obłok wynosi to wszystko, co się tylko porusza, poza poletko, poza strefę, która jest strzeżona... To, że torus zabijał... widocznie nie wiedzieli, iż taki właśnie impuls jest dla nas śmiertelny. Pewnie nie przeszło im to nawet przez myśl.

– Więc Warden, Woley, Wera... wszyscy oni żyją?

– Oczywiście, chmura wyrzuciła ich na skały poza pierścieniem torusów.

– A my... co oni z nami zrobili?...

– To możemy tylko przypuszczać. Ich pojazd wystartował. Wystartował prawdopodobnie natychmiast po waszym tam przybyciu...

– Ależ myśmy nic nie czuli. Żadnych przeciążeń, żadnych wstrząsów.

Toren uśmiechnął się.

– Oni napędzają swój pojazd polem grawitacyjnym. Wytwarzają to pole przed pojazdem. Wyście razem z całym kosmolotem spadali w tym polu... A ktoś, kto spada, nic nie waży. Problem człowieka w spadającej windzie – uśmiechnął się. – Tak więc nie mogło być mowy o przeciążeniach. Najwyżej mogłeś odczuwać...

– Rzeczywiście – odczuwałem nieważkość...

– Widzisz, że mamy rację – ucieszył się Toren. – Dostaliście się więc – ciągnął dalej – do automatycznego pojazdu zbierającego paliwo dla ich agregatów napędowych. Mieliście szczęście. Może oni są jakoś podobni do nas, a może was zauważyli, w każdym razie nie podzieliliście losu kamieni zamienianych w silnikach na energię. Odsegregowali was od kamieni... ale potem mieli trudności z odesłaniem was na księżyc, bo już wystartowali. Zbudowali więc specjalny statek. Zbudowali – sądzę – w ciągu niecałej godziny, przystosowali go do waszych potrzeb, zwabili do środka obrazem Wery i wystrzelili z powrotem na Ganimeda... Tak, nie chcieli was zniszczyć. Odesłali was, mimo że sami w tym czasie przemierzyli już miliony kilometrów.

– A teraz, gdzie oni są teraz...?

– Gdzieś w próżni międzygwiezdnej... znikli z ekranów najczulszych radarów...

– I nic nam nie zostawili, nic nie przekazali?

– Tylko was. Nic poza tym. Was nie chcieli zabierać. Dostaliście się do ich statku przypadkiem... a oni najpierw nie zauważyli... a potem wysłali was na Ganimeda.

– Jak to, a te mgły... to unoszenie kamieni... obraz Wery...

– To działały ich automaty. Ich technika wyprzedza naszą o setki, może tysiące lat... nikt nie chciał się z wami porozumieć... Rozumiecie, co to znaczy?...

– Nam się zdawało, że oni niczym innym prócz nas się nie interesują...

– Nie tylko wam – Toren mówił cicho, jakby do siebie. – Myśmy wszyscy tak sądzili. Wymyśliliśmy nawet inwazję i uwierzyli w nią bez zastrzeżeń. Wymyśliliśmy inwazję, bo przez myśl nam nie przeszło, że oni przylecieli do nas tylko po zapas paliwa, że potraktowali nas jak wróble...

– Nie rozumiem. Dlaczego jak wróble...?

– Czy zatrzymałeś się kiedykolwiek, żeby popatrzyć na wróble? Na pewno nie. Jeśli je nawet czasem spostrzegłeś, to przypadkiem. Są zbyt pospolite, by zwrócić naszą uwagę... i może my właśnie jesteśmy takimi wróblami w naszej Galaktyce...

„Wróble Galaktyki" (w) „Kosmodrom", t. I, Wyd. „Iskry", Warszawa 1975, fragmenty ze stron 228–239.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

■

OD FOTONÓW DO KILOWATÓW

Stanisław Masny



Naukowcy z coraz większą nadzieją patrzą w stronę Słońca. Energia słoneczna w postaci bezpośredniego promieniowania, wiatru, prądów morskich, fal, biomasy „będzie źródłem energii dla Stanów Zjednoczonych i całego świata w ciągu 20 lat" – powiedział dr Bennett Miller z amerykańskiego Departamentu Energii na otwarciu spotkania Międzynarodowego Stowarzyszenia Energii Słonecznej (ISES) zorganizowanego w Atlancie z okazji 25-lecia istnienia Stowarzyszenia.

Natarcie następuje w wielu kierunkach. Najtańsze i najbardziej rozpowszechnione jest wykorzystywanie promieni słonecznych do podgrzewania wody w tzw. kolektorach. Ale badania prowadzone są również nad konwersją fotoelektrochemiczną, która jednocześnie ma tzw. wbudowaną zdolność akumulacji energii. Przykładem może tu być półprzewodnikowe mokre ogniwo fotoelektrochemiczne, np. z elektrodą z dwutlenku tytanu i drugą platynową, zanurzonymi w roztworze wodnym, gdzie pod wpływem kwantów energii świetlnej padających na TiO_2 następuje wydzielanie tlenu, a na elektrodzie platynowej – wodoru – cennego i wysokokalorycznego paliwa.

Inną propozycją są urządzenia fotogalwaniczne, gdzie substancje rozpuszczone w wodzie absorbując kwanty światła wytwarzają dzięki pobudzeniu elektronowemu – niestałe chemiczne substancje pośrednie wzbogacone energetycznie. Reakcje tych substancji powodują powstanie na elektrodach potencjału elektrycznego. Obiecujące w tej metodzie jest to, że nie wymaga ona tak dużych elektrod, jak w poprzednim przypadku.

Najbardziej rozwiniętą i poznaną metodą wykorzystania promieniowania słonecznego do generacji energii elektrycznej jest metoda fotowoltaiczna oparta na półprzewodnikowych ogniwach słonecznych. Obecnie ogniwa fotowoltaiczne główną rolę odgrywają w kosmosie. Dzięki nim mogą być prowadzone długotrwałe badania bliższej i dalszej przestrzeni kosmicznej, planet, przenoszenia masowej informacji (satelity komunikacyjne), obserwacja wielkich obszarów itp. W zastosowaniach tych są one bezkonkurencyjne.

Jeden z najbardziej ambitnych programów badań i rozwoju systemów fotowoltaicznych został opracowany przez amerykański Departament Energii. Głównym jego celem jest obniżenie ceny ogniw słonecznych do 70 centów za wat w 1986 r. i do 15–50 centów za wat w 1990 r. Oznaczałoby to obniżenie kosztów całego systemu zasilającego do poziomu 1,10 do 1,30 dol. za wat w roku 1990. Jest to niespełna dwa razy więcej niż wynosi koszt 1 W w elektrowni jądrowej dziś.

Na znacznie mniejszą skalę są prowadzone programy badawczo-rozwojowe w dziedzinie fotoogniw w kilku krajach Europy Zachodniej. Zamierza się tam zbudować 3 do 4 siłowni słonecznych o mocy 300–400 kW każda. Francuski Komisariat Energii Słonecznej (COMES) planuje zredukowanie kosztów ogniw słonecznych do poziomu 1,6–2,5 dolara za wat w roku 1985.

Wielki program badawczy, o miliardowych nakładach, realizowany jest od 1974 roku w Japonii. Głównym celem programu, określonym na początku, było 100-krotne obniżenie kosztów produkcji ogniw słonecznych, zaprojektowanie pilotowej instalacji do 1985 r. i osiągnięcie „szczęścia" – taniej energii elektrycznej w latach 1986–1990. Niestety, japońskie Ministerstwo Przemysłu i Handlu, a także wykonawcy programu, nie informują o postępach w realizacji programu, co niektórzy obserwatorzy komentują jako brak sukcesów. Na razie na rynku są dostępne japońskie zegarki i kalkulatorki zasilane światłem – wystarcza im jarzeniówka.

Ostatnio wzrosło również zainteresowanie energią słoneczną w Związku Radzieckim. W Azji Środkowej w specjalnym instytucie mają być prowadzone prace nad wykorzystaniem energii słonecznej, zwłaszcza w południowych republikach, które mają szczególnie korzystne warunki słoneczne.

Najlepiej poznanym materiałem do produkcji fotoogniw jest oczywiście krystaliczny krzem, na nim opiera się prawie cała dzisiejsza mikroelektronika. Nic dziwnego zatem, że technologia ta jest obecnie najbardziej zaawansowana i jest dalej rozwijana w wielu znanych laboratoriach.

Do produkcji ogniw można wykorzystać znacznie tańszy od monokrystalicznego – krzem polikrystaliczny. Kilka firm bada ogniwa zbudowane z kilkudziesięciomikrometrowej warstwy polikrystalicznego krzemu na grafitowym podłożu. Najlepsze wyniki w krzemowych ogniwach z polikryształów uzyskała firma Telefunken, która wykorzystując włóknisty materiał (Silso) wytwarzany przez firmę Heliotronic produkuje płytki o wymiarach 10 × 10 cm i sprawności ponad 10%. Ostatnio na arenie pojawił się nowy materiał – krzem bezpostaciowy. Ponieważ silnie pochłania światło, można stosować bardzo cienkie warstwy (1 μm); zapewnia on oszczędność materiału i dobrze toleruje różne rodzaje podłoża. Dotychczas nie udało się osiągnąć spodziewanej sprawności rzędu 15%, firma RCA osiągnęła zaledwie 6%.

Półprzewodniki nie kończą się, jak wiadomo, na krzemie. Obecnie znana jest spora liczba materiałów, które nadają się do budowy fotoogniw. Takim materiałem jest np. siarczek kadmu, który w połączeniu z kilkoma innymi materiałami tworzy stosunkowo tanie ogniwa słoneczne o sprawności teoretycznej rzędu 16%. Osiągnięto już w ogniwach opartych na siarczku kadmu i siarczku miedzi (CdS/Cu_2S) sprawności 9%.

Innym zasługującym na uwagę materiałem półprzewodnikowym jest arsenek galu (GaAs). Ogniwa GaAs mają największą ze znanych sprawności – 26% (drugie miejsce ma krzem – 22%). Wytwarzanie ich jest droższe niż krzemowych, ale mają one tę przewagę, że sprawność ich nie spada tak szybko ze wzrostem temperatury, np. w temperaturze 100°C wynosi ona jeszcze 20%. Obniżenie kosztów produkcji można uzyskać, stosując polikrystaliczny arsenek galu w warstwie o grubości 1–2 μm. W Massachusetts Institute of Technology otrzymano sprawność 20% stosując struktury wielowarstwowe.

Front badań jest bardzo szeroki. Prowadzone są również próby z takimi materiałami, jak tellurek kadmu, dwutlenek miedzi, selenek kadmu, tlenek indowo-cynowy w połączeniu z fosforkiem indu lub arsenkiem galu, fosforek cynku, a także próby z różnymi rodzajami fotoogniw chemicznych. Badane są różne procesy wytwarzania materiałów, ogniw i całych systemów zasilających. Penetrowane są zupełnie nowe obszary fizyki ciała stałego i chemii. Wszystko podporządkowane jest jednemu głównemu celowi – obniżeniu kosztów wytwarzania do poziomu konkurencyjnego w stosunku do dzisiejszych źródeł energii.

Jedynym sposobem uniezależnienia się od pogody i cyklu dobowego jest umieszczenie siłowni słonecznych na geostacjonarnej orbicie Ziemi, na wysokości ok. 36 tys. km. Zaciemnienie takich satelitów przez Ziemię byłoby stosunkowo krótkie i niejednoczesne.

Przewiduje się np. budowę w końcu bieżącego stulecia od 25 do 30 takich satelitów, które będą rozmieszczone na orbicie geostacjonarnej. Każdy satelita miałby wymiary płatów fotowoltaicznych 5 × 18 km i moc 5 GW uzyskiwaną z ogniw krzemowych lub arsenkowo-galowych. Energia elektryczna przetworzona na satelicie w energię mikrofalową byłaby przesłana w paśmie 2,45 GHz na Ziemię, gdzie anteny o rozmiarach 10 × 14 km służyłyby do jej odbioru i przetworzenia na częstotliwość sieci. Już dziś jednak wiadomo, że takie potężne elektrownie satelitarne stanowiłyby niewielki procent całej zużywanej energii elektrycznej.

■

Z tamtej strony lustra

PŁOMIEŃ ŻYCIA

Maciej Iłowiecki

Nad pytaniem, czym właściwie jest życie, zastanawiali się myśliciele wszystkich epok i wszystkich społeczności świata. Do dziś opisano już bodaj wszystkie przejawy życia na Ziemi, zrekonstruowano (choć dalece nie w pełni!) jego historię, sformułowano wiele hipotez i teorii na temat jego powstania i rozwoju. Biologia od stu co najmniej lat może poszczycić się najszybszym ze wszystkich nauk zdobywaniem informacji i odkrywaniem nowych faktów – ale też, z drugiej strony, jest nauką o tyle niezwykłą, że do dziś nie zdołała wyjaśnić istoty tego, co stanowi przedmiot jej badań. To znaczy, wciąż nie wiemy, na czym polega isototа życia; cóż tu mówić – dotąd nie ma nawet jego dobrej definicji!

W pierwszej połowie naszego wieku zdawało się, że znaleziono klucz do zjawiska zwanego życiem. Tym kluczem miała być biochemia, zaś życie wydawało się ciągiem specyficznych reakcji chemicznych; należało tylko te reakcje rozpoznać do końca, wreszcie zrozumieć życie. Biochemia i potem biologia molekularna (badająca życie na poziomie podstawowych struktur biologicznych, części, z których złożone są komórki) przyniosły rzeczywiście postęp niebywały, wyjaśniły wiele głównych procesów, będących przejawami życia. Ale też stało się jasne, że zjawisk biologicznych nie da się wyjaśnić do końca przez sprowadzanie ich do specyficznych procesów chemicznych. Inaczej mówiąc, chemia nie wystarczy, by zrozumieć istotę życia i prawidłowości rządzące strukturami biologicznymi. Swoją drogą, ciekawy to paradoks: im więcej o życiu wiadomo, tym bardziej zjawisko to staje się trudniejsze do pojęcia!

Dlaczego poznanie specyficznych dla życia procesów biochemicznych nie wyjaśnia do końca funkcjonowania czegoś, co jest żywe? Odpowiedzą niektórzy: dlatego, że struktury żywe stanowią wyższy poziom niż cząsteczki chemiczne i że wobec tego na tym poziomie obowiązują inne już prawidłowości – nie chemiczne, lecz właśnie biologiczne. Jest to na pewno słuszne, ale nie wydaje się, żeby wyjaśniało więcej niż na przykład powiedzenie: tak jest, bo tak jest.

Istnieją zresztą i inne odpowiedzi: tu chciałbym wspomnieć o jednej z nich. Nie należy ukrywać, iż jest to odpowiedź, której współczesna biologia nie uznała jeszcze za wystarczająco uzasadnioną. Więcej nawet – koncepcji, którą zaraz przedstawię, niektórzy odmawiają wręcz walorów naukowych i zażarcie ją atakują, jako fantazję nie popartą faktami. Nie powinno to nas zrażać, zwykle w historii nauki odmawiano wartości hipotezom, które zbyt otwarcie wykraczały poza obszar uznawanych w danej epoce poglądów. Czasami oponenci mieli rację: nowa hipoteza okazywała się w końcu fałszywa. Ale chyba częściej bywało odwrotnie: idea, która zdawała się sprzeczna z dotąd uznawanym poglądem na dane zjawisko lub też wyjaśniała je zupełnie inaczej, okazywała się właśnie brzemienna w nowe odkrycia i otwierała nowe drogi poznania.

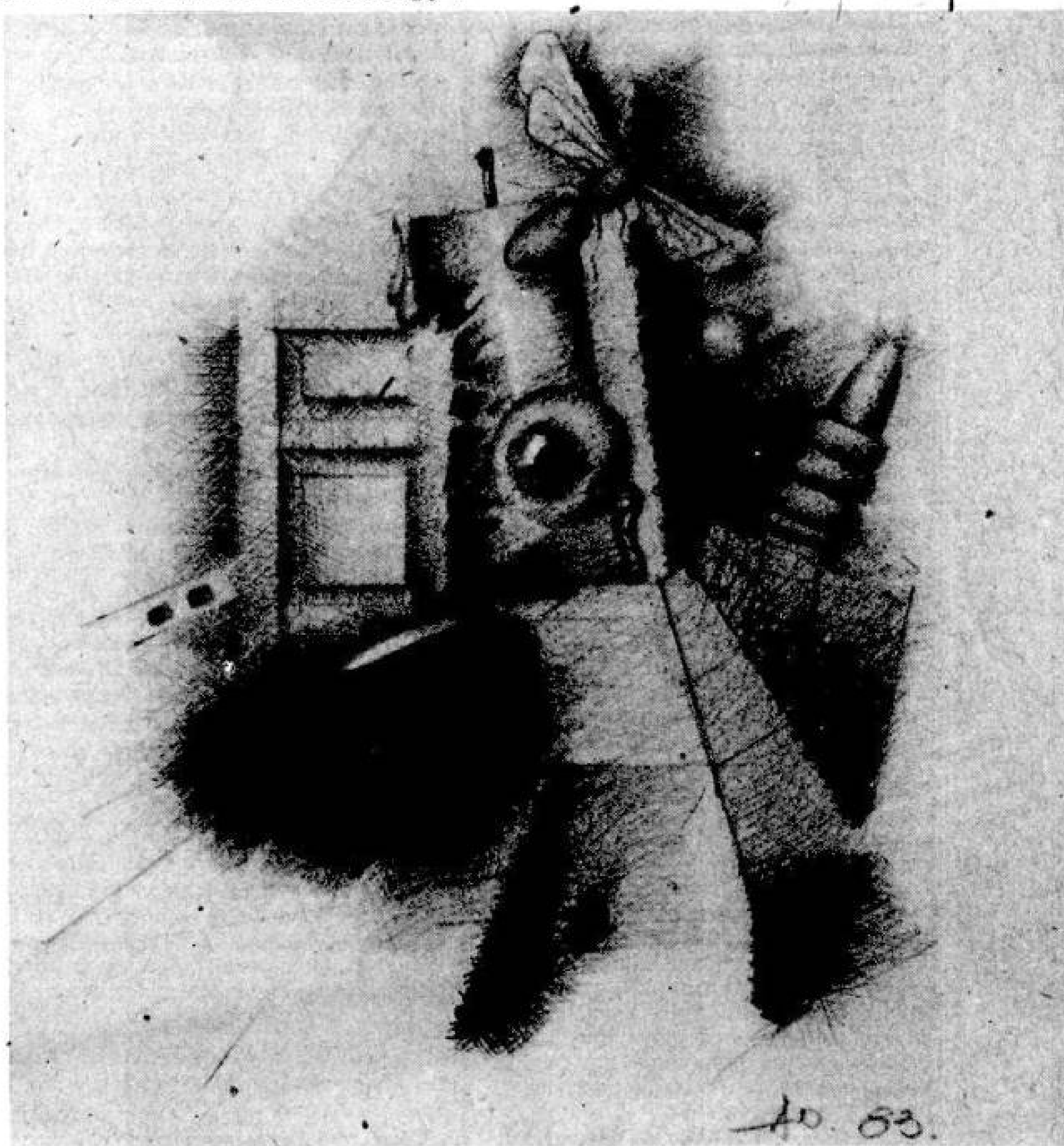
Powtórzmy zatem kluczowe pytanie: dlaczego sama biochemia nie jest w stanie (a dziś wygląda na to, iż rzeczywiście nie jest!) ostatecznie wyjaśnić istoty życia ani jego szczególnych prawidłowości?

Hipoteza polskiego uczonego Włodzimierza Sedlaka, profesora biologii teoretycznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, daje na to taką odpowiedź: otóż dlatego, że poznając strukturę chemiczną i biochemiczne procesy żywego ustroju, poznajemy tylko jedną i to jakby bardziej zewnętrzną stronę życia. Istnieje jeszcze druga strona, komplementarna, czyli dopełniająca, głębsza i o wiele trudniej uchwytna. Tę głębszą sferę tworzą zjawiska elektronowe, kwantowe, falowe, swoiste dla układów biologicznych i zatem bez ich zrozumienia nie pozna się istoty życia. Sednem hipotezy Sedlaka jest właśnie komplementarność owych „dwóch stron" życia; przecież procesy biochemiczne mogą występować poza żywą strukturą, same w sobie nie stanowiąc jednak życia. Zaś zjawiska na poziomie kwantowym, submolekularnym towarzyszą wszelkiej martwej materii. Zatem tylko wytworzona w długotrwałym procesie ewolucji specyficzna wspólnota sfery biochemicznej ze sferą elektronową, ich współdziałanie, sprzężenie dwóch stron, ich dopełnienie się wzajemne – tworzą w sumie zjawisko zwane życiem. Pojęcie „współdziałania" nie jest najlepsze, bo zakłada jakby działanie świadome; z kolei zaś słowo „sprzężenie" też nie oddaje istoty rzeczy, bo niekoniecznie zawiera w sobie współsterowanie, o które tutaj chodzi. Właściwie nie ma jeszcze terminów, które dokładnie mogły by ująć sedno sprawy. Sam twórca bioelektronicznej hipotezy życia, prof. Sedlak, tak kiedyś w sposób popularny sformułował sedno swej hipotezy: *„wyobraźmy sobie tor kolejowy. Lewa szyna – to reakcja chemiczna, prawa natomiast – to kwantowe procesy elektroniczne. Pomiędzy nimi są łączące je podkłady, zapewniające wzajemny wpływ – w tym wypadku kwantowo-mechaniczne sprzężenie pomiędzy tymi dwoma rodzajami zjawisk".*

Kiedy więc badamy biochemiczne procesy życia, poznajemy jedną szynę; kiedy poznajemy zjawiska biofizyczne – zajmujemy się drugą szyną, ale w obu wypadkach nie możemy poznać toru. Zresztą nawet poznanie obu szyn na raz nie da nam wszystkiego, bo istotą rzeczy jest swoiste s p r z ę ż e n i e tych szyn. Oczywiście, porównania kuleją, bo owo sprzężenie nie jest czymś statycznym – jest procesem, ruchem, nową jakością. Ponadto – zdaniem Sedlaka – rolę decydującą w żywych strukturach odgrywa poziom głębszy, to znaczy zjawiska, związane z przepływem elektronów, wydzielaniem i pochłanianiem kwantów energii, zmianami pól elektromagnetycznych i rozchodzeniem się fal.

Jeśli kto chce, może uznać, że poszukiwana przez dawnych biologów „siła życio-

dokończenie na stronie 56



Praca konkursowa Artur Dudek

PŁOMIEŃ ŻYCIA

dokończenie ze strony 55

wa" (vis vitalis – rodzaj niematerialnej energii sterującej organizmami) została przed Sedlaka zmaterializowana w postaci występujących w strukturach biologicznych procesów kwantowych.

Naturalnie, nie można odrzucić możliwości, że bioelektroniczna hipoteza profesora Sedlaka okaże się mylna. Ale również nie można chyba nie uznać, iż sfera submolekularna (wszystkie owe zjawiska elektroniczne, kwantowe, pola, fale, itd.) odgrywa w ustrojach żywych rolę o wiele istotniejszą, niż się dziś przyjmuje, na pewno zaś jest zupełnie niewystarczająco poznana i zbadana.

W bioelektronicznej koncepcji życia jest coś porywającego, poetyckiego: oto istotą życia jest rozedrgany, przenikliwy, nieuchwytny strumień energii, precyzyjnie uporządkowany i zarazem wymykający się wszelkim schematom, w pewnym sensie wieczny i zarazem niezwykle kruchy, niemożliwy do utrwalenia w zastygłej formie... Jest to prawdziwy płomień życia – tak łatwy do zgaszenia i zarazem mogący ogarnąć i rozpalić tak wiele. Nic dziwnego, że „płomień życia" jest jedną z najstarszych przenośni i że wielu ludziom w różnych czasach życie kojarzyło się właśnie z płomieniem.

Wartość bioelektronicznej hipotezy życia nie polega oczywiście tylko na jej poetyckości czy pięknie. Hipoteza ta – choć, powtórzę dla pedantów, wciąż nie udowodniona i ostro atakowana przez wielu biologów – spełnia pewne warunki, niesłychanie ważne dla prawidłowo postawionych hipotez naukowych. Otóż koncepcja prof. Sedlaka w sposób dość prosty i oczywisty wyjaśnia bardzo wiele zjawisk dziś niewytłumaczalnych (i często – wyłącznie z tego powodu – w ogóle wyrzucanych poza nawias oficjalnej nauki) i zarazem otwiera zupełnie niezwykłe możliwości w medycynie i w różnych naukach stosowanych. Nowe horyzonty otwierają się także przed psychologią i naukami społecznymi.

Na przykład w zupełnie innym świetle ukazuje się wiele chorób psychoorganicznych – są one, być może, efektem zakłóceń bioelektromagnetycznych pól organizmu. Wobec tego poszerza się niezwykle treść i zakres pojęcia „zanieczyszczenia środowiska". Zupełnie inny wymiar i możliwości zyskują związki łączące życie i ludzi z całym otaczającym nas Wszechświatem. Organizm – żywa istota – nie ogranicza się wyłącznie do swoich konkretnych wymiarów przestrzennych, bowiem w świetle hipotezy bioelektronicznej jest także swoistym, wyjątkowym biopolem. Jest generatorem własnego biopola i zarazem czułym odbiornikiem innych pól. W tej sytuacji okazują się naturalne i łatwe do wyjaśnienia takie zjawiska, jak np. telepatia, „widzenie bez patrzenia", „emocjonalne reakcje" roślin, uzdrawianie przez nakładanie rąk, telekineza, „życie po życiu" i wiele, wiele tajemnic wrzucanych dziś pospołu do wielkiego worka „paranauki" lub odrzucanych z pogardą jako irracjonalizm, magia i bzdura.

Hipoteza bioelektroniczna daje nam nowe, naprawdę niezwykłe możliwości zrozumienia, czym jest życie, świadomość, śmierć. Istnieje wiele powodów, usprawiedliwiających pragnienie, aby owa hipoteza okazała się dla poznania życia kluczem prawidłowym.

Maciej Iłowiecki

KTO NIE LUBI DÄNIKENA

Książki Ericha Dänikena znalazły na całym świecie aż 46 milionów nabywców. Po stosunkowo krótkim okresie zachwytów grono czytelników zaczęło rozpadać się na antagonistyczne obozy tych, którzy wierzą mu bez żadnych zastrzeżeń oraz na zdecydowanych przeciwników. Oba te krańce czytelniczego spektrum łączy grupa ludzi skłonnych przyznać, że „Być może coś w tym jest, choć niekoniecznie tak, jak to Däniken przedstawia". Ostatnio do grona przeciwników byłego hotelarza przyłączył się mistrz kominiarski Peter Kaufhold z Westfalii (RFN). Jeszcze do niedawna był on zagorzałym zwolennikiem Dänikena, nie przekonywały go argumenty sceptyków takich jak pisarz i popularyzator nauki Ernst von Khuon, który na podstawie teoretycznych rozważań uznał tezy Dänikena za „pseudonaukowe baśnie". Zaufanie Kaufholda do prawdomówności Dänikena sięgało tak daleko, że zapragnął on na własne oczy zobaczyć dziwy opisane w książce „Aussaat und Kosmos" i w tym celu postanowił wraz ze swoją żoną Ulryką i bratem Andrzejem spędzić urlop w Ekwadorze. Trójce miłośników przygody przyświecały bajeczne skarby znajdujące się w olbrzymiej jaskini w ekwadorskiej prowincji Morona Santiago oraz złote płyty będące w posiadaniu salezjańskiego kapłana Carlo Crespiego, żyjącego w małym andyjskim miasteczku Cuenca. Według Dänikena wszystkie te cuda miały być dowodem, że nasi „bogowie" w rzeczywistości byli astronautami z dalekich gwiazd.

Przed wyruszeniem na wyprawę Kaufhold postanowił odwiedzić pisarza jako jedynego człowieka, który udał się do owych boskich miejsc, lecz rozmowa nie dała mu wiele. Pisarz zapewnił go, iż taka wyprawa pochłonie zdumiewająco wiele czasu i wymaga olbrzymich nakładów pieniężnych. Z przeprowadzonych podczas rozmowy wyliczeń Dänikena wynikało, że ekspedycja jest „piekielnie droga" i że trzeba na nią będzie około 250 tysięcy dolarów. Żadnych bliższych informacji na temat umiejscowienia tajemniczej jaskini Däniken nie chciał udzielić. Jego odpychające zachowanie nieco zirytowało Kaufholda, co jednak nie przeszkodziło mu w kontynuowaniu przygotowań.

Wreszcie podczas wakacji w 1982 roku wraz z żoną, bratem i dziesięcioma tysiącami zaoszczędzonych marek wyruszył Kaufhold na poszukiwanie skarbów Ekwadoru. Cała trójka tropicieli długo trzęsła się w rozklekotanych autobusach, przebywających górskie przełęcze na wysokościach ponad 4 km n.p.m. zanim wszyscy szczęśliwie dotarli do prowincji Morona Santiago. I tu czekało wędrowców niemiłe rozczarowanie. Współrzędne miejsca opisanego przez Dänikena inne były w książce, a inne w rzeczywistości. Jedyna jaskinia względnie dobrze odpowiadająca opisowi znajdowała się na obszarze niedostępnym dla samochodów (wbrew twierdzeniu Dänikena) i trójkę awanturników czekał co najmniej dwudniowy marsz przez dziewicze lasy Ekwadoru. Podczas przedzierania się przez chaszcze sił dodawała im wizja głębokiej na 240 metrów jaskini, stanowiącej część ciągnącego się setkami kilometrów systemu podziemnych tuneli. Być może pociągała ich nie tyle odkrywcza pasja, co opisany przez Dänikena „ogród zoologiczny" z figurami zwierząt wykonanymi ze „szczerego złota". Pewnym utrudnieniem wydawali się jedynie strzegący pieczary Indianie, uzbrojeni w zatrute strzały. Po dotarciu na miejsce Kaufhold wraz ze swoją kompanią doświadczył kolejnego rozczarowania. Po pokonaniu stromego wejścia, na głębokości 50 m znalazł jaskinię o długości 5 km, a w niej nic poza zwałami ptasiego łajna. Z groźnymi tubylcami spotkał się już nieco wcześniej. Za cenę 150 marek odłożyli na bok swoje „zatrute strzały" i stali się raźnymi przewodnikami. Przy okazji zwierzyli się Kaufholdowi, że już od kilku pokoleń przychodzą do tej jaskini łowić ptaki, gnieżdżące się pod jej sklepieniem.

Kolejnym etapem podróży upartego kominiarza było miasteczko Cuenca. No i oczywiście dänikenowskie „setki złotych płyt, z których każda waży około cetnara" i jest pokryta znakami, które (cytat z Dänikena) „niemal niewątpliwie są symbolami kosmicznej podróży". Wprawdzie Kaufhold jest tylko kominiarzem, a nie specjalistą metalurgiem, jednak bez chwili wahania owe stukilogramowe złote płyty zidentyfikował jako tanie blachy mosiężne o grubości jednego milimetra. Długo i uparcie szukał w tym „stosie złomu" opisanych przez Dänikena „boskich komunikatów". Ostatecznie stwierdził ich brak, co w swoim rozgoryczeniu nazwał „dowodem, jak Däniken łże i oszukuje". Pożytkiem z owych poszukiwań było wzbogacenie prowadzonego przez Kaufholda dziennika podróży o zdjęcia, na których nasz bohater lekko unosi na wysokość głowy dwie płyty, trzymając każdą z nich dwoma palcami. Pochodzenie tajemniczych tablic wyjaśnił wędrowcom ksiądz Flores, następca ojca Crespiego. Owo dänikenowskie „przesłanie z pradawnych czasów" liczy sobie niewiele ponad 20 latek i zostało wykonane przez Indian z sąsiedztwa jako dar dla ojca Crespiego. Z wypowiedzi ojca Floresa „Pan Däniken wykorzystuje nasze imię szerząc swoje urojenia" wnioskować można, iż „Aussaat und Kosmos" Dänikena raczej nie jest ulubioną lekturą ojca Floresa, czytaną przez niego do poduszki zamiast brewiarza bądź Starego Testamentu. Swoje „gigantyczne rozczarowanie" i „gorzkie doświadczenia z prawdomównością Dänikena" 27-letni rzemieślnik z Westfalii opisał w raporcie z podróży, który niedawno ukazał się jako trzystodwustronicowa książka pt. „Auf den Spuren des Erich von Däniken" wydana przez Simon-Verlag w Düsseldorfie. Mimo dość wysokiej ceny (32 marki) dwudziestotysięczny nakład opowieści Kaufholda rozszedł się w ciągu kilku tygodni. Pewien swojej ilościowej przewagi (46 milionów sprzedanych książek to przecież 2300 razy większe szanse kształtowania czytelniczych opinii) nasz ziemski „ambasador bogów" ani złorzeczeń księdza Floresa, ani dzieła Kaufholda nie bierze sobie do serca. Twierdzi, że: „Przecież Kaufhold swoje badania przeprowadził wcale nie tak dokładnie, jak trzeba". Cóż, pozostaje tylko mieć nadzieję, iż łaskawy „mistrz paleoastronautyki" w swojej kolejnej książce poda szczegóły i wskazówki, których poskąpił Kaufholdowi. Dzięki temu może już następna wyprawa do Ekwadoru nie będzie niczego szukać po omacku, lecz kierując się dokładnymi informacjami udzielonymi przez mistrza bez problemów odnajdzie tajemniczą jaskinię i złowione w niej złote zwierzęta przywiezie... do miejskiego cyrku w Zurichu.

Według tygodnika „Der Spiegel"
opracował
Andrzej Krzepkowski

Arnold Mostowicz

O MITACH GRECKICH

W książce „My z kosmosu" niemało miejsca poświęciłem, wydobytej w 1900 roku z dna morskiego niedaleko greckiej wyspy Antikythery, maszynie skonstruowanej ok. 80 roku przed naszą erą. O maszynie tej po raz pierwszy wspomniał i pierwszy naukowo ją opisał znakomity amerykański historyk nauki, Derek de Solla Price. Już po pobieżnych oględzinach maszyny, jako tako oczyszczonej z rdzy i mułu, stwierdził on, że jest to jedno z najbardziej niepokojących znalezisk starożytności.
Później de Solla Price poświęcił znalezisku spod Antikythery obszerną pracę, w której wykazał, że wydobyta z dna morskiego maszyna jest komputerowym kalendarzem, funkcjonującym na zasadzie kół zębatych. De Solla Price wysuwa różne hipotezy odnośnie autorstwa maszyny i wiąże ją, prawdopodobnie słusznie, z Kretą. Przypomina też, że koło zębate – czy razej mechanizmy wykorzystujące koła zębate – były wykorzystywane przez Greków tego okresu.
Precyzja i doskonałość techniczna komputera spod Antikythery nie mieści się zupełnie w czasach starożytnych. Jak twierdzą niektórzy autorzy, precyzja kół zębatych użytych do konstrukcji świadczy, że były one wytwarzane systemem przemysłowym, maszynowym. Nauka nie powiedziała chyba w tej sprawie ostatniego słowa i o maszynie tak bardzo wyprzedzającej swoje czasy przypuszczalnie jeszcze usłyszymy.
Dodajmy, że wiedzą starożytnych, jeśli chodzi o technikę czy wykorzystanie różnych mechanizmów, nauka zajmuje się bardzo mało. Takiego, na przykład, Herona z Aleksandrii, urodzonego w połowie drugiego wieku przed naszą erą, przypomina się jako wielkiego matematyka i fizyka. A przecież był on jednocześnie wybitnym mechanikiem i wynalazcą. Napisał między innymi dzieło pt. „Pneumatyka", w którym opisał 78 przyrządów wprawianych w ruch pod wpływem ogrzanego powietrza. Do wynalazków Herona zalicza się także prototyp turbiny parowej, drogomierz, słynny teatr automatyczny, poruszany prawdopodobnie za pomocą kół zębatych (jak przypuszcza de Solla Price), oraz nie mniej słynne wodotryski ze śpiewającymi ptakami i figurki, które pod wpływem ogrzanego powietrza tańczyły na ołtarzach i wylewały wino na ofiarę.
Okazuje się jednak, że nie tylko Heron bawił się w konstruowanie automatów. Ciekawych rzeczy w tym zakresie można dowiedzieć się z „Iliady". Pamiętać jednak należy, że Herona od Homera dzieli okres około siedmiu wieków, dlatego też niektóre fragmenty „Iliady" prowokują pytania jeszcze bardziej niepokojące.
W XVIII księdze „Iliady" (opieram się na 10 wydaniu Biblioteki Narodowej, w tłumaczeniu Fr. Ks. Dmochowskiego i w opracowaniu prof. Tadeusza Sinki) znajduje się następujący fragment dotyczący kuźni Hefajstosa (wiersze 278–189):

„To rzekłszy, od kowadła powstał bóg wysoki
I z wolna nierównymi ruszając się kroki
Oddala miech z ognia, w kuźnicy ład czyni
I swoich prac narzędzia składa w srebrnej skrzyni
Gąbką ociera z dymu swe czoło wyniosłe
I ręce i kark silny i piersi obrosłe
Wdział szatę, a do ręki wziął berło złocone
Dwa zaś posągi w kształcie dwóch dziewic zrobione
Krok niepewny swym pewnym krokiem podpierały
I ruch, i głos, i rozum bogi im nadały
I przemysł, najcudniejsze dzieła robić zdolny
Idą, pilnie zważając na pana krok wolny".

Nie chcąc opierać się wyłącznie na tłumaczeniu Dmochowskiego poprosiłem znajomego, znawcę greki, by zechciał zacytowany fragment przetłumaczyć dosłownie. Okazuje się, że tłumaczenie Dmochowskiego oddaje doskonale sens oryginału. W tekście mowa jest o tym, że owe dwa posągi dziewcząt posiadły i rozum, i umysł, i głos, i wreszcie siłę – czyli umiejętność tworzenia najcudniejszych dzieł, jako że były tego nauczone przez bogów. Posągi były ze złota, o czym w tłumaczeniu się nie mówi, a co nie jest bez znaczenia, gdyż dowodzi to, że były one zrobione z metalu.
Prof. Tadeusz Sinko, spec nad spece w dziedzinie filologii klasycznej, tak oto komentuje tekst dotyczący dwóch posągów: *„Te mechaniczne służebnice, poruszające się i podpierające kulawego pana, są echem podziwu dla pewnych dzieł plastyki. O najstarszym mistrzu Dedalu opowiadali Grecy, że jego posągi tak przypominały naturę, iż mówiono, że widzą i chodzą".*
Zanim zajmiemy się tym komentarzem, zwróćmy uwagę na jeszcze jeden fragment „Iliady". Chodzi tu również o księgę XVIII, a odnośny fragment znajduje się kilkadziesiąt wierszy wcześniej i również dotyczy Hefajstosa. Niestety, w wydaniu Biblioteki Narodowej, opracowanym przez prof. Sinkę cztery dość istotne wiersze wypadły. Natomiast znajdują się one w tłumaczeniu „Iliady" dokonanym przez Ignacego Wieniewskiego (ukazało się ono w 1961 r. nakładem B. Świderskiego w Londynie). Chodzi tu o dwadzieścia trójnogów, które Hefajstos wykonał, by przyozdabiały pałac Zeusa. Hefajstos:

„Przybrał każdemu do nóg kółeczka, dziw-kółka złociste
By samowolnie wjeżdżać na bogów mogły zebranie
I do pałacu Hefajstosa z powrotem znowu się toczyć".

Inaczej mówiąc, Hefajstos skonstruował to, co można określić jako autentyczne automaty (to słowo użyte jest nawet w tekście greckim), które toczyły się (same!) na zebranie bogów, a po zebraniu (same!) wracały do pałacu Hefajstosa.
Można oczywiście założyć, że tak jeden, jak i drugi opis są poetycką przesadą, fikcją. Byłoby to jednak założenie całkowicie dowolne, oparte jedynie na naszej dotychczasowej wiedzy o starej technice. A jeśli wiedza ta jest niepełna? A ponadto na jakiej podstawie wolno nam opis Homera odrywać od realiów jego epoki, skoro cała „Iliada" jest bez reszty tymi realiami wypełniona?
Jest rzeczą jasną, że taka interpretacja Homera wywoła burzę krytyki. Automatyczne roboty w czasach greckich? Heron! A maszyna spod Antikythery! A wreszcie Dedal!
Całą pracę poświęcił sylwetce Dedala wybitny angielski genetyk i filozof, J.B.S. Haldane. Niezbyt skłonny do przesady, uczony angielski przypisuje Dedalowi wynalezienie takich urządzeń, jak poziomica, maszyna do wiercenia tuneli, turbina parowa, a ponadto zastosowanie sztucznego zapłodnienia! I wreszcie, przypomina Haldane, Dedal był twórcą automatycznego robota. Robota tego nazwał imieniem zabitego przez siebie bratanka, Talosa. Talos-robot, potężny olbrzym, potrafił trzykrotnie w ciągu dnia obiec wyspę Kretę i troszczył się o to, by do jej brzegów nie dotarł żaden niechętnie widziany statek. Kiedy Talos widział zbliżający się do wyspy obcy statek, bombardował go kamieniami. Był to ponoć robot bardzo przemyślnie skonstruowany. Unieszkodliwiła go dopiero Medea raniąc w kostkę, co spowodowało, że wylała się z niego cała siła.
Zwracam uwagę, że podane przeze mnie przykłady obejmują bardzo długi okres. Dedal to w zasadzie postać mityczna. Homer to już czasy historyczne, IX–VIII wiek, a automatyczny teatr Herona i maszyna spos Antikythery to mniej więcej II–I wiek przed naszą erą.
A gdyby tak założyć, że cytowane przykłady są świadectwem jakiejś ciągłości? Może przez cały okres starożytności dokonywało się przekazywanie wiedzy technicznej, której narodziny tkwią w zamierzchłej przeszłości? Podstawowe elementy tej wiedzy przechowywane byłyby przez krąg ludzi specjalnie do tego przygotowywanych i kształconych. Mielibyśmy wówczas do czynienia z czymś w rodzaju sekty czy cechu. Przy czym znamy nawet totem (zwierzę opiekuńcze) tego klanu. Byłaby to przepiórka, święty ptak Afrodyty, frywolnej żony Hefajstosa. W micie o Dedalu jest mowa o tym, że był on prawdopodobnie synem Aresa, z którym Afrodyta zdradzała swego męża – Hefajstosa. Siostra Dedala nosiła imię Perdriks (przepiórka). Dusza Talosa, kowala zabitego przez Dedala, uleciała do nieba „jak przepiórka" – głosi mit; przepiórka pojawia się także podczas pogrzebu Ikara.
Na tropie podobnej hipotezy są dwaj autorzy francuscy Jacques Bergier i Louis Pauwels („Człowiek wieczny"; Gallimard, 1970). Zapytują oni, czy opierając się na fakcie, że nie istniał jeden władca o imieniu Mino, ale cała dynastia o tym imieniu, nie należy założyć, iż rzecz ma się podobnie z Dedalem? To znaczy, czy nie było dynastii Dedalów?
Bardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza o tajnej konfraterni, której ostatnimi przedstawicielami byli Heron z Aleksandrii i nieznani konstruktorzy maszyny spod Antikythery. A kto był pierwszy? Możemy o nim tylko snuć przypuszczenia. Może rzeczywiście był nim Dedal? A może przed Dedalem ktoś inny? W każdym razie, niezależnie od imienia, które nosił, był on nosicielem przekazu jakiejś nieznanej cywilizacji. Rozwiniętej cywilizacji. Tej, która panowała niegdyś nad dużymi obszarami naszego globu, albo tej, która nie narodziła się na naszej planecie i była rodem z kosmosu.

■



KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Poczekajmy aż się zsiądzie

Już dwa lata temu w odległości 450 lat świetlnych od Ziemi odkryto Tauri Infrared Comanion – tajemniczą chmurę gazową 20 razy większą od Jowisza. Skład jądra TIRC nie został jeszcze ustalony, wiadomo tylko, że temperatura na jego powierzchni sięga 500 stopni Celsjusza. Douglas Lin, astronom z uniwersytetu w Santa Cruz w Kalifornii twierdzi, że TIRC jest „protoplanetą". Spostrzeżenia i wnioski wyciągnięte z obserwacji planety w trakcie jej powstawania dostarczyłyby uczonym wielu cennych informacji z zakresu kosmogonii. Prowadzenie badań wcale nie jest rzeczą łatwą. TIRC można dostrzec przez najsilniejsze teleskopy, lecz konkretniejszych informacji dostarczają jedynie obserwacje przez radioteleskop. A ponadto – koledzy Douglasa Lina mają jeszcze wątpliwości, czy TIRC rzeczywiście można uznać za nową planetę.

Jeszcze nie to, co w książkach, ale

...ruchome chodniki stają się faktem. Eskalator o długości 175 m połączy w 1984 roku stację metra ze stacją kolejową na placu Inwalidów w Paryżu. Ruchome chodniki nie są dla Francuzów nowością; również Anglicy na lotnisku Heathrow mają eskalator poruszający się z prędkością 3 km/h. Nowy system o nazwie Trax będzie wędrować z prędkością od 3 do 12 kilometrów na godzinę, co według projektantów z paryskiego metra nie powinno stwarzać zagrożenia dla użytkowników. Wyposażony jest w ruchomą poręcz sunącą w tym samym tempie, co chodnik. Powierzchnia użytkowa składa się z systemu płyt zazębiających się lekko w momencie hamowania i rozsuwających się w trakcie przyspieszeń. Na razie system ten jest już od 2000 godzin poddawany próbom. Wprawdzie Trax kosztuje niemal dwa razy więcej niż dotychczasowe konstrukcje, jednak projektanci uważają, że w niedalekiej przyszłości zmieni życie i układ miasta. Szybkie chodniki ruchome połączą centra handlowe, mieszkania, urzędy i parkingi. Na razie zadaniem eskalatorów jest ułatwienie drogi zmęczonym pasażerom metra i kolei, lecz są już plany wybudowania ruchomych chodników o długości pół kilometra. Nie znamy jeszcze kosztów podróży eskalatorem. Znamy natomiast oszczędność Francuzów oraz ich zaradność. Zanim więc całe miasto zostanie oplecione siecią eskalatorów, figlarni paryżanie opanują zasady lewitacji lub teleportacji z domu wprost do miejsca pracy.

Powtarzać bez komentarzy

Ziemia to nie tylko bryła geometryczna zbudowana na planie dwunastościanu, nie tylko maleńki pyłek w kosmosie. To również miejsce, gdzie około 600 milionów ludzi żyje na pograniczu głodu, gdzie 1,5 miliarda ludzi pozbawionych jest lekarskiej opieki, gdzie 1 miliard Ziemian nie ma dachu nad głową. Nakarmienie około 1000 obywateli świata, zbudowanie 400 aptek, nauczanie 40 000 dzieci – to cena jednego samolotu bojowego. 80% dzisiejszych wynalazków służy zagładzie ludzkości i zniszczeniu dóbr wypracowanych przez ludzi. Przewodniczący Narodowej Rady Kultury prof. Bogdan Suchodolski stwierdził, że nasza cywilizacja musi dokonać wyboru między dalszym postępem zbrojeń a swoim rozwojem. Bowiem wojna to nie tylko fizyczne unicestwienie narodów i ich dorobku, lecz „konieczność" utrzymywania olbrzymiej kadry naukowej i technicznej służącej idei zniszczenia, a nie poprawie ludzkiego bytu. Do tych słów niczego już dodawać nie trzeba.

Kolejne informacje o naszym systemie

...powinny przynieść badania prowadzone przez NASA. Ogłoszony przez tę organizację plan pracy przewiduje: sporządzenie radarowej mapy Wenus (realizacja w 1988 roku), umieszczenie na orbicie Marsa automatycznej sondy do badań pola magnetycznego i teledetekcji powierzchni planety (początek eksperymentu ok. 1990 roku, czas trwania 2 lata), wysłanie automatycznej sondy Mariner MK 11 na spotkanie jednej z komet w perihelium oraz wystrzelenie automatycznej sondy skierowanej ku satelicie Saturna – Tytanowi, w celu wykonania mapy Tytana i opuszczenia specjalnego próbnika na spadochronie (eksperyment trwać będzie od 1988 do 1992 roku).

Miłe pożegnanie...

...odbędzie się w 1985 roku, jak przewiduje program oszczędnościowy w starachowickiej FSC. Benzynowe „Stary 29" i „Stary 660" (produkowane w ilości 5000 szt. rocznie) zostaną zastąpione przez „Stary 200" i „Stary 38" zasilane olejem napędowym. Zastosowanie silników wysokoprężnych, przy założeniu rocznego przebiegu każdej ciężarówki rzędu 40000 km, da w ciągu dwóch lat około 808,5 mln zł oszczędności. Większa moc i niezawodność diesli podwyższą zdolności przewozowe taboru, zmniejszą zapotrzebowanie na części zamienne, oszczędzą kierowcom godzin spędzonych pod wozem i zmniejszą liczbę oraz czas napraw serwisowych. Zarówno program modernizacji taboru, jak i wyliczenie oszczędności dowodzą, że specjaliści ze Starachowic wcale nie są uparci i zgodzili się wreszcie z dokonanymi przed laty spostrzeżeniami swoich kolegów z „Volvo", „Mercedesa" i „Leylanda". Nam, przeciętnym pożeraczom benzyny, zostaje jeszcze czekanie na „ropniaka" 126p.

Kogo trafia szlag?

Podczas IX Światowego Kongresu Kardiologów (Moskwa 1982) przedstawiciel miesięcznika „Nauka w ZSRR" zadał uczestnikom kongresu pytania o aktualny stan światowej kardiologii oraz tendencje w ilościach zachorowań. Z wypowiedzi prof. S. Pischa (przewodniczącego Sekcji Chorób Serca i Naczyń Krwionośnych przy Światowej Organizacji Zdrowia), prof. D. Harrisona (przew. Amerykańskiego Towarzystwa Badań nad Sercem) i prof. A. Doyle'a z Australii wynika, że w krajach o wysokim standardzie życiowym liczba zawałowców spada, natomiast przeciwną tendencję można dostrzec w krajach rozwijających się, w których ludność miejska coraz częściej zapada na cywilizacyjne choroby naczyniowe. Na pewno nie bez znaczenia jest tu postęp wiedzy medycznej w krajach zaawansowanych, sprawniejsza farmacja, lepiej zorganizowana sieć placówek służby zdrowia i skuteczniej prowadzona profilaktyka. Obecnie przeciętny Amerykanin spożywa mniej jaj i tłuszczów, mniej pali, regularnie kontroluje ciśnienie, dba o linię i zażywa więcej ruchu. Wprawdzie nerwowy i szybki tryb życia powoduje stały wzrost ilości stresów, których nie da się uniknąć, lecz ludzie stosunkowo szybko nauczyli się o wiele lepiej przystosowywać się nawet do sytuacji najbardziej stresujących. Można zaryzykować twierdzenie, iż choroby serca są nieuniknionym, lecz pokonywalnym etapem na drodze cywilizacyjnego rozwoju. „Czarny szczyt" trzeba po prostu przeczekać.

Słońce zamiast konia...

...zaprzągł do swojego wózka Australijczyk Larry Perkins. Kosztem 35 000 marek skonstruował pojazd osadzony na czterech kołach rowerowych, ważący zaledwie 150 kg i pokryty światłoczułym dachem o powierzchni absorbującej promieniowanie 8,5 m². Dach składa się z 20 zespołów po 36 cel słonecznych w każdym i przy napięciu 24 V daje 600 watów mocy. Samochód wyposażony jest ponadto w dwa akumulatory samochodowe 12V/0,75 kW. Wykorzystany przez Perkinsa silnik prądu stałego pozwala na rozwinięcie prędkości podróżnej 25 km/h i prędkości maksymalnej 40 km/h. Tym śmiesznym wehikułem o wysokości 1 m i szerokości 2,1 m Larry w ciągu 20 dni przebył cały kontynent od Perth nad Oceanem Indyjskim aż do Sydney nad Pacyfikiem. („Hobby")

Ślepej kurze ziarno

Tym razem ziarenko do małych nie należy. Jest nim gigantyczny obłok wodoru neutralnego, krążący w przestrzeni międzygalaktycznej. Ma rozmiary i masę dużej galaktyki, długość około 300 tys. lat świetlnych. Przypuszcza się, iż może to być właśnie zaczątek nowej galaktyki. Ów „drobiazg" znaleziono przypadkowo podczas regulowania olbrzymiego amerykańskiego radioteleskopu w Aracibo na Puerto Rico.

■

LE RAYON FANTASTIQUE

Po długim pobycie w Marsylii wiosną 1950 roku powrócił do Paryża Georges H.Gallet – człowiek, który jeszcze przed II wojną światową należał do najzagorzalszych miłośników literatury SF we Francji. W czasie wojny stracił olbrzymi zbiór książek fantastyczno-naukowych, odtworzył go jednak bardzo szybko między innymi dzięki temu, że wśród jego znajomych znalazło się aż dwoje gigantów SF – Forrest J.Ackerman i Mary G.Gnaedinger, oboje dysponujący wielką ilością praw autorskich. Gallet zaprezentował swoją odrestaurowaną bibliotekę innemu francuskiemu fanowi i koneserowi SF, Claude'owi Elsenowi. Przez całą noc obaj panowie rozmawiali o fantastyce naukowej, zaś bezpośrednim efektem owej pogawędki był artykuł Claude'a Elsena pt. «Czy powieść fantastyczna zastąpi powieść „czarną"?» (Elsen terminem „czarna" określa powieść kryminalną poświęconą perypetiom gangsterów, a nie strażników prawa). Artykuł ten ukazał się 8 kwietnia 1950 roku w dzienniku „Le Figaro" i był pierwszym we Francji publicznym głosem na temat science fiction. Czytamy w nim: *„Powieść fantastyczna, mimo że ma we Francji wielu przekonanych czytelników, nigdy nie zdobyła takiego uznania i tempa rozwoju, jak dzieje się to w USA, Anglii czy w Niemczech, gdzie science fiction i fantasy od ćwierćwiecza już zaznają popularności, o której nie mamy najmniejszego pojęcia. Coś mi jednak mówi, że ten gatunek może zyskać we Francji uznanie u przynajmniej części czytelników, znudzonych monotonią pseudopowieści czarnych kryminałów. /.../ Może to również oznaczać odkrycie bardzo ciekawego świata literackiego".*

Cytowany artykuł sprowokował istną lawinę listów od wydawców, którzy wyczuli realną możliwość stworzenia nowego rynku czytelniczego we Francji. W następstwie Elsen i Gallet odbyli wiele wręcz szokujących rozmów z wydawcami pełnymi dobrych chęci, lecz nie mającymi żadnego własnego sądu o fantastyce naukowej oraz rozeznania w niuansach tej literatury. Dopiero w wydawnictwie Hachette dwaj przyjaciele spotkali Henri'ego Bernarda, który nie tylko wiedział, o co w fantastyce chodzi, lecz także podpisał z Elsenem i Galletem kontrakt na prowadzenie serii. 30 listopada 1950 roku Georges Gallet i Claude Elsen (występujący pod pseudonimem Gérard Delsenne) oficjalnie przejęli literaturę SF w Hachette. W owych „zamierzchłych" czasach oficyny Hachette i Gallimard bardzo się kochały. Aby więc uniknąć konkurencji, postanowiły wspólnie wydawać serię, którą nazwano „Le Rayon Fantastique". Ze strony wydawnictwa Gallimard serią kierował Stephen Spriel (ps. Michel Pilotin) – Martynikańczyk o olbrzymiej kulturze literackiej, ale – według Galleta – pokładający zbyt wielkie nadzieje w intelektualnych możliwościach tego gatunku.

Jako pierwsza pozycja w serii ukazała się książka Willa Jenkinsa „Zamordowanie Stanów Zjednoczonych". Wydawnictwo Hachette działało błyskawicznie – od decyzji podjętej w listopadzie 1950 do ukazania się pierwszej książki (marzec 1951) upłynęły niespełna cztery miesiące. Wspomnijmy – z łezką w oku – nasz rodzimy cykl wydawniczy trwający przeciętnie dwa lata i dowiedzmy się że... począwszy od pozycji nr 81 („Uśpiona Ziemia" Arcadiusa) seria ta była drukowana w Polsce za pośrednictwem Ars Polona. Jedynie pozycje, które zdobyły nagrodę „Jules Verne" drukowano we Francji ze względu na konieczność maksymalnego przyspieszenia cyklu wydawniczego.

Wróćmy jednak na moment do pozycji nr 7 („Trójkąt o czterech bokach" Williama F. Temple'a – pierwszej pozycji w serii wydanej przez Gallimarda, i do pozycji nr 13, od której Gallet pozostaje sam jako prowadzący serię ze strony Hachette. Przyczyn odejścia Claude'a Elsena niestety nie znamy.

Do pozycji nr 106 („Babel 3805" P. Barbeta) wydawało się, że wszystko idzie jak najlepiej. Okazało się jednak, że w miarę upływu lat narastały sprzeczości między Georgesem Galletem a Pilotinem, który na dobitkę zrezygnował ze współpracy z Gallimardem. Tak więc interesujący duet wydawniczy rozpadł się po wydaniu sto szóstej pozycji. Do tego momentu Hachette wydał 60 pozycji (w tym jedna podwójna), a Gallimard 46 (dwie podwójne). Hachette wydał samodzielnie jeszcze szesnaście tytułów i serię zatrzymano na numerze 124 („Sen o ogniu" Francoise d'Eaubonne). Znany krytyk francuski Jacques Sadoul w swojej „Historii współczesnej SF" tak pisze o przyczynach upadku: *„...Seria „Le Rayon Fantastique" umarła w 1964 roku. Należy zauważyć, że jej upadek nie jest wynikiem braku sukcesów czytelniczych, ale poważnych błędów rachunkowości. /.../ Mimo kłótni między Gallimardem a Hachette główną przyczyną przerwania pracy był fakt, że jeszcze pod koniec roku 1963 nikt nie wiedział, czy seria jest rentowna, czy nie. Dopiero siedem lat później okazało się, że była ona jednak dochodowa".*

Sam Gallet wspomina, że wydano w sumie 1,5 mln egzemplarzy z których po remanencie końcowym odnaleziono zaledwie 40 000 sztuk. Średnio: jeden przeciętny tytuł rozchodził się w dwunastotysięcznym nakładzie i dawał około 2,5% zysku. Jak na warunki nasycenia zachodniego rynku książkami, jest to rezultat zupełnie przyzwoity. Zresztą i czytelnicy do dziś uważają „Le Rayon Fantastique" za serię udaną, zaś ceny poszczególnych egzemplarzy w antykwariatach bywają nawet dziesięciokrotnie większe niż ceny nominalne.

Należy wreszcie wspomnieć tu o autorach. Większość z nich to dziś uznani pisarze SF: Gerard Klein (znany w Polsce tylko z „Bogów wojny" wydanych przez „Czytelnika"), Pierre Barbet (vide „Fantastyka" nr 2/82) Francis Carsac, Philippe Curval, Nathalie Hennenberg i wielu innych. Z pisarzy obcych wydano nidzy innymi A.E.van Vogta, I.Asimova, R.Heinleina, A.Clarke'a, Karela Čapka, L.Onoszko, A.Kolpakowa, A.Polieszczuka, S.Lema oraz A. i B.Strugackich.

Seria „Le Rayon Fantastique" istniała dwanaście lat. Liczba wydanych pozycji nie pozwala zaliczać jej do grona gigantów. A jednak była serią znaczącą nie tylko na mocy upodobań czytelników. Można zaryzykować twierdzenie, iż stała się ona zaczątkiem innych serii SF, prowadzonych do dzisiaj przez Fleuve Noir, J'ai Lu, Opta i inne wydawnictwa. Pisarze, którzy w „Le Rayon Fantastique" stawiali swoje pierwsze kroki, dziś należą do czołówki francuskich pisarzy SF i zasilają swoimi nazwiskami wszystkie serie lub – jak Gerard Klein – sami stali się dyrektorami własnych serii literatury science fiction. Wydawnictwa kontynuujące pracę Hachette'a i Gallimarda omówimy osobno.

Tadeusz Markowski

■





LĄDOWANIE ÓSME

Ponownie, bez komentarza, a do dyskusji między Czytelnikami – porcja najważniejszych, moim zdaniem, fragmentów listów. Wnioski z tej korespondencji redakcja oczywiście wyciągnie. Jeden z nich już wprowadzamy w życie: w rubryce „komu, komu", na zakończenie dzisiejszego „lądowania" – pierwsza porcja propozycji wymian między Czytelnikami: książek i czasopism na książki i czasopisma.

Wyjść z grajdołka

Jak długo jeszcze zamierzacie tkwić w wąskim grajdołku science fiction. W dziale krytyki poruszacie problemy i ożywiacie twórców z forum prawdziwej, to znaczy interesującej wszystkich literatury, a w reszcie numeru ciągle ten sam skromny zestaw twarzy zagranicznych i krajowych z mniej lub bardziej rewolwerowych wydań SF... Zaproście krytyków literatury współczesnej, nie tylko tych fantastycznych, aby o fantastyce podyskutowali. Żywych, nie tylko zmarłych – jak np. Irzykowski... Zaproście pisarzy spoza kręgu Krzepkowskiego czy nawet Zelaznych. Fantastami byli nie tylko Witkacy, Cwojdziński, czy Szulc – są nimi liczni współcześni twórcy polscy... Śmielej przekraczajcie granice scjentyfikacyjnego getta.

Jerzy Mojdzich z Warszawy

Jakie to dziwne i jakie oskarżenie pod adresem SF, która uznaje jedynie prozę, a nie uznaje w ogóle poezji. Jaka literatura może się bez poezji obejść?

Janina Hedrańczyk z Opola

Hokus – pokus

Jakże wy robicie te listy niby-bestsellerów, kiedy się wszystko i tak na pniu sprzedaje, choćby było do chrzanu? Hokus-pokus i już jest książka znakomita, loteryjka obrazkowa. Wolnoż to tak? Kto wam przekazuje te oceny, czy nie jakaś postarzała Muza? Albo jacyś, także przypadkowi, czytelnicy, którym się listy chciało nagryzmolić? Czyż nie lepiej byłoby wyroki wydawać na książki w imieniu przede wszystkim i jedynie zespołu redakcyjnego lub w imieniu naczelnego „Fantastyki", a nie anonimowej „redakcji". Nie bądźcie dłużej czarodziejami.

Zygmunt Nierzak z Poznania

Wydaje mi się, że opowiadania – wciąż bardzo ciekawe – w kolejnych numerach są już niecó słabsze. Poprawia się natomiast i to znacznie strona graficzna pisma. W „lądowaniu" kilkakrotnie poruszano sprawę komiksu. Nie przepadam za nim, ale należy go zachować, stanowi integralną część pisma, a poziom podniósł się znacznie... Na drugiej stronie – o ile zgodzi się na to p. Hollanek – można by prezentować zdjęcia członków zespołu redakcyjnego. Mam zastrzeżenia do listy bestsellerów. Jest zbyt statyczna i strasznie opóźniona...

Dariusz Wąsowski ze Skarżyska-Kamiennej

Kompletna bzdura

Co mi się w „Fantastyce" nie podoba? Komiks. Przecież to kompletna bzdura... Drukowanie tzw. minipowieści w sposób umożliwiający ich oprawę w formie książkowej. Pomijając już fakt, że jednocentymetrowa odległość jednej strony od drugiej uniemożliwia właściwe zszycie książki (fachowa opinia introligatora), chciałbym kolekcjonować „Fantastykę" w całości, a nie porozpruwaną i pozbawioną na dodatek okładek. Czytanie powieści bez wypięcia jej z numeru to czysta ekwilibrystyka. Ponieważ zdanie moje może się różnić od sądu ogółu, proponowałbym Szanownemu Panu Redaktorowi opracowanie odpowiedniej ankiety i wydrukowanie jej na łamach „Fantastyki"...

Ryszard Kowalik z Wrocławia

Dawajcie nagrody

Proponuję... ustanowienie nagrody „Fantastyki" dla najlepszych utworów polskich i z państw socjalistycznych w dziedzinie powieści, minipowieści, noweli, opowiadania, najlepszej serii edytorskiej i rysunku SF. Świadomie pomijam autorów zachodnich, bo istnieją tam takie nagrody, jak Hugo Award czy Nebula Award. Utwory, których autorzy dostaliby nagrodę byłyby drukowane w specjalnym wydaniu „Fantastyki". I jeszcze jedno – szata wydawanych w Polsce utworów SF jest szkaradna. Dobrzy graficy jednak są. Świadczą o tym piękne okładki do powieści z „Fantastyki": „Houston, Houston...", „Pieśń dla Lyanny", „Zapomnij o Ziemi" i dobre do „Przełęczy" i „Żuka w mrowisku". Czemu takie nie mogą być okładki Iskier, KAW-u, Czytelnika?

Artur Kozłowski z Gdyni

...Czy nie można by otworzyć konkursu na poezję SF. Trzeba trochę poeksperymentować. Próba nie strzelba, a nuż wyjdzie z tego coś ciekawszego...

Jab Bocek z Błazowy



Nie doszedł cennik

W stopce redakcyjnej piszecie, że „Fantastykę" prenumerować można w urzędach pocztowych. Ja mieszkam na wsi i mogłabym ją zaprenumerować, gdyby nie drobiazg... do urzędu pocztowego w Zebrzydowicach (gdzie mieszkam) nie doszedł do tej pory cennik od Was i po prostu nie chcą przyjąć prenumeraty.

Barbara Rzoska z Zebrzydowic

...Spotkałem się w gronie znajomych z opiniami, że powieść w „Fantastyce" należy drukować normalnie, szpaltowo. Dlaczego? Zapobiegłoby to wykupywaniu dodatkowych numerów przez osoby, które nie chcąc niszczyć czasopisma, kupują drugi egzemplarz, by wyciąć powieść. Sam znam kilka takich osób i myślę, że propozycja moja zezwoliłaby na zwiększenie prawdopodobieństwa spotkania pisma w kioskach. Jest też inna możliwość. Druk „Fantastyki" w formacie książkowym. Ostatnia sprawa... to propozycja druku listy wydanych do tej pory książek SF we wszystkich naszych wydawnictwach. Pomogłoby to w poszukiwaniu i zbieraniu książek.

Waldemar Banasik z Sosnowca

Komu, komu, bo idę do domu

Proponuję, abyście utworzyli rubrykę, w której mieściłyby się adresy wielbicieli SF, pragnących korespondować ze swymi kolegami o podobnych zainteresowaniach. Wielu fanów mieszka daleko od klubów... ***Robert Sosinowski*** *PROSTKI, Szkolna 3/3, woj. suwalskie)*

Za książki „Limes inferior" – Zajdla, „Kreks" – Krzepkowskiego lub „Dzień czerwonego giganta" – Kurty, pragnę otrzymać numer 1 i 5(8) „Fantastyki". ***Tadeusz Gizemski*** *(ul. Polna 9, 62-330) NEKLA, woj. poznańskie)*

Posiadam do wymiany „Fantastykę" nr 2(5), Petecki – „Strefy zerowe", Markowski – „Tak bardzo chciał być człowiekiem", Krzepkowski – „Kreks", Pozner – „Księżycowa nostalgia", Lem – „Dzienniki gwiazdowe", Clarke – „Kowboje oceanu", Kroeger – „Ekspedycja mikro". Poszukuję: „Fantastyka" nr 1, Antologia – „Uskok w czasie", Jabłoński – „Kryptonim Psima", Oramus – „Senni zwycięzcy", Sawaszkiewicz – „Kronika Akaszy", Żwikiewicz – „Druga jesień", Abramowowie – „Jeźdźcy znikąd", Parowski – „Twarzą ku ziemi". ***Jolanta Niewiarowska*** *(Os. Sikorskiego 12/33, 32-200 MIECHÓW)*

Posiadam wszystkie dotychczasowe numery „Fantastyki", które wymienię na: Dick – „Słoneczna loteria", Dick – „Człowiek z wysokiego zamku", Lem – „Solaris" i „Niezwyciężony", Zajdel – „Ogon diabła" i „Limes inferior". ***Bogdan Głowacki*** *(ul. Kaliny 24/32, 71-118 SZCZECIN)*

Zwracam się z prośbą o pomoc w zdobyciu nr 1 z 1982 „Fantastyki". ***Piotr Mańka*** *(u. Tatrzańska 4/51, 41-605 ŚWIĘTOCHŁOWICE)*

W ostatnim numerze przeczytałem, że niektórym czytelnikom brakuje pierwszych dwóch numerów „Fantastyki". Mogę je odstąpić za książki SF. Szczególnie za „Proximę" – Borunia, „Misję międzyplanetarną" – V. Vogta, „Jezioro słoneczne" – Součeka. ***Andrzej Łabędź*** *(33-106 TARNÓW, ul. Kalinowskiego 110)*

Poszukuję „Wizji lokalnej" – Lema, „Słonecznej loterii" – Dicka, „Twarzą ku ziemi" – Parowskiego, „Wyspy" – Ballarda. W zamian proponuję „Fantastykę" nr 3 i 6, Peteckiego – „Strefy zerowe", Lema – „Bajki robotów", Simona i Heinricha – „Pierwsze podróże w czasie", Zajdla – „Ogon diabła". ***Artur Kozłowski*** *(81-381 GDYNIA, ul. Bema 29b/3)*

Ależ ta wymiana zajmuje miejsca. Istnieje obawa, że zastąpi i wyruguje listy pisane w innych, nie mniej ważnych, sprawach. I co państwo na to?

Redaktor


NAGŁY WYBUCH ROZDARŁ ŚCIANĘ!...
HEJ! CO TAM SIĘ DZIEJE?! FUNKY?!


PSIA-KREW! ZASKOCZYLI NAS!
ARRH!


DWÓCH TRAFIŁ...


GRETZ I TEN DRUGI WYŁĄCZENI!
KOVAL SIĘ RUSZA! SKUĆ GO!

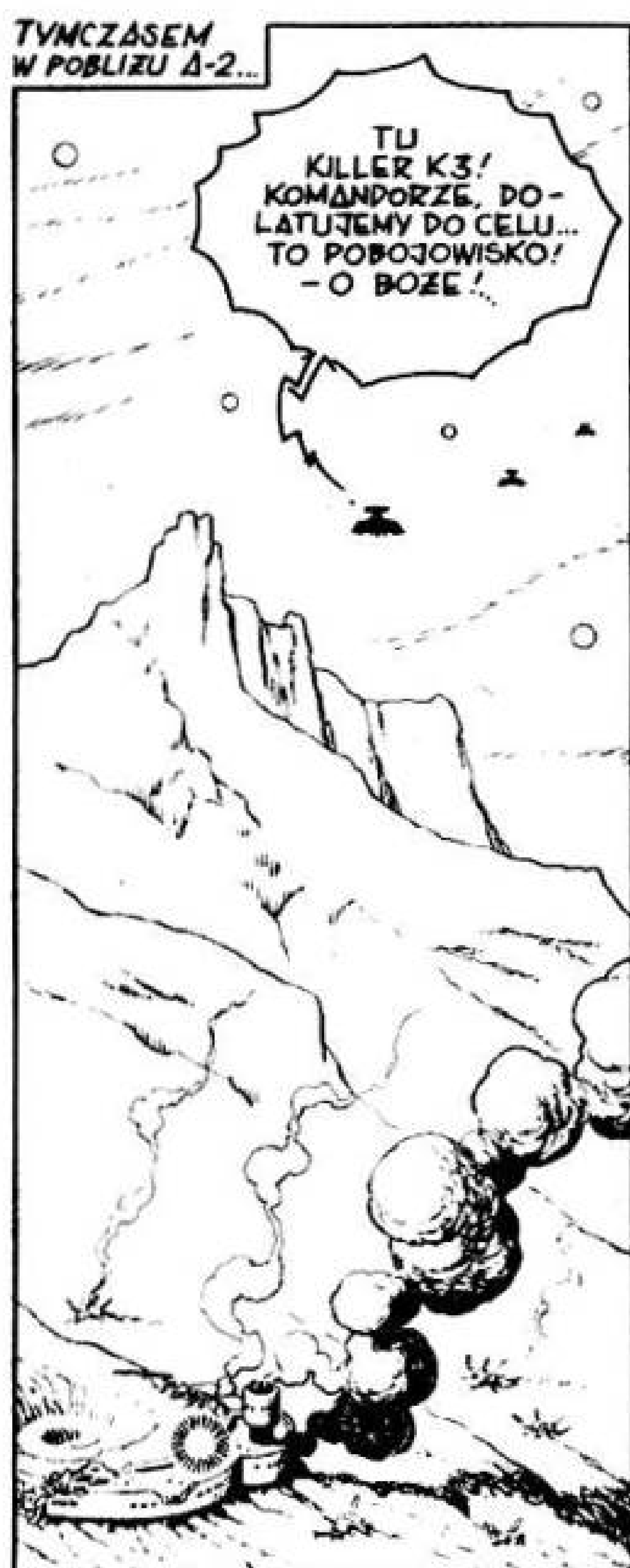

TU RHOTAX! PANIE BARLEY, MISS LEAR! MAMY KOVALA! CZEKAMY 5. SEKUND!


!
RHOTAX „SUPER MORDERCA"?!
NA GRETZA I JEGO FUSZERÓW BYLIŚCIE W SAM RAZ. NAM NIE PODSKOCZYCIE. PARU LUDZI JESZCZE MYŚLI NA TEJ PLANECIE.
PANIE STARSZY, SŁYSZAŁ PAN? WŁĄCZAM PANU WIZJĘ...


W KABINIE KOMANDORA DUPREE...
SŁUCHAJ DUPREE, MAMY TWOICH PUPILKÓW. GWARANCJA BEZPIECZNEGO ODLOTU ZA TĘ TRÓJKĘ. KOVAL ŻYJE, JEST TYLKO ZAMROCZONY.
RHOTAX! A WIĘC TU SIĘ UKRYWAŁ?.. NIE MAM INNEGO WYJŚCIA... SZCZĘŚCIE, ŻE MYŚLĄ TYLKO O SOBIE...
ZGODA. SPOTKAMY SIĘ NA KOSMODROMIE. DAM ZA NICH JEDNĄ KORWETĘ TRANSPRZESTRZENNĄ...


TAK TO SOBIE WYOBRAŻAMY. JEDNA KORWETA DLA NAS I TROCHĘ CZASU NA ODSKOK. TRZYMAM PANA ZA SŁOWO, KOMANDORZE. SKOŃCZYŁEM.


TU JESTEŚMY! WYPUŚĆ NAS, RHOTAX!!!
ZAWIEDLIŚCIE. KONSEKWENCJE ZNACIE.
NIEDOBRZE... DIABLI WEZMĄ GŁÓWNYCH ŚWIADKÓW... I OSKARŻONYCH...


TYMCZASEM W POBLIŻU Δ-2...
TU KILLER K3! KOMANDORZE, DOLATUJEMY DO CELU... TO POBOJOWISKO! –O BOŻE!...


! TU K4! KOMANDORZE, K3 RUNĄŁ BEZ ŻADNYCH OZNAK TRAFIENIA! BYŁ TYLKO BŁYSK Z RUIN Δ-2!...
..... ZMIANA TAKTYKI! SIADAMY ZA GRZBIETEM GÓRSKIM PRZED Δ-2!
K5
A.S.F.


W PODZIEMIACH Δ-2. ZASTĘPCZY PUNKT DOWODZENIA...
TO FLOTA A.S.F.! NIECH NO TYLKO WYCHYLĄ USZY ZNAD TYCH WZGÓRZ!
ŚWIETNIE TOTH! JEDNEGO KILLERA JUŻ IM ZDJĘLIŚMY!

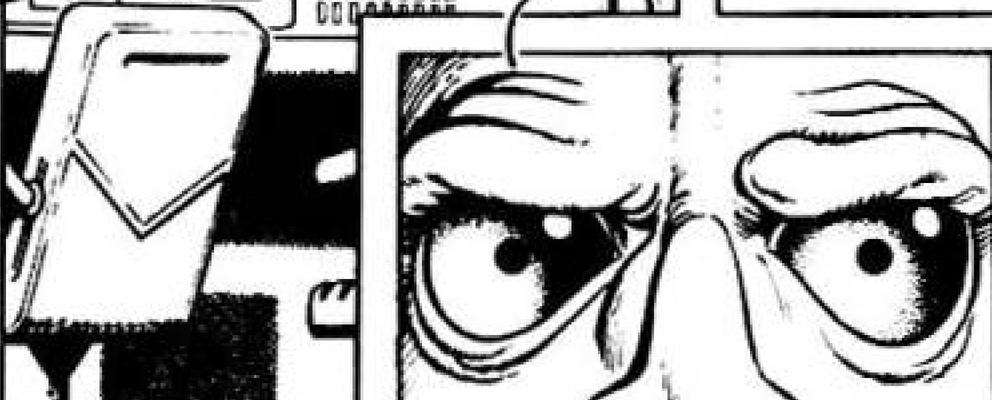

?
...ALE POZOSTAŁYCH NIE RUSZYCIE. NIKOGO JUŻ NIE ZABIJECIE...
A TEN KARALUCH CO?!...


...ZA DUŻO WIECIE... ZA DUŻO UMIECIE...


...AACHH!... ...STRZE...LAJ CONTI... JA... NIE... MOGĘ...
NIE!... TO... NIEMOŻLIWE... –NIEE!...
...JUŻ JEDEN ŚWIAT, MÓJ ŚWIAT, ZGINĄŁ...


? ...CO... SIĘ...DZIE...
! ...WIĘC...TO... ...BYŁA...CYWILIZACJA... DROLLI ?...
...PRZEZ TAKICH SZALEŃCÓW JAK WY...


ŚLAD NIE POZOSTANIE PO TEJ BRONI I PO WAS!

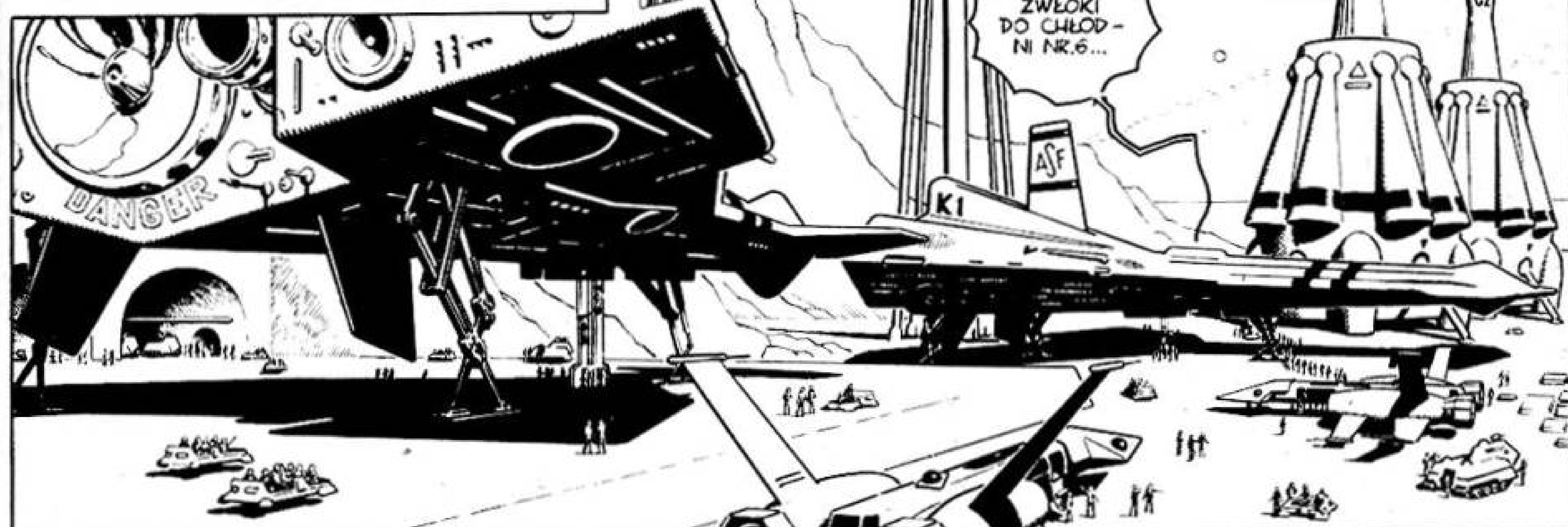





8. MINUT PÓŹNIEJ...
TU K4! KOMANDORZE, JUŻ PO ZABAWIE! A-2 NIE ISTNIEJE! CHYBA ZAŁATWILI SIĘ SAMI TĄ PARSZYWĄ BRONIĄ!
UWAGA! PROMIENIOWANIE SKOCZYŁO NA 1500 Rh! SIEJE NA WSZYSTKICH ZAKRESACH! PEŁNE SPEKTRUM! JUŻ MAMY 1800! STARTUJEMY!


ZACZEKAJCIE NA MNIE !!!


TYMCZASEM 2600 KM OD KOSMODROMU...
DUPREE DO McBAINA. W ZWIĄZKU Z SYTUACJĄ GRUPY BARLEVA NIE LECCIE NA A-1 TYLKO NA KOSMODROM. JUŻ JEST NASZ.
SZLAG BY TO TRAFIŁ! GDYBY NIE RATOWALI NAM ŻYCIA, BYLIBY JUŻ W DRODZE DO DOMU...
O.K. PRZYJĄŁEM.


KOSMODROM. EKIPA KOMANDORA DUPREE PRZYGOTOWUJE SIĘ DO EWAKUACJI Z DB-4... W OCZEKIWANIU NA GRUPĘ RHOTAXA TRWA LOKOWANIE UWOLNIONYCH JEŃCÓW I ZATRZYMANYCH LUDZI STELLAR FOXU NA KORWETĘ C-5...
UWAGA K4 I K5! ZNISZCZCIE POZOSTAŁE ŚLADY PO STELLARACH, TAK ABY NIE ZOSTAWIĆ ANKUZOM ŻADNEGO DOWODU POBYTU ZIEMIAN TUTAJ!
KORWETA SPRAWDZONA, CZYSTA!...
WSZYSCY RANNI PRZYJĘCI...
ZWŁOKI DO CHŁODNI NR.6...
DANGER
ASF
K1
C5
C2


DUPREE DO GRUPY SAPERSKIEJ! ZAMINUJCIE KOSMODROM WG KOORDYNATÓW T13, ŁADUNKAMI BVF 55. ODPALIMY JE ZDALNIE PO EWAKUACJI...
DUPREE


1,5 GODZINY PÓŹNIEJ...
UWAGA, NADLATUJĄ! OGŁASZAM OSTRE POGOTOWIE!
TU RHOTAX! OPRÓŻNIĆ STANOWISKO PRZY KORWECIE!
OCH, KOVAL, KOVAL... NOSIŁ WILK RAZY KILKA...


RHOTAX WYLĄDOWAŁ...
NIE PODCHODZIĆ! MISS LEAR PODA KOMANDOROWI NASZE WARUNKI!...
TĘDY!


3 MIN. 43 S. PO STARCIE KORWETY C-2 Z ZAKŁADNIKAMI STARTUJE K6 Z EKIPĄ ASEKURACYJNO-PRZECHWYTUJĄCĄ...
K6! BĄDŹCIE CZUJNI!
O.K! KOMANDORZE!


TO PROFESJONALIŚCI, KOMANDORZE. WIEDZĄ, ŻE PRZEGRALI WIĘC RATUJĄ WŁASNĄ SKÓRĘ. WYPUŚCILI MNIE, WYPUSZCZĄ FUNKY-EGO I PAULA. ICH GWARANCJĄ, TO ZGODA NA ESKORTĘ JEDNEGO KILLERA W ODLEGŁOŚCI 4 MIN. LOTU. NA 2570. KILOMETRZE WYRZUCĄ KOVALA I BARLEYA NA STACJONARNEJ BOI Z ZAPASEM TLENU NA 5. MIN. I STAŁYM KONTAKTEM NA FONII. KILLER BĘDZIE WIĘC MIAŁ TYLKO 4. MIN. NA PRZEJĘCIE BOI, A ONI W TYM CZASIE ODSKOCZĄ W PODPRZESTRZEŃ... BRZMI TO LOGICZNIE, PRAWDA?
TAK... ZGODA. UKŁAD JEST KLAROWNY... CHOĆ...


UWAGA! ZARZĄDZAM EWAKUACJĘ! KORWETA C-5 DO STARTU!
PANIE KOMANDORZE. MAMY ŁĄCZNOŚĆ Z ZIEMIĄ! ŁĄCZĘ!


TU BOBBER, PIERRE. SPRAWA STELLAR FOX I DB-4 STAJE NA SENACIE ZA 3. TYGODNIE. ZAMIESZANYCH W TO JEST PARU WAŻNIAKÓW Z RZĄDU I BIZNESU. A CO U CIEBIE?
WITAJ ANDREW. SYTUACJA SIĘ KOMPLIKUJE... W SKRÓCIE WYGLĄDA TO NASTĘPUJĄCO...
DUPREE


JEDNOCZEŚNIE W CENTRUM DOWODZENIA STELLAR FOX...
...W SKRÓCIE WYGLĄDA TO NASTĘPUJĄCO...


CHWILĘ POTEM U PREZYDENTA...
CZY MOŻESZ MI WYJAŚNIĆ Z CZYJEGO POLECENIA DUPREE PACYFIKUJE DB-4?! ZNASZ TEGO OSŁA, KTÓRY KRYŁ BOBBERA, KIEDY VISA-VIŃEGO CIERPLIWIE PROSIŁ ŻEBY GO ZGASIĆ?!... JEŚLI CHCESZ POZOSTAĆ PREZYDENTEM, TO PODPISZ TEN ROZKAZ!...


...INACZEJ POZOSTANIE CI...


WYJDŹ. MAM WŁASNĄ BROŃ.
!
M. PAROWSKI & J. RODEK
© by B. POLCH '83

LISTA BESTSELLERÓW

Dobra passa polskich wydawców SF trwa nadal. Ostatnio otrzymaliśmy do rąk kilka interesujących książek. Miło nam donieść, że nakładem „Iskier" ukazała się powieść, której drukiem rozpoczęliśmy biblioteczkę „Fantastyki", a mianowicie **„Żuk w mrowisku"** braci Strugackich, Mimo iż czytelnicy „Fantastyki" mieli już w ręku 150 000 nakładu powieści, kolejne 50 000 nakładu „Iskier" zniknęło z księgarni bez śladu. To dość ważny sygnał dla naszych, ustalających czasem przedziwne nakłady, wydawców. Nakładem KAW ukazały się ostatnio aż trzy pozycje: w serii zeszytowej **„Olśnienie"** Adama Hollanka, w „czarnej serii" **„Kochać bez skóry"** także Adama Hollanka i **„Goniący za Słońcem"** Julii Nideckiej. Po raz kolejny zwracam uwagę na ceny wydawanych przez KAW książek – najdroższa z nich kosztuje 40 złotych. I co na to panowie wydawcy twierdzący, że w obecnej dobie książka musi być droga?
Wśród wznowień warto odnotować dokonane przez „Wydawnictwo Literackie" wznowienie **„Według łotra"** Adama Wiśniewskiego–Snerga oraz **„Nagi cel"** tego samego autora wznowiony przez „Czytelnika". Pozycja Snerga jest na polskim rynku od dawna ugruntowana i dobrze się dzieje, że nowa grupa czytelników będzie się mogła zapoznać z całokształtem twórczości autora „książki trzydziestolecia PRL", tym bardziej że – jak już wspominaliśmy – **„Robot"** też niedawno był wznowiony. Tyle że od dawna już czekamy na nowe utwory tego popularnego, lecz bardzo powoli piszącego autora.

* * *

Zalew książek (oczywiście jak na nasze skromne warunki) znów spowodował znaczne przetasowania na listach. Na czerwcową listę Czytelników oddano 4973 głosy.

* * *

I jeszcze godna odnotowania inicjatywa Śląskiego Klubu Fantastyki. Nakładem ŚKF w Katowicach ukazała się wspólna publikacja ŚKF i PSMF antologia „Sposób na wszechświat". Wybór dokonany przez Piotra Kasprowskiego prezentuje 15 opowiadań 15 młodych związanych z ruchem fanów autorów. Nakład: 1000 egzemplarzy, cena 100 zł.

CZYTELNICY

1.	1.	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	Czytelnik	531
2.	2.	Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	KAW	537
3.	4.	Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	Iskry	322
4.	3.	Stefan Wul	**Remedium**	KAW	291
5	6.	Tadeusz Markowski	**Tak bardzo chciał być człowiekiem**	KAW	257
6.	5.	Harry Harison	**Planeta śmierci**	Czytelnik	246
7.	7.	Marcin Wolski	**Numer**	KAW	230
8.	10	Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	KAW	161
9.	–	Stanisław Lem	**Bajki robotów**	KAW	153
10	–	Stanisław Lem	**Solaris**	Iskry	146
–	8.	Stanisław Lem	**Niezwyciężony**	Iskry	146
–	–	Marek Oramus	**Senni zwycięzcy**	Czytelnik	146
–	–	Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	Czytelnik	138
–	–	Stefan Weinfeld	**Zamieszkała planeta**	Kaw	137
–	–	Czesław Białczyński	**Miliardy białych ptaków**	KAW	134

REDAKCJA

1.	1.	Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	Iskry	
2.	–	James G. Ballerd	**Ogród czasu**	Wydawnictwo Literackie	
3.	–	Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	KAW	
4.	–	A. i B. Strugaccy	**Żuk w mrowisku**	Iskry	
5	3	Adam Wiśnieski-Snerg	**Robot**	Wydawnictwo Literackie	
6.	10	Wiktor Żwitkiewicz	**Druga jesień**	Wydawnictwo Poznańskie	
7.	–	Adam Hollanek	**Kochać bez skóry**	KAW	
8.	–	Adam Hollanek	**Olśnienie**	KAW	
9.	–	Bob Show	**Kosmiczny kalejdoskop**	Iskry	
10	4.	Stanisław Lem	**Wizja lokalna**	Wydawnictwo Literackie	
–	9	Marek Oramus	**Senni zwycięzcy**	Czytelnik	
–	2.	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	Czytelnik	
–	–	Kurt Vonnegut	**Syreny z Tytana**	Czytelnik	
–	5.	Kirył Bułyczow	**Retrogenetyka**	Iskry	
–	–	Adam Hollanek	**Olśmiemie**	KAW	

(jasną czcionką podano pozycję na liście w poprzednim miesiącu)

WOJNA ŚWIATÓW
21-sze STULECIE
FILM PIOTRA SZULKINA

czytaj na stronie 51







